

Autorka powieści *Goodbye, Love*

MARTYNA KELLER

colliding
Lies

Lies #1



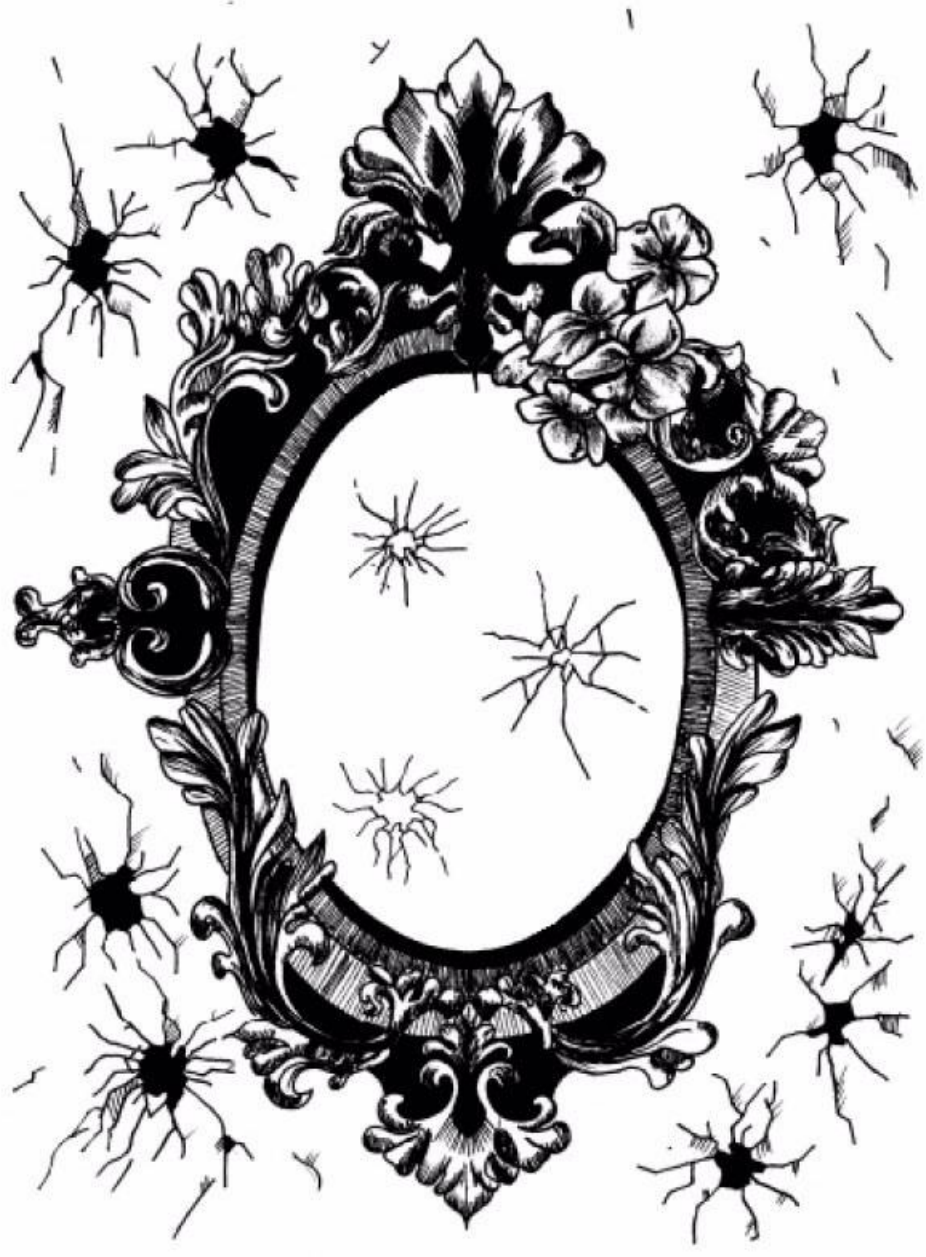
MARTYNA KELLER

COLLIDING LIES

LIES #1

OŚWIĘCIM 2023





Ostrzeżenie

W książce pojawia się temat manipulacji drugą osobą, przemocy psychicznej i fizycznej, także na tle seksualnym, przez co nie jest ona przeznaczona dla wrażliwych czytelników. Przedstawione w niej relacje nie są zdrowe, autorka nie popiera romantyzowania ich.

Och, kocham to i jednocześnie nienawidzę.

Ukrywamy wszystkie nasze grzechy przed światłem dziennym.

Daylight – David Kushner

PROLOG

MARIGOLD

KIEDYŚ

Dzieciaki z sierocińca w Charleston mają różne dziwactwa.

Myślę, że moje nie jest takie złe. Przynajmniej nie widać go na pierwszy rzut oka, więc nikt nie może krzywo na mnie spojrzeć ani wytknąć mnie palcem, jak to się zdarza w innych przypadkach. Ale gdyby wyszło na jaw, że noc w noc leżąc na niewygodnym łóżku, w ciemnościach niewielkiego pokoju, powtarzam po cichu kłamstwa, próbując za tysięcznym razem zamienić je w prawdę, pewnie również zaczęłabym mieć na ogonie jakiegoś terapeutę.

Moja mama, zanim zmarła, powiedziała mi, że kłamstwo powtórzone tysiąc razy zamienia się w prawdę. A ja chciałam przekonać się, czy rzeczywiście tak jest... lecz wciąż traciłam rachubę, ile razy tak właściwie powtórzyłam dane kłamstwo.

Powinam starać się bardziej. Być dokładniejsza.

Jeszcze raz, mówię sobie. Powinam spróbować od początku.

– Po wyjściu z sierocińca jakoś sobie poradzę – zaczynam pod nosem, wciąż mając wzrok wlepiony w szary, pożółkły już gdzieśgdzie materac, znajdujący się nade mną. Łóżko jest piętrowe, a mnie przypadło to na dole. – Po wyjściu z sierocińca jakoś sobie poradzę...

Przemykam powieki. Podmuch jesiennego wiatru wdziera się do pokoju otwartym na oścież oknem, a wraz z nim szum gałęzi drzew rosnących naokoło sierocińca. Biorę głębszy wdech. Otwieram powoli oczy i krzywię się, bo nie mogę się skoncentrować. Ten dzień był do dupy. Millie, do niedawna moja współlokatorka, poszła na swoje. Zostawiła mnie tutaj samą.

Coraz bardziej boję się dnia, kiedy za parę miesięcy, gdy skończę osiemnaście lat¹, pójdę w jej ślady. Millie miała przynajmniej dalekich krewnych w Europie. A ja? Ja nie mam nikogo ani niczego prócz swojej małej obsesji na punkcie głupiego powtarzania kłamstw.

Podrywam się z ociąganiem do siadu. Rozglądam po niedużym pokoju. Jest pusty i ciemny, nadal pachnie w nim do przesady słodkimi perfumami Millie. Nawet nie wiem, kiedy stoję już na nogach tuż przy drzwiach cienkich jak papier i, zaciskając palce na rękawach starego, znoszonego swetra, przyciskam ucho do twardej powierzchni.

Muszę zaczerpnąć powietrza. Otwarte okno mi nie wystarcza.

Potrzebuję uciec na zewnątrz.

Przez chwilę stoję nieruchomo przy drzwiach i uważnie nasłuchuję. Jest już późno. Chyba dochodzi druga w nocy, a dyżur pełni dzisiaj starsza pani Dawson. Powinam więc bez trudu wydostać się z pokoju, a później z budynku, aż w końcu wyruszyć w ulubione miejsce. Wiem, że to, co robię, jest zakazane, ale to nie pierwszy raz. Nikt mnie nie złapie.

W dogodnym momencie wkraczam w zaciemniony korytarz i ostrożnie zamykam za sobą drzwi. Pośród mroku nie dostrzegam nikogo. Jedyne mętne światło wylewające się z pokoju dla opiekunów podpowiada mi, że ktoś pilnuje tutaj porządku. Czym prędzej ruszam bezszelestnym krokiem w przeciwnym kierunku. Wtapiam się w czerń i oddycham nieco ciężiej, a już po paru minutach truchtu docieram do właściwych drzwi.

Za nimi znajduje się pomieszczenie gospodarcze.

Nieduża suterena.

Pachnie tu zgnilizną. Domyślam się, że jestem jedyną osobą odwiedzającą to miejsce. Przekręcam klucz i widzę, że nikt nadal nie zburzył mojej konstrukcji, która pozwala mi wspiąć się do okna, a potem wydostać się przez nie na zewnątrz. Mknę do niej śladem światła księżyca wpuszczonego do klitki przez szyby. Następnie wdrapuję się po starych krzesłach na szczyt mojej prowizorycznej drabiny i przedostaję na tyły sierocińca.

Staję niezgrabnie na nogi i rozglądam się wokoło. Za budynkiem jak zwykle nikogo nie ma. Mimo zimna, które odczuwam, ubrana tylko w lekki sweter, nie wycofuję się. Ostatni raz strzepuję z siebie kurz. Chcę ruszyć w stronę pobliskiej dziury w ogrodzeniu, gdy wtem... czyjaś dłoń zamyka się na moich ustach.

Otwieram szeroko oczy.

Przerażona zaczynam spazmatycznie dyszeć. Druga ręka napastnika nagle zostaje przełożona przez mój brzuch. Nie mam żadnego pola manewru. Wiercę się, jak mogę, lecz zapewne rosły mężczyzna jedynie szczelniej mnie do siebie przyciąga i obezwładnia.

– Chcesz narobić sobie problemów? – słyszę męski ton tuż przy uchu.

Zaciskam mocno powieki i na powrót je uchylam.

– Sierociniec zakazuje takiej samowolki.

Szarpię się, ale to nic nie daje. Czuję na plecach twardą, rozbudowaną klatkę piersiową. Facet przyciska mnie do niej tak mocno, że ilekroć próbuję się uwolnić, on zdaje się otaczać mnie sobą jeszcze bardziej. Dłoń, którą trzyma na moich ustach, jest szorstka i masywna.

Nie widzę nic przez łzy, a on wciąż coś do mnie mówi.

– Odsunę się, ale dla swojego dobra masz być cicho, jasne?

Nie odpowiadam. Przecież nie mogę. Jedynie nieruchomieję, co nieznajomy uznaje za zgodę. Pomału się odsuwa, a ja przelękam łzy, które wypłynęły mi spod powiek. Zaczepuję raz po raz wdych i zrywam się z miejsca, by przywrzeć całą sobą do zimnego betonu budynku.

Mężczyzna wyrasta przede mną, lecz zatrzymuje się w bezpiecznej odległości.

Drapię paznokciami ścianę. Moja klatka piersiowa unosi się i opada, kiedy na niego patrzę. Nie wiem, kim jest. Co tu robi. Jest facetem o potężnej posturze, szerokim w barkach i wysokim jak diabli. Fakt, że na oko wygląda, jakby zbliżał się do trzydziestki, jedynie napędza mój strach. Drżę i natychmiast próbuję czmychnąć mu sprzed nosa, lecz on jest szybszy.

Zwinniejszy i przerażający, gdy owija długimi palcami mój nadgarstek.

– Zawołam opiekunkę! – ostrzegam przez ściśnięte gardło, znowu czując napływające do oczu łzy. – Nieznajomi nie mają prawa tu być. Gdy pani Dawson się o panu dowie, od razu zadzwoni na policję i...

Mężczyzna uśmiecha się kącikami ust.

– ...i po tym, jak to zrobi, ta stara jędrza ześle na ciebie każdą karę, jaką tylko mogłaby na ciebie zesłać, bo wymknęłaś się z pokoju, mimo że wiedziałaś o tym, że jest to surowo zakazane, zwłaszcza w środku nocy – dokańcza za mnie z pewnego rodzaju kpina.

Włosy zachodzą mi na twarz. Oddycham coraz wolniej.

– Nie histeryzuj – dodaje jeszcze. – Jestem po twojej stronie.

– Jesteś dziwakiem. Zostaw mnie.

Wyrywam rękę z jego uścisku i ruszam, choć nawet nie wiem dokąd.

– Jestem nowym opiekunem – słyszę jego głos i... zatrzymuję się w pół kroku.

Po prostu przystaję w miejscu, wystawiona na jesienny wiatr.

– Kim? – Sama nie wiem, czy to jedno słowo opuściło moje usta, czy też powtórzyłam je w myślach. Przelękam bardzo powoli ślinę, patrząc w dal, na upiorny las otaczający posesję.

– Nowym opiekunem. Dlatego przemyśl dobrze, czy chcesz biec do Dawson. Przysporzysz sobie tylko problemów, wiesz? – Znowu czuję za sobą obecność mężczyzny. – Możesz albo biec do niej, albo spróbować się ze mną dogadać, mała przebiegła uciekinierko.

Zaczynam drzeć jeszcze bardziej. Mój rozmówca widzi to i po chwili czuję na ramionach okropnie ciężki materiał jego skórzanej kurtki. Zatopiona w niej wzdrygam się i odwracam ku brunetowi, czując się odrobinę pewniej z myślą, że to podobno pracownik sierocińca.

– Chcesz tego drugiego – przekonuje mnie nieznajomy. – Oboje wiemy, że nie marzysz o wygrzebywaniu petów z trawy w ogrodzie ani sprzątaniu stołówki do końca miesiąca.

Tak, Dawson z pewnością dałaby mi podobną karę.

– Nie marzę również o dogadywaniu się z kimś takim jak ty – szepczę szczerze.

Mężczyzna przygląda mi się uważnie. Ma mroczne, nieustępliwe spojrzenie.

– Zastanów się, co będzie dla ciebie gorsze: tortury tej jędrzy czy przyjaźń ze mną?

– Że co z tobą? – Marszczę czoło.

– Przyjaźń. Możemy się zaprzyjaźnić.

Zadzieram brodę, bo facet jest naprawdę wielki. Jego ciemne, brązowe oczy skupiają się na mnie przez każdą jedną sekundę ciszy, w trakcie której nie odzywamy się do siebie.

Aż w końcu spomiędzy jego ust wydostaje się kilka słów:

– Mogę ułatwić ci życie tutaj. – Wskazuje kiwnięciem na budynek sierocińca, a potem na powrót krzyżuje ze mną spojrzenie. – Przymykać oko na twoje ucieczki. Mogę ci pomóc. – Z chwilą, kiedy to mówi, zwracam uwagę na złotą obrączkę na jego palcu.

Natychmiast koncentruję się ponownie na jego osobie.

– Niby za co będziesz to wszystko robił? – pytam podejrzliwie.

Zbliża się do mnie. Ujmuje w dłoń mój podbródek. Czuję dreszcz przeszywający całe ciało, kiedy znowu cień uśmiechu przemyka przez jego... przystojną twarz. Dopiero teraz, gdy w świetle księżyca mogę przyjrzeć mu się dokładniej, dociera do mnie to, jaki jest atrakcyjny. Tłumię w sobie jednak podobne myśli. Zwłaszcza że to podobno nowy opiekun.

– Jak się nazywasz? – pyta, unosząc delikatnie brew.

– Marigold. Marigold Harding.

Odpowiada mi skinieniem.

– W porządku, Mari. Ja jestem Maverick i nie chcę od ciebie niczego w zamian za to, że będę przy tobie, gdy będziesz mnie potrzebować – mówiąc to, brunet opuszcza bezwiednie rękę i odwraca wzrok, by rozejrzeć się po ponurym ogrodzie. – Gdzie chciałaś pójść?

Odchrząkuję, a szelest liści rozwiewanych przez wiatr staje się głośniejszy.

– Niedaleko stąd jest przejście na plażę – wyznaję cicho.

Maverick pozostaje spokojny, kiedy kiwa głową.

– Chciałaś iść na plażę. W porządku, możesz iść.

– Tak po prostu puszczasz mnie wolno? – dociekam zdziwiona.

– Tak po prostu puszczam cię wolno.

To... dziwne. To naprawdę bardzo dziwne.

– I nie podkablujesz mnie nikomu? – ciągnę.

Mężczyzna spogląda na mnie i od razu potwierdza:

– Nie podkabluję cię nikomu. Może kiedyś przejdę się tam z tobą?

Przez chwilę nie odzywam się ani słowem. Przynajmniej już nie drzę jak galareta, tak jak na samym początku, ale wciąż odczuwam opór przed zaufaniem komuś pokroju Mavericka. Nawet go nie znam. Skąd mam wiedzieć, że naprawdę nie poleci na skargę? Może rano będzie czekała na mnie niemiła niespodzianka? Może on tylko tak mówi, że nikomu mnie nie wyda?

– Chyba trochę cię zmęczyłem – słyszę jego rozbawiony ton i dopiero teraz orientuję się, że przeciągle ziewam.

Zawstydzona od razu przytykam dłoń do rozdziawionych ust i spuszczam wzrok na swoje znoszone, brudne od błota trampki. Po niedługim czasie podejmuję pewną decyzję.

– Dlatego jednak odpuszczę sobie wycieczkę.

Móglby w końcu pójść za mną, a ja nie mam pewności, czy rzeczywiście jest opiekunem w tym obskurnym sierocińcu. Zsuwam ze zmarzniętych ramion skórzaną kurtkę i podaję mu ją.

– W takim razie wracaj do pokoju. No chyba, że potrzebujesz z kimś jeszcze przez moment pogadać. – Maverick mówi to i przyjmuje ode mnie ubranie.

Unoszę wzrok na jego twarz.

– Chcesz... mnie słuchać?

Dawno nikt nie chciał mnie słuchać. Nawet Millie, kiedy tu jeszcze była, uważała, że plotę non stop rzeczy, którymi nikt normalny się nie przejmuje. Maverick marszczy brwi i, zakładając bez pośpiechu kurtkę, dopytuje:

– Chyba tak postępują znajomi? Słuchają się.

Nadal zaskoczona nawijam materiał swetra na dłonie. *Tu musi być jakiś haczyk. Kto by tego chciał? Kto chciałby się z tobą zadawać, sieroto?*

– Raczej – odpieram niepewnie. – Muszę iść. Na pewno będziesz mnie kryć?

Maverick przytakuje.

– Tak. Nie martw się o to i do zobaczenia jutro.

Posyłam mu ostatnie spojrzenie, a potem wracam do swojego przejścia.

Przeciskam się przez okno, przemykam przez niedużą kłitkę i bezszelestnie pokonuję korytarz, żeby na końcu znowu wtargnąć do swojego skapanego w ciemnościach pokoju, rzucić się na brudny materac i zacząć powtarzać po cichu: *zaufanie mu nie okaże się błędem*.

Nie udaje mi się powtórzyć swojego kłamstwa tysiąc razy.

Ale wierzę, że jeśli zacznę mu ufać... nie popełnię błędu.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

MARIGOLD

Gdybym miała odrobinę więcej pieniędzy, nigdy w życiu nie zdecydowałabym się na wynajęcie obleśnej kawalerki w samym sercu nowojorskiego Bronxu. Ale nie mam ich za dużo, dlatego teraz poprawiam niezgrabnie torbę na ramieniu i naciągam bardziej kaptur bluzy na głowę, idąc przed siebie w poszukiwaniu właściwego bloku oraz moknąc w ulewnym deszczu.

Fakt, że powoli zapada zmrok, nie ułatwia mi sprawy.

Fakt, że z klatek bloków wylania się coraz więcej podejrzanych typów, również nie ułatwia mi sprawy, bo zaczynam czuć się potwornie nieswojo, kiedy mijam następnego z kolei faceta, który mierzy mnie dziwnym, zaciekawionym wzrokiem. Mam wrażenie, że stanowią atrakcję dla tutejszych, gdy maszeruję do przodu i deptam leżące na chodnikach pety.

Cholera, plotki mają wiele wspólnego z prawdą. Bronx to wylęgarnia wszystkiego, co paskudne.

Zagryzam wewnątrz policzka i staram się unikać natarcywych spojrzeń. Próbuję wmówić sobie, że nowy rozdział w moim życiu jeszcze okaże się kolorowy: zacznę studia aktorskie, znajdę sensowną pracę, a może nawet znajomych, z którymi złapię wspólny język.

Czar pryska, ponieważ jakiś pijak zaczyna coś do mnie mamrotać.

Wykrzywiam usta i przyspieszam kroku.

Na szczęście namierzam spojrzeniem swój blok. Błyskawicznie doskakuję do drzwi oraz otwieram je znalezionym w kieszeni kluczem. Wchodząc do środka, słyszę odgłos skapujących na podłogę kropel deszczu. Wiele wskazuje na to, że w swoich niedużych czterech ścianach spotkam się z grzybem lub też z innym nieprzyjemnym gościem.

Zaczynam spacer po betonowych stopniach. Podziwiam obdarte ściany, czuję chłód przyklejający się do skóry, nawet jeśli ciężki i przemoczony materiał bluzy również przylega do niej tak, że już bardziej by nie mógł. Zziębnięta wyglądam za stare, gdzieniegdzie powybijane okna. Zwracam też uwagę na jakieś napisy wypisane... wszędzie.

Gdziekolwiek nie spojrzę, widzę potwierdzenie, że trafiłam do meliny.

Zsuwam z głowy kaptur, kiedy tylko docieram pod właściwe drzwi. Te skrzypią od razu gdy je otwieram i wkraczam powoli do swojego nowego lokum. Długi korytarz prowadzi do niedużego pokoju połączonego z... cóż. Ciężko to nazwać kuchnią. Gdzieś jest też łazienka. Ściągam torbę z ramienia i zaciągam się zapachem wypełniającym mieszkanie.

Nie jest przyjemny. Nic tu nie jest przyjemne.

Deszcz bębni naprawdę głośno o szyby. Zamierzam najpierw wypakować swoje rzeczy i wepchnąć je do prawie rozlatującej się szafy. W czasie gdy to robię, próbuję przypomnieć sobie godzinę, o której powinnam zjawić się jutro w akademii, żeby przejść test praktyczny na studia aktorskie. To chyba była dziesiąta. Mam nadzieję, że uda mi się go jakkolwiek zdać.

Potrzebuję mieć ten papierek potwierdzający, że coś tam ukończyłam.

Nie wiem nawet, kiedy zapada zmrok. W pewnym momencie całe mieszkanie wypełnia czerń. Przebrana w suche ciuchy zwlekam się z kanapy i podchodzę do okna, żeby otworzyć je na oścież. Być może widok za nim nie jest ani trochę ładny, ale i tak wychodzę przez nie na typowe dla bloków na Bronksie przejście ewakuacyjne, by lepiej przyjrzeć się dzielnicy.

Metalowe kraty wznajają się w moje bose stopy. Siadam na jednym ze schodków. Porywisty wiatr rozwiewa mi włosy, dlatego zaczesuję kosmyki za uszy i omiatam spojrzeniem jedno wielkie blokowisko, które od dzisiaj mogę oficjalnie uznać za nowy dom.

Wystawiam twarz na mżawkę i trwam tak przez jakiś czas.

Przynajmniej dopóki nie słyszę dziwnego szmeru. Zaniepokojona uciekam wzrokiem do piętra pod mną. Jakaś zakapturzona postać właśnie idzie moim śladem i wychodzi przez okno na schody. Odruchowo zaciskam uda, bo to postawny mężczyzna.

Nie czuję się bezpiecznie przy facetach.

Zwłaszcza tych z Bronxu.

– Kolejna? – Z chwilą, kiedy dociera do mnie to słowo, orientuję się, że tajemniczy chłopak prędko mnie zauważył. – Kurwa, czy wy wszyscy musicie spadać akurat stąd?

Nieznajomy siada na najniższym stopniu schodów, podczas gdy ja siedzę na najwyższym. Zdaje się nie zwracać na mnie szczególnej uwagi, ale wiem, że mówi do mnie.

– Kolejna? – powtarzam za nim. – Spadać stąd? O co ci chodzi?

Patrzę, jak chłopak zaczyna majstrować przy swoich kostkach.

– Zgrywasz głupią? – odburkuje. – Noc w noc ktoś stąd zlatuje. Jeśli chce ze sobą skończyć, z jakiegoś powodu przychodzi właśnie tutaj, a potem to mnie przypada ta zajebista rola sprzątania tego syfu. Szkoda tylko, że krew z betonu na Bronksie schodzi kurewsko trudno.

Instynktownie zerkam w dół. Jesteśmy na siódmym piętrze. Upadek z takiej wysokości zapewne rzeczywiście okazałby się śmiertelny.

– Nie chcę ze sobą skończyć – zaprzeczam.

– Wyśmienicie. Już mam ci przyklasnąć?

Marszczę czoło.

– Serio jesteś aż takim bucem czy udajesz?

– Po prostu zmiataj stąd, przybłędo.

– Byłam tutaj pierwsza.

Zakapturzony kretyn wciąż majstruje przy swoich nogach.

– Byłaś, to ty chyba wszędzie, ale nie na Bronksie, skoro wchodzisz z kimś tutejszym w niepotrzebne dyskusje – mówi to znudzonym tonem i wypuszcza krótki syk.

Brzmi on jak syk bólu. Zbyttno się nim jednak nie przejmuję. Zamiast tego przekrzywiam głowę i mrużę podejrzliwie oczy.

– A co ty niby możesz mi za to zrobić, *Panie Tutejszy*? Boisz się nawet spojrzeć w moją stronę. – Sama nie wiem, z czego wynika mój przyływ odwagi, ale zaczynam odrobinę żałować, że pozwoliłam sobie na wypowiedzenie tych słów. Nie chcę sobie przecież nagrabić.

Przez dłuższy czas odpowiada mi cisza.

– Myślisz, że boję się na ciebie spojrzeć?

– Z jakiegoś powodu unikasz mojego spojrzenia, więc tak... tak właśnie myślę. – Oplatam zmarznięte ramiona dłońmi, ponieważ pogoda wciąż pozostawia wiele do życzenia.

– Poczieszna jesteś – stwierdza kpiąco chłopak. – Jak masz na imię?

Ściągam brwi.

– Marigold.

– Droga Marigold, nie patrzę w twoją stronę, bo nie jesteś nikim, kim chciałbym sobie zawracać głowę, ani nikim, z kim chciałbym rozmawiać choćby sekundę dłużej. A teraz wynocha mi stąd. – Jego rozkaz brzmi naprawdę ostrzegawczo.

Poprawiam się, siedząc na stopniu schodów. On za to w trakcie następnych minut, gdy oboje milczymy wciąż skupiony jest na własnych nogach.

– O co mu chodzi z tym grzebaniem w cholernych butach? – rzucam cicho pod nosem, szepcząc to do siebie. – Trzyma koks w skarpetkach?

Cham napina ramiona. Widzę to doskonale, nawet jeśli ma na sobie czarną bluzę. Na moment przestaje robić to, co robił dotychczas i gapi się w dal, na deszcz, który spada z chmur w jeszcze większych ilościach niż wcześniej, oraz pochłoniętą nim szarą przestrzeń blokowisk.

Dopiero po paru sekundach potwierdza oschle, że mnie usłyszał.

– Powiedziałem już. Wynocha mi, kurwa, stąd.

Lodowate dreszcze przechodzą mnie po kręgosłupie. Nie ruszam się. Ogarnia mnie paraliż, zwłaszcza kiedy chłopak odwraca się nareszcie przodem do mnie. Zamieram, bo dostrzegam jego twarz. Jego przerażającą, pokrytą długimi bliznami twarz. Rozdziawiam usta i instynktownie delikatnie się wycofuję. *Potwór*, słyszę głos w swojej głowie.

Tak właśnie wygląda potwór.

– Jak już nie jesteś taka wyszczekana, to w końcu wiej – mówi niepokojącym mnie głosem. – Czym

prędzej stąd i ode mnie, do cholery, wuj.

Wydaje się pewny, że to zrobię. Ucieknę. Ucieknę, zanim zdąży mnie złapać. Ja jednak patrzę na niego skołowana i nie dowierzam. Jak ktoś mógł mu to zrobić? Poharatać mu całą twarz. Ozdobić ją pociągłymi, wstrętnymi śladami po czymś ostrym, ciągnącymi się od żuchwy, idącymi przez policzki, aż do czoła, na które opadają ciemne pasma wilgotnych włosów. Brązowe oczy wpatrują się we mnie nieustępliwie.

– Bardziej – słyszę ponagląjący ton.

Wiatr znowu rozwiewa moją fryzurę.

– Odsuń się jeszcze bardziej – naciska chłopak.

Mimo że trochę się boję, mam okno na wyciągnięcie ręki. Zanim ten dziwak zdążyłby do mnie doskoczyć, wślizgnęłabym się do swojej kawalerki bez żadnego trudu. Chyba też dlatego zanim zdążę ugryźć się w język, wyrывa mi się na głos pewna myśl:

– Widziałam brzydsze widoki niż twoja gęba. Ona nie robi na mnie wrażenia.

Gdy orientuję się, co takiego wypaliłam, zaciskam mocno usta. Nieznajomy również. Ewidentnie mnie tu nie chce. A ja w tej chwili zauważam, co ukrywa. Robi mi się zimniej, bo nogawki jego spodni są zakrwawione. Krew wypływająca z ran otaczających kostki intensywnie je plami. Szkarłatne strugi spływają ciurkiem w dół. Te rany... wyglądają jak po spotkaniu z drutem kolczastym. Chłopak jednak nawet się nie krzywi. Wciąż uważnie mi się przygląda, co zauważam raz jeszcze zaglądając w jego puste oczy.

– Ja widziałem za to nie mniej ciekawskie dziewczyny od ciebie, które często znajdowano nad ranem w okolicznych rowach. Skoro nie umiesz trzymać języka za zębami, powinnaś się stąd wynieść. Uwierz lub nie, ale gdyby siedział tu jakiś naćpany sukinsyn, który tak jak ja nie chciałby towarzystwa, pewnie skończyłabyś zmaltretowana ze szmatą w ustach. To nie jest okolica, gdzie możesz pozwalać sobie na bycie wyszczekaną suką. A to jest rada. Nie chcesz dostać nauczki, bo nie wzięłaś jej sobie do serca, Marigold.

Trawię w duchu sens jego słów. Nie jestem głupia, wiem, że ten chłopak ma sporo racji i sporo zaryzykowałam, chociażby wdając się z nim w dyskusję. Nie powinnam była tego robić. Chyba po prostu dotarłam do momentu w swoim życiu, w którym naprawdę wszystko mi jedno.

Mogłabym nawet być kolejną osobą, która skoczyła z tego miejsca na beton.

Natychmiast się otrząsam. *Wyrzuć te myśli z głowy. Wyrzuć je. Nie zrobisz tego. A może zrobisz?* Łapię się za skroń i biorę nerwowy wdech. Mam wrażenie, że zaraz coś rozsadzi mi czaszkę. Wstaję chwiejnie ze stopnia schodów. Ignoruję bałagan w swojej głowie i mówię:

– Masz rację. Nie będę się nigdzie zapuszczać ani do nikogo odzywać.

Wichura wzbiera na sile. Targane przez nią włosy uderzają mnie w twarz, kiedy stoję w miejscu i patrzę na nieznajomego, który odwrócił się i wciąż usilnie próbuje zmyć sączącą się z ran otaczających kostki krew. Widzę, że nie robi tego pierwszy raz, lecz i tak wzdycham.

– Zastanawiam się tylko... czy potrzebujesz pomocy?

– Pomocy? – upewnia się, że dobrze mnie usłyszał.

Wydaje się nieco zdziwiony, ale w jego głosie nadal pobrzmiewa perfidna nonszalancja. Kładę skostniałą dłoń na poręczy i wzruszam krótko ramionami, bo na mnie spogląda.

– Z odkażeniem tego, co masz wokół kostek – precyzuję.

– Nie.

– Nie czy nie mojej? – Unoszę brew.

– Żadnej. Jak już tu musisz być, to chociaż milcz.

Chłopak po wypowiedzeniu tych słów ponownie koncentruje się na swoim problemie, a ja wolną dłonią ścieram powoli krople deszczu, które zdążyły rozbryzgać mi się na policzku. Rozmyślałam też, dlaczego nie zdecydował się uporać ze swoim problemem w zaciszu mieszkania, tylko akurat tutaj. Być może nie chciał, by zobaczyli go inni domownicy, jeśli nie mieszka sam.

Wlepiam wzrok w blokowisko, ale nawet kiedy to robię, wciąż przed oczami mam jego pokrytą bliznami twarz. Domyślałam się, że przez to trudno będzie mi wymazać ją z pamięci. Przez jakiś czas każde z nas zajęte jest swoimi myślami, aż odzywa się we mnie ciekawość. Zastanawiam się, jak mógłby mieć na imię ktoś taki jak on. Ktoś tak... enigmatyczny.

Wtem przez szum deszczu przebija się naprawdę cichy, jakby dziecięcy głos:

– Willard? – Słyszę, jak dobiega on z uchylonego okna do mieszkania chłopaka, i mimo zdziwienia,

które ogarnia mnie na ten przypadek, prędko uświadamiam sobie, że dostałam to, czego chciałam. Imię niemilego, zakapturzonego nieznanego z twarzą pokrytą bliznami.

Teraz mówi coś niezrozumiałego w stronę okna. Chyba, że zaraz przyjdzie. Zamyślona wycofuję się do swojego przejścia. Willardowi prawdopodobnie nie umyka to, że się poruszyłam, bo wypuszcza głośno powietrze zalegające w płucach. Wydaje mi się, że jest zły, ponieważ czegoś się o nim dowiedziałam. Spojrzenie, które posyła mi z dołu, jest nieprzyjemne i mrozące krew w żyłach, więc tym razem decyduję się go posłuchać i ulotnić do siebie.

Zwinnie przedostaję się przez okno do mieszkania i szybko je zamykam. Zastaniając ciężkie zasłony, myślę, że to było dziwne spotkanie. Ale znalazłam się w miejscu, które samo w sobie jest dziwne, więc tutaj... tutaj musi roić się od dziwaków.

Willard jest jednym z nich.

Przeczuwam, że też mogę się nim z czasem stać. Odwracam się w stronę ciemności spowijających moje ohydne lokum i z westchnieniem zmniejszam odległość, jaka dzieli mnie od otartej sofy. Opadam na nią i kulę się, próbując ignorować głód. Nic dzisiaj nie przełknęłam. Moim ostatnim posiłkiem była kanapka zjedzona jeszcze w Charleston.

Najchętniej poszłabym teraz do całodobowego, ale Willard miał rację. O zmroku nie wyjdę z mieszkania, choćby się paliło. Mam jeszcze jakieś resztki zdrowego rozsądku, chociaż nie kierowałam się nim przez ostatnich kilka lat, kiedy byłam naiwna i cholernie głupia, więc leżę nieruchomo przez kolejne godziny w ciszy oraz nieprzemijającej czerni.

Dopiero po czasie zaczyna robić się szaro, a deszcz ustępuje. Jasność nadchodzącego dnia wdziera się przez niechlujnie zasłonięte przeze mnie wcześniej zasłony, dlatego wstaję i wciąż czując okropne ssanie w żołądku, ruszam do torby, z której wyciągam portfel.

Sięgam po telefon i orientuję się, że jest już prawie siódma.

Chyba... mogę już wyjść.

Z lekkim zawahaniem przemierzam korytarz i wyszarpuję z zamka klucze, którymi potem zamykam mieszkanie. Schodząc po schodach w dół, na parter, słyszę znowu upiorny odgłos kropel wody skapującej na ziemię. Wzdrygam się nieznacznie i wyglądam za mijane przez siebie okno. Trochę ludzi kręci się już po osiedlu, co dodaje mi otuchy. Nastął dzień.

Powietrze po deszczu jest rześkie.

Uderza mnie, gdy wychodzę przed blok. Od razu próbuję namierzyć wzrokiem pierwszy lepszy sklep. Muszę uzupełnić lodówkę. No i przygotować się jakkolwiek na wycieczkę po Nowym Jorku – za trzy godziny czeka mnie w końcu test praktyczny na studia.

Myślę o nim przez całą drogę do osiedlowego sklepu. Tam kupuję wszystko, czego potrzebuję. Nie ma tego dużo, ogranicza mnie budżet. Powinnam jak najszybciej znaleźć pracę, ale to chyba nie będzie problemem. To miasto jest ogromne, pewnie będę miała jakiś wybór.

Wracając do mieszkania, wkładam słuchawki w uszy. Ze spojrzeniem utkwionym w swoich znoszonych trampkach, poruszających się po popękany chodniku, ściskam w dłoni reklamówkę i wsłuchuję w tekst przypadkowej piosenki puszczanej z telefonu. Przynajmniej robię to, dopóki blisko mojego celu, wejścia do bloku, drogi nie zastępuje mi jakiś facet.

Błyskawicznie unoszę wzrok, a słuchawka sama wypada mi z ucha.

– Mówiłem coś – mężczyzna czka pijacko – do ciebie.

Serce staje mi w gardle. Rozglądam się ukradkiem. Widzę kilka osób, ale każdy zdaje się zajęty sobą i nie zwraca uwagi na to, co dzieje się wokół. Ściskam mocniej w dłoni jednorazówkę, a następnie przełykam z trudem i próbuję wyminąć nieznanego.

– Nie słyszałam – mamroczę, a on owija brudne, grube palce wokół mojego nadgarstka. Sztywnieję i otwieram szerzej oczy, kiedy schyla twarz bardzo blisko mojej.

– Papierosa – dyszy. – Masz?

Czuję odór z jego ust i zbiera mi się na wymioty.

– Nie. Przepraszam, śpieszę się.

Staram się wyrwać rękę z jego uścisku, ale on trzyma mnie ciasno przy sobie. Panika przenika przez wszystkie moje mięśnie. Znowu desperacko rozglądam się wokoło i znowu nie widzę w pobliżu nikogo, kto zainteresowałby się tym, co się dzieje.

Przerażona natrafiam na spojrzenie śmierzącego faceta.

– Dokąd? – pyta obleśnie zadowolony. – Dobrze nam się rozmawia.

Kręcę głową i próbuję wyswobodzić się po raz kolejny.

– Niech się pan odczepi – wyduszam, upuszczając siatkę z zakupami.

Mężczyzna schyla się bardziej i przejeżdża nosem po moim policzku. Jest na pewno po czterdziestce, ubrany w jakieś szmaty, ma niewiele włosów, które zaczesał do tyłu i napiera na mnie całym ciałem, sprawiając, że rodzi się we mnie kolejna fala wstrętu i strachu.

– Mieszkam blok dalej – mruczy. – Możemy iść do mnie.

Wykrzywiam usta w grymasie i oddalam się od niego, najbardziej jak mogę.

– Nie pożałujesz, kwiatuszku.

Wydieram się spanikowana:

– Puszczaj, do cholery!

Zaczynam histerycznie oddychać. Nie zniosę tego. Zniosę wszystko, tylko nie to. Wiercę się tuż przy nim, a on rechocze tak głośno i tak obrzydliwie, że bardziej chce mi się rzygać. Czuję wzbierające pod powiekami uporczywe gorąco i nie muszę długo czekać, aż łyzy spłyną po moich policzkach. Krztuszę się nimi. On zaczyna mnie gdzieś ciągnąć. Pękam.

Znowu wrzeszczę nienaturalnie wysokim tonem.

– Puszczaj!

Zdzieram sobie gardło, niewiele widząc. Szarpię się i miotam najmocniej jak jestem w stanie, lecz bez skutku. Nagle słyszę, jak przez śmiech tego oblecha, przebija się czyjś głos.

– Ona powiedziała, że ma pan ją puścić.

Mężczyzna wykręca mi rękę. Syczę przez łyzy i zaczynam krzyczeć o pomoc, a on wtedy wzmacnia chwyt. Skutecznie mnie ucisza, bo mam wrażenie, że zaraz połamię mi kości. Włosy rozsypują się po mojej twarzy, gdy pochylam się i nabieram łapczywe wdechy.

– Zmiataj stąd, gówniarzu – cedzi mężczyzna do... chyba dziecka.

Wyrywam się ponownie, a on kolejny raz przywołuje mnie do porządku mocnym szarpnięciem, na które nie udaje mi się nie zapłakać. Ledwo trzymam się na wiotkich nogach i odczuwam ogromny ból, mając wygiętą rękę oraz znając zamiary pijanego faceta.

Zagryzam mocno wargę i czuję silne pieczenie w płucach, bo nie mogę nabrać tchu. Chłopiec jest coraz bliżej, jego głos staje się wyraźniejszy.

– Ona nie chce iść...

Zaciskam powieki, błagając szeptem, by ktoś zabrał ode mnie te męczarnie.

– Chcesz skończyć w tym jebanym kontenerze obok? Nie? To wypierdalaj w podskokach. – Mężczyzna wypowiada te słowa jadowitym tonem, po czym raz jeszcze mnie do siebie przyciąga, niczym bezwładną lalkę. Wyję, czując, jakby tym samym połamał mi rękę.

Wtem do rozmowy wtrąca się ktoś jeszcze.

– Żebyś ty zaraz, kurwa, miał czym spierdalać w podskokach, skończony chuju.

– Willard... – wypuszczam ledwie słyszalny szept, unosząc niewyraźny wzrok.

Mrugam parokrotnie i wyostrzam obraz, widzę zbliżającego się do nas chłopaka. Z jego oczu bije nienawiść, rysy twarzy zdradzają, że jest wściekły, a blizny, które ją zdobią, sprawiają, że zaczynam się go bać. Willard jest wysoki, jego postura – ogromna, a cios, który wyprowadza, gdy stoi już przy nas, tak silny, że aż odrzuca mnie do tyłu.

Upadam na chodnik, czuję pod palcami nieduże kamyki, które wbijają mi się w dłonie. Z mojej podskakującej piersi wydostaje się coraz szybszy oddech. Patrząc z drżącą dolną wargą na to, jak Willard zwinnie usadawia się na mężczyźnie, który mnie trzymał, a teraz wali go pięściami po twarzy, zaślepiony furią. Krew bryzga naokoło, przerażona wycofuję się niechlujnie i przytykam dłoń do ust, by zdusić w sobie kolejny szloch. Willard nie zna umiaru.

Uderza i uderza, jakby miał to w naturze.

A może ma?

– Jeszcze raz spojrzysz na to dziecko, a przysięgam, że otworzę cię i wypatroszę – wydycha oschle i wyprowadza kolejne uderzenie, wcale jednak nie ostatnie.

Jego ofiara charczy, dławi się własną krwią, wyraźnie ma dosyć. Mężczyzna nawet nie walczy, a ja

nie jestem pewna, czy ktokolwiek miałby teraz szansę powstrzymać tego chłopaka, kiedy wydaje się wręcz zaprogramowany, by bić. Kompletnie załamana wstaję w pośpiechu i z wysiłkiem na nogi, chcąc pozbiierać zakupy, a potem uciec stąd jak najprędzej.

Dopiero teraz zauważam, że siatkę podaje mi chłopiec. Ma na oko sześć lat. Słyszę w tle kolejne charknięcia i chrzęsty kości. Zbiera mi się bardziej na wymioty. Przecieram twarz, by pozbyć się z niej łez i zabieram od malucha swoje rzeczy, dziękując mu szeptem.

Nagle wszystko cichnie.

Willard podnosi się z faceta i wydaje się kompletnie niewzruszony. Ciężko oddycha, odciąga dłonią materiał czarnej bluzy od zapewne spoconego torsu, a potem podchodzi do nas i oferuje uwagę jedynie stojącemu obok chłopczykowi, który chciał mnie obronić.

– Idziemy – zwraca się do niego szorstkim tonem oraz wyciera brudną od krwi dłoń o swoje ubranie, zanim sięga po rączkę bardzo podobnego do siebie dziecka. – Ile razy mam ci mówić, żebyś nie wdawał się z nikim w dyskusje, Rhodes?

Gula wyrasta w moim ściśniętym ze strachu gardle.

– Ale on chciał jej coś zrobić – broni się mały.

Willard marszczy brwi.

– Komu?

– No... jej. – Chłopiec wskazuje na mnie.

Czuję ciarki na ciele, ponieważ ciężar uważnego spojrzenia bruneta łąduje na mojej na pewno napuchniętej od płaczu twarzy. Pamięta mnie. Dowód na to stanowi błysk przypomnienia w jego brązowych, pociemniałych oczach. Willard zachowuje kamienną twarz i kuca przed dzieckiem. Brzmi naprawdę surowo, kiedy mówi:

– To nie jest twój interes.

Robię krok w tył. Mam ochotę zniknąć. Po raz kolejny i nie ostatni.

– Miałem stać i nic nie mówić? – pyta ze zrezygnowaniem mały Rhodes.

– Miałeś dokładnie to robić – potwierdza nieprzyjemnie wyraźnie niezadowolony z decyzji dziecka Willard. – Nie jesteś rycerzem na białym koniu. Nie tutaj, na Bronksie.

Chłopiec przytakuje posłusznie.

– Dobrze, Will.

Młody mężczyzna wstaje.

– A teraz chodź. Mamy mało czasu.

Zanim odchodzi razem z małym, mierzy mnie ostatnim pogardliwym spojrzeniem. Spuszczam wtedy pokornie wzrok i kompletnie rozbita ruszam pędem do właściwego bloku. Willard może mną gardzić, ale prawda jest taka, że zawdzięczam mu więcej, niż chciałabym.

Zawdzięczam mu o wiele więcej, niż chciałabym.

ROZDZIAŁ DRUGI

MARIGOLD

Komisja pozwala mi odejść, więc dziękuję za uwagę i ruszam w stronę wyjścia z ogromnej sali teatralnej. Po odegraniu wylosowanej przez siebie sceny i przyjrzeniu się twarzom oceniających ją ludzi, nie wiem, czy mogę liczyć na zakwalifikowanie się do grona studentów. Cała trójka była raczej... małowówna i obojętna. Nie dali po sobie poznać absolutnie niczego.

Mam jednak nadzieję, że poszło mi dobrze, nawet jeśli przez całą okropnie długą drogę do „tej lepszej części Nowego Jorku” zamiast jakkolwiek się przygotowywać, przeżywałam poranne zdarzenie. Nie miałam nad tym kontroli. Po prostu gdybałam w myślach.

Co by się ze mną stało, gdyby nie ten chłopiec? Co by się ze mną stało, gdyby nie Willard? Powinnam była mu podziękować. Nie zdażyłam. Odszedł zbyt szybko. Chociaż nie wyglądał, jakby potrzebował moich podziękowań, i tak myślę, że powinnam była to zrobić.

Przemierzam zaciemniony korytarz. Jestem tak bardzo zamyślona, że nagle z impetem na kogoś wpadam. Odbijam się od nieznanego chłopaka. Jego zaciśnięte na mojej talii dłonie ratują mnie przed upadkiem i stłuczeniem sobie tyłka o posadzkę.

Oszołomiona mrugam powoli i odnajduję spojrzenie zielonych oczu.

– Och, cholera – wypowiadam te słowa z zawstyżeniem. – Strasznie przepraszam, chodzę dzisiaj z głową w chmurach.

Młody mężczyzna zabiera rękę. Mimo mroku spowijającego przestrzeń, na pierwszy rzut oka wygląda jak ktoś z wyższych sfer, kto jest piekielnie zamożny. Potwierdza to jego elegancki strój, w tym markowa marynarka oraz złoty zegarek na nadgarstku.

Brązowe włosy opadają mu na czoło, gdy kiwa głową.

– Nic się nie stało – zapewnia mnie i wygina kącik ust w sympatycznym uśmiechu. – Jak ci poszło? Widziałem, że wyszłaś z sali, gdzie odbywał się test.

Poprawiam torebkę na ramieniu, która trochę mi się z niego zsunęła wskutek zderzenia.

– Myślę, że całkiem dobrze, chociaż miny oceniających nie zdradzały, czy im się podobało, czy nie – odpowiadam, wzdychając przy tym pod nosem.

– Byłoby zbyt pięknie, gdyby od razu dali znać, na czym stoimy.

Również delikatnie się uśmiecham. Z jakiegoś powodu spokój i dobry humor, jaki bije od tego chłopaka, wydaje mi się zaraźliwy.

– Tak – zgadzam się z nim. – Zdecydowanie tak.

Mój rozmówca wyciąga dłoń w moim kierunku.

– Jestem Alexander, ale mów mi Alex.

– Marigold – kontruje, odwzajemniając uścisk.

– Masz może ochotę wybrać się na kawę? Jeszcze nikogo tu nie znam, więc szukam kogoś, z kim mógłbym się dogadać. Wydajesz się dobrym strzałem. – Alex mówi to, a ja przez kilka następnych sekund patrzę na niego z lekkim zwątpieniem.

Może on też... może on też ma złe intencje? *Jak on.* Powinnam się cieszyć, ale zamiast tego boję się, że mogłabym znowu natrafić na kogoś, kto nie ma wobec mnie dobrych zamiarów. Nawet jeśli jednak nie są one okropne, myślę, że idąc gdzieś z Alexem, tylko bym się przed nim zbłąźniła. Przez wiele miesięcy nie rozmawiałam za dużo z innymi ludźmi. Izolowałam się od nich i teraz jestem wycofana. Alex mógłby wziąć mnie przez to za dziwadło.

Co mam mu odpowiedzieć? Postanawiam grać na czas.

– To było bardzo szczere – stwierdzam.

Nie masz nic do zaferowania. Jesteś dziwadłem. Zepsutym dziwadłem. Odwracam na moment wzrok od twarzy rozpoznanego Alexa. Rozstrzygam swój dylemat, ale kompletnie nie wiem, jak mam postąpić, a to tylko podjęcie głupiej decyzji, czy pójdę z nim na kawę.

– Lubię być szczery – mówi wesoło chłopak. – To jak?

Krzyżuję z nim spojrzenie.

– Wiesz, chciałabym i byłoby mi bardzo miło, ale obiecałam sobie, że po teście pójde rozejrzeć się po lokalnych kawiarniach za jakąś pracą – próbuję się wymigać. – Dopiero przyjechałam do Nowego Jorku i sam rozumiesz...

– Tak, życie tutaj nie należy do najtańszych – przerywa mi szatyn. – Ale wiesz co? Chyba mogę ci pomóc znaleźć pracę, której szukasz.

– Widziałeś jakieś aktualne ogłoszenie?

Alex kręci głową w geście protestu.

– Lepiej. Ale zdradzę ci wszystko, jeśli pójdziesz ze mną na tę kawę.

Wciąż słyszę swoje myśli. Wyciszam je, wyciszam je, ile mam sił.

– W takim razie... – zaczynam, lecz nie jest mi dane dokończyć.

Nie w chwili, w której zauważam, jak ponad ramieniem Alexa z czerni wąskiego korytarza, prowadzącego za kulisy sali teatralnej, wyłania się ktoś, kogo zdążyłam już poznać. Zasycha mi w gardle. Willard idzie przed siebie z beznamiętną miną. Ubrany w skórzaną kurtkę opinającą szerokie ramiona oraz przetarte na kolanach spodnie, przeczesuje włosy palcami.

Widok blizn na jego poważnej twarzy budzi we mnie niepokój. Chłopak nie zwraca uwagi ani na mnie, ani na kogokolwiek innego. Po prostu zmierza na przód, a kiedy nas mijają, zapach papierosów uderza mnie w nozdrza. Nie odwracam się, by na niego spojrzeć. Staram się uspokoić niemilościernie kołatające w piersi serce. Chce studiować aktorstwo?

On... chce studiować aktorstwo?

– Długo mnie torturujesz, Mari.

Coś ściska mnie w dołku, bo słyszę w jaki sposób zwraca się do mnie Alex.

– Proszę, wszystko, tylko nie Mari – odpowiadam bardzo słabym szeptem.

– W porządku, wybacz. Zobaczyłaś ducha? Wyglądasz ciągle za moje ramię.

Chłopak mknie spojrzeniem za siebie i ponownie skupia się na moich oczach.

– Widziałam chyba znajomą twarz. To nie jest ważne. – Macham lekceważąco ręką w powietrzu i natychmiast decyduję się zapomnieć o tym, że zauważyłam gdzieś tutaj Willarda. – Myślę, że możemy iść na tę kawę.

Chłopak przerysowanym gestem ręki wskazuje na wyjście. Na jego przystojnej twarzy wciąż maluje się szczery uśmiech, tym razem również w pewnym stopniu zachęcający.

– W takim razie zapraszam.

Dziękuję mu niemrawym kiwnięciem, kiedy po paru minutach otwiera przede mną drzwi. Wychodzimy z budynku uczelni na wiatr, który tego wrześniowego dnia daje popalić mieszkańcom Nowego Jorku. Chowam w dłoniach rękawy swojej bluzy i zakładam ręce pod biustem. Wciąż nie do końca pewnie czuję się z myślą, że wychodzę z chłopakiem na kawę.

Zwłaszcza z kimś pokroju Alexa. To z pewnością ktoś, kto się liczy. Ja jestem tylko splukaną, wyglądającą jak straszdyło Marigold.

Opuszczamy teren uczelni. Z zaciekawieniem przeczesuję spojrzeniem najbliższą okolicę, drapacze chmur i tłumy ludzi, pewnie w dużej mierze turystów, na długich ulicach. Co rusz dobiega mnie klakson auta, których również jest naprawdę dużo na jezdni. To istny chaos.

To zdecydowanie coś lepszego niż szary, niebezpieczny Bronx, myślę.

– Nie będę owijał w bawełnę – zaczyna Alex. – Moi rodzice zajmują się swoimi poważniejszymi biznesami i nie mają zbyt dużo czasu, żeby poświęcić uwagę sklepowi z winylami, który dostali po moim dziadku. Teraz szukają kogoś, kto by się nim zaopiekował.

Od razu przypominam sobie, o czym wcześniej rozmawialiśmy. Praca. Moja praca. Zerkam kątem oka na chłopaka i orientuję się, że on ciągle patrzy wprost na mnie.

– To znaczy, że chcesz, żeby twoi rodzice mnie zatrudnili? – dopytuję.

– Nie mają nikogo na miejsce sprzedawcy – potwierdza szatyn. – Może to nie jest kawiarnia, o której wspominałaś, ale to też w miarę luźna praca. Tylko doradzasz klientom, co wybrać, sprzedajesz płyty i dbasz o czystość całego sklepu. Co sądzisz?

Niewiele mogę z siebie wykrztusić.

– Wow – dukam. – Brzmi super.

– Lubisz muzykę?

Wlepiam wzrok przed siebie, na ogromne wieżowce.

– Pewnie. Gdy byłam mała, grałam nawet na pianinie.

– W takim razie to chyba coś dla ciebie. – Oczami wyobraźni widzę, jak Alex znowu unosi kącik ust.

– Moglibyśmy wziąć kawę ze sobą, przejść się przez park, a potem zahaczyć o sklep. Tata robi tam dzisiaj porządki, więc to idealna okazja.

Wypuszczam materiał bluzy spomiędzy zaciśniętych pięści. To wydaje mi się naprawdę abstrakcyjne. Los jednak się do mnie uśmiechnął? Zesłał mi Alexa? Bardzo potrzebuję pensji. Muszę się jakoś utrzymać, nawet jeśli mieszkam w kawalerce, za którą nie płacę wcale dużo.

– Rany, jak ja ci się odwdzięczę? Ratujesz mi życie, naprawdę potrzebowałam tej pracy.

Szatyn trąca mnie lekko łokciem.

– Nie ma sprawy. Po prostu nie daj rodzicom powodu, żeby cię wylali.

– Postaram się nie nawalić – rzucam nieco weselej.

W spojrzeniu Alexa migocze zaintrygowanie, kiedy zadaje mi pytanie.

– Wspomniałaś, że dopiero przyjechałaś do Nowego Jorku. Skąd?

Przez moment zbieram się w sobie, by mu odpowiedzieć.

– Z Charleston – wyznaję nareszcie, opuszczając ręce. – Z Karoliny Południowej.

– Chciałaś zobaczyć, jak wygląda życie w wielkim mieście?

– Po części tak. A ty? – Moja brew szybuje ku górze. – Jesteś stąd?

Chłopak po dżentelmeńsku kładzie dłoń w okolicach mojego krzyża i zbliża mnie do siebie delikatnie, bo jakaś dziewczynka jadąca na rowerze po chodniku prawie mnie taranuje. Lekko spięta patrzę wdzięcznie na Alexa. Zdecydowanie bujam dzisiaj w obłokach.

Cholerny Willard. Wciąż mam w głowie to, co stało się rano.

– Tu się urodziłem i tu zostanę – stwierdza Alex. – Chociaż nie będę wybrzydzać, jeśli dostanę się na te studia i zauważy mnie jakaś słynna grupa teatralna podróżująca po Stanach.

Rozbawiony zabiera swoją dłoń. Wypuszczam westchnienie ulgi spomiędzy ust.

– Oby wyniki były na czas. Chciałabym już wiedzieć, na czym stoję.

– Powinny być jutro. Mieszkasz daleko?

– Na Bronksie – odpieram niemrawo. – Wiem, brzmi nieciekawie.

Alex wcale nie ukrywa, że jest inaczej.

– Trochę – mówi szczerze i wyciąga telefon z kieszeni spodni. – Mieszkam w apartamentowcu tuż obok uczelni. Jeśli chcesz, mogę podskoczyć tam rano, żebyś nie musiała się fatygować. Potrzebowałbym tylko twojego numeru, wiesz, żeby dać ci znać, co i jak.

Chwilę się waham, ale finalnie biorę od niego telefon.

– Jasne – rzucam wtedy i zapisuję mu swój numer. – Gotowe.

Zwracam Alexowi jego własność, a on strzela spojrzeniem gdzieś za moje plecy.

– Świetnie. Wchodzimy tutaj? Mają całkiem dobrą kawę.

Odwracam się. Kawiarnia sprawia wrażenie przytulnej.

– Na pewno? – pytam, sama nie wiem czemu, i uśmiecham się.

Szatyn patrzy na mnie ciepło i również to robi.

– Jestem stuprocentowo pewny. A jeśli jednak będzie wyjątkowo zła, przynajmniej będę miał pretekst.

Ściągam brwi.

– Pretekst, żeby...?

– Żeby naprawić błąd i zabrać cię tam, gdzie serwują lepszą – odpowiada, jak gdyby nigdy nic. –

A teraz wybieraj, na którą masz ochotę. Bierzemy na wynos i idziemy w drogę.

Wchodzimy do środka. Alex skupia na sobie spojrzenia klientów swoimi dobrymi manierami, bo ponownie tego dnia otwiera przede mną drzwi, a ja myślę, że być może spotkałam osobę, która sprawi, że moje życie w Nowym Jorku będzie nieco bardziej kolorowe.

Powrót na Bronx równa się z ogromnym rozczarowaniem. Gdy tylko wkraczam w nieciekawą okolicę, wspomnienie dzisiejszego poranka napędza we mnie falę strachu, nawet jeśli prawdopodobieństwo, że ktoś odważy się do mnie podejść w ciągu dnia jest o wiele mniejsze. Nie zakładam słuchawek. Tym razem idę przed siebie, mając oczy i uszy szeroko otwarte.

Pokonując dystans dzielący mnie od bloku, układam w głowie przebieg jutrzejszego dnia. Będę musiała zjawić się na wieczorną próbną zmianę w sklepie rodziców Alexa. Poranną zaklepała dziewczyna, którą również zatrudniono kilka godzin temu, kiedy przyszedłam do sklepu państwa Findlay. Ta praca zapowiada się naprawdę dobrze. Przynajmniej na to się zanosi.

Wyciągam z torebki klucze i dziwię się, ponieważ unosząc wzrok znad jej zawartości zauważam przed blokiem... chłopca. Chłopca, który siedzi na już prawie rozlatującej się ławce ze spuszczoną głową i wielgachnym plecakiem na plecach. To chyba Rhodes?

Brat Willarda? Zostawiłby go tutaj samego?

Mogę powiedzieć o swoim sąsiedzie wiele: że jest strasznym bucem, dzikusiem i wygląda na kryminalistę, ale nie to, że nie zależy mu na tym chłopcu. Dzisiaj rano to udowodnił, kiedy bez żadnego zawahania rzucił się na faceta, który mu groził.

Rozglądam się po dzielnicy. Nie widzę go. Właściwie nie widzę nikogo. Przez dłuższy moment biję się z myślami. Mam podejść? Czy minąć go i iść do siebie? On ma jakieś sześć lat. Nie może być tu sam. Zresztą dzisiaj mi pomógł. Powinam się odwdziżyć.

Nawet jeśli Willardowi na pewno się to nie spodoba.

Mimo że wciąż powątpiewam, czy postępuję dobrze, zbliżam się do ławki i kucam przed siedzącym na niej chłopcem. Ten gdy tylko mnie dostrzega, podrywa głowę i ściąga te swoje urocze brewki. Jest potwornie podobny do Willarda. Są jak dwie krople wody. Ta sama gęsta, czarna czupryna. Te same brązowe, ciemne oczy. Tyle że starsza kopia ma też blizny na twarzy.

Odchrząkuję i zaczynam miękkiem tonem:

– Hej, Rhodes, prawda?

Malec powoli przytakuje.

– A ty? – pyta ostrożnie. – Kim jesteś?

– Mam na imię Marigold. To mnie rano bohatersko broniłeś.

Rhodes przez kilkanaście sekund przygląda mi się i nic nie mówi.

– To Willard cię obronił. Gdy dorosnę, chcę być tak silny jak on.

– Jak twój brat. – Delikatny uśmiech wstępuje na moją twarz.

– Brat? Willard nie jest moim bratem.

Poważnieję, bo mały zbija mnie z tropu.

– Nie?

– Jest moim wujkiem – tłumaczy, jakby to było oczywiste.

Rozchyłam usta. Prędko je jednak zamykam. Czy to możliwe, by Willard był wujkiem Rhodessa, kiedy są do siebie podobni w aż tak dużym stopniu? Cholera, może tak. Rozglądam się znowu po najbliższej okolicy. Mam dziwne wrażenie, że czuję na karku oddech tego opryskliwego chama. Ale nie dostrzegam nikogo. Po Willardzie nie ma choćby głupiego śladu.

Dlatego ponownie spoglądam na malca.

– Gdzie podział się w takim razie twój wujek? – pytam, chcąc wy badać grunt. – Nie możesz być tutaj sam. To bardzo niebezpieczne miejsce. Willard pewnie ci o tym mówił.

Rhodes potwierdza, że słyszał podobne ostrzeżenia wiele razy.

– Tak, codziennie mi o tym przypomina. Czekam, aż wróci.

– Zostawił cię samego? – dociekam.

– Nie.

– Więc co się stało?

Chłopiec wzrusza ramionami.

– Pani Hamilton nie otworzyła mi drzwi – streszcza. – Miałem pójść do niej, ale mówiła coś o tym, że nikt jej nie zapłacił za kolejny raz, kiedy miała się mną zająć.

Słucham go uważnie i czuję, jak krew gotuje się w moich żyłach. Nie wiem, kim jest jakaś pani Hamilton, ale szlag, nawet jeśli Willard nie zapłacił jej za opiekę nad małym, musi być niezłą suką, skoro

zostawiła dziecko na lodzie i kazała płątać mu się samemu po okolicy.

Zaciskam usta w wąską linię zupełnie mimowolnie. Nie mogę go tutaj zostawić. Zanim zdążę pomyśleć dwa razy, uspokajam się i zwracam do malca:

– Rozumiem. Może chciałbyś poczekać na Willarda u mnie?

Rhodes przechyla podejrzliwie głowę.

– U ciebie?

– Nie znamy się, ale uwierz, nie byłabym w stanie nic ci zrobić – rzucam trochę zakłopotana. – Sam rano widziałeś, że raczej nie mam za dużo siły. Poza tym jesteś moim bohaterem. Powinnam zafundować ci lody albo jakoś podziękować, że chciałeś mi pomóc.

Kącik ust chłopca lekko drga ku górze.

– Nie ma za co.

Po tych słowach zeskakuje na beton, bo nie dosięga do niego nogami, siedząc na dość wysokiej ławce. Widzę, że przeciąża go plecak, zapewne przeładowany opasłymi książkami, dlatego wyciągam rękę ku bagażowi Rhodesa, by zabrać go od niego.

– Daj, pomogę ci – oferuję.

Chłopiec natychmiast protestuje.

– Nie trzeba – odpowiada, gdy wchodzimy do bloku, w którym nadal śmierdzi papierosami i stęchlizną. – To z tobą wczoraj rozmawiał Willard? W nocy na zewnątrz?

Zastanawiam się nad jego pytaniem, pokonując kolejne stopnie schodów.

– Tak. Rozmawialiśmy za głośno? Obudziliśmy cię?

– Nie spałem. Rzadko śpię.

– Dlaczego? – dopytuję i nie mam bladego pojęcia, skąd we mnie taka ciekawość.

– Willarda często nie ma w domu. Często nie ma go w nocy, a wtedy jakoś tak... nie mogę – zwierza się mały, a ja wciskam klucz w zamek starych drzwi i otwieram je przed nim.

– Rozumiem. Wchodź.

Rhodes rusza w głąb. W tym czasie wieszam torebkę na haczyku.

– Mieszkasz nad nami? – pyta zaintrygowany chłopiec, kiedy go doganiam.

– Tak. Gdybym puszczała muzykę za głośno, możesz mnie śmiało ochrzanić.

Uśmiecham się do niego, a on odwzajemnia ten gest.

– Lepiej, żebym zrobił to ja, a nie Willard.

– Zrobiłby tu niezłą awanturę, co? – Zakładam ręce na piersiach i wkraczam do prowizorycznego salonu, gdzie znajduje się brzydka kanapa, a niedaleko niej zasłonięte okno. Niewiele myśląc, podchodzę do niego i szarpnięciem zasłony, wpuszczając do środka trochę dziennego światła. Rhodes siada na sofie w wygodnej pozycji, krzyżując nogi.

– Jest nerwowy – podsumowuje.

Jest, potwierdzam w myślach. Jest bardzo nerwowy.

– Widziałam – zgadzam się z nim. – Widziałam go też dzisiaj na uczelni. Chyba będziemy razem studiować.

Mały zerka na mnie z ukosa.

– Studiować? Co to znaczy studiować?

Szybko się poprawiam:

– Hm, chyba będziemy się razem uczyć.

Rhodes robi kwaśną minę.

– Willard nie będzie szczęśliwy.

– Nie lubi mnie – bardziej stwierdzam, niż pytam, i siadam obok chłopca.

– Nie przepada za tobą. Gdy szliśmy do szkoły, powiedział, że jesteś problemem. Że tu nie pasujesz i że prędzej czy później się stąd wyprowadzisz, bo nie dasz sobie rady – mówiąc to, spogląda na mnie tak, jakby bał się mojej reakcji na prawdę, o której mi opowiada. Ja jednak się nią nie przejmuję. Spodziewałam się, że będzie tak o mnie myślał.

Nie odzywam się choćby słowem, ale tylko przez chwilę.

– To chyba w jego stylu. A gdzie on teraz jest? Pewnie nie na uczelni.

Mój gość odkłada plecak gdzieś na bok. Przedmiot ląduje na zabrudzonych deskach z cichym

łaskotem.

– Pewnie załatwia ważne sprawy.

– Ważne sprawy – powtarzam za Rhodesem.

– Powinien za jakiś czas wrócić.

– Niech wróci nawet jutro. Przynajmniej mam się do kogo odezwać – rzucam, a następnie podnoszę się do pionu i wypowiadam krótkie pytanie: – Jesteś głodny?

Ruszam do kuchni. Otwieram lodówkę i przeglądam jej zawartość. Przez długi czas nie słyszę odpowiedzi Rhodesa, dlatego odwracam głowę przez ramię, żeby na niego spojrzeć. Ma wypisane na twarzy zastanowienie, jakby nie był pewny, co powinien mi powiedzieć.

– Trochę – wyznaje nareszcie, niepewnie skubiąc zębami wargę. – Zazwyczaj pani Hamilton dawała mi to, co zostawało jej z obiadu.

Znowu odzywa się we mnie złość.

– Suka – burczę pod nosem.

Rhodes od razu to podłapuje.

– Suka? – powtarza za mną.

Otwieram szerzej oczy.

– Nie, nie – zaprzeczam prędko, bo rany boskie, Willard mnie zabije, jeśli dowie się, że uczę dzieciaka takich słów. – Boże, nie. Nie powtarzaj tego po mnie. Może zrobimy naleśniki? Nie mam zbyt wielu składników w lodówce, ale chyba skombinujemy z tego naleśniki.

Wracam spojrzeniem do zawartości półek. Będąc rano w sklepie, nie kupiłam zbyt dużo rzeczy. Raz, nie jem za dużo, dwa, nie mam wystarczająco pieniędzy, by organizować sobie jakąś ucztę. Wyciągam produkty z lodówki i spinam czarne włosy w koński ogon.

Wtedy orientuję się, że Rhodes zjawił się nagle obok mnie.

– Super – stwierdza weselej. – Mogę z tobą?

Uśmiecham się rozczulona na błysk w jego ciemnych oczkach. Jest uroczy. Nie wiem, jak Willard wychował go na takiego, ale jest aż zbyt uroczy. Kucam przed nim i zwracam uwagę na jego poszarpaną, o wiele za dużą bluzę, którą ma na sobie. *Pewnie po wujku*, myślę.

– Tylko podwiń rękawy, dobra? – zaznaczam łagodnie.

Chłopiec próbuje nieudolnie się z nimi uporać.

– Tak? – pyta, a ja patrzę z politowaniem na jego dzieło.

– Chodź tutaj.

Wyciągam ręce ku niemu i sama zakasuję jego rękawy na wysokość łokci. Dopiero gdy kończę, wstaję oraz patrzę z niesmakiem na brudny blat. Chwytam szmatkę, którą mam pod ręką i przecieram go. Wyciągam jakąś starą miskę, przepłukuję ją wrzątkiem, a następnie zaczynam wrzucać do niej składniki. Kątem oka widzę, że Rhodes jest za mały, żeby dosięgnąć do blatu. Szybko po raz kolejny tego dnia oferuję mu swoją pomoc.

– Przyniosę ci taboret.

– Dam radę sam – zapewnia chłopiec.

Zaraz wraca z taboretem i wchodzi na niego z małym trudem. Zaczynam go lubić, nawet jeśli nie powinnam, bo Willardowi bardzo by się to nie spodobało. Rano dał mi do zrozumienia, że jestem nikim, a także nikim, kogo chciałby widzieć przy Rhodesie.

– Jesteś bardzo zaradny – rzucam komentarz, podając mu mleko.

Mały przelewa je niechlujnie do miski.

– Jak Willard – mówi dumnie.

– Willard jest zaradny?

– Odkąd tata odszedł, to on dba o nas dwóch.

Odkąd tata odszedł, słyszę echo słów chłopca i odczuwam dziwny smutek, chociaż ta informacja nie jest czymś, co powinno wprawiać mnie w pochmurny nastrój. Nawet nie znam Rhodesa i jego wujka. Nawet nie znam ich historii, ale myśl, że mały stracił tatę, jest po prostu przykra. Sama straciłam swoich rodziców, gdy byłam mała. Nie tak mała jak Rhodes, ale nadal.

Naprawdę za nimi tęsknię. Tak bardzo tęsknię za mamą.

– Wychodzi mu to? – pytam, nagrzewając patelnię.

Mój pomocnik nie ma wątpliwości.

– Tak. Naprawdę tak.

– Wsyp to do miski. – Podaję mu kolejny sypek produkt. – Tylko wprost do miski, okej? – powtarzam i uśmiecham się po raz kolejny widząc rozsypaną na blacie mąkę.

Małec posłusznie wykonuje moje polecenie.

– Dobrze mi idzie? – zastanawia się.

– Świetnie, Rhodes – chwalebę go.

Pomiędzy nami nastaje niedługa cisza.

– A gdzie jest twoja mama? – szepczę.

– Nie wiem. Odeszła jak tata.

Sposób, w jaki to mówi, podpowiada mi, że ta wiedza go nie rusza. Mimo tego i tak odpowiadam mu krótkim:

– Przykro mi.

– A mi tylko trochę. – Chłopiec spogląda na mnie z lekkim uśmiechem, którym tym razem nie mogę mu się zrewanżować, chociaż bardzo bym chciała to zrobić. – Wujek jest naprawdę super. Mówi, że za jakieś cztery miesiące się stąd wyprowadzimy.

Życzę im tego. Każdemu życzę, by się stąd wyrwał, chociaż mieszkam tu dopiero dzień.

– Gdzie? Macie jakieś miejsce, do którego chcielibyście się przenieść?

– Nie znam się na tym. Ale Willard mówi, że wszędzie będzie nam lepiej niż tutaj.

Ma sporo racji, dopowiadam w duchu i chowam składniki do lodówki.

– Na pewno. A dlaczego dopiero za cztery miesiące?

– Nie wiem. Nie powiedział mi. Mógłbym to zamieszać?

Chłopiec patrzy na miskę, w której znajduje się już prawie gotowa masa na naleśniki. Podchodzę do niego i wręczam mu drewnianą łyżkę, którą może wszystko wymieszać.

– Pewnie. Tylko bądź ostrożny, ten taboret jest niestabilny – dorzucam, widząc, że mały się na nim odrobinę chwije. Na wszelki wypadek trzymam się tuż przy nim, by w razie czego go złapać, kiedy on wydaje się wniebowzięty, mogąc przyrządzać coś w kuchni.

– Będę. – Błyska do mnie ponownie niewymuszonym uśmiechem.

– Włączymy muzykę? Trochę tutaj ponuro.

Rhodes kiwa głową, dlatego sięgam po telefon i spełniam swój zamiar. Przez następne kilkanaście minut kończymy przygotowywać nasz obiad, rozmawiając o dzisiejszym dniu. Później przekładamy wszystko na dwa talerze i siadamy wygodnie na kanapie nieopodal.

– Smakują? – pytam, nabijając kawałek naleśnika na widelec i patrząc, jak mały pałaszuje swoją porcję. Ma uroczo wypchane jedzeniem policzki oraz kiwa ochoczo głową.

– Są przepyszne. Dziękuję, Goldie.

– Goldie? – Marszczę brwi.

– Masz super imię.

Ciepło rozlewa się w okolicach mojego serca.

– Dziękuję. A teraz jedz. Musisz mieć dużo siły.

Gdy oboje jesteśmy już najedzeni, chłopiec rusza do łazienki, żeby umyć brudne ręce. Ja w tym czasie zanoszę talerze do zlewu i krzywię się na wodę, która w nim została. Pięknie. Jeszcze brakowało mi problemów z rurami. Postanawiam zająć się tym później, zwłaszcza że słyszę huk. Słyszę okropnie głośny huk rozbrzmiewający po całym małym mieszkaniu.

Ktoś otwiera drzwi, a te uderzają mocno o ścianę. Momentalnie sztywnieję.

– Gdzie on jest? Gdzie on, do cholery, jest?!

Willard, uświadamiam sobie. *Wpadł tutaj Willard*.

Chłopak wychodzi z długiego korytarza, namierza mnie rozbieganym spojrzeniem i tyle wystarczy, żeby w jego oczach zapłonęła furia. Zanim zdążę odetchnąć, on już przygniata mnie swoim potężnym ciałem. Przyciska dolną część moich pleców do krawędzi kuchennego blatu tak mocno, że przez moje zeszywniałe z szoku mięśnie przetacza się potwornie silny ból.

Uwięziona pomiędzy szerokimi ramionami czuję i słyszę, jak rozwścieczony brunet dyszy mi ciężko w usta. Zdaje się nieokrzesany, zdaje się tkwić w jakimś szaleńczym transie, zdaje się pobudzony gniewem,

napędzony agresją i skłonny, żeby się na mnie wyżyć.

Choćby w najgorszy możliwy sposób.

– Hamilton mówiła, że widziała z okna, jak go gdzieś zabierasz. Ten chłopak, który rano chciał ci pomóc. Gdzie go wysłałaś? – wypluwa z siebie słowa i napiera na mnie jeszcze mocniej przez co tracę dech. Błyskawicznie odzywa się we mnie panika, bo jest za blisko.

Zaczynam się trząść. W tej chwili nie stać mnie na więcej niż szept.

– Puść mnie... – wyduszam ledwie słyszalnie.

Chłopak sięga do mojego kucyka i śmiało owija go sobie wokół nadgarstka. Ciągnie mnie mocno za włosy, zanim ze śmiertelną powagą wymalowaną na twarzy, cedzi złowrogo:

– Dokąd go zabrałaś?

Wypuszczam jęk bólu. Willard szarpie mnie gwałtownie za pasma i przyciąga moją twarz blisko swojej, tak że niemalże stykamy się nosami. Dreszcz przebiega po moich plecach. Jestem przerażona i nie mam żadnej drogi ucieczki, gdy mnie unieruchamia.

– Uspokój się, nic mu nie zrobiłam – próbuję go przekonać, drżąc i czując, jak szklą mi się oczy. Widok blizn na przerażającej, nadal tak samo poważnej twarzy chłopaka jedynie sprawia, że moje nogi stają się jeszcze bardziej miękkie. Ledwie wciągam kolejne wdechy.

Willard odchyła moją głowę, ściskając boleśnie w dłoni długi kucyk. Zaraz uderza mnie jego wściekły wrzask, który mam wrażenie, że trzęsie wszystkimi ścianami:

– To śpiewaj, kurwa, gdzie!

– Masz problemy z agresją – dukam prawie że bezgłośnie. Chcę w pośpiechu dodać, że nic nie zrobiłam Rhodesowi, ale nie dostaję szansy, by to zrobić.

Niskie warknięcie chłopaka mi w tym przeszkadza.

– Gównu obchodzą cię moje problemy.

– Zabierz ze mnie te łapy w tej chwili. – Zdesperowana szarpie się, ale on ani drgnie. Jego klatka piersiowa nadal stapia się z moją, czuję twardość jego mięśni i upór, jaki od niego bije. Zaglądam w jego ciemne oczy i nie dowierzam, jakim cudem może tkwić w nich tyle furii.

Mój napastnik uderza wargami o mój policzek i zbliża je do mojego ucha.

– Moje łapy na tobie będą twoim najmniejszym problemem, jeśli nie przestaniesz sobie ze mną pogrywać, mała, podstępna żmijo – syczy zimno, a jego szybki oddech łaskocze moją skórę i jest powodem, przez który mój żołądek zaciska się z nerwów w supeł.

– Ty nad sobą nie panujesz... puszczaj mnie, nic mu nie zrobiłam – powtarzam na granicy płaczu, w czasie gdy druga dłoń Willarda sięga po moją brodę i zaciska się na niej żelaznym chwytem. Czuję, jak moja szczęka drętwieje pod wpływem nacisku jego palców.

– Dopiero przestanę nad sobą panować – mówi to tak, jakby mi coś obiecywał.

Przełykam i znowu uwalniam jęk, bo boli. To tak bardzo boli.

Wtem gdzieś w oddali odzywa się ktoś trzeci:

– Willard?

Chłopak puszcza mnie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W kilku długich krokach doskakuje do stojącego w progu salonu chłopca i kłeka przed nim, by zrównać z nim spojrzenie. Wciąż tli się we mnie strach i wciąż mam zaszklone oczy, gdy patrzę na nich z kuchni. Dotykam delikatnie szczęki. Czuję, jak pulsuje i jak z trudem mogę otworzyć usta.

– Rhodes... – wydycha Willard, kładąc dłonie na jego ramionach. – Hamilton... zapomniałem, że mam jej zapłacić za opiekę. To ostatni raz, kiedy zapomniałem, okej?

Odwracam od nich wzrok. Czuję się kompletnie słaba, gdy stoję tak, poszarpana i sponiewierana. Dlaczego nigdy nie umiem się obronić? Dlaczego nigdy nie umiem tego zrobić?

– Okej – słyszę odpowiedź małego. – I tak wolę Goldie niż ją.

– Goldie? – dziwi się młody mężczyzna.

– Marigold. Zabrała mnie tutaj i zrobiliśmy razem naleśniki. Jest ekstra, wiesz?

Zamykam oczy, by powstrzymać łzy. Wydaje mi się, że Willard na mnie patrzy.

– Pożegnaj się z... nią. Wracamy do siebie.

Pogarda w jego tonie jest wręcz namacalna. Rhodes jednak podbiega do mnie wesoło. Otwieram oczy i kucam, ponieważ mały chce mnie przytulić. Odwzajemniam jego uścisk, starając się przy nim nie rozkleić

jeszcze bardziej. W końcu on myśli, że Willard jest bohaterem.

Niech dla niego nim pozostanie.

– Dzięki, Goldie – mówi malec.

– Nie ma za co, Rhodes. – Staram się brzmieć spokojnie, ale myślę, że i tak słyhać, jak mój głos się załamuje. Mimo tego dorzucam: – Gdyby coś, wiesz, gdzie mnie szukać.

– Wiem.

Willard wstaje. Słyszę szelest, który mnie w tym utwierdza.

– Chodźmy – poganiasz nas, dlatego sama też podnoszę się do pionu.

Obserwuję, jak chłopiec biegnie do korytarza i znika gdzieś w nim. Później odwracam się tyłem do salonu i ścieram łzę, która spłynęła mi po policzku oraz brodzie. Dobiega mnie odgłos ciężkich, stawianych powoli kroków. Willard ruszył się z miejsca, lecz zamiast pognać za dzieckiem, czuję jego obecność za swoimi plecami. Wlepiam złężnione spojrzenie w blat.

– Nie zbliżysz się do niego chociażby raz więcej – rzuca cicho mężczyzna.

Wbijam paznokcie w dłonie, nie zważając na ból fizyczny, który odczuwam.

– Miałam zostawić go na pastwę losu? – pytam równie niewyraźnym szeptem. – On tego rano nie zrobił, gdy ja miałam kłopoty.

Willard prychnął kpiąco.

– Tak, porównuj się do dziecka, bo zachowujesz się, jakbyś sama była pieprzonym dzieckiem.

Sznuruję usta w wąską kreskę.

– Jesteś takim niewdzięcznym gnojem – wypluwam, mimo wszystko ważąc słowa.

Chłopak stoi tuż za mną. Jego tors styka się z moimi plecami. Jego postawna sylwetka otacza mnie z każdej strony. Prostuję się jak struna i uciekam od niego do przodu, aż krawędź blatu wbija się nieprzyjemnie w moje podbrzusze. Coś ściska mnie w mostku, ponieważ usta Willarda znajdują się tuż przy moim uchu i ocierają się nieprzypadkowo o jego płatek.

– A ty? – zaczyna oziębło. – Podziękowałaś mi rano?

Strach we mnie rośnie i rośnie. Przypominam sobie, że ten chłopak jest nieobliczalny. Nieokrzesany. Nie umie nad sobą panować. A teraz nawija sobie bezczelnie na palec kosmyk włosów, który wyplątał się z mojego kucyka, i śmieje się chrapliwie.

Przechylam głowę w bok i patrzę wszędzie, byle nie na niego.

– Przynajmniej na ciebie nie naskoczyłam za to, że mi pomogłeś.

Willard milknie. Znowu poważnieje, a ciężar jego zimnego spojrzenia przesuwa się po części mojej twarzy, którą ma na widoku. Czuję to doskonale, czuję, jak mocniej mnie sobą otacza. Zaczynam zapadać się w sobie i kulić bardziej, jest wszędzie, a ja nie mogę się wydostać z pułapki, w którą mnie wpędził. Ciarki przechodzą mnie po karku, bo słyszę jego szept.

– Prawda jest taka, że w dupie miałem to, co się z tobą stanie – wyjaśnia bez zawahania, a jego pozbawiony emocji głos brzmi mrocznie i nieprzyjemnie. – Rhodes to mój jedyny priorytet. Ty mogłaś skończyć w jakiejś melinie na obrzyganym materacu, skoro gdzieś miałaś moje rady, żeby się stąd wynieść albo nie plątać się po okolicy, gdy jest ciemno.

Niewidzialny supeł zacieśnia się w moim gardle.

– Było jasno – zaprzeczam. – Nie jestem głupia, by wychodzić o zmroku.

Willard nic nie robi sobie z moich słów. Czuję go lepiej. Dominuje nade mną, dociska mnie do blatu całą sylwetką, a następnie łapie bez ceregieli za mój kark, zaciskając na nim władczo swoją dużą dłoń. Aż odrzucam głowę do tyłu, zamykając z przerażeniem oczy.

– Nie chcę cię więcej przy nim widzieć – żąda chłopak.

Kiedy uchylam powieki, zauważam że pokryta bliznami twarz znajduje się bardzo blisko mojej.

– Nie chcę nawet widzieć cię na pieprzone oczy.

Z chwilą, gdy to powtarza, puszcza mnie.

A potem wychodzi.

ROZDZIAŁ TRZECI

MARIGOLD

Ostatnie cztery dni upłynęły mi spokojnie. Już więcej nie spotkałam ani Willarda, ani małego Rhodesa. Odbywałam wieczorne zmiany w sklepie z winylami należącym do rodziców Alexa, w dodatku dostałam się na upragnione studia aktorskie. Mogłam więc nabrać oddechu i przede wszystkim spróbować jakkolwiek zaaklimatyzować się w ogromnym Nowym Jorku.

Teraz siedzę na fotelu przeznaczonym dla publiczności w sali teatralnej i słucham jednym uchem tego, o czym mówi kobieta prowadząca zajęcia. Zajmuję miejsce w ósmym rzędzie, dlatego siedzący obok mnie Alex co jakiś czas swobodnie coś do mnie szepcze.

– No nie – wzdycha z udręką, więc spoglądam na niego pytająco.

– Co jest?

– Nie słyszałaś? – Chłopak unosi brew.

Uśmiecham się przepraszająco.

– Zawiesiłam się. Co się stało?

Alex przesuwając końcem długopisu po dolnej wardze.

– Będziemy musieli odegrać dowolne sceny w parach – tłumaczy.

– To cię tak zmartwiło?

– Pary będą losowane.

– Och – wyduszam bez entuzjazmu.

Wbijam wzrok w profesorkę. Jest starej daty, ciągle potyka się o swoją sięgającą podłogi pstrokatą sukienkę, poprawia okulary tkwiące na nosie oraz krąży po scenie tam i z powrotem. Wszyscy skupiają się na tym, co mówi, a na deski podestu pada światło tylko jednego reflektora, przez co atmosfera w sali jest dość kameralna.

Opieram plecy o oparcie fotela i czuję, jak kielkuje we mnie obawa, bo słyszę, że to zadanie ma nas ze sobą zintegrować. Cholera, ledwo udało mi się przełamać i dopuścić do siebie chociaż w małym stopniu Alexa, a już mam współpracować z kimś zupełnie obcym?

Weź się w garść. Chociaż udawaj, że jesteś normalna.

Poprawiam się nerwowo na siedzeniu i uciekam spojrzeniem gdzieś w bok. A gdy to robię, mój wzrok jakby mimowolnie pada na postać siedzącą kilka rzędów wyżej, ubraną w czerń i patrzącą wprost na mnie. Moje źrenice na pewno nienaturalnie się rozszerzają, a oddech grzęźnie gdzieś w płucach. Ponieważ *on tu jest*. Ale jak to? Wcześniej go nie było.

Myślałam, że nie dostał się na te studia.

A jednak się myliłam.

Pozostaje niewzruszony. Jego oczy są obojętne i śledzą mimikę mojej twarzy. Willard siedzi w wygodnej pozycji, nie otacza się nikim. Pewien mrok zdaje się emanować od jego osoby, kiedy na siebie patrzemy. Aż w końcu przerywam nasz intensywny kontakt wzrokowy. Zwieszam głowę, skrywam ją pod warstwą czarnych włosów i zaczerpuję wdech. Mam wrażenie, że cała przesiąkam niepokojem, bo ten chłopak jest po prostu w pobliżu.

Z letargu wytrąca mnie troskliwy ton Alexa.

– Marigold?

Podrywam brodę i na niego spoglądam. Jednocześnie wycieram nieco spocone dłonie o szorstki materiał swoich spranych jeansów.

– Tak?

– Za kim się tak oglądasz? – docieka.

Rozchyłam nieznacznie usta. *Zauważył?*

– Za nikim – odpowiadam pospiesznie.

Ale on i tak zerka przez ramię na Willarda. Niesmak na twarzy Alexa podpowiada mi, że absolutnie

nie jest zadowolony z jego widoku.

– Ach, za nim – baka mój znajomy. – Byłem pewny, że też się dostanie.

Słyszając te słowa, marszczę ze zdziwieniem nos.

– Dlaczego byłeś tego pewny? Widziałeś go kiedyś, gdy odgrywał jakąś rolę?

– Nie. Ale takie typy ciągle grają przed policją. Ma wprawę.

Przez chwilę nie mogę otrząsnąć się po tym, co usłyszałam.

– Przed policją? – powtarzam za Findlayem. – O co ci chodzi?

Alex zbliża się do mnie i kontynuuje konspiracyjnym szeptem:

– Przyjrzyj się, nie widzisz, że to ćpun? – Zerka na Willarda kątem oka, a potem znowu zagląda mi w oczy. – Pewnie jeszcze diler. Założę się, że w kieszeniach nosi jakieś gówno.

Upewniam się, że kobieta prowadząca zajęcia nie zamilkła na moment z naszego powodu i również dyskretnie patrzę w stronę swojego sąsiada. Willard pozostaje kompletnie nieprzejęty i rany, wygląda przerażająco, kiedy patrzy pustym wzrokiem w dal. Ma podwinięte rękawy bluzy na wysokość łokci, przez co widzę na jego skórze równie dużo tatuaży, co blizn. Niektóre są podłużne i ciągną się przez całą długość ręki. Moje plecy pokrywa gęsia skórka.

Od razu wracam wzrokiem do Alexa.

– Tego nie wiesz – odpowiadam mu w końcu.

Chłopak uśmiecha się, jakby z politowaniem.

– Ale się domyślam. Od takich roi się na Bro...

Szatyn milknie. Najwyraźniej właśnie teraz coś sobie uświadomił.

– Na Bronksie – dokańczam za niego neutralnym tonem oraz wzruszam bez pretensji ramionami. –

Tak. Tam akurat roi się od podejrzanych ludzi.

Zielone oczy patrzą na mnie przepaszająco.

– Nie chciałem cię urazić – mówi.

Siadam prosto i sięgam po długopis, którym zaczynam kreślić przypadkowe rysunki na kartce otwartego zeszytu. Muszę jakoś odpędzić się od myśli o Willardzie. Nie chcę zaprzętać sobie nim głowy. W zasadzie nie chcę nawet mieć z nim do czynienia. Jest nieprzewidywalny, kompletnie nie umiem zgadnąć, jaki będzie jego następny ruch.

Nie panuje nad sobą. Ma problemy z agresją. Jest jak czysta wściekłość.

Przymykam na chwilę powieki. *Będę go unikać, a on będzie unikał mnie*, mówię w myślach pierwszy raz. *Będę go unikać, a on będzie unikał mnie*, mówię w myślach po raz drugi. *Będę go unikać, a on będzie...* wypadam z rytmu, bo Alex posyła mi kuksańca w bok.

Moje kłamstwo nie stanie się prawdą. Straciłam rachubę. Szlag by to.

– Nie uraziłeś – odpieram, otwierając oczy. – Jest w porządku.

– Po prostu wolałbym nie współpracować z kryminalistą nad tym zadaniem, które dzisiaj dostaniemy – stwierdza z niezadowolaniem chłopak.

Zerkam na niego z ukosa i wypalam bez namysłu:

– Nie wiesz, czy on jest kryminalistą.

– Bronisz jego dobrego imienia? – dziwi się Alex. – Znacie się?

Tak naprawdę sama nie jestem pewna dlaczego to powiedziałam.

– Nie – mamroczę. – Po prostu nie przepadam za przypisywaniem komuś łatki.

Szatyn kiwa głową, jakby z uznaniem.

– Uczciwe podejście. Powiniennem brać z ciebie przykład.

Wypuszczam cicho powietrze i odkładam długopis.

– Nie rozmawiajmy o nim.

Znowu spoglądam na Findlaya, a on zdaje się popierać mój pomysł.

– Tak, nie rozmawiajmy – potwierdza. – Jak pracuje ci się w sklepie rodziców?

– Dobrze – rzucam zgodnie z prawdą, wspominając w myślach ostatnie wieczory spędzone w sklepie z winylami. – To naprawdę niewymagająca robota. Jeszcze raz dziękuję, że mi ją załatwiłeś.

Alex unosi kącik ust. Chyba bez trudu wylapuje w moim głosie wdzięczność. Ale naprawdę jestem mu wdzięczna, bo dzięki zarobionym pieniądzom mogę utrzymać się w swojej zapyziałej kawalerce. Kto wie, może w przyszłym roku, jak trochę odłożę, będzie mnie stać nawet na wynajem mieszkania w innej

dzielnicy Nowego Jorku. Byłoby świetnie.

Wracam do rzeczywistości, ponieważ dobiega mnie odpowiedź chłopaka.

– Nie musisz, słyszałem to już tysiąc razy – mówi z rozbawieniem, a mi robi się trochę głupio. – Mogę cię później odprowadzić. Bo masz dzisiaj wieczorną zmianę?

Przytakuję niemalże natychmiast.

– Mam. Będzie mi bardzo miło.

Uśmiecham się słabo i zauważam, że siedzący wokół studenci podnoszą się ze swoich miejsc. Zajęcia dobiegły końca, profesorka błyskawicznie wychodzi z sali. Pewnie gdzieś się śpieszy. Zaczynam chować rzeczy do torebki, lecz sprawy nie ułatwia mi mrok, który panuje w wielgachnym pomieszczeniu. Gdy udaje mi się spakować, odwracam się jeszcze. Nie dostrzegam za sobą Willarda. Musiał już sobie pójść. Czuję ulgę.

Wtem Alex wstaje i zwraca na siebie moją uwagę.

– O wywiesili już listę, kto z kim robi to beznadziejne zadanie – informuje mnie i z delikatnym grymasem dorzuca: – Szkoda, że nie mogliśmy połączyć się w pary sami.

Również podnoszę się do pionu i zawieszam na ramieniu torebkę.

– Chcieli nas zintegrować – powtarzam słowa kobiety.

Alex rusza w stronę wyjścia z rzędu miejsc, a ja za nim.

– Chcę się integrować tylko z tobą – wyznaje.

Kręcę głową. *Czy on ze mną flirtuje?*

– Alex – mówię odrobinę karcąco.

Nie chcę, by myślał, że może na coś liczyć. Nie jestem odpowiednią osobą do stworzenia jakiegokolwiek głębszej relacji. W zasadzie nie wiem, czy potrafiłabym kiedykolwiek wejść z kimś w związek. Dobrze mi samej. Dobrze żyje mi się z przekonaniem, że nikt więcej nie wbije mi noża w plecy.

Zresztą mam wrażenie, że w którymś momencie mojej tułaczki po Charleston, po tym, co mi się przytrafiło, przestałam umieć kochać. Nikomu nie życzyłabym bycia z kimś, kto tego nie potrafi. Dlatego zamierzam wyznaczyć Alexowi granicę. Możemy się tylko przyjaźnić.

Chłopak odwraca głowę przez ramię i posyła mi sympatyczny uśmiech.

– No co? Taka prawda. Robię imprezę w weekend. Może wpadniesz?

Schodzimy po schodach w dół. Myślę wtedy nad wymówką. Nie mam ochoty na imprezowanie. A już zwłaszcza z ludźmi, którzy są pewnie tak bogaci jak Alex. W takim towarzystwie na pewno czułabym się wyobcowana i wykluczona. W końcu klepię biodę.

No i jestem z cholernego Bronxu. Patrzyliby na mnie krzywo.

– Nie, ja... – zaczynam, lecz chłopak nagle splata nasze dłonie.

Zimno przedziera się przez całe moje zeszywniałe ciało.

– Nie daj się prosić – nalega Findlay.

Wyswobadzam dłoń z jego uścisku i przyspieszam kroku, udając, że potrzebuję, jak najprędzej odczytać, z kim jestem w parze. Rozglądam się po sali i zauważam przy okazji, że zdążyła opustoszeć. Wszyscy ruszyli już na kolejne zajęcia albo też po prostu na miasto.

– Miałabym potem problem z powrotem do domu – odpowiadam chłopakowi. – Wiesz, gdzie mieszkam. Nie chcę włączyć się po tej okolicy po zmroku.

On wcale nie zamierza tak łatwo odpuścić.

– Odwiozę cię, kiedy tylko zechcesz.

– Jesteś gospodarzem – przypominam mu.

– No i co? – Mój rozmówca jest nieugięty.

– Nie wypada ci zniknąć z imprezy.

Podchodzę do podestu, na którym leży kartka z nazwiskami.

– Może innym razem? – dodaje.

Alex, słysząc, co mówię, rozkłada ręce, jakby nareszcie skapitulował.

– Mamy też to zadanie w parach i wciąż nie wiem, na kogo trafiłam.

Oboje w tej samej chwili spoglądamy na listę.

– Ja na jakąś Nellie – mówi szatyn. – A ty?

Czuję nieprzyjemny ucisk w mostku.

– Na jakiegoś... – Robię krótką pauzę. – Willarda Covingtona.

Nie wierzę. Mam wrażenie, że ktoś sobie ze mnie zakpił. Kiedy chcę trzymać się od niego z daleka, a on chce trzymać się z daleka ode mnie, zostajemy dobrani w parę i mamy wspólnie przygotować się do odegrania dowolnej sceny. Co jak co, ale moja integracja z tym chłopakiem nie przyniesie niczego dobrego. Przecież, lekko mówiąc, nie pałamy do siebie sympatią. Szczególnie on nie pała sympatią do mnie. Jakby tego było mało, lubi dominować nade mną w jakiś chory, pokręcony sposób. Mogę udawać, że się nie boję, ale prawda jest inna.

Przeraża mnie nieobliczalność i wściekłość Willarda Covingtona.

Nawet nie blizny na jego twarzy i ciele. Nawet nie mrok, który czai się w jego spojrzeniu, a jego nieprzewidywalność i gniew, które mieszając się ze sobą, sprawiają, że rodzi się we mnie panika. Pierwszego dnia nie pokazał mi się w pełnej krasie. Ale każdego kolejnego udowadniał, jaki z niego powalony świr i sukinsyn. Zaczynałam bać się bardziej i bardziej.

Bo nie był wcale wygadany tchórzem, za którego brałam go wtedy na schodach. Był małym mównym skurwielem, który stopniowo ściągał maskę.

– Spotkamy się przed wejściem? – proponuje Alex, przeczesując wzrokiem salę. – Muszę znaleźć tę dziewczynę i ustalić z nią, kiedy możemy się spotkać.

– Pewnie – wyduszam, na wszelki wypadek jeszcze raz nachylając się nad listą i przesuując po niej palcem, by upewnić się, że nie doszło do żadnej pomyłki, która brzmi dla mnie naprawdę okropnie. – Ja też znajdę swoją parę.

Alex niespodziewanie całuje mnie w policzek.

– Do zobaczenia zaraz – żegna się ze mną.

Postanawiam nie komentować tego gestu.

– Do zobaczenia zaraz, Alex – odpowiadam po prostu i zmartwiona patrzę na dwa nazwiska zapisane obok siebie: Harding oraz Covington.

Jedno jest pewne. Nie wyjdę z tego bez szwanku.

Zdaję sobie sprawę, że ten drań będzie miał problem. Na pewno zrzuci na mnie winę, że zostaliśmy dobrani do tego zadania razem, jakbym mogła na to w jakikolwiek sposób wpłynąć. Sama nie skaczę teraz pod sufit, bo muszę z nim pracować, ale nie zamierzam pozwolić sobie na zawalanie ocen na studiach. Przyjazd do Nowego Jorku i rozpoczęcie ich miał być dla mnie nowym początkiem. Tak też będzie. Będę dawać z siebie wszystko, nawet jeśli muszę zacisnąć zęby i odhaczyć współpracę z przerażającym Willardem.

Zamieram, bo nagle postawna postura przylega mocno do moich pleców.

– Bu – słyszę kpiący ton przy uchu. – Tu jestem, nieznośna Marigold Harding.

Każdy nerw w moim ciele przesiąka napięciem. Zamykam oczy, odnajdując w czerni wspomnienie twarzy Willarda. Znowu to robi. Znowu napiera na mnie od tyłu, uzmysławiając mi, że to on dyktuje warunki, i jeśli zechce, może zrobić mi coś okropnego, a ja się przed tym nie uchronię. Nie jestem w stanie się od niego opędzić. Jest silnym, zawziętym gnojem.

Nienawidzę, gdy to robi. Nienawidzę, gdy mnie osacza.

Otwieram oczy i wiercę się pod jego naporem.

– Zaczynj – wydycham cicho.

Czuję go jeszcze bardziej. Jak nakrywa mnie sobą, swoim ciężarem ciała, jak z łatwością odbiera mi zdolność racjonalnego myślenia. Uderzenie zimna i gorąca nachodzi mnie w tym samym momencie. Willard wyciąga poharatane palce w kierunku mojej odwróconej w bok twarzy i odgarnia mi z niej włosy.

– Co? – wypowiada to jedno słowo ze spokojem.

Wykrzywiam usta z bezsilności, ponownie się szarpiąc.

– Zaczynj obwiniać mnie o to, że utknęliśmy w tym szambie razem – mówię nieco nieskładnie. – W końcu tak bardzo mnie nienawidzisz i tak bardzo nie chcesz mnie widzieć, że na pewno ci się to nie podoba i na pewno potrzebujesz się przez to na kimś wyżyć.

Willard chyba się uśmiecha. Nieco mrocznie. Nieco niebezpiecznie. Jego usta muskają moją żuchwę, czuję ich chłód na skórze i nerwowy skurcz w podbrzuszu. Dreszcz spływa mi po plecach, które nadal przywierają do męskiego torsu.

– Żebyś wiedziała, że mi się to nie podoba – prychna wymownie, a moja klatka piersiowa podskakuje

ze strachu coraz szybciej i szybciej. – Brzydę się tobą.

Odsuwam się z sapnięciem, kiedy kąsa łapczywie zębami moją szczękę. Boli. Boli tak bardzo, że pewnie zostawił na niej ślad zębów.

– Dlatego nie zamierzam nic z tobą robić – parska śmiechem, opierając swobodnie ręce na krawędziach podestu. Widzę jego obrzydliwe dłonie po swoich bokach i po raz kolejny się szarpię, a on raz jeszcze naciera na mnie coraz śmieiej, wprawiając moje serce w galop.

Czym ty jesteś?

Czym ty, do cholery, jesteś Willard?

– Chcę jakkolwiek zaliczyć to zadanie. – Gram twardą i zadzieram hardo brodę. – Musimy się spotkać i dogadać, nawet jeśli sama okropnie tego nie chcę, bo cię nie trawię.

Moje nogi stają się miękkie, bo chłopak otula miarowym oddechem moją skroń.

– Nie musimy – zaprzecza. – Będziemy improwizować. Dobrzy aktorzy nie potrzebują przygotowania, żeby odegrać swoje role perfekcyjnie, nie sądzisz?

– Jeśli przez ciebie to obleję, przyrzekam... – zaczynam, lecz nie kończę.

Przerywa mi Willard oraz jego pospieszne pytanie:

– Co mi zrobisz, Gold²?

W tej samej chwili przyszpila mnie całym sobą do krawędzi podestu tak mocno, że spomiędzy ust wrywa mi się sapnięcie. Zachłystuję się powietrzem, bo czuję na dolnej części pleców sprzączkę od pasa jego spodni. Willard chwytą moje biodro, a ja mam być może naiwne wrażenie, że tylko się ze mną droczy po tym, jak mu zagroziłam.

Krawędź podestu nieprzyjemnie wżyna mi się w brzuch. Tkwię w zasadzce chłopaka, pośród mętnego światła reflektora i ciemności spowijających pustą salę teatralną, a on zamyka w ustach płatek mojego ucha. Wydaje mi się, że wtedy również się uśmiecha, jakby to wszystko go bawiło.

Ty szyderczy dupku.

– Nazwałaś mnie szyderczym dupkiem? – pyta z zaciekawieniem.

Błądę rozbieganym spojrzeniem po kartce. To mi się wymknęło?

Pierwsze krople potu kreślą ślady na moim karku. Otulona ciepłem ciała Willarda zapadam się w sobie z każdą chwilą coraz bardziej. Staram się dusić panikę, trzymać w ryzach wspomnienia i kontrolować oddech, który zdążył w którymś momencie przyspieszyć.

Willard przebiega dłonią po moim boku i spuszcza na nią wzrok. Nie wiem, o czym myśli, ale jestem pewna, że nie o tym, jak idealnie dopasowana jest do mojego biodra. Sama nie chcę o tym myśleć, kiedy zaciska na nim palce i wzmacnia od razu żelazny chwyt.

Mam ochotę się rozpląkać, ale nie robię niczego. On właśnie to chce osiągnąć. Starając się panować nad drżeniem głosu, rzucam zaciekłym tonem:

– Po prostu nie mogę mieć złych ocen, rozumiesz?

– Pokłóćmy się na tej scenie. Tyle wystarczy, żebyś nie dostała złej oceny.

– Bo naprawdę cię nienawidzę i nie będę musiała tego grać – zgaduję.

Chłopak schyla się i patrzy na mnie z boku.

– A ja naprawdę nie trawię ciebie. To będzie aż zbyt prawdziwe.

– Może jednak to ma sens? – udaję wyluzowaną.

– Wiesz, co go nie ma? – pyta poważnie.

Strach wzbiera gdzieś we mnie jak na pieprzone zawołanie, ponieważ wyczuwam, że spojrzenie Willarda znacząco tężeje. Brunet zdaje się bez żadnego trudu wypalać mi nim dziurę w twarzy, aż czuję, jak odpływają mi z niej wszystkie kolory, mimo że próbuję stwarzać pozory.

– Twoja obecność w mieszkaniu nade mną – dodaje po krótkiej chwili złowróbnym oraz wypranym z emocji tonem, od którego huczy mi w głowie. – Wynieś się stamtąd. Nie chcę mieć nad sobą głupiej, wiecznie pakującej się w kłopoty lali. Wkurwiasz mnie niemiłosiernie.

Wynieś się stamtąd, słyszę echo jego słów, a potem jego groźbę:

– Sam twój widok nakręca mnie, żeby ci coś zrobić.

Już nie próbuję z nim walczyć. Wiem, że to nadaremne.

– Gdybym miała kasę, już dawno zwiałaabym żeby nie oglądać twojej paskudnej mordy – odpieram szeptem, odczuwając wstręt i ledwo trzymając się na wiotczących nogach.

Rozpacz zalewa mi krtań. Oddałabym wszystko, żeby Willard się odsunął.

Nie wpadnij w histerię. Nie wpadnij w histerię. Nie wpadnij w histerię.

Chłopak prostuje się. Jest okropnie wysoki. Ma potężną sylwetkę. Na pewno ma też prawie dwa metry wzrostu, bo obraca mnie do siebie przodem gwałtownym szarpnięciem, a na linii mojego spojrzenia znajduje się jego pierś. Z oporem unoszę spojrzenie na jego twarz. A on przejeżdża końcem języka po wnętrzu policzka i uśmiecha się jak ostatni świr.

– Jeśli coś jest paskudne, to tylko moje myśli na twój temat, Marigold.

Cała drętwieję, bo ciężar jego uważnego spojrzenia przesuwa się od moich ust do oczu. Nie cierpię, kiedy akurat on skraca dystans, jaki nas dzieli, gdy jest tak blisko, gdy nie mam od niego żadnej ucieczki. Zaczynam nie cierpieć tego tak bardzo, że już bardziej nie mogłabym.

Wycofuję się maksymalnie do tyłu i wbijam łądźwie w krawędź podestu. W międzyczasie wyszeptuję w niewielką przestrzeń pomiędzy nas:

– Jesteś pokręcony i obrzydliwy...

Willard przekrzywia głowę, nie spuszczać ze mnie pustego wzroku.

– A ty głupia i niby twarda jak złoto. – Wiem, że nawiązuje do przezwiska, jakie nadał mi mały Rhodes kilka dni temu w moim mieszkaniu. – Podobno nie da się go skruszyć... Ale ja znajdę sposób, by pokazać ci, że jest inaczej.

Robi krótki oraz pewny krok w moją stronę. Zamyka w wielkiej łapie mój policzek i styka nasze czoła. Zagląda mi głęboko w oczy, upewniając się, że chłone każde słowo, które wypowiada tonem, jakim równie dobrze mógłby złożyć komuś obietnicę.

– Rozlecisz się – zapowiada twardo, na co zaciskam powieki.

Jego oczy gonią za moimi tak zaciekle, że muszę je zamknąć.

Ale on wzmacnia uścisk na moim policzku i daje mi sygnał, że mam je otworzyć. Robię to z oporem. Natrafiam na spojrzenie brązowych oczu, a przerażenie, które się we mnie odzywa, jest uporczywe i zaczyna pozbawiać mnie resztek sił. On nie ustąpi. Naprawdę mnie nie trawi.

Potwierdzenie tego odnajduję w jego kolejnym prychnięciu.

– Zostanie po tobie marne nic.

Napięcie krąży w powietrzu. Jesteśmy bardzo blisko siebie. Sięgam po jego rękę. Oplatam drżącymi palcami przegub jego dłoni i staram się oddalić jego palce od swojej twarzy. Jakimś cudem udaje mi się to zrobić, dłoń Willarda zsuwa się z mojego policzka. Czuję, jak powiew chłodu uderza w to jedno miejsce dotychczas otoczone ciepłem jego skóry.

– Masz rację – przyznaję ledwie słyszalnie.

Cień zaciekawienia maluje się w jego tęczęwkach.

– Wolę improwizować i ryzykować słabą oceną, niż spędzać z tobą choćby głupią chwilę – dopowiadam, znowu odnajdując w sobie tę dziwną odwagę. – A teraz zjeżdż mi z drogi.

Po tych słowach mijam go oraz ruszam w pośpiechu w stronę wyjścia.

Kiedy do niego dojdę, jestem pewna, że zapłaczę z ulgi. Już teraz ją czuję. Czuję się tak dobrze, gdy odzyskuję swobodę ruchu, gdy nic mnie nie ogranicza, gdy zostawiam Willarda w tyle, a on nie łapie mnie w swoje sidła. Opatulam rękami ramiona i przełykam ślinę.

W moim krwiobiegu jednak nadal krąży niepokój. On chce się mnie pozbyć. Willard Covington chce się mnie pozbyć i zamierza dopiąć swego.

Wchodzę na pierwszy stopień schodów. Właśnie wtedy przywołuje mnie jego głos:

– Jesteś jak cholerny liść na wietrze, Marigold.

Zastygam w bezruchu, mocniej ściskając dłońmi ramiona. Mogę tego nie widzieć, zwrócona twarzą do znajdującego się u szczytu sali teatralnej wyjścia, ale doskonale wiem, że Willard wlepia we mnie ten swój baczny wzrok, który zabiera ode mnie przedwczesną ulgę.

Czuję, że z nerwów serce podeszło mi do przełyku.

Czym tak okropnie zalażłam ci za skórę?

– Wiejesz raz w jedną, raz w drugą stronę – kontynuuje, a ja mrugam pospiesznie, chcąc odpędzić niechciane łzy. – Jesteś czasami wyszczekana, a czasami zagubiona jak niewinna owieczka. Teraz pytanie: którą z tych ról odgrywasz, a jaka jesteś naprawdę?

Stoję w miejscu jak słup soli i pociągam bezgłośnie nosem.

Może sama nie wiem, jaka jestem naprawdę? Raz chcę ze sobą skończyć. Innym razem – żyć pełnią życia i coś osiągnąć. Gdy pragnę tego pierwszego, jest mi wszystko jedno i gdzieś mam to, co może zrobić mi Willard. Balansuję na granicy. Gdy chcę tego drugiego, boję się go, bo zamierzam przetrwać. Chciałabym zejść z tej granicy. Może tak naprawdę sama nie wiem, czy chcę trwać, czy przestać trwać?

Nagle po sali roznosi się trzask drzwi. Natychmiast unoszę zaszkłone spojrzenie do góry i natrafiam nim na stojącego u szczytu schodów Alexa. Chłopak przeczesuje wzrokiem pomieszczenie. Dopiero po krótkiej chwili odnajduje mnie w czerni, skuloną i przerażoną.

– Marigold? – Posyła mi uśmiech. – Możemy już iść?

Odwracam się. Przy scenie... przy scenie go nie ma.

Willard zdążył wtopić się w mrok.

– Tak – przytakuję słabo.

Patrzę na Alexa i dodaję:

– Możemy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

MARIGOLD

Wieczór jest dzisiaj ciepły. Kiedy porządkuję mieszczące się w pudełkach płyty winylowe i wyglądam za witrynę sklepu, widzę tłumy ludzi przechadzających się chodnikami. Co jakiś czas ktoś zerka w stronę wystawy oraz wchodzi do środka, dlatego zamiast zniknąć na zapleczu, krzątam się po niedużej przestrzeni i co rusz znajduję sobie zajęcie. Właśnie jakaś nastolatka wkracza do środka, więc podchodzę do niej z uśmiechem i pytaniem, czy mogę pomóc.

Ta praca naprawdę spadła mi z nieba. Mimo że nie płacę dużo za wynajem mieszkania, to i tak potrzebuję stałej pensji. Dzięki Alexowi i jego rodzicom nie muszę martwić się, czy dam radę opłacić wszystko w terminie. Cotygodniowe wypłaty naprawdę sporo mi ułatwiają.

– Mam nadzieję, że ci się spodoba – mówię do nieznajomej, wręczając jej płytę, którą poleciłam po zorientowaniu się, czego konkretnie szuka. – Sama lubię ten zespół.

Klientka przytula przedmiot do piersi i posyła mi uśmiech. Kładąc banknot na blacie, odpiera jeszcze:

– Dziękuję i miłej pracy.

Odpowiadam jej skinieniem, a potem spoglądam na zegar wiszący na ścianie. Do końca zmiany została mi godzina. Na szczęście mija ona szybko. Wtedy sprzątam, rozliczam kasę, zbieram się oraz zamykam sklep, ruszając długą ulicą w stronę stacji pobliskiego metra.

Jest już ciemno, więc obawiam się powrotu do domu, nawet jeśli mam w torebce kupiony parę dni temu gaz pieprzowy. Przez całą podróż metrem skubię zębami wargę, a wysiadając na właściwym przystanku, żałuję, że nie mogę przeteleportować się do swojego obskurnego mieszkania. *Zaciśniesz zęby i dasz radę. To tylko kilkanaście minut drogi*, powtarzam sobie. Idę przed siebie szybkim krokiem z mocno bijącym sercem.

To tylko kilkanaście minut drogi.

Nie wiem, czy już kompletnie mi odbija, czy ktoś naprawdę wlepia we mnie spojrzenie, ale mam silne wrażenie, że gdy maszeruję do przodu, jestem uważnie obserwowana. Tempo moich kroków staje się szybsze. Odwracam ukradkiem głowę przez ramię, ale nie natrafiam spojrzeniem na nikogo, choćby na głupi cień cudzej postury. Przechodzi mnie dreszcz.

Rozglądam się na wszystkie strony i rzucam w pustą przestrzeń:

– Ktoś tu jest?

Nie odpowiada mi choćby niewyraźny szept.

– Halo? – ponawiam próbę, lecz wciąż naprzeciw wychodzi mi cisza. – Cholera.

Nadal wydaje mi się, że ktoś mnie śledzi, ale na szczęście docieram do swojego bloku bez cudzych zaczepek. Czym prędzej przemykam na siódme piętro, otwieram mieszkanie i wchodzę do swojej klitki, w której jak zwykle panują gęste ciemności. Zamykam drzwi na klucz, a następnie kieruję się do centralnej części kawalerki, gdzie zrzucając z siebie ciuchy i przebieram się w znoszony komplet dresów. Nie myślę nawet o zjedzeniu kolacji.

Jestem tak zmęczona, że natychmiast padam na niewygodne łóżko i od razu zasypiam, pośród nieprzyjemnego zapachu unoszącego się w całym mieszkaniu oraz mroku.

Poruszam delikatnie biodrami w rytm muzyki wybrzmiewającej z odtwarzacza płyt winylowych, a promienie zachodzącego słońca wdzierają się do sklepu przez szklane witryny i oblewają światłem drewnianą podłogę. Do końca zmiany zostało mi kilka minut. Po ich upływie nareszcie będę mogła pójść do domu i odpocząć. O niczym innym nie marzę.

Odkładam ostatnie płyty na swoje miejsce i ruszam za ladę, płasząc i szczerząc się głupio, bez powodu. Zaczynam sprzątać blat i myśleć o tym, co kupić w osiedlowym sklepie na kolację. Może dzisiaj w końcu coś ugotuję? Zrelaksowana podśpiewuję pod nosem piosenkę.

Tak, dzisiaj w końcu coś ugotuję.

Nurkuję pod ladę i chowam pod nią niepotrzebne pokwitowania. Wtem słyszę dobrze znany mi odgłos

otwieranych drzwi. *Oho, ktoś dosłownie rzutem na taśmę kupi sobie nowy winyl, bo za niecałą minutę powinnam zamknąć sklep i zająć się sprzątaniem. Zaczęsuje kosmyki włosów, które wydostały się z mojej kitki, za uszy i przyozdabiam twarz wesołym uśmiechem. Dopiero wtedy prostuję się oraz krzyżuję spojrzenie z klientem.*

Na pewno staję się blada jak ściana w przeciągu zaledwie chwili.

– Dobry wieczór. Poszukuję prezentu.

Nie odpowiadam. Słowa grzęzną mi w gardle. Szok paraliżuje całe ciało. Nieprzyjemny ucisk w okolicach serca wzbiera na sile. Zaczynam się wycofywać. Wtedy zderzam się z regalem, na którym ułożonych jest jeszcze więcej płyt. Nie, to niemożliwe. Niemożliwe... nie. Nie mógł znaleźć mnie w innym stanie. W nowojorskim gąszczu. Nie mógł wrócić do mojego życia.

Walczę ze łzami. Z tak wieloma łzami.

Mężczyzna opiera wyprostowane ręce na krawędziach lady. Nie zmienił się nic a nic. Wciąż jest potwornie wysoki, postawny i bije od niego siła. Teraz stoi przede mną, ubrany w ulubioną czarną koszulę, i mierzy mnie nieprzyjemnym spojrzeniem, pod którym się uginam.

Robię to zwłaszcza, kiedy spomiędzy jego ust wydostaje się spokojny szept:

– Poszukuję prezentu dla pewnej małej, przebiegłej smarkuli.

Zaczyna dławić mnie pierwszy szloch.

– Może mi pani doradzić? – naciska.

Kręcę głową. Przełykam łzy. Nie mogę złapać tchu. A jego to nie rusza. Stoi i patrzy na mnie ciągle ciemniejącymi w niebezpieczny sposób oczami. Z każdą kolejną sekundą widzę coraz mniej, bo łzy przysłaniają mi pole widzenia. Ale słyszę. Słyszę, jak podeszwy jego ciężkich butów ścierają się z podłogą. Zbliża się do mnie. Po chwili staje tuż obok i bierze wdech nosem.

– Szukam płyty z muzyką. Ale z taką... która zagłuszy jej żalosne prośby, żebym nie złościł się na nią kurewsko bardzo, ponieważ zostawiła po sobie bałagan i po prostu uciekla.

Zamykam oczy i wybucham płaczem, w czasie gdy on powtarza:

– Pytam: czy może mi pani doradzić?

Jego wielka dłoń zaciska się w pięść na moich włosach i ciągnie moją głowę w tył. Przerazona otwieram załzawione oczy, krztusząc się łzami. Patrzę w sufit. On ogląda uważnie moją twarz. Jest przy tym niewzruszony, jego chwyt za to silny i stanowczy.

– Kurwa, Mari. Jak mi się odplacasz za to, że dałem ci tak wiele, co?

Chcę przeprosić i błagać, żeby mi odpuścił, ale nie mogę. Nie mogę wykrztusić z siebie nic oprócz jęku bólu.

– Zwiłaś – wydycha. – Ciągle wiejesz. Tak mi się odwdzięczasz?

Rozklejam się bardziej. Trzęsę się i histerycznie szlocham.

– Jestem z ciebie bardzo niezadowolony – dodaje surowo. – A teraz... teraz się przekonajmy, czy akurat ta płyta sprawdzi się w tym, o czym mówiłem.

Spanikowana znowu kręcę głową. Patrzę na niego, patrzę mu w oczy z protestem, którego on nie bierze pod uwagę ani przez głupi moment. Jedyne obserwuje mnie niczym zdobycz, którą nareszcie doścignął. Po miesiącach spędzonych na pościgu.

Wgryza się w moją szczękę, a ja się rozpadam.

– Myślę, że będziemy puszczać ją w jebanej pętli. – Zaciąga się zapachem moich włosów tak, jakby się nim sycił, a potem chwytą mnie mocno za kark i popycha w ciemności zaplecza.

Mój rozpaczliwy wrzask przegania z mieszkania ciszę. Wyrwana z koszmaru natychmiast podnoszę się do siadu. Mój oddech jest spazmatyczny i niewiarygodnie szybki. Próbuję się nim nie zakrztusić, zaciskam powieki, przyciągam kolana do piersi. To wraca jak bumerang. Jak cholerny bumerang. Zwieszam głowę, dusząc głęboko w sobie płacz.

Przez jakiś czas próbuję się pozbierać.

Lecz nagle... słyszę pukanie.

Nie mam siły, żeby podnieść się i ruszyć do drzwi, ale ktoś wciąż przy nich stoi i puka, ciągle puka i puka. Przecieram palcami twarz. Cucę się, a następnie z trudem wstaję na bardzo wiotkich nogach i ślamazarnym krokiem przedzieram się przez czerń, która roztacza się po całym mieszkaniu. Wizjer w drzwiach jest stary, ale pozwala mi dojrzeć za nimi Willarda.

W pierwszej chwili chcę odejść i nie konfrontować się z nim, kiedy czuję się źle. W drugiej zaś on ponownie uderza pięścią w drewno. Raz za razem. Z wahaniem przekręcam więc zamek i uchylam drzwi, wyglądając niepewnie przez ich szparę.

– Czego chcesz? – pytam, siląc się na neutralny ton.

Chłopak patrzy na mnie z obojętnością. W tym momencie, stojąc tak w progu mojego upiornego mieszkania, mając na twarzy kilka podłużnych blizn, a na sobie czarną skórzaną kurtkę, wydaje się jeszcze bardziej przerażający niż zawsze. Aż odzywa się we mnie dziwny prąd. Odzywa się też we mnie zmieszanie, ponieważ słyszę jego wymowne pytanie:

– Dlaczego się drzesz?

Wzruszam ramionami.

– Mam pająka w mieszkaniu.

– Jaja sobie ze mnie robisz? – Willard marszczy brwi.

Nie jest zatroskany. Wydaje się raczej mocno zirytowany.

– Nie, boję się pajaków – kłamię. – Możesz wejść i go zabić.

– Pieprzona Harding – wypluwa nieprzyjemnie, zanim cofa się i przewraca oczami. – Po prostu bądź cicho, bo nie mam przyjemności cię słuchać.

Chcę skończyć jak najszybciej tę rozmowę. Nadal nie doszłam do siebie, dlatego też nie wchodzę z nim w dyskusję.

– W porządku. Będę cicho.

Po wypowiedzeniu tych kilku słów zamykam drzwi, przekręcam w nich zamek i jeszcze raz przecieram drżącymi dłońmi twarz, nabierając wdech do płuc. Odgarniam włosy z policzków. Zaglądam w ciemności z cichym, pełnym udręki jękiem.

– No dalej... koniec.

Wykrzywiam usta.

– Koniec... – powtarzam prawie że bezgłośnie szepem, stojąc przez bardzo długi czas w jednym miejscu i usilnie próbując zebrać się do kupy, lecz z marnym skutkiem.

To nic nie daje. To absolutnie nic nie daje.

Wypieranie tego z głowy nic mi nie daje.

Wciąż mam w pamięci obrazy, których tak strasznie nie chciałabym w niej mieć, więc w kilkunastu krokach podchodzę do okna, otwieram je i przeciskam się przez nie, by wyjść na przejście ewakuacyjne znajdujące się przy siódmym piętrze bloku. Mam nadzieję, że widok na niesławną dzielnicę miasta zajmie moją popapraną głowę chociaż na chwilę.

Nie cierpię, kiedy nawiedzają mnie koszmary.

Siadam na najwyższym stopniu schodów, nie przywiązując wagi do tego, że po ciepłe wieczora nie ma już śladu, a zastąpił je chłód nocy. Nie wiem nawet, która jest godzina. Domyślam się, że bardzo późna. Nikt nie krząta się po wielgachnym placu pośród ogromnego blokowiska. Zaciągam się powietrzem, schylam głowę i opieram policzek na kolanach, które ponownie podkurczyłam do klatki piersiowej.

Naprawdę nie spodziewam się usłyszeć, że zwróci się do mnie znajomy głos. Głos Willarda Covingtona wręcz przesiąknięty kpina:

– Dlaczego twój nadziany kochaś nie zjawi się tu, gdy masz koszmar? Nie jest jednak aż taki idealny, żeby wsiąść w samochód i pomóc ci zasnąć?

Przymykam powieki. Szybko orientuję się, że musiał tutaj być, jeszcze zanim przyszedł tutaj ja. Otwieram oczy, ale na niego nie patrzę. Jedyne wgapiam się w upiorne blokowisko.

– Alex to nie jest mój kochaś – odburkuję, domyślając się, że to jego miał na myśli Willard, skoro widział nas dzisiaj rano razem w sali teatralnej. – I nie mam koszmarów.

– Czyżby?

– Możesz milczeć?

– Nie – rzuca, jakby było to oczywiste. – Skoro nie mogę mieć od ciebie spokoju, bo ciągle mi się napataczasz, zburzę twój. Będę burzył go, aż stąd uciekniesz, a ja nie będę musiał ani na ciebie patrzeć, ani się z tobą użerać.

Aż się rozlece, przypominam sobie, co powiedział mi rano.

Zerkam niewyraźnie na chłopaka. On patrzy na mnie bez emocji.

– Będę mówił i mówił, dopóki w końcu nie będziesz mogła mnie słuchać. Dopóki nie pęknie, dopóki nie będziesz ryczeć z pieprzonej bezsilności. Dopóki nie wyniesiesz się stąd dokądkolwiek za cokolwiek. Nie mogę znieść twojego widoku. Nie wiesz, jak mi on przeszkadza. Jak wkurwia mnie to, że wężysz, wypytując o coś Rhodesa, że ciągle nie myślisz, że jesteś taka niemilosierdzie irytująca, że w ogóle muszę patrzeć na taką ofiarę losu jak ty.

Kręcę głową i pryham.

– Pieprzony drań.

Musi mieć jeszcze jakiś powód, by aż tak mnie nie trawić. Ale jaki? *Dlaczego tak bardzo przeszkadza mi moja obecność na Bronksie?* Domyślam się, że jest coś jeszcze oprócz tego, co powiedział mi Rhodes: że jestem problemem. Domyślam się, że jest coś jeszcze oprócz tego, co powiedział mi sam Willard: że jestem głupia, pakuję się w kłopoty i cholernie go wkurwiam.

– Jak on ma? Alexander? Tacy gnoje przy forsie jak on rzeczywiście nie zapuszczają się w takie rejony. To tak naprawdę tchórze.

Nie odpowiadam mu na to choćby jednym słowem. Wlepiam w niego spojrzenie i czuję, jak rodzi się we mnie większe i większe zmęczenie. Jestem skrajnie wyczerpana po porannych zajęciach, zmianie odbytej w pracy, kolejnym koszmarze i choć chwili rozmowy... z nim.

Ale on nie zamierza tak łatwo mi odpuścić. Naprawdę jest zawziętym sukinsynem.

– Zresztą ty nie jesteś warta, żeby się tu zapuszczać. Nikt nie sprawiałby sobie zachodu, żeby tu przyjeżdżać dla kogoś takiego. – Willard parska gromkim, szyderczym śmiechem.

Prostuję się. Czuję, jakby wbił mi ostrą szpilkę prosto w klatkę piersiową. Z trudem udaję, że to, co mówi, kompletnie mnie nie rusza.

– Pewnie chce cię tylko przelecieć – ciągnie perfidnie. – Bo co więcej możesz mu zaoferować? Chociaż dziwię się, że chce nawet tego. Wyglądasz jak strach na wróble.

Jego oczy są roziskrzzone nienawiścią.

– Wyglądasz jak ostatnia łajza.

Mimowolnie zaciskam palce na materiale spodni dresowych i szarpię za niego. Walczę z chęcią, żeby pozwolić pierwszym łzom wydostać się spod moich powiek. Przez ostatnie dni unikałam go, jak mogłam, i nie wchodziłam mu w drogę. Przecież zrozumiałam, gdy w moim mieszkaniu powiedział do mnie: „Nie chcę cię więcej widzieć”. To że zetknęliśmy się ze sobą znowu na studiach nie było czymś, co chciałam osiągnąć. Ale on najwyraźniej ma to gdzieś.

Obwinia mnie za coś, na co nie mam wpływu. I czuję, że jest coś jeszcze. Coś jeszcze, za co tak mną gardzi. Ale nie wiem, co to jest ani dlaczego zależy mu, żebym się stąd wyniosła.

Odwracam wzrok i pociągam nosem.

A on nie zamierza przestać.

– Jestem pewny, że pewnego dnia będę skrobał z betonu pod nami twoją paskudną krew – wypluwa obrzydzone. – W końcu stąd zlecisz. Bo jesteś okropnie słaba i tylko grasz twardą.

Jesteś dziwadłem. Zepsutym, sponiewieranym dziwadłem.

On ma rację. Jesteś słaba. Jesteś obrzydliwa.

– Złoto – drwi. – Rhodes nie miał racji. Żadne z ciebie złoto. Nie masz wartości. Jesteś zwykłym zerem, Marigold Harding.

Moje rozmazane spojrzenie łąduje po chwili na nim. Kręcę powoli głową. Nie dam rady. Jestem wykończona. Nie dam rady dłużej go słuchać. Nie obchodzi mnie to, czy napompuje sobie ego wiedzą, że tej nocy mnie dobił. Po prostu wstaję i czym prędzej doskakuję do okna.

– Niech nawiedzi cię jeszcze jeden koszmar – dodaje złośliwie.

Zagryzam wargę bardzo, bardzo mocno.

– Niech cię wykończy.

Wślizguję się do mieszkania i dopiero tam pozwalam sobie na wypuszczenie ciężkiego oddechu, który wstrzymałam w płucach. Opadam na brudną kanapę. Zwijam się w kłębek. Wiem, że tej nocy nie zasnę, choćbym była na skraju wytrzymałości przez silne zmęczenie.

Przez sporą jej część rzeczywiście nie zasypiam.

Wciąż pamiętam swój niedawny koszmar i swoją rozmowę z Willardem. Natomiast przez kolejną jej część nie zasypiam z innego powodu. Słyszę donośne nawoływanie. Głośnie, mrozące krew w żyłach. Jacys

mężczyźni krzyczą, próbując dobić się do drzwi któregoś mojego sąsiada. Nie wiem, do kogo, ale bardzo nie chciałabym być w skórze tej osoby.

Naciągam na siebie koc i leżąc na boku, patrzę w mrok.

Krzyki nie ustają. Chyba stają się jeszcze bardziej natarczywe i wulgarne. Walenie w drzwi głośniejsze. Nie mrugam, gapię się w czerń i czekam, aż w starym, rozlatującym się bloku ponownie nastanie cisza. Domyślam się, że nikogo nie dziwi to, co się dzieje, albo też nikt nie chce mieszać się w nie swoje sprawy, bo hałas nieprzerwanie trwa i trwa.

Nikt nie ma odwagi wyjść i uciszyć pewnie niebezpiecznych facetów.

Przewracam się na drugi bok. Próbuję sięgnąć po leżące na podłodze słuchawki z zamiarem włożenia ich do uszu. Właśnie wtedy przez krzyki i uderzenia w drzwi przebija się jeszcze jeden odgłos. To nieśmiałe stukanie. Chwilę zajmuje mi zrozumienie, co się dzieje. Spoglądam na ciężkie zasłony zakrywające okno.

Ktoś chyba stuka w moją szybę.

Zwlekam się z kanapy i podchodzę do czarnego materiału sięgającego podłogi, za którym zaraz pewnie kogoś zobaczę. Ściskam zasłonę i odsłaniam ją delikatnie. Coś ściska mnie w dołku, bo widzę małego Rhodesa uderzającego rączką w okno. Od razu je otwieram, a powiew porywistego wiatru uderza we mnie jeszcze w tej samej sekundzie.

– Rhodes? – wyduszam szeptem, nic z tego nie rozumiejąc.

Co on tutaj robi? Nie powinien wspinać się na schody. Co gdyby się poślizgnął? Całkiem odsłaniam zasłonę i bardziej zbliżam się do szyby, patrząc karcąco na małego.

– Zwariowałeś? Nie możesz sobie urządzać spacerów po przejściach ewakuacyjnych. To cholerne szóste i siódme piętro.

Chłopiec zwiesza ramiona, jakby w zawstydzeniu. Dopiero gdy staję tuż naprzeciwko niego i mogę przyjrzeć mu się z bliższej odległości, dostrzegam czający się w jego oczach strach. Jest silny i szczery, jest czymś, czego widok sprawia, że nasila się we mnie obawa.

– Ktoś wali w drzwi – duka przerażony Rhodes. – Nie mogłem tam zostać.

Moje gardło zaczyna przypominać pustynię.

– To... to w wasze?

Mały się krzywi.

– Słyszałaś?

– Nie dało się nie usłyszeć – potwierdzam i odwracam na chwilę wzrok.

Nie przeszło mi przez myśl, że ci faceci próbują wdrzeć się do mieszkania Willarda i Rhodesa. W końcu Willard jest, jaki jest, ale myślę, że nie pozwoliliby, by jego siostrzeniec lub bratanek był świadkiem czegoś takiego. Raczej by go przed tym chronił, tak jak stara się go chronić przed wszystkim. Chyba że... chyba że Willarda wcale nie ma już w mieszkaniu.

Chociaż wszystko na to wskazuje, i tak zwracam się do małego z pytaniem:

– A gdzie jest Willard? On nie opanuje sytuacji?

Chłopczyk wzdycha.

– Wyszedł.

A jednak.

– Mógłbym wejść? – pyta niepewnie.

Znowu spoglądam na małego. Najchętniej wciągnęłabym go do mieszkania i otoczyła ciasno ramionami, ale wiem, że nie mogę tego zrobić. Willard dał mi jasno do zrozumienia, że nie chce, bym kręciła się koło dziecka, które ma pod opieką. Na pewno porządnie by mi się za to od niego oberwało i byłby dla mnie jeszcze gorszy, niż jest już teraz.

Nie, nie mogę. Nie mogę mu pomóc.

– Twój wujek nie lubi widzieć nas razem. Będzie bardzo, bardzo zły. Rhodes... wiesz, może powinieneś pójść do pani Hamilton? Willard chyba wciąż jej płaci?

Chłopiec chowa ręce w za długich rękawach swojej bluzy.

– Ale nie za niezapowiedziane wizyty.

Powoli wymiękam, widząc go tak przygaszonego.

Ale nie, to nie wchodzi w grę. On mnie zabije.

– Posłuchaj mnie... – zaczynam, ale mały mi przerywa.

– Wróć do siebie, jak tylko pójda – zarzeka się.

Rozdarta przechyla głowę i patrzę na niego smutno.

– Nie mogę cię przygarnąć. A wiesz, jak bardzo chcę ci pomóc.

– Goldie, Will nie dowie się, że tu byłem – przekonuje mnie przestraszony. – Wróć do siebie, jak tylko pójda. Proszę, boję się. Ktoś ciągle krzyczy. W końcu wyważy drzwi.

– Rhodes, nie mogę – wydycham bezradnie.

Chłopiec przełyka głośno ślinę.

– Boję się.

Wiem. Wiem, że się boisz.

Mam coraz większe wątpliwości. Jedno wiem na pewno: przygarnięcie Rhodesa na jakiś czas albo pozostawienie go na pastwę losu jest tak samo ryzykowne. Albo oberwie mi się za to od Willarda, albo oberwie się małemu, jeśli ci gangsterzy wyważą drzwi i go odnajdą.

Chryste. Co mam robić? Z tej sytuacji nie ma dobrego wyjścia.

– Ja naprawdę... – zaciskam usta – ...nie mogę.

On będzie dla mnie jeszcze gorszy.

– Goldie – nalega przygnębiony Rhodes.

Smutne oczy zerkają na mnie błagalnie. Przeraza mnie myśl, że ktoś mógłby skrzywdzić tego chłopca, i pękam. Zanim zdążę zastanowić się dwa razy, otwieram okno szerzej. Chłód zaczyna wypełniać mieszkanie. Odsuwam się trochę, by zrobić miejsce małemu.

– Wejdz – poddaję się. – Ale ostrożnie, dobrze?

Mam na myśli jego trampki wyglądające na śliskie. W dodatku, cholera jasna, niezasnurowane. Gryzę wewnętrzną część policzka i staram się nie myśleć o tym, że jeśli to wyjdzie na jaw, dostanie mi się od Willarda.

– Mhm – pomrukuje mały. – Dziękuję.

Stawia pierwszą nogę na parapecie. Chwieje się delikatnie, podeszwy jego butów rzeczywiście są bardzo śliskie, dlatego wyciągam ku niemu rękę.

– No chodź tutaj – zachęcam go miękko. – Po prostu zeskocz.

Nasze spojrzenia się spotykają.

– Złapiesz mnie?

– Złapię cię – potwierdzam i to robię.

Potem zamykam okno, zasłaniam zasłony oraz poszukuję w ciemnościach tęczówek chłopca, który zdążył dowlec się do kanapy i na niej usiąść. Podchodzę do niego. Nie dosięga stopami do podłogi i macha nimi w powietrzu.

Kucam przed Rhodesem i łapię go za rękę. Zimną niczym lód.

– Jest bardzo późno – zauważam słusznie. – Powinieneś pójść spać.

Mały kręci głową.

– Nie dam rady. Ale obiecuję, że będę trzymał buzię na kłódkę, żebyś ty mogła.

Uśmiecham się słabo. Jest kochany. Po chwili ciszy siadam obok niego na kanapie i myślę, co mu na to odpowiedzieć. W końcu krzyżuję nogi i stwierdzam:

– Ja też chyba nie dam rady zasnąć.

Raczej na pewno. Nie po tym wszystkim.

– To zdarzyło się już kiedyś? – zastanawiam się.

Rhodes spogląda na mnie, a ja wyłapuję jego spojrzenie pośród czerni.

– Pytasz, czy jacyś panowie szukali Willarda? – upewnia się.

– Tak. Czy jacyś panowie... – urywam, lecz od razu dodaję: – ...szukali Willarda.

Chłopiec przez chwilę milczy.

– Raz, dawno temu – mówi w końcu. – Po tym, jak to się stało, ostrzegają, żebym nikomu nie otwierał drzwi, więc dzisiaj też tego nie zrobiłem. Ale tym razem chcieli z nim porozmawiać... bardzo. Bardzo, bardzo, bo wołali go wyjątkowo głośno, głośniejsz niż kiedyś.

Willard w jednym miał rację. Jestem ciekawska. Zbyt ciekawska. Koduję w głowie niemalże od razu, by nie wypytywać już o nic więcej małego i obejmuję go ramieniem, żeby dodać mu otuchy. Jeśli już kiedyś przeżył coś podobnego, bardzo mu współczuję. Musiał być przerażony tak samo jak jest teraz. A wtedy nie

miał się gdzie skryć.

Wyobrażając to sobie, przyciągam do siebie Rhodesa.

– W końcu im się odechce. Przecież twój wujek to nie pępek świata, no nie? – rzucam żartobliwie, chociaż tak naprawdę nie jest mi ani trochę do śmiechu.

Może Alex miał rację. Może Willard to naprawdę kryminalista? W końcu z jakiegoś powodu ci faceci go szukają. Nie wierzę, że tak się wydzierają, bo źle zaparkował.

– Więc myślisz, że przestaną go wołać? – pyta chłopiec.

Postanawiam skłamać.

– Tak. Za moment przestaną.

– Ale dlaczego oni go wołają?

– Może chcą go wyciągnąć na imprezę? – sugeruję.

To brzmi niedorzecznie, ale co mam mu powiedzieć?

Mały pociąga nosem. Jest nieprzekonany.

– Willard nie chodzi na imprezy.

– No to może chcą z nim po prostu spędzić czas – wymyślam to na poczekaniu.

Chyba sama nie chcę wiedzieć, dlaczego szukają go jakieś podejrzone typy. Wbijam spojrzenie w ciemne zasłony. Mimo wszystko wraca do mnie wspomnienie tego, co zobaczyłam podczas pierwszej nocy na Bronksie, gdy wyszłam na zewnątrz, na schody.

Jego zakrwawione kostki. Obrzydliwie zakrwawione kostki.

Po samym jego zachowaniu mogłam wywnioskować, że nie mam do czynienia z porządnym i grzecznym chłopcem, ale rany. Teraz, przypominając sobie to wszystko i myśląc o tym, że hałasy z dołu nie ustają, domyślałam się, że on naprawdę może robić coś nielegalnego.

Z zamyślenia wyrывa mnie mój mały gość.

– Nie chciałbym mieć takich znajomych – odzywa się, a ja wracam do niego wzrokiem. – Są głośni i to chyba niekulturalnie kopać w drzwi swojego znajomego, nie sądzisz?

Zgadzam się z nim niemalże natychmiast.

– Tak, to bardzo niekulturalne.

– Wolę nie mieć znajomych.

Marszczę brwi. To brzmi... smutno.

– Nie masz znajomych? – szepczę. – A co z twoją klasą, Rhodes?

Chłopiec odsuwa się nieznacznie i opiera o oparcie sofy. Sama idę jego śladem.

– Nikt do mnie nie podchodzi – wyznaje przybity. – A jak ja podchodzę... mówią coś, czego nie rozumiem.

Ignoruję nieustające krzyki.

– Co takiego? – dociekam niepewnie.

– Że mieszkam *tam* – wyrzuca z siebie chłopiec i patrzy na mnie z lekkim zawahaniem. – Tam? To znaczy, że tutaj jest inaczej? To znaczy, że jestem gorszy?

Nie muszę długo zastanawiać się, o co chodzi tym dzieciakom. To jasne, że odrzucają Rhodesa tylko dlatego, że mieszka na Bronksie. Tylko że on nie ma na to pieprzonego wpływu. Błyskawicznie splatam palce jego dłoni ze swoimi. Szkoda mi go. Bardzo.

– Słońce, nie jesteś gorszy – mówię. – Pod żadnym pozorem nie jesteś gorszy. Zresztą to kwestia czasu, aż stąd wyjedziecie. Bo ostatnio mówiłeś, że planujecie stąd wyjechać?

W zamian otrzymuję krótkie skinienie.

– Szkoda, że Will cię nie lubi. Mogłabyś zabrać się z nami.

Uśmiecham się, lecz ten gest nie wyraża choćby grama radości.

– Tak – przyznaję mu rację cichym szeptem. – Szkoda.

Rhodes przygląda mi się przez chwilę bez słów.

– Nie lubi cię, bo jesteś... niewygodna? – Brzmi, jakby sam w to nie do końca wierzył. – Podobno mieszkając nad nami i często wpadając na nas, mogłabyś coś wywęszyć i dowiedzieć się czegoś, co dołożyłoby nam problemów, gdyby wyszło na jaw. Ale nie wiem, o co mogłoby chodzić. Przecież my z Willem nic nie ukrywamy. Serio, nic.

Czy to dlatego tak mną gardzi? To dlatego chce mnie stąd przepędzić? Bo boi się, że mogłabym

dowiedzieć się czegoś o nim, mieszkając praktycznie nad nim i w dodatku studiując to samo co on? To brzmi wiarygodnie, jeśli ma coś okropnego do ukrycia.

Boję się, co w takim razie może mieć do ukrycia.

– Dlaczego jeszcze mnie nie lubi? – pytam, zanim zdążę ugryźć się w język.

Miałam nie dopytywać o nic Rhodesa. Szlag by to. *To ostatni raz*, powtarzam sobie.

Chłopiec wzrusza ramionami.

– Bo tu nie pasujesz. Bo mu przeszkadzasz. Bo powinnaś się nie wychylać, a ciągle wychylasz się za bardzo, zamiast spuścić wzrok i odejść. Bo chce cię zmusić, żebyś się stąd wyniosła. Powiedział, że tak będzie lepiej dla każdego.

Rozdzielam nasze dłonie. Chciałabym się stąd wynieść, ale nie mam tyle kasy, żeby pozwolić sobie na mieszkanie w innej dzielnicy miasta. A jeśli chodzi o to, że przeszkadzam Willardowi... cóż. Ostatnio nie zamierzałam go nawet mijać.

– Próbowałam go unikać – mówię zgodnie z prawdą, przypominając sobie kilka tych dni przed tym, jak zostaliśmy dobrani w pary, by wspólnie zrobić głupie zadanie na zajęcia. – Ale to trudne. Uczymy się razem. No i...

– ...i jestem jeszcze ja – dokańcza za mnie Rhodes.

Nie chciałam tego mówić, ale on dobrze wie. Wie, że mogę mieć przez niego problemy.

– Przepraszam, że tu przyszedłem, ale nie miałem wyjścia – dodaje zmieszany. – Willard naprawdę się o tym nie dowie, a ty będziesz mogła unikać go tak jak wcześniej.

Tyle że już jest za późno na unikanie go, uświadamiam sobie. Willard postawił sobie za cel dręczenie i wykurzenie mnie z Bronxu. Teraz nie zadowolili się moim zwykłym nie wchodzeniem mu w drogę. Teraz, tak jak zapowiedział, zburzy cały mój spokój, bo jestem niewygodna i irytująca. No i mogę wywęszyć coś, co nie chciałby, by wyszło na jaw. Zupełnie tak, jakbym chciała marnować czas na prześwietlanie go i kablowanie na niego policji. Litości.

Rhodes wciąga nogi na kanapę i krzyżuje je, siadając wygodnie.

– On nie jest taki zły – stwierdza.

– Wierzę, że nie jest.

Przeczuwam, że jest.

Przez dłuższą chwilę milczymy.

– Też je masz – rzuca nagle chłopiec.

– Co takiego? – Zerkam na niego z ukosa.

Mały wskazuje na jedną z obdartych ścian.

– Dziury w ścianie. Jak chcesz, mogę je naprawić.

– Naprawić? – dziwię się.

Bo jak on chce to zrobić?

– Will kupił mi na święta rok temu farby plakatowe – zaczyna tłumaczyć. – Zamalowałem nimi dziury w naszych ścianach i wyglądają super. Co prawda muszę je oszczędzać, bo nie mam ich już dużo, ale chciałbym naprawić też twoje ściany.

Robi mi się przykro na myśl, że Rhodesowi tak rozbłysły oczy, bo mówił o zwykłych farbach plakatowych. Patrzę na jego zachęcający uśmiech i spuszczam głowę, by ukryć smutek, który na pewno maluje się na mojej twarzy. Szkoda mi go jeszcze bardziej.

Ja i Willard możemy to wszystko rozumieć, tę codzienność na Bronksie i klepanie biedy. Ale Rhodes... on jest jeszcze mały. Na pewno czasami zastanawia się, dlaczego inne dzieci ubierają się inaczej, mieszkają w normalnych domach albo mieszkaniach lub nie muszą oszczędzać głupich farb plakatowych, bo jeśli tylko kiwną palcem, rodzice kupią im kilka sztuk.

Zdobywam się na wesoły ton, kiedy odpowiadam:

– To bardzo miłe z twojej strony. Ale może zrobisz to innym razem?

Mój gość przytakuje.

– Tak, innym razem. Will był bardzo szczęśliwy, gdy zobaczył, co zrobiłem.

– Will szczęśliwy? – wyrywa mi się.

– Tak – wspomina chłopiec. – Naprawdę tak.

Nie komentuję jego słów. Zamiast tego wyostrzam słuch i orientuję się, że nikt już nie krzyczy. Po

kilkunastu minutach mężczyźni dobijający się do mieszkania Willarda nareszcie sobie odpuścili. Chyba zorientowali się, że nic nie wskórają.

– Cisza – wypalam. – Jest już cicho.

Rhodes spogląda na mnie pytająco.

– Poszli?

– Chyba tak.

Mały zsuwa się z kanapy na równe nogi.

– W takim razie już pójdę. Dziękuję, Goldie.

Sama również od razu wstaje.

– Zaczekaj, odprowadzę cię.

– Nie musisz – zaznacza mały.

– Ale mam ochotę.

Wiem, że nie muszę tego robić. Ale nie przekonuje mnie myśl, że dziecko spaceruje po przejściu ewakuacyjnym na pieprzonym siódmym piętrze, niemalże rozlatującego się bloku. Oboje podchodzimy do okna i przeciskamy się przez nie na zewnątrz.

Zimno otacza mnie z każdej strony. Wzdrygam się i opatulam ramionami. Rhodes żegna się ze mną i wraca do domu. Odprowadzam go wzrokiem, ale nawet gdy słyszę, że zamyka okno, nie wracam do siebie. Podchodzę do barierki. Opieram na niej przedramiona i patrzę w dal. Wiatr rozwiewa mi włosy. Czuję, jak rozsypują się po całej mojej bladej twarzy.

Mimowolnie zerkam w dół. Na beton. Przypominam sobie słowa Willarda.

Podobno wielu samobójców zleciało właśnie stąd.

Stoję tak jeszcze przez dłuższy czas. Nie wiem, jak długo. Podejrzewam, że kilkanaście minut tkwię w zawieszeniu i wgapiam się beznamiętnym wzrokiem w przeklęty beton. A kiedy przenoszę na moment spojrzenie w bok, na parking, widzę stary samochód, którego wcześniej tam nie było. O karoserię opiera się zakapturzony młody mężczyzna. To Willard.

Wpatrzony jest wprost we mnie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

MARIGOLD

KIEDYŚ

Nie mam bladego pojęcia, dlaczego wieczorem po kolacji na stołówce cała nasza grupa zostaje poproszona o pozostanie na swoich miejscach. Wiem natomiast, że najchętniej wyszłabym stąd od razu, bo wszyscy szepczą między sobą, wymieniając się możliwymi teoriami, dlaczego nas tutaj zatrzymali, a ja siedzę przy stoliku zupełnie sama i okropnie tęsknię za Millie, z którą mogłabym robić to samo. Często czułam się samotna, ale teraz czuję się tak ciągle.

To paskudne uczucie. Nie posiadanie nikogo. Bycie... po prostu skazaną wyłącznie na siebie.

Wyglądam za okno. Jest już ciemno, w szybie widzę więc odbicie oświetlonej stołówki. Coś we mnie zamiera, gdy patrząc na nią wciąż i wciąż, dostrzegam dwie osoby wchodzące do pomieszczenia. Rozmowy cichną. Bardzo powoli odwracam głowę, żeby upewnić się, że nic sobie nie przywidziałam. Ale nie. Nic sobie nie przywidziałam. On tutaj jest.

On. Tutaj. Jest.

Obok starszej pani Dawson kroczy mężczyzna, którego spotkałam wczoraj. Mężczyzna, który przyłapał mnie na próbie ucieczki z sierocińca. Mężczyzna, który stwierdził, że będzie mnie w tym krył, i mężczyzna, który zechciał... wyciągnąć w moją stronę pomocną dłoń.

Wsuwam nerwowo palce pomiędzy uda, czując oblewający mnie niepokój.

Okej, nie kłamał. Z tego, co słyszę, kiedy Dawson wygłasza przemowę, rzeczywiście jest nowym opiekunem i będzie pilnował naszej grupy. Ale skąd mam wiedzieć, czy jednak mnie nie podkablował? Może wydał mnie i zaraz trafię na dywanik? Poprawiam się na siedzeniu na samą myśl, że czeka mnie sroga kara za wymykanie się z budynku po zmroku.

Siedzę na uboczu, ale Maverick i tak mnie zauważa.

Spojrzenie ciemnych oczu ląduje na ułamek sekundy na mojej osobie. Robi mi się cieplej. Sama nie wiem, czy to przez to, że przez moje żyły przetacza się zawstydzienie związane z moim wczorajszym wybrykiem, czy też dlatego, że Maverick jako mężczyzna jest onieśmielający w każdym znaczeniu tego słowa. Jest postawnym facetem, na pewno ma dużo siły. Czarne włosy opadają mu na skronie, poważne rysy twarzy dodają tajemniczości, a ciemne tęczęwki potrafią bez trudu przewiercać na wylot, przynajmniej takie odnoszę wrażenie.

Rany, jest... jest idealny.

– Nazywam się Maverick i będę od dzisiaj opiekunem waszej grupy – zaczyna mówić, nie patrząc już na mnie, i zakasuje rękawy ciemnej koszuli.

Wtedy światło pada na obrączkę na jego palcu. Odrywam od niej wzrok i wbijam go w jego oczy, które śledzą twarze zebranych na stołówce podopiecznych. Maverick żartuje kilka razy podczas swojego monologu. Zdaje się od razu przekonywać do siebie każdego.

Mnie za to jest dziwnie z tym, co stało się poprzedniej nocy. Zastanawiam się, czy nadal chciałby mnie słuchać. A może zamierza udawać, że na niczym mnie nie przyłapał?

– Do mnie będziecie mogli zwrócić się o pomoc w każdej kwestii i to ja chcę wiedzieć w pierwszej kolejności, jeśli coś jest u was nie tak, w porządku? – ciągnie mężczyzna, a ja dochodzę do wniosku, że odpląnąłam myślami na dłużej, niż sądziłam.

Nowy opiekun ponownie przeczesuje uważnym spojrzeniem wypełnioną nastolatkami przestrzeń. Ponownie każdy posłusznie kiwa głową. Zwieszam swoją i koncentruję uwagę na tacce z niedojezoną kolacją. Jeszcze przez kilka minut wsłuchuję się w słowa Mavericka, a następnie wszyscy dostają zgodę, by udać się do swoich pokoi. Nie zrywam się z miejsca pierwsza. Zamiast tego odczekuję jakiś czas, aż w końcu wstaję i biorę swoją taczkę.

Ruszam do ogromnego wózka, na którym mogę ją odłożyć.

Tłum na stołówce znacząco się przeredza. Taki wniosek nasuwa mi się na myśl, bo nie słyszę już aż tak głośnych rozmów innych podopiecznych. Odkładam tackę i odwracam się z zamiarem udania się do swoich czterech ścian, ale nagle... ktoś się przede mną pojawia.

Zadzieram brodę, bo ten ktoś jest zdecydowanie ode mnie wyższy. Orientując się, że to Maverick, czuję natychmiastowy skurcz w żołądku. *Czekał na mnie? Nie, na pewno nie. Dlaczego niby miałby na mnie czekać? Nie miał ku temu powodu.*

– Spóźniłaś się – zauważyła, lecz nie brzmi, jakby coś mi zarzucał.

Przez moment patrzę na niego bez słów, więc wyjaśnia:

– Na kolację. Byłem tu wcześniej z Dawson, gdy mnie oprowadzała.

– To się już więcej nie powtórzy – zapewniam szeptem i ukradkiem przetrząsam spojrzeniem pomieszczenie. Na stołówce znajduje się kilka ostatnich osób. Z lekkim oporem jeszcze raz zaglądam w oczy stojącemu naprzeciwko mężczyźnie.

– Dlaczego? – pyta mnie Maverick.

Drapię się z tyłu głowy.

– Bo z reguły nie jestem spóźnialska.

– Dlaczego nie przyszłaś na czas, Mari? – docieka konkretniej.

Znowu to robi. Znowu zdrabnia moje imię, a moje serce automatycznie przyspiesza rytm. Speszona raz jeszcze odwracam wzrok i pozwalam swoim ramionom delikatnie opaść.

– To głupie. Naprawdę... głupie.

Maverick wzdycha.

– Chcesz pogadać?

Krzyżujemy spojrzenia. Jego jest tak zatroskane, że z marszu kapituluję.

– Moja współlokatorka wczoraj opuściła sierociniec – wyjaśniam, krzywiąc się przy tym. – Nie mam się do kogo odezwać. Przez resztę ostatniej nocy, nawet jeśli byłam zmęczona, zastanawiałam się, jak przetrwam ten czas, który mi tutaj został, zupełnie sama. To właśnie jest głupie, bo nie jestem przecież już dzieckiem, które trzeba trzymać za rączkę...

Dłoń mężczyzny łąduje na moim ramieniu i pociera je w pocieszającym geście, a on sam mówi ciepłym tonem:

– To nie jest głupie, a ty nie jesteś sama.

Patrzę to na jego dużą dłoń, to na jego twarz.

– To znaczy?

Kącik ust bruneta nieco się unosi.

– To znaczy, że chętnie cię wysłucham – tłumaczy bardzo prosto mój nowy opiekun, a ciężar jego palców nie znika z mojego ramienia. – Jak każdego, kto jest w tej sali.

Kręcę głową i cofam się o krok. Nie, coś tutaj nie gra. Ewidentnie nie gra.

– Nie, nie nabiorę się na to – protestuję, a jego dłoń siłą rzeczy zsuwa się ze mnie, kiedy robię jeszcze jeden krok w tył, prawie wpadając plecami na wózek z tackami.

Maverick marszczy brwi.

– Na co?

– Przecież nie możesz być inny od reszty opiekunów i się nami przejmować – odpieram, bo nikt, nikt od tak wielu lat, które spędziłam już w tym miejscu, nie oferował mi tego, co zamierza zaoferować on. Nikt nie chciał mnie słuchać. Nikt nie chciał mi pomóc.

Nikt nie chciał dać mi poczucia bezpieczeństwa, którego potrzebowałam.

Mężczyzna zbliża się do mnie ostrożnie i znowu słabo uśmiecha. Tym razem robi to jakby ze smutkiem. Jakby zasmuciło go to, co mu przed chwilą powiedziałam. Ale właśnie taka jest prawda. Żaden z opiekunów nie przejmował się ani mną, ani nikim innym stąd.

– Więc daję ci słowo, że będę się tobą i wami przejmować – zarzeka się.

– Słowo? – powtarzam za nim prawie bezgłośnie.

Maverick przytakuje, jakby coś sobie uświadomił.

– Tak, to stanowczo za mało. Uczynię wszystko, by pokazać ci, że mogę być inny niż oni – poprawia się, a ciemne oczy nie uciekają od moich choćby na głupią sekundę.

Gorąco przetacza się wtedy przez całe moje znieruchomiałe z szoku ciało.

– W nocy powiedziałaś mi, że ułatwisz mi życie tutaj. Wciąż tego chcesz?

Mężczyzna kiwa głową i robi to w cholernie zdecydowany sposób.

– I tego się trzymam... Zaopekuję się tobą, Mari. Zrobię to.

Zaopekuję się tobą, Mari, słyszę w głowie jego głos i coś roszadza mi klatkę piersiową. To chyba pewien rodzaj miłego zaskoczenia wynikającego z tego, że kogoś obchodzi mój los. Po latach od śmierci mamy znowu kogoś obchodzi. A to tak boleśnie przyjemne uczucie, że na chwilę odejmuje mi mowę. Gapię się na Mavericka z rozchylonymi ustami.

– Ja... – zaczynam, lecz nie mogę dodać już nic więcej.

Doskakuje do nas Daisy, moja rówieśniczka.

– Panie Hudson?

Brunet spogląda na nią z uniesioną brwią.

– Tak?

Dziewczyna wygina nerwowo palce dłoni.

– Możemy porozmawiać o moich dyżurach na stołówce?

– Co z nimi nie tak?

Przysłuchuję się ich rozmowie i robi mi się trochę głupio.

– Mam je w tym samym czasie co koła zainteresowań – tłumaczy Daisy.

– Usiądź. – Mężczyzna rzuca krótką komendą, wskazując gestem dłoni na stół znajdujący się najbliżej naszej trójki. – Zaraz porozmawiamy i jakoś to ogarniemy, dobra?

– Jasne. – Blondynka uśmiecha się wdzięcznie. – Dziękuję, panie Hudson.

Podążam za nią wzrokiem, gdy odchodzi do stolika, a następnie spoglądam na Mavericka. To moment, w którym nawiedzają mnie kolejne wątpliwości. Czy to naprawdę możliwe, żeby... żeby ułatwił mi jakoś przetrwanie tych ostatnich miesięcy w sierocińcu? Żeby zaoferował mi swoją pomoc i przymykał oko na moje częste ucieczki?

Rozdarta patrzę na niego w milczeniu. To zbyt piękne, by było prawdziwe.

– Powinam już iść, panie Hudson – mówię nareszcie.

Mężczyzna nie zamierza mnie zatrzymać.

– Maverick – poprawia mnie tylko. – Mów do mnie Maverick, Mari.

Później uśmiecha się ostatni raz i rusza do siedzącej przy stoliku Daisy.

Jest środek nocy, kiedy kończę odrabiać pracę domową. Zamykam zeszyt, odkładam go na bok i mknę spojrzeniem do uchylonego okna, za którym rozpościera się czarne niebo i ogromny las. Szum wiatru wpada do niedużego pokoju, a ja wpatruję się przez jakiś czas w dość mroczny widok za szybą oraz czuję, jak rodzi się we mnie potrzeba, żeby znowu się stąd wydostać.

Wciągam na siebie bluzę przez głowę i potem jak zawsze przyciskam ucho do cienkich drzwi, żeby najpierw upewnić się, że nikt nie przechadza się po korytarzu. Gdy mam co do tego pewność, otwieram je i wychylam głowę. Widzę wydostające się z pokoju opiekunów światło. Zastanawiam się, czy jest tam Maverick, ale prędko wyrzucam tę myśl z głowy.

Wychodzę na palcach z pokoju oraz zamykam za sobą bezgłośnie drzwi.

Dotarcie do suterenu zajmuje mi kilka minut. Wchodzę do niej i od razu wypuszczam ze świstem powietrze, ciesząc się, że i tym razem nikt mnie nie zauważył. Mój entuzjazm gaśnie jednak tak prędko, jak oparta plecami o drzwi pomieszczenia, zauważam postać siedzącą na jednej z ławek, pośród nieprzemijającej czerni. Zszokowana mam wrażenie, że moje stopy przytwierdzają się do podłoża, ponieważ bez trudu rozpoznaję, z kim mam do czynienia.

Ciemne oczy wpatrują się we mnie ze spokojem i zaciekawieniem.

– Maverick? – Mój szept rozchodzi się po niedużej klitce.

Mężczyzna wsuwa dłonie do kieszeni spodni. Widzę to, bo mój wzrok powoli przyzwyczaja się do ciemności panujących naokoło. Stojąc w miejscu, nie spuszczam spojrzenia z przystojnej twarzy siedzącego naprzeciwko mnie opiekuna. Nie widzę na niej śladu złości. Maverick nie wygląda, jakby się na mnie gniewał. Tak jak zresztą za tamtym razem.

Teraz unosi zawadiacko kącik ust i wzrusza ramionami.

– Myślałaś, że nie sprawdzę, jak wymyka się moja Panna Sprytna?

Splatom palce dłoni za plecami. Odczuwam delikatny stres.

– To aktualne? – mamroczę, chcąc się upewnić, i jednocześnie patrzę niewinnie na mężczyznę. –
Twoje słowa, że... nie podkablujesz mnie nikomu?

W oczach Mavericka miga pobłażanie.

– Przecież wiesz, że tak. Możesz iść – ponagla mnie. – No śmiało.

Podchodzę do niego powolnym krokiem i wskazuję na okno.

– Zawsze wychodzę tędy...

– Mnie byłoby trudno się tutaj zmieścić – mówi rozbawiony.

Lustruję go wzrokiem i przyznaję mu rację skinieniem.

– Tak, jest pan dość... duży.

– Mari – upomina mnie.

– Jesteś wysoki – poprawiam się. – Ale precyzyjnie się, gdybyś chciał.

Wspinam się po krześle i stoję na stoliku. Maverick patrzy na mnie z dołu.

– Kiedyś się o tym przekonam i pójdę z tobą – stwierdza odrobinę ciszej.

Otwieram okno. Uderza we mnie powiew jesiennego wiatru, ale jeszcze bardziej uderza we mnie sens słów wypowiedzianych przed momentem przez mężczyznę. Nie wiem, czy chcę go do siebie dopuścić na tyle, by zabrać go ze sobą na pobliską plażę.

A jednak część mnie chciałaby przyjąć jego troskę.

Część mnie chciałaby ją przyjąć, bo wciąż czuję się tak cholernie samotna. A on... on wydaje się zainteresowany tym, jak się czuję. Wydaje się przejmować tym, co się ze mną dzieje. Wydaje się patrzeć na mnie tak, jakby chciał dla mnie jak najlepiej.

Czy ktoś w ogóle patrzył tak na mnie przez ostatnie lata? Czy ktoś w ogóle patrzył tak na mnie oprócz mamy?

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – odpowiadam mimo wszystko z zawahaniem.

Maverick sięga po moją dłoń i gładzi ostrożnie kciukiem jej wierzch.

– Jeśli nie będziesz chciała, w porządku – zaznacza natychmiast miękkim głosem. – Ale mogłabyś opowiedzieć mi o tym miejscu, do którego chodzisz. Jestem go bardzo ciekawy.

Podchodzę bliżej okna i tym samym rozdzielam nasze ręce.

– Może kiedyś – przytakuję.

Mężczyzna patrzy na mnie wyrozumiale.

– Może kiedyś – powtarza za mną i dodaje: – Bądź ostrożna.

– Dobrze. Dziękuję, że mój sekret dzięki tobie nadal nim jest.

Po tych słowach uśmiecham się słabo, a on odwzajemnia ten gest. Wychodząc na zewnątrz, naprawdę nie domyślałam się nawet, że pewnego dnia my też staniemy się sekretem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

MARIGOLD

W dzień, kiedy mamy odegrać sceny w parach przed panią prowadzącą zajęcia i przed resztą studentów, ciągle towarzyszy mi niepokój. Chciałabym móc przyznać, że niepokoi mnie tylko to, że ja i Willard jesteśmy kompletnie nieprzygotowani i jeśli się nie zgramy, pewnie oblejemy zadanie, ale prawda jest taka, że coś jeszcze nie daje mi spokoju.

Cały on.

On, jego popaprana głowa, popaprane zamiary wobec mnie i popaprana nienawiść względem mnie. Jego nieobliczalność, nieznajomość umiaru, jego zatargi z podejrzanymi ludźmi, jego dane mi słowo, że mnie zmiażdży i wykończy. Im więcej razy mam z nim niechcianą styczność, tym bardziej boję się, że ten nienormalny dupek w końcu rozłupie mi czaszkę, bo taki będzie miał kaprys. Świr, dochodzę do wniosku.

Willard to po prostu świr.

Przeczესuję wzrokiem zaciemnioną salę teatralną. Powoli zapełnia się studentami. Nic dziwnego, za kilka minut powinny zacząć się zajęcia. Słyszając chrząknięcie Alexa, przekręcam głowę i skupiam uwagę już tylko na nim. Milczał, odkąd odpowiedziałam mu na pytanie, z kim musiałam „współpracować” przy zadaniu, które mieliśmy przygotować na dzisiaj.

Teraz spogląda na mnie i upewnia się, że dobrze wszystko zrozumiał.

– Więc trafiłaś... na niego.

Wydaje się zniesmaczony. Wzdycham pod nosem, ponieważ nie za bardzo chcę gadać o Willardzie. Wystarczy, że dużo o nim myślę, gdy siedzi kilka rzędów za mną, zupełnie sam, i czuję, że uważnie mnie obserwuje, bez choćby najkrótszej chwili przerwy.

Jest osaczającym gnojem.

– Trafiłam na niego i jak widzisz, jakoś przeżyłam tę naszą współpracę. – Ton, którym odpowiadam Alexowi, jest wyraźnie zmęczony, ale nie zamierzam ukrywać, że męczy mnie temat tego chłopaka i nie chcę go ciągnąć. – Mają gdzieś tutaj automat z kawą?

Mój rozmówca ignoruje pytanie i zerka przez ramię na Willarda.

– Nie było łatwo, co? – draży. – Wygląda na mruka.

– Było znośnie. Widziałeś gdzieś ten automat?

Findlay ponownie wbija wzrok w moją twarz.

– Podziwiam cię, ja bym chyba wypisał się ze współpracy z nim. Jeszcze by mnie okradł przy pierwszej lepszej okazji, żeby mieć na ćpanie – prycha kpiąco, na co przewracam oczami.

Czy moje reakcje są mało wymowne? Nie chcę o nim gadać. Chcę mieć to beznadziejne zadanie za sobą, a potem żeby Covington nareszcie się ode mnie odczepił, bo nie uwierzę, że zalażłam mu za skórę swoją osobą aż tak, by dręczył mnie, jak zamierza to zrobić.

– Alex – upominam znajomego.

Chłopak unosi rękę w obronnym geście.

– Tak, tak. Nie przypisujemy nikomu łatki – przywołuje moje słowa. – Ale gdy wróci, spójrz na niego. Nawet jego twarz odrzuca. Jest wstrętne. On cały wygląda wstrętne. Jak monstrum. Poważnie cię podziwiam, że zacisnęłaś zęby i nie poprosiłaś o zmianę pary.

Przez chwilę zastanawiam się nad słowami Alexa.

On cały wygląda wstrętne. Jak monstrum, wspominam je i myślę... myślę, że nigdy nie odrzucał mnie jego wygląd. Raczej sprawiał on, że bałam się go bardziej, bo oczywiście, Willard przez te szramy na twarzy wydawał się groźny i niebezpieczny. Ale jego blizny nie były i nie są czymś, co sprawia, że czuję wstręt i muszę odwrócić wzrok, bo obrzydza mnie ich widok.

W Willardzie odrzuca mnie to, jak kurewsko paskudnie się zachowuje.

Kręcę głową, wracając do rzeczywistości. Dosyć.

– To co z tym automatem? – dociekam.

Alex chyba nareszcie zaczyna mnie słuchać.

– Widziałem jeden blisko męskiej toalety. Musisz iść do końca korytarza i w lewo. Aż tak źle spałaś, że teraz nie obejdiesz się bez kawy? – pyta z pewnego rodzaju troską.

Wstaję z miejsca. Mam mało czasu, żeby skoczyć do automatu przez zajęciami.

– Myślałam, że widać te wory pod moimi oczami już z daleka – żartuję.

– Nie. Wyglądasz świetnie. Zresztą jak zwykle.

Karcę chłopaka machnięciem ręki.

– Daj spokój.

– Musisz nabrać pewności siebie, Marigold.

Postanawiam już iść. W końcu i tak mam mało czasu.

– Lecę, wrócę za kilka minut – mówię na odchodne, a potem ruszam przez cały rząd i pokonuję kilkanaście stopni schodów, zanim docieram na szczyt sali, do jednego z wyjść.

Krocząc korytarzem, nie mijam zbyt wielu osób. Jakby nie patrzeć jest późno, więc wcale mnie to nie dziwi. Wedle wskazówek Alexa idę do końca i skręcam w lewo. Rzeczywiście odnajduję w zaułku męską toaletę, a obok niej automat z gorącymi napojami.

Rany, potrzebuję kawy. Bez niej chyba padnę.

Nie myśląc za długo, wybieram czarną i płacę znalezionymi w kieszeniach spodni drobniakami. Kiedy czekam na swoje wybawienie, odlatuję myślami gdzie indziej. Stoję jak kołek i zastanawiam się, czy iść do pracy pieszo, czy wybrać podróż metrem. Podobno pogoda dzisiaj ma być nieciekawa. Zapowiadali ulewę. Niech będzie więc metro.

Z letargu wytrąca mnie szarpnięcie za klamkę drzwi.

Jakby instynktownie spoglądam w stronę męskiej toalety znajdującej się tuż obok. Wychodzi z niej jakiś chłopak. Rusza on korytarzem, a ja zerkam przypadkowo na zamykające się drzwi i mam wrażenie, że czas spowalnia w tej jednej chwili, w której moje spojrzenie ląduje na dwóch chłopakach stojących w głębi kibla.

Jeden z nich to Willard, drugiego nie znam. Willard podaje mi woreczek z czymś podejrzanym, za który dostaje w łapę trochę banknotów. Wytrzeszczam oczy. Jestem pewna, że robię się nagle potwornie blada... a zwłaszcza, gdy mój sąsiad odwraca głowę.

Krzyżujemy spojrzenia na moment przed tym, jak drzwi się zamykają.

Moje serce przyspiesza swój rytm w panice. Niczego nie jestem tak pewna, jak tego, że mi się oberwie. Może tylko tego, że wiem, o czym przedwczoraj mówił mi Rhodes, kiedy był w moim mieszkaniu przez jakiś czas. *Jesteś niewygodna. Podobno mieszkając nad nami i często wpadając na nas, mogłabyś coś wywęszyć i dowiedzieć się czegoś, co dołożyłoby nam problemów, gdyby wyszło na jaw*, przypominam sobie i czuję, jakby nogi wrosły mi w podłogę.

– No nie... – szeptam pod nosem.

Wszystko składa się w całość. Willard jest dilerem. I bardzo nie chciał, żebym się o tym dowiedziała, a potem być może kogoś na niego za to nasłała. Dlatego zamierzał mnie przepędzić z mieszkania nad nim i dlatego też tak mnie nie cierpi. Ponieważ mogłabym przysporzyć mu problemów. Ale, szlag, nie zamierzam tego robić.

Mało mnie to obchodzi. Nie jestem kablem, do cholery.

No i nie chciałam skończyć poćwiartowana.

Czym prędzej biorę swoją kawę, chociaż żołądek kurczy mi się ze stresu tak bardzo, że robi mi się niedobrze. Zamiast ruszyć z powrotem do sali, kieruję się w stronę bocznego wyjścia z budynku. Muszę ochłonać, muszę to przetrwać. Nie mogę dać mu się teraz złapać.

Spojrzelśmy na siebie.

On wie, że go przyłapałam.

Boję się i to kurewsko mocno. Domyślam się, że skoro tak usilnie próbował nie dopuścić do tego, bym coś o nim odkryła, będzie podwójnie wściekły, że to się stało, i to w dodatku przez przypadek. Ściskam w dłoni papierowy kubek i wychodzę na zewnątrz.

Na tyłach budynku nikogo nie ma. Krople deszczu skapują mi na twarz. Mam zamiar przesiedzieć tu dłuższą chwilę i tym samym nie ryzykować, że w drodze do sali, gdzie oboje powinniśmy już być, zostanę przez niego zatrzymana. Jeszcze mi przywali za łożenie za nim, czego nawet nie robiłam. To znaczy, nie

wiem, czy by mi przywalił, ale w furii ludzie są zdolni do różnych rzeczy. Niespokojna wyrzucam przeklętą kawę do pobliskiego kosza.

Naprawdę zaraz zwymiotuję z tego stresu.

Po tym, jak odczekuję jeszcze trochę czasu, znowu wchodzę do budynku. Przemierzam męczeńskim krokiem korytarz, przekonana, że Willard jest już na zajęciach. Nie mijam nikogo, wszędzie panuje pustka oraz przesadna cisza. Stawiam kolejne kroki, próbując się uspokoić.

Wtem słyszę trzask.

Najbliższe drzwi wychodzące z korytarza otwierają się, a cudza, wytatuowana dłoń wciąga mnie szarpnięciem do niewielkiego składowiska. Chcę wołać głośno o pomoc, ale moje struny głosowe paraliżuje szok, mnie całą paraliżuje szok, bo zostaję wepchnięta w gęsty mrok, a już po niecałej sekundzie przyciśnięta przez masywne ciało do lodowatej ściany.

Wystarczy jedno spojrzenie w ciemne oczy, bym zyskała pewność, że Willard jest bardzo, bardzo niezadowolony.

– Nie, nie powiem – dukam nieskładnie i kręcę głową tak szybko, że zaczyna boleć mnie kark. Mam ochotę się rozpłakać, bo rozwścieczony chłopak natychmiast wyciąga ogromną dłoń w moją stronę, owija palcami moją krtań, a biodrami naciska na moje.

Przyszpilona do ściany zaczerpuję łapczywe wdechy.

– Nie powiem nic nikomu, naprawdę nie, proszę cię, zostaw – udaje mi się wykrztusić. – Nikt się nie dowie, nie będziesz miał problemów, tylko zostaw... zostaw mnie.

Strach krąży w moim krwiobiegu. Willard schyla twarz jak najbliżej mojej. Odnajduję w ciemnościach jego mroczne spojrzenie i szlag... Jeśli myślałam, że wcześniej wydał mi się przerażający, to mam ochotę to odszczekać. Bo teraz, gdy jego oczy zwręzają się złowrogo i bacznie mnie obserwują, trzęsę się i szcękam zębami w obawie, że skończę martwa.

A akurat tego dnia chcę skończyć martwa odrobinę mniej.

– Tak czułem, że pewnego dnia wywieszysz za dużo, wścibska Marigold. – Willard mówi to wprost w moje rozchylone usta, pomiędzy których ulatuje szybki, nierówny oddech.

Wyduszam bezsilny jęk, bo jego krocze napiera na moje, a palce szczelniej zaciskają się wokół mojego gardła. Mam wrażenie, że nie mógłby mnie bardziej sobie podporządkować. Czuję na sobie jego mięśnie. Twardy tors stapia się przez ubrania z moim biustem.

Złość, która bije od Willarda otacza mnie skądkolwiek może.

Mój spanikowany wzrok pada to na jego usta, to na jego przesiąknięte gniewem oczy. Chłopak dociska perfidnie ciało do mojego. Dławię się następnym jękiem i czuję pierwsze łzy pod powiekami. Nie mam odwagi błagać, aby się odsunął, ponieważ silna potrzeba, by to zrobił, aktualnie jest moim najmniejszym problemem.

Jego rysy twarzy wyostają się w gniewie.

– Masz powód, dla którego nie chciałem cię blisko siebie – cedzi oschle. – W mieszkaniu nade mną, na Bronksie, nigdzie, skąd mogłabyś zobaczyć więcej, niż powinnaś.

Od razu zaprzeczam, znajdując się na granicy bezradnego płaczu.

– Nie węszyłaś. Nie łąziłam za tobą. To był zwykły...

– Przypadek – dokańcza za mnie Willard, a błysk kpiny przemyka przez jego tęczówki, po czym znika. – Kolejny. Nie wierzę ci, ale cokolwiek by to nie było, nie dożyjesz kolejnego poranka, jeśli dowiem się, że kogoś na mnie napuściłaś, rozumiesz?

Jego nieustępliwe, upiorne spojrzenie wypala mi twarz. Czuję, jak nogi uginają się pode mną. Oczy pieką coraz bardziej. Zapędzona w potrzask ledwo zipię, w czasie gdy on zsuwa ociężałe dłoń na moją szyję. Zamyka ją w uścisku, recytując brutalnie wyraźnie:

– Jeśli dowiem się, że to zrobiłaś, najpierw zadbam, żeby twoja buźka zaczęła przypominać moją twarz. Będę ciął ją, dopóki nie zedrzesz sobie gardła, krzycząc, żebym przestał. Potem wytargam cię przez okno na przejście ewakuacyjne i zepchnę w dół, na beton, gdzie skończysz z połamaną każdą możliwą kością. Nie rób głupot, Marigold.

Jestem pewna, że moje źrenice rozszerzają się, bo dociera do mnie sens jego słów. Coś podpowiada mi, że byłby w stanie zrobić to wszystko nawet nie dlatego, żeby chronić swój tyłek, a dlatego, że ma już dość użerania się ze mną. Przechodzi mnie zimny prąd.

Willard ogląda moją twarz z bliskiej odległości.

– Ugryź się w język, zanim zrobisz coś, za co naprawdę cię załatwię.

Odwracam niewyraźny od łez wzrok, zagładając nim w mrok.

– Przecież powiedziałam, że będę milczeć.

– Mówiłem wcześniej, że sprawię, że się rozlecisz. Pamiętasz, prawda? Oczywiście, że to pamiętasz – wydycha, ocierając zażarcie wargi o moją szczękę. – A teraz... teraz mówię ci, że skończysz martwa, jeśli puścisz parę z tych pieprzonych ust.

Wydaje mi się, że właśnie tracę grunt pod nogami, chociaż to niedorzeczne. Willard zsuwa dłoń z mojej szyi i chwytając pomiędzy dwa palce moją brodę. Tym samym zmusza mnie, bym utkwiała w nim spojrzenie, kiedy przesuwa kciukiem po mojej dolnej wardze.

– Wiesz, że to jedyna rzecz w tobie, której widok można zdzierżyć? – pyta, jakby się nad czymś zastanawiał, a później milknie na dłuższy moment, nie przestając pieścić moich ust.

Nic nie rozumiem, ale nie odzywam się choćby słowem, stojąc nieruchomo.

– Są pełne i pięknie proszą – stwierdza wciąż poważnym tonem, obserwując moje usta. – Miękkie i tak kusząco napuchnięte, bo gdy jesteś śmiertelnie przerażona, bez przerwy skubiesz zębami wargę. Kurwa, jara mnie to, że są takie, bo przerażam cię właśnie ja.

Serce boleśnie wali mi o żebra. Nie umiem zebrać myśli do kupy. Willard wciąż wydaje się zły, ale też... zaintrygowany?

Nie, niemożliwe.

– Gdybym je tknął, dałbym ci coś, co na pewno nie należy się małej, wkurwiającej Harding – dopowiada ciszej, ciągnąc moją wargę kciukiem w dół. – Bo zamknęłabyś oczy, nie widziała mojej twarzy i pomyślała... że nikt nie zagarniał ich dla siebie w ten zajebisty sposób.

Niepokój rozsadza mnie od środka. Co on mówi i najlepszego wyprawia? Dlaczego mimo dyskomfortu, który czuję, uderza też we mnie przekłete gorąco?

– Wypluła bym przed siebie żołądek – wyrzywa mi się.

Chłopak patrzy mi w oczy. Przechodzą mnie ciarki, bo jego wygłodniałe spojrzenie skupione na mojej twarzy jest nieprzyzwoicie wulgarnym, ale też budzącym we mnie coś pokręconego doznaniem. *Chryste nie*, karcę się. *Ono nie wywiera na mnie żadnego wpływu.*

– Otarła byś się o mnie, chcąc więcej.

Prześląkam napięciem wbrew własnej woli.

– Bzdura – wyrzucam, czując już nie tyle panikę, co irytację.

Co on sobie wyobraża? Że mogłabym chcieć, by mnie całował? On? Ktoś tak niezrównoważony? Ktoś mający tak nierówno pod sufitem? Ktoś, kto ciągle mnie dręczy i kto grozi, że załatwi mnie w okropny sposób... Wypuszczam bezpruderyjny, niechciany jęk.

Willard ociera się o mnie, a ja czuję, co kryje się w jego spodniach.

Zziajana przysmykam powieki. Pierwszy pot oblewa moje skronie. Ten drań chowa w dłoniach moje policzki. Oddycham mu w twarz, a on oddycha w moją. Jesteśmy naprawdę blisko w maleńkiej klitce, w której unosi się zapach chemikaliów.

Przenosi jedną dłoń na mój kark, trzymając go w uścisku.

– Sama wystawiła byś mi się jak na talerzu, potrzebując więcej – mówi pewny siebie, znowu śmiało się o mnie ocierając. Zaciskam usta w wąską linię, by nic nie wydostało się spomiędzy nich, ponieważ coś kompletnie pojebanego przeszywa mnie na wskroś.

Skurcz w dole brzucha daje o sobie znać, ale mimo to brnę w zaparte.

– Przestań wymyślać głupoty, Willard.

Ale jemu ani się śni mnie słuchać, bo łapie w zęby moją wargę, a potem puszcza ją, pozostawiając na niej pulsowanie. Trzymam w sobie sapnięcie, czując się paskudnie z wiedzą, że moje ciało rzeczywiście lgnie do kogoś takiego jak on. Dlaczego ono to robi? Jak mam je zmusić, żeby tak jak głowa czuło do niego tylko obrzydzenie? Nie chcę od niego niczego.

Tak bardzo nie chcę od niego niczego.

Otwieram dotychczas zamknięte oczy. Willard pomrukuje cicho w moją szyję, naznaczając ją pociągłym liźnięciem. A kiedy jego język dosięga mojej zuchwy, zaraz prosto w moje usta trafiają jego kolejne słowa:

– Więc napałbym na ciebie tak mocno, że prawie udusiłabyś się, nie mogąc złapać oddechu, ale nie odsunęła chociażby odrobinę, bo nie miałabyś dość.

Zaciskam pięści na jego czarnej bluzie.

– Miałabym dość.

– Miałabyś wciąż zamknięte oczy. – Jego chrapliwy głos wysyła po moim ciele falę niechcianego ciepła. – Myślałabyś o tym, że ktokolwiek obchodzi się z tobą dokładnie tak, w którymś momencie sprawi, że oszalejesz, jeśli przestanie albo też tego nie zrobi.

Willard wciska palce w mój kark, na co aż rozchyłam z szoku usta. Chłopak uśmiecha się kącikiem swoich i dyszy mi w moje, patrząc wprost na mnie. Dopiero teraz orientuję się, jak potwornie jest mi słabo. Powietrze w niedużej przestrzeni zdaje się wręcz parne.

Również nie uciekam spojrzeniem od jego twarzy. Staram się przegnać z głowy każdą myśl, która podpowiada mi, jak bardzo – oprócz tego, że się boję – jestem też rozpalona, ponieważ Willard ponownie daje mi poczuć to, co przebija się przez jego spodnie.

– Nie dałabym ci przywłaszczyć sobie ani moich ust, ani... ani niczego, draniu – wyduszam w końcu kompletnie zagubiona w tym, co się ze mną dzieje. Mocniej ściskam w dłoniach materiał bluzy na jego torsie.

Nie chcę, by moje ciało tak się ku niemu wyrывało. Nie chcę tego, bo moja głowa gardzi jego dotykiem.

– Nie dałabyś rady złożyć głupiego zdania, gdybym kąsał te wargi do upadłego, Marigold – kontruje spokojnie chłopak, nie przerywając naszego kontaktu wzrokowego. – Gdybym posadził twój tyłek na parapecie obok. Bezczelnie rozsunał twoje nogi, a potem stanął pomiędzy nimi. Przyparł sobą do okna, zupełnie zdominował i osaczył, aż w końcu cholernie niedelikatnie sprawdzał, ile tak właściwie są w stanie wytrzymać te wyszczekane usta.

Co tu się, ja pierdołę, dzieje? Najpierw groził, że wypchnie mnie z okna, jeśli wygadam, czym się zajmuję. Następnie mówił, że jestem obrzydliwa i jedyne, co jest we mnie ładne, to usta, a teraz jara go wyobrażenie tego, że robi z nimi nie wiadomo co?

Willard trąca swoim nosem mój, później bierze w zęby tym razem moją górną wargę, jakby drażnienie się ze mną doprowadzało go do popieprzonej ekstazy. Kiedy zostawia ją samą sobie, nie umiem powstrzymać westchnienia. Gapimy się na siebie, trwając w ciemnościach. Jego oczy łakną mojej uwagi, a w moich błyszczą pierwsze łzy, bo nie chcę, żeby jego dotyk oddziaływał tak na moje ciało. Nie chcę, żeby ono chciało go choćby w najmniejszym stopniu. Pot sływa mi po karku i plecach, jestem pewna, że Willard czuje go pod palcami.

Teraz przełyka i wydycha ponurym tonem:

– Myślę, że mógłbym je wykończyć w każdym znaczeniu tego słowa. Mógłbym nawet pobawić się w twojego pana i kazać nie dotykać ich nawet tobie, bo są moją własnością.

Zaciskam uda, a on... zsuwa dłoń z mojego karku i robi krok w tył.

– Szkoda tylko, że prędzej czy później czar by prysł – prychnął, burząc wszystko.

Opadam na ścianę, bo nie jestem w stanie ustać na wiotkich nogach. Oddycham szybko, czując się pełna ulgi. Mimo że moje ciało drży z niechcianego podniecenia, czuję ulgę, bo nie chcę, nie chcę, nie chcę być dotykana ani chwili dłużej. Z transu wyrывa mnie stojący przede mną pośród czerni Willard i chłodna barwa głosu, którym się do mnie zwraca.

– Czar by prysł, bo otworzylibyśmy oczy, a ja przypomniałbym sobie, że moje ulubione usta mają właścicielkę, która straszy tym, jak wygląda i której tak kurewsko mocno nienawidzę. Która szuka kłopotów, kręcąc się blisko mnie. – Gdy to mówi, ponownie zaciskam pięści.

Nienawidzę siebie za to, że cokolwiek we mnie zareagowało na jego dotyk. Zaczynam też mocniej nienawidzić siebie, że cokolwiek we mnie oddziaływało na jego dotyk. Willard patrzy na mnie z daleka, a w jego oczach czai się upiorny, złośliwy błysk.

– Wtedy zamiast kosztować tych ust, miałbym ochotę je zszyc.

Wciąż czuję ślad jego zębów na wargach. Nie chcę go czuć.

– Jesteś tak strasznie pokręcony – szepczę prawie bezgłośnie.

Chłopak mierzy mnie spojrzeniem pozbawionym emocji.

– Nie zadzieraj ze mną, Marigold.

– Wiesz, że nie zamierzam.

– Nie wiem.

Zbliża się do mnie, ale zachowuje pewien dystans.

– Właśnie dlatego dopilnuję, żeby one... były zamknięte na kłódkę – mówiąc to, chłopak ponownie zaczepta kciuk na mojej wardze i układa ją bezwstydnie w podkówkę.

Strącam jego dłoń niemalże natychmiast.

– Jak? – dociekam przyciszonym tonem, nie spuszczać wzroku z jego oczu.

Mój wzrok już dawno przyzwyczał się do panującego w pomieszczeniu mroku. Teraz bez wysiłku mogę dostrzec, jak przez pokrytą bliznami twarz Willarda przemyka powaga w naprawdę czystej postaci. Brunet przekrzywia głowę i pstryka mnie palcem w policzek.

– Nie dam ci zapomnieć, co grozi ci, jeśli coś wymyślnie się spomiedzy nich.

Ponownie odczuwam strach. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek zejść z tej kolejki, którą przejażdżkę funduje mi na okrągło ten chłopak. Przy nim raz czuję się śmiertelnie przerażona, a innym razem rozłoszczona tym, na co sobie pozwala. W tym momencie mam wrażenie, że jestem zupełnie popaprana, bo nie wiem, co najlepszego się ze mną dzieje.

On mnie rozstraja. Rozstraja tak bardzo, że opadam z sił dzień za dniem. Zadzieram podbródek i zmęczona patrzę na niego z dołu.

– Będziesz mnie nadal dręczył – wysnuwam swój wniosek.

Willard nie protestuje. Jego oczy pozostają przesiąknięte przestroga.

– Nazywaj to, jak chcesz. Będę przypominał ci, że nie warto mówić za dużo.

Zwieszam ramiona i odczuwam bezsilność na samą myśl, że to będzie się działo wciąż i wciąż. Będzie mnie gnoił, będzie powtarzał mi, jak bardzo jestem żalosna, brzydka i na ile sposobów mnie zabije, jeśli nie będę milczeć jak grób. Zacerpuję długi, drżący wdech.

– Naprawdę nikomu nic nie powiem. Opuść mi. Po prostu... odpuść.

– Nie ufam ci. Choćby odrobinę.

Spuszczam wzrok, lecz chłopak podsuwa palec pod mój podbródek. Nie mam wyjścia. Muszę na powrót go unieść i odnaleźć w jego tęczęwkach paskudne zawzięcie. Mierzę się z bólem w dołku, bo Willard gapi się na mnie i unosi ledwie zauważalnie kącik swoich ust.

– Poza tym: uwierzysz, że zaczynam lubić to, że cię nie cierpię? – pyta. – To, jak się boisz. Ja pierdołę, zaczynam ubóstwiać widok tego, jak bardzo jesteś przerażona. Zastraszanie cię powoli wchodzi mi w krew, dasz wiarę, Marigold?

– Opuść.

Patrzę na niego i przeklinam to, jak bardzo jestem bezradna.

– Unikajmy się, zachowujmy tak, jakby nic się nie wydarzyło. Ani teraz, ani wcześniej. Nie chcę brać dłuższej udziału w twoich popapranych gierkach.

Przemawia przeze mnie desperacja, ale gdzieś mam już to, czy ten drań poczuje się jak ktoś, kto ma ogromną władzę. Po prostu nie chcę tak dalej. Nie chcę, żeby wykończył mnie do końca. Bo wiem, że jeśli to będzie trwało nadal, on w końcu to zrobi.

Willard ściga brwi. Patrzy na mnie z pobłażaniem.

– Kiedy ty nie wzięłaś udziału w niczym, co można nazwać popapranym. Ale bez obaw, jeszcze weźmiesz. Zaczniemy od zaraz – zapowiada i wbija mi szpilę w samo serce.

– Słucham? Willard... odpuść.

– Mamy chyba zadanie do odbębnienia, co? – przypomina. Brzmi, jakby uknuł coś, co jemu dostarczy rozrywki, a mnie niekoniecznie. – Ładnie się przyłoż, jeśli chcesz je zaliczyć.

Chłopak sięga palcami do moich ust po raz ostatni.

– A je... je lepiej trzymaj zamknięte – stwierdza po krótkim namyśle.

Nie poruszam się chociażby o cal, stojąc w miejscu niczym ślup.

– Przynajmniej dopóki nie zamknę oczu, żeby nie musieć patrzeć na paskudną ciebie i nie zażadam, żebyś rozchyliła je wyłącznie dla mnie. Jediną rzeczą, która jest w tobie ładna.

Willard zabiera rękę i raczy mnie krótkim spojrzeniem, zanim wycofuje się i wychodzi z klitki. Dopiero kiedy zostaję w niej sama, czuję, że mogę pozwolić sobie na to, by buzujące we mnie emocje znalazły ujście. Uderzam mocno otwartą dłonią w najbliższą ścianę.

– Drań – warczę rozzłoszczona, czując pod powiekami łyzy bezradności.

Zwieszam głowę i zaczerpuję powolne wdechy.

– Drań, drań, drań.

Powtarzam to jak mantrę, waląc raz za razem w twardą powierzchnię. Nie chciałam odkryć jego tajemnicy. Nie chciałam też, żeby moje ciało zareagowało na jego bliskość. Nie wiem już sama, co jest gorsze, ale nie muszę tego wiedzieć. Wystarczy mi, że wiem coś innego.

Wiem, że będę wciąż na celowniku Willarda Covingtona.

Wiem, że będzie mnie pilnował i zastraszał.

Wiem, że przez to wszystko w końcu oszaleję.

Również wychodzę z pomieszczenia gospodarczego. Zajęcia trwają już od dawna. Mam przecucie, że w czasie ich trwania, gdy będziemy z Willardem improwizować, on znowu da mi popalić. Na tę myśl z marszu zaczyna mnie bardziej mdlić. Jak mam się od niego uwolnić?

Wchodzę na salę i przemykam niezauważona do swojego rzędu. Dwójka studentów prezentuje swoją pracę na scenie, więc profesorka skupia się na nich. Siadam na miejscu, próbując nie pokazać po sobie, że coś jest nie tak. Alex czujnie mi się przygląda.

– Długo cię nie było – mówi, marszcząc przy tym brwi.

– Zrobiło mi się niedobrze. To wszystko.

– Ale już czujesz się lepiej? – upewnia się.

Kiwam głową, rzecz jasna idealnie kłamiąc.

– Tak. Dużo par już się zaprezentowało?

– Kilka. My z Nellie poszliśmy na pierwszy ogień.

Wykrzywiam usta w grymasie.

– Serio? Przegapiłam was?

– Nic nie straciłaś. – Alex wzrusza krótko ramionami, uciekając spojrzeniem na scenę. – Graliśmy parę, która musi się rozstać, bo oboje wyjeżdżamy na studia do innego stanu.

Również spoglądam w tamtym kierunku i czuję większe zdenerwowanie.

– To musiało być emocjonujące – stwierdzam mimo wszystko.

Oczami wyobraźni widzę, jak Alex uśmiecha się delikatnie.

– Mam nadzieję. A wy? Co będziecie odgrywać?

Odwracam głowę i zerkam na Willarda. Chłopak siedzi wygodnie na fotelu, wpatrzony w scenę, jednak gdy orientuje się, że się w niego wpatruję, przenosi wzrok na moją twarz. Przez głowę przemyka mi myśl, że cokolwiek to będzie, zapamiętam to na długo.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

MARIGOLD

Serce podchodzi mi do gardła, gdy kobieta prowadząca zajęcia przywołuje do siebie mnie i Willarda. Przez kilka pierwszych sekund nie podnoszę się z fotela. Próbuję zebrać się w sobie i przygotować na oblanie zadania oraz najpewniej kolejne gierki mojego sąsiada, lecz robię to na marne. Nie ma szans, że poczuję się gotowa na konfrontację z kimś takim jak on.

Z wściekłym, pokręconym świrem, którego tajemnicę przypadkowo odkryłam i który teraz ma powód, by uwziąć się na mnie jeszcze bardziej, niż zrobił to już wcześniej. Bez dłuższej zwłoki wstaję i ruszam do wyjścia z rzędu, słysząc rzucone przez Alexa słowa otuchy. Wtopiona w mrok sali, gdzie tylko scenę oblewa światło reflektora, schodzę powoli po stopniach na sam dół schodów. Przechodzi mnie prąd, ponieważ nagle czuję dłoń na biodrze.

Dobrze wiem, do kogo należy.

Mimo że bardzo nie chcę w żaden sposób reagować, na moje ciało z niewyjaśnionego powodu oddziałuje dotyk Willarda. Za to moja głowa... Mam silne wrażenie, że zaraz zwariuję, bo znowu zaczyna wzbierać we mnie strach. Strącam rękę chłopaka. Potrzebuję, by nie przekraczał mojej przestrzeni. By nie robił tego nikt, a już szczególnie on. On, który nie pozwoli mi być od siebie daleko, ponieważ poznałam jego na pewno skrzętnie skrywany sekret.

Willard nachyla się nad moim uchem, kiedy idziemy do sceny.

– Panie przodem – mówi mi do niego przyciszonym tonem.

Drzę, bo wydycha wtedy powietrze w mój policzek. Jest taki szyderczy, złośliwy i... Chryste. Męczący. Męczący z tym, co robi, męczący z tym, co mówi, z tym, jak wciąż zamyka mnie w bańce swoich chorych sztuczek. Nie chciałam mu się narażać, odkąd zrozumiałam, że nie jest do końca normalny. Naprawdę go unikałam, lecz miałam po prostu przekłętą pecha.

Bo wszystko sprowadzało się do jednego: do jego w roli mojego prześladowcy oraz mnie w roli jego kozła ofiarnego, którym – jak sam twierdził – polubił poniewierać.

Odsuwam się na pewną odległość i zerkam na niego błagalnie.

– Nikomu nic nie powiem – szepczę konspiracyjnie. – Nie baw się mną.

Willard prychnął cicho.

– Nie ma ceny, którą mogłabyś zapłacić za moje zaufanie – stwierdza pewny swoich słów. – Nie zaufam, że będziesz milczeć w mojej sprawie. Uważaj, jakie wybory podejmujesz.

Groźba w jego głosie jest wręcz doskonale wyczuwalna, ale chłopak i tak ubiera ją w słowa:

– Uważaj, bo możesz za nie zawisnąć z pętlą wokół szyi, a ktokolwiek znajdzie cię taką, siną i martwą, pomyśli, że targnęłaś się na swoje życie, bo byłaś bardzo nieszczęśliwa. Właśnie tak to ukartuję, zanim mnie dościgną.

Nie wierzę, że mówi to wszystko z zimną krwią. Nachylony tuż nade mną, nikczemnie poważny i niebezpiecznie skupiony. Z trudem wytrzymuję nacisk jego mrocznego spojrzenia błędzącego po mojej niewidocznej dla niego w pełni przez wszechobecną czerń twarzy.

– Jesteś pojebany – wypalam bezradnie, czując się przegrana. Ponieważ wiem, że nie odpędzę się od niego za żadne skarby.

Cień arogancji przemyka przez jego brązowe oczy.

– Będę jeszcze bardziej popierdolony, jeśli tak zdołam cię uciszyć, Gold.

– Nie kpiluj sobie ze mnie. – Mam na myśli przezwisko, które już kiedyś mi nadał. – Odwal się i, cholera... Po prostu mnie zostaw. Będę cicho, daję słowo, że będę cicho.

Język płacze mi się z nerwów, ale im dłużej o tym wszystkim myślę i wyobrażam sobie, że Willard ciągle znęca się nade mną, tym bardziej chce mi się wyć.

Nie chciałam się w to wplątać. Nie w taką farsę.

– Chcesz dostać dobrą ocenę? – Brunet unosi brew.

Jesteśmy już praktycznie przy scenie, a światło reflektora dosięga nas w niedużym stopniu. Wtedy chłopak wyciąga znienacka dłoń do mojej twarzy i dotyka kciukiem warg.

– To się wykaż – dorzucą nonszalancko.

Następnie zabiera rękę, odwraca się do mnie plecami i wchodzi na scenę. Bałagan w mojej głowie jest nie do przepędzenia. Jestem straszliwie zestresowana zamiarami Willarda oraz tym, że zaraz zaczniemy improwizować, bo nie przygotowaliśmy się do zajęć.

Jestem też jednym wielkim i potwornie spanikowanym kłębkim nerwów. Podążam za chłopakiem oraz modłę się, by wyjść z tego cało. Może nie z dobrą oceną, ale po prostu cało.

– Harding i Covington – słyszę głos profesorki. – Gotowi?

To nie ja udzielam jej odpowiedzi. Robi to moja wyluzowana para.

– Tak.

– Jaka emocja dominuje w waszym występie? – docieka kobieta.

Zerkam w jej stronę i widzę, jak podgryza końcówkę długopisu, patrząc to na mnie, to na Willarda. Chłopak odwzajemnia jej spojrzenie, a później na ledwie sekundę patrzy w moim kierunku. Coś we mnie pęka, kiedy wyłapuję w jego oczach złowieszcze zadowolenie.

– Wściekłość – stwierdza po namyśle.

Strużka potu spływa mi po kręgosłupie, bo precyzuje:

– W naszym występie dominuje wściekłość, a nawet furia.

Prowadząca zajęcia odkłada długopis na bok i klaszcze głośno dłońmi.

– Och, tego jeszcze dzisiaj nie mieliśmy. Wspaniale, scena jest wasza.

Robi mi się przeraźliwie duszno z chwilą, w której dociera do mnie, że nadszedł moment naszej improwizacji. Przecucie podpowiada mi, że zacznie i pociągnie ją Willard. Sprawia wrażenie wręcz wniebowziętego z faktu, że może teraz zrobić cokolwiek mu się spodoba pod przykrywką „ukazania emocji”, jaką jest wściekłość, a nawet... furia.

Czuję się jak przynęta wystawiona dla wygłodniałego rekina. Czuję się taka, bo spojrzenie jego oczu wyraża nienasycenie. Nienasycenie przerażeniem, którego i tak odczuwam ogrom.

Boże jedyny. Willard zetrze mnie na miazgę.

Światło reflektora muska moją twarz, a ja patrzę na chłopaka z niewielkiej odległości. Czuję na sobie wzrok innych studentów i profesorki, gdy w końcu zdobywam się na to, żeby zrobić kilka kroków w stronę centralnej części sceny, gdzie stoi on. Przez cały czas towarzyszy mi nieodłączne zdenerwowanie, bo nie wiem, czego się spodziewać.

Mijam Willarda, żeby stanąć obok niego, a wtedy on przejmuje inicjatywę.

– Tak po prostu mijasz mnie bez słowa, Marigold? – pyta chłodno.

Niewidzialny węzeł zacieśnia się w moim gardle wręcz od razu.

– Nie rozumiem – wypowiadam te dwa słowa bardzo cichym tonem, jakby dużo mnie one kosztowały. – Nie mów, że oczekujesz ode mnie jakiegoś *miłego dnia*, Willard.

Chłopak parska pod nosem.

– Nie udawaj, że nie wiesz, o co mi chodzi.

Nieruchomieję, bo wtem wyrasta przede mną i zagraża mi drogę. Kolejna fala strachu przedziera się przez moje zastygłe mięśnie, bo Willard zbliża się do mnie bardziej tak, że stykamy się czubkami butów. Ogarnia mnie poczucie beznadziei. Cokolwiek zrobię albo powiem, nikt nie zauważy, że coś jest nie tak. Bo my przecież tylko gramy.

Bo przecież to wszystko jest przez nas wyreżyserowane i przygotowane.

To nie tak, że Willard przemyca teraz w to przedstawienie coś swojego. Swoją prawdziwą nienawiść względem mnie, którą jestem w stanie poczuć na własnej skórze, kiedy gapi się na mnie z góry i sięga po moją szczękę, na której zaciska swoje długie palce.

Cofam się o krok, chcąc zaznaczyć dystans pomiędzy nami, i dukam:

– Nie mam bladego pojęcia, o co ci chodzi, i odsuń się, bo trochę się zapędziłeś.

Willard zwięża oczy w nieprzyjemny sposób.

– Miałś mnie kryć – cedzi rozzłoszczony. – Tymczasem poleciałś do nich z wywieszonym jęzorem i mnie wydałaś. Wciąż nie wiesz, o czym mówię?

Szybko uświadamiam sobie, co on wyprawia. Wybałuszam oczy i rozdziawiam usta. On... on chce

mi pokazać, co stanie się ze mną, jeśli komukolwiek pisnę, czym się zajmuje. Co stanie się ze mną, jeśli komukolwiek wygadam, że zajmuje się dilerką.

Nie jestem pewna, czy to przetrwam.

– Ja... – zaczynam, lecz długo nie mówię nic więcej.

Nie mogę uwierzyć, że to robi, że tak sobie ze mną pogrywa. Stoi przy mnie wyprostowany oraz wściekły. Do tego patrzy na mnie, jakbym była zdradzieckim śmieciem. Wiem, że gdybym naprawdę go zdradziła, patrzyłby na mnie właśnie w ten sposób.

Utknęłam.

Utknęłam w głębokim bagnie, z którego nie będę mogła się wydostać. Chciałabym się mu postawić, ale jego nieobliczalność gasi mój zapal. Boję się, że Willard rzeczywiście spełni swoje groźby i nawet jeśli będę milczeć jak grób, sprawi, że skończę martwa.

Nie zwracając uwagi na nikogo, tylko na mnie, mówi oschle:

– Wkopałaś mnie. Teraz muszę się ukrywać, bo mnie szukają.

Obserwuje mnie obrzydzonym wzrokiem.

– Teraz mam ochotę zrobić to, co mówiłem, że zrobię, jeśli mnie zdradzisz – dodaje, a mnie wydaje się, że krew odpływa mi z twarzy, bo chłopak sięga do kieszeni. Wyławia z niej szczyryk, na którego widok wyrzucam z siebie sapnięcie.

Nie, nie, nie. On wcale się nim nie posłuży. Nie robi tego, wmawiam sobie, lecz chłopak ścisną go mocniej w dłoni. Następny huragan paniki przedziera się wtedy przez moje ciało.

– To wcale nie tak – zapewniam, nie musząc grać przerażonej.

Naprawdę się boję. Tak okropnie się go boję.

– Umiem dodać dwa do dwóch.

– Nie, nie wkopałam cię – powtarzam jak zacięta płyta.

Willard przekrzywia głowę i wypluwa mi w twarz obelgę.

– Żałosny kabel, a teraz jeszcze paskudna kłamczucha.

Nagle czuję ostrze przy swoim gardle. Chłopak w przeciągu ułamka sekundy szarpie mną niczym laleczką i przystawia mi szczyryk właśnie tam. Nabieram pospieszny wdech, nie mogąc choćby przekręcić głowy i spojrzeć w bok, przywołać kogoś błagalnym spojrzeniem, żeby przerwał to, co wyprawia się na scenie. To wściekle ostrzeżenie wściekłego Willarda.

Oczy szklą mi się samoistnie, ponieważ bije od niego furia, o której wcześniej mówił. Szarpie się delikatnie, lecz on dba, żebym nie miała szansy się uwolnić.

– Willard, nie żartuj tak sobie – wydycham. – To nie jest zabawne.

Wydaje się w jakimś szaleńczym transie, kiedy wydusza ryk:

– Uwierz, że nie jest mi, kurwa, do śmiechu! – Brzmi na prawdziwie rozłoszczonego. – Po co ci to było, co? Po co wyśpiewałaś im wszystko? Po co, skoro wiedziałaś, że jeśli mnie wkopiesz, to mnie popamiętasz?!

Załamana zamykam oczy.

– Schowaj to, proszę.

Czuję jego oddech na jeszcze suchym policzku.

– Teraz prosisz? – pyta zasapany.

Jestem na swojej granicy. Dokładnie na niej.

– Powiniennem być bardziej zadbać o to, żebyś zastanowiła się dwa razy, zanim postanowisz puścić parę z ust – kontynuuje, a jego spojrzenie mknie po mojej twarzy, czuję to lepiej niż dobrze, mimo że nadal mam zamknięte oczy. – Byłem dla ciebie zbyt wyrozumiały, skoro zamiast cię pilnować, tak po prostu uwierzyłem, że mnie nie wkopiesz.

Na ślepo oplatam palcami przedramię ręki, w której trzyma przedmiot.

– Zabierz to – szepczę. – Poważnie, zabierz ten szczyryk jak najdalej, Willard.

Ale on nie słucha, chociaż wciskam paznokcie w jego skórę naprawdę mocno.

– Nie powiniennem być ci ufać choćby odrobinę.

Uchylam powieki. Oczy pieką mnie od łez, które nie są wywoływane na pokaz. Pokonana nie spuszcza niewyraźnego spojrzenia z pokręconego Willarda i jestem pewna, że on to widzi. Widzi, co mi robi, widzi, jak mnie wykańcza i widzi, jak bardzo się go boję.

Ale właśnie na tym mu zależało. Na takim widoku. Żadnym innym. Chciał mieć pewność, że rozumiem jego ostrzeżenie. Otrzymał ją.

– To musi być nieporozumienie – zapewniam go. – Nie wydałam cię.

Chłopak chwyta mnie za kark. Przystawia mi bardziej ostrze do gardła i patrzy to na nie, to w moje załzawione, na pewno przeniknięte łękiem oczy.

– Przecież wiedziałam, że jeśli czegoś mi nie podarujesz, to właśnie tego.

– A jednak to zrobiłaś – upiera się.

Obraca scyzoryk i styka tępą część z moją krtanią.

– Willard! – wydzieram się, dysząc spazmatycznie.

Pierwsza łza kreśli ślad po mojej twarzy.

– Proszę... proszę, zabierz to ode mnie – wyduszam rozbita, nie mogąc dłużej wytrzymać jego pokazu. Pokazu jego szaleństwa i tego, jak dowodzi mi, że stać go na absolutne wszystko. Wierzę mu. Wierzę mu, że nie cofnie się przed niczym.

Jego mina pozostaje kamienna, gdy skraca dystans dzielący nasze usta.

– Nie masz prawa, kurwa, zwracać się do mnie z „proszę” – zaznacza.

Mam wrażenie, jakby coś stanęło mi gdzieś w przełyku. Czuję, jak wypełnia mnie silna obawa. Scyzoryk ciągle styka się delikatnie z moją skórą tępą stroną, a ja po cichu wariuję, bo nie wiem, jak mam przebłągać Willarda, żeby się ocknął i wycofał.

– Cofnij się, błagam cię – wykrztuszam wycieńczona, przełykając łzy.

Te spływają mi ciurkiem po brodzie, wprost na dłoń nieprzejętego chłopaka.

– Wplątałaś mnie w syf, ale siebie wplątałaś w jeszcze większy – odpowiada, przyglądając mi się z bardzo bliska. – Bo ja się jakoś z tego wykaraskam. Ale ty... ty skończysz martwa.

Zaczerpuję z trudem powietrze i krztuszę się nim niespodziewanie. Willard ma to gdzieś. Pozostaje niewzruszony, zacięty i zimny.

– Miałas rację. Naprawdę ci tego nie podaruję, Marigold.

Mówi to, po czym wypuszcza szept do mojego ucha:

– Zastanów się dobrze, czy chcesz powtórkę.

Ulga przetacza się przez całą mnie, bo chłopak chowa scyzoryk do kieszeni, robi parę kroków w tył i, nie czekając na komentarz kobiety, która ma nas ocenić, schodzi ze sceny. Wycieram łzy, próbując jakkolwiek uspokoić niemiłosiernie kołatające w piersi serce. Gdy patrzę ukradkiem na siedzącą w czerni publiczność, widzę, że większość osób gapi się na Willarda z szeroko otwartymi ustami. Popisał się. Sukinsyn wprawił każdego w osłupienie.

Czuję jednocześnie wycieńczenie, strach, nienawiść i gniew. W moich oczach znowu stają łzy, tym razem złości. Bo Willard traktuje to nie tylko jak dbanie o swój interes, ale też jak rozrywkę. Zdradza to jego mrocznie uniesiony kącik ust, który widzę z daleka.

Zaciskam pięści.

Na ziemię przywraca mnie głos prowadzącej:

– Tak, to była wściekłość. – Kobieta chrząka, jakby dopiero teraz coś wytrąciło ją z chwilowego zamyślenia, i patrzy na miejsce, gdzie zdążył usiąść już pieprzony Willard Covington. – Bardzo realistycznie przedstawiona emocja. Gratuluję.

Szybko i ja otrzymuję komentarz do swojego „występu”.

– Tobie też, panno Harding. Panika wyszła pani naprawdę przyzwoicie.

Nic na to nie odpowiadam. Jedyne schodzę ze sceny i upokorzona mknę przez schody do swojego rzędu. Jak moja panika mogła nie wyjść przyzwoicie, skoro prawda jest taka, że bałam się nie na żarty, że ten pojeb wbije mi bez ceregieli scyzoryk w gardło?

Przecieram powoli przegubem ręki okropnie szczypiące od łez oczy.

– Wow, to było... naprawdę dobre – stwierdza szczerze Alex, kiedy siadam już obok niego, mierząc się z poniżeniem, które wciąż i wciąż mocno odczuwam.

Wpatrzona w scenę kiwam głową niby w podziękowaniu.

– Długo się przygotowywaliśmy – kłamię cicho.

– No i na coś się przydała ta jego brzydka mordka.

Słyszając westchnienie chłopaka, zerkam na niego.

– Wyszedł wiarygodnie jako psychol – tłumaczy.

Postanawiam milczeć. Całe szczęście ja i Willard okazujemy się ostatnią parą na dzisiaj, ponieważ zajęcia dobiegają końca. Słyszając, jak prowadząca obwieszcza tę wiadomość, zrywam się jak oparzona ze swojego miejsca, chcąc po prostu się stąd wydostać. Znaleźć w sklepie, zająć myśli pracą i chociaż trochę odsapnąć.

– Muszę lecieć – mówię do Alexa. – Za niedługo zacznę zmianę.

Zgarniam w pośpiechu rzeczy do torebki, nie odwracając głowy. Wiem, kto mi się przygląda, i nie czuję się z tym komfortowo.

– Mari? – zagaja Findlay, lecz kiedy mimowolnie się spinam, on coś sobie przypomina i błyskawicznie się poprawia: – Ugh, przepraszam. Marigold.

Spoglądam na niego pytająco.

– Tak?

– Może chciałabyś wyskoczyć ze mną na randkę po skończonej zmianie?

Wykrzywiam dyskretnie usta, bo nie dość, że jestem dzisiaj kompletnie wypompowana psychicznie przez Willarda, to nie jestem też dziewczyną, z którą randka mogłaby być fajna. Alex tylko by się zawiódł. Poza tym nie dałabym rady... czegoś mu zaoferować.

Przez kilkanaście sekund milczę, a on wpatruje się we mnie wyczekująco.

– Przykro mi, Alex, ale po pracy jedyne, o czym zazwyczaj marzę, to zapadnięcie w sen zimowy – odpowiadam nareszcie, czując się nieco źle z tym, że go spławiam.

Ale zostanie przyjaciółmi wyjdzie nam na dobre.

– No tak – przytakuje szatyn, drapiąc się dłonią z tyłu głowy. – Źle dzisiaj spałaś. No nic, pamiętaj, że moja propozycja jest aktualna w dzień i w nocy, zawsze i wszędzie.

– Może pocieszysz się Nellie? – proponuję ze słabym uśmiechem.

Alex ściąga brwi i odwzajemnia gest.

– Po prostu dam ci się wyspać. Nigdzie mi się nie śpieszy.

Wstaję i zawieszam sobie na ramieniu łańcuszek torebki. Nie mam teraz głowy do tego, żeby zastanawiać się, jak przekazać Alexowi, że wołałabym, by nasza relacja była czysto przyjacielska. Załatwię to innym razem. Może na jutrzejszych zajęciach. Oby Willard je opuścił. Marzę o tym, żebyśmy zachowywali się wobec siebie, jakbyśmy nie istnieli.

– Naprawdę muszę już lecieć – rzucam przepraszająco do chłopaka, opuszczając ręce wzdłuż tułowia. – Nie chcę narazić się twoim rodzicom spóźnieniem.

Alex macha ręką w powietrzu, jakby nie potrzebował moich tłumaczeń.

– Powodzenia. W razie czego, jeśli jednak znajdziesz siły, żeby gdzieś później wyjść...

– Dam ci znać – przerywam mu i ostatni raz się uśmiecham. – Dziękuję za wszystko.

Wychodząc z sali teatralnej, nie patrzę ani razu tam, gdzie nie powinnam.

W pracy nie ma zbyt dużego ruchu. Myślę, że to wina ulewy, która dzisiaj przechodzi nad Nowym Jorkiem. Strugi deszczu uderzają mocno o szklaną witrynę i mieszają się z muzyką wypełniającą cały sklep. Nie mając się czym zająć, nurkuję pod ladę, żeby zabrać stamtąd grafik na kilka najbliższych tygodni i sprawdzić, czy pan Findlay rzeczywiście dostosował go do moich zajęć na uczelni. Jak na złość przez długi czas nie mogę go odnaleźć w bałaganie.

Zaaferowana poszukiwaniami nie orientuję się, że ktoś znalazł się w środku.

– Dobry wieczór – słyszę męski, zachrypnięty głos. – Szukam prezentu.

Spinam się w zaledwie ułamku sekundy i przełykam ślinę.

– Słucham? – wyduszam oniemiała.

Lekko drzę, mimo że nie znam stojącego przede mną klienta. To blondyn, dość niski, nieprzypominający zupełnie kogoś, kto uczestniczył w moim niedawnym koszmarze, który zaczynał się podobnie. Przykładam dłoń do czoła, powtarzając sobie w duchu, że muszę wziąć się w garść. Przecież to tylko nieznajomy poszukujący dla kogoś prezentu. *Nie wariuj, kretyńko.*

– Przepraszam? – dorzuca mężczyzna. – Coś się stało?

Niemalże natychmiast kręcę głową.

– Nie, wszystko w porządku.

– Na pewno? Zbladła pani.

– Tak, na sto procent – potwierdzam bardziej zdecydowanym tonem, obchodząc ladę i mknąc do ułożonych na wystawie płyt. – Niech mi pan wybaczy, trochę mnie pan przstraszył.

Blondyn posyła mi serdeczny uśmiech. Tkwią w nim też nieme przeprosiny.

– Prezent... – powtarzam szeptem. – Już czegoś poszukamy.

Przez kolejne minuty koncentruję się na tym, by pomóc klientowi w wyborze płyty winylowej dla córki, która bardzo lubi jakiegoś tam piosenkarza. Dopiero gdy mężczyzna płaci za swój zakup i wychodzi ze sklepu, pozwalam sobie na odetchnięcie pełną piersią. Nie wierzę.

Nie wierzę, jak mocno uwiązana ciągle się czuję, chociaż to przecież głupie.

– Do diabła z tym – wypalam, chcąc już tylko iść do domu.

Dopiero po kilku dłużących mi się godzinach, kiedy na zegarze zawieszonym na ścianie wskazówki wskazują dziewiątą wieczorem, ogarniam cały sklep, zamykam go i ruszam w drogę powrotną na niesławny Bronx. Tam jak zwykle wita mnie ponura aura, którą tylko podbija fakt, że jest dzisiaj okropnie deszczowo i pochmurnie. Okrywam się szczelniej kurtką i staram jak najszybciej przemknąć do właściwego bloku, nie zostając przy tym zauważona.

Jestem już blisko celu. Wtem dostrzegam zakapturzoną postać klęczącą na mokrym betonie. Wypuszczam przyspieszony od wysiłku oddech, ukradkiem spoglądając na osobę, która moczy szmatę w wiaderku obok i myje nią podłogę. Orientuję się, że jest ono brudne.

Brudne od krwi.

Deszcz może i ułatwia jej zmycie, ale nie zmywa jej sam. Przypominam sobie słowa Willarda, które wcześniej do mnie skierował: „samobójcy spadają właśnie na ten beton”. Przechodzi mnie dreszcz. Czyli ktoś rzucił się z przejścia ewakuacyjnego, kiedy byłam w pracy.

Krople wody spływają mi po twarzy. Szczękając z zimna zębami, przyspieszam kroku. Mijam tajemniczą postać, lecz właśnie wtedy ona odwraca się w moim kierunku. Przez kaptur, który ma na głowie, niewiele widzę, lecz te oczy... te paskudne oczy. Szlag by to. Willard.

Przecież podobno on sprząta ten syf, uświadamiam sobie.

Dlaczego? Nie wiem.

Nie mam czasu się nad tym zastanawiać. Zrywam się od razu do biegu, ale on jest szybszy. Jest szybszy, straszny i oplata lodowatymi palcami moje nadgarstki, przytrzymując mnie przy sobie z jakimś kolejnym pojebanym zamiarem, który mnie przeraża.

Dusi mnie protest, którego nie mogę wypowiedzieć na głos przez szok.

– Tak po prostu mijasz mnie bez słowa, Marigold? – pyta kpiąco chłopak, nawiązując do tego, co wydarzyło się na zajęciach, a co wciąż przyprawia mnie o mdłości.

Znajduję się już chyba na swoim skraju, a on trzyma mnie przy sobie za nadgarstki tak, że stoimy ciało przy ciele. Nasze ubrania są przemoknięte do cna i cholernie ciężkie, czuję, jak moje przylepiają mi się do skóry, ograniczając pole manewru. Przelykam wodę spływającą po wystawionej na ulewę twarzy i patrzę błagalnie na Willarda, który wygląda upiornie z ciemnymi, mokrymi mimo założonego kaptura włosami. Otoczona nim, mrokiem i nadal padającym deszczem błędzę spojrzeniem po jego pociągłych, szkaradnych bliznach biegnących od szczęki przez policzki aż do skroni.

Trzęsę się z zimna i nerwów. To mnie już przerasta i przytłacza.

– Naprawdę nie musimy się do siebie odzywać – wypowiadam te słowa niemalże bezgłośnie. – Nie musimy się nawet znać. Mogę nie wiedzieć, kim jesteś ani co robisz, mogę...

Willard ukróca moje zapewnienia szarpnięciem.

– Skończ pieprzyć – ucisza mnie nieprzyjemnym tonem, cedząc mi te dwa słowa prosto w oczy. – Nie jestem idiotą, żeby bawić się w udawanie, że nic nie jest na rzeczy.

– Ale co jest na rzeczy? Wypieram z pamięci to, co się dzisiaj stało. Nie chcę o tym pamiętać ani tym bardziej o tym komuś mówić. Nie jesteś pępkiem świata, żebym miała chwalić się na prawo i lewo, że bawisz się w dilerkę.

Odwracam wzrok i zagryzam wargę.

– Jesteś mi tak strasznie obojętny.

Znowu spoglądam na chłopaka i powtarzam przez ściśnięte gardło:

– Jesteś mi tak kurewsko obojętny, Willard.

Chłopak nie spuszcza ze mnie niewzruszonego spojrzenia, a uścisk jego palców wokół moich nadgarstków nie staje się lżejszy choćby przez głupią sekundę. Pochłaniam zimno do płuc, pociągając nosem, i również wlepiam w niego swój potwornie zmęczony wzrok.

– Co mam zrobić, żebyś uwierzył mi chociaż w maleńkim stopniu, że nic nie powiem? – kontynuuję wykończona. – Nie mam w tym żadnego interesu. Choćby najmniejszego.

Żrenice Willarda rozszerzają się w irytacji. Znowu zostają przez niego szarpnięta. On nie ma w sobie ani odrobiny delikatności. Jest nieczuły, nerwowy oraz niesamowicie wybuchowy, jak gdyby tylko tak umiał sobie radzić: złowieszczą przemocą, nieokielznaną agresją i bestialską siłą. Chłopak przyciąga mnie do siebie bez trudu. Jego usta niemalże opadają na moje, gdy zaczyna mówić do mnie w nieustającym gniewie.

– Nie dam sobie zrujnować planów, bo po drodze napatoczyła się pieprzona Marigold Harding, rozumiesz? – wypluwa mi to w wargi. – Nie dam. Sobie. Do kurwy. Skomplikować życia, bo mi się napatoczyłaś. Mam wszystko skrzętnie zaplanowane. Nic ani nikt nie może tego zburzyć. Nie zburzysz mi tego pod żadnym pozorem, choćbym miał wyrwać ci język.

Jego rosłe, dwumetrowe ciało skutecznie zatrzymuje mnie przy sobie. Willard lustruje mnie rozbieganym w szaleństwie spojrzeniem, zwraca uwagę na każdy szczegół malujący się na mojej twarzy, na każdą emocję, na wszystko, co mu się okrutnie podoba.

– Oblatuje cię cykor, gdy jestem blisko? – docieka ponuro.

Milczę, niemiłosiernie trzęsąc się w jego uścisku.

– To dobrze. Tego chciałem dopiąć, wiesz?

– Tym teatrzykiem rano – napominam szeptem.

Willard gładzi kciukami moją mokrą skórę.

– Nim również – potwierdza. – Co? Przerazam cię?

Chcę utkwic wzrok gdzie indziej niż w jego ciemnych oczach, lecz on napiera swoim czołem na moje i nie pozwala mi na to. Uwalniam wtedy ściszony jęk, bo boli mnie siła, z jaką to robi oraz ta, którą wkłada w swój uścisk rąk. Woda skapująca z jego włosów sływa po moich skroniach i policzkach, a ciepło jego mięśni kontrastuje z chłodem nadchodzącej nocy.

Willard odczekuje kilka sekund, po czym rzuca cwanię:

– A przerazi cię myśl, że czasami mam ochotę znaleźć się w mieszkaniu na piętrze wyżej? – zastanawia się, a ja mimo szumu deszczu bardzo wyraźnie słyszę każde jego słowo i nie mogę się po nim otrząsnąć. Czy on byłby zdolny wtargnąć do mojego mieszkania?

Jakiś głos odzywa się w mojej głowie i podpowiada mi że tak, byłby.

– Popatrzeć przez chwilę na jego właścicielkę, gdy jest bezbronna, bo po prostu śpi – kontynuuje chłopak. – Albo... czy przerazi cię to, że zastanawiam się, czy jej oślizgła krew byłaby jeszcze trudniejsza do zdrapania z tego betonu niż kogokolwiek innego?

Załamana wiercę się przy nim i szamotam.

– Jesteś pokrecony – wyduszam gorączkowo. – Zostaw mnie!

Moja prośba nie robi żadnego wrażenia na moim napastniku. Willard nie przestaje wypowiadać kolejnych słów w maleńką przestrzeń pomiędzy naszymi zwróconymi ku sobie, mokrymi od deszczu twarzami.

– Może zaraz skończę to, co robię – wzdycha. – Może wrócę do siebie. Może znudzi mi się siedzenie w moim mieszkaniu i wpadnę do ciebie w odwiedziny?

Boże, nie. Nie chcę czuć się zagrożona również tam.

Lecz wiem, że będę.

– Przywitałabyś mnie z uśmiechem?

Wtem jego wargi muskają moje, ocierają się o nie jakby w potrzebie.

– Czy moje ulubione usta przywitałyby mnie z uśmiechem, Harding?

Odsuwam twarz, najdalej jak mogę. Ale to tylko żaloszny cał.

– Nie próbuj przyłazić – protestuję beznadziejnie. – Nie otworzę ci drzwi.

Brunet przejeżdża wargami po moim policzku, rozmazując po nim krople deszczu.

– Znam sposoby, by omijać takie przeszkody. Zwłaszcza jeśli mi na czymś zależy.

– Nie próbuj przychodzić – powtarzam jękliwie.

– Bo co? Musimy zacieśniać sąsiedzkie relacje, to chyba byłoby miłe? – Nadal czuję jego wargi muskające skórę. – Może i moja sąsiadka nie jest zbyt ładna, ale chętnie bliżej ją poznam... i dam jej odczuć, jakim potrafię być skurwielem.

Znowu przeszywa mnie czysty, paniczny strach.

– Już dałeś i cały czas dajesz mi to odczuć.

Wykorzystuję to, że Willard jest we mnie podejrzenie zapatrzone i wyszarpuję się z jego uścisku. Czym prędzej biegnę do klatki, ignorując silne kołatanie serca oraz trwającą ulewę. Na szczęście ktoś właśnie wychodzi z bloku, dlatego nie muszę na tym etapie wyławiać z torebki kluczy. Pędzę na siódme piętro, wchodzę do mieszkania i wkraczam w jego mrok.

Wplatom skostniałe palce w skołtunione, mokre włosy.

Dyszę głośno oraz ciężko.

Rozglądam się po zaciemnionej przestrzeni. Uwalniam bezsilny jęk. Nawet tutaj czuję się już zagrożona. Boję się, że Willard wcieli w życie swoje zamiary. Że wtargnie do mojego mieszkania, choćby dla rozrywki. Jestem zupełnie rozstrojona i bezradna. Ledwo powstrzymuję następne łzy. Opatulam dłońmi skostniałe ramiona i nie wiem. Nie wiem, co mam robić. Nie chcę tu być. Nie gdy on może tu wpaść i znowu się nade mną poznęcać.

Albo też zdobyć się na coś o wiele gorszego.

Robię to, co pierwsze przychodzi mi na myśl. Zsuwam z ramienia torebkę, przeszukuję ją, wyciągam z niej telefon. Przecieram drżącymi palcami brudny ekran i zaszklonym wzrokiem śledzę krótką listę kontaktów. Wybieram jeden z numerów, przyciskam urządzenie do ucha oraz odwracam się, żeby wlepić spojrzenie w stare drzwi. *Nie. Nie przechodź nimi. Nie teraz.*

Słyszac szmer po drugiej stronie słuchawki, wracam do rzeczywistości.

– Halo? – wykrztuszam.

– Marigold? – Alex jest porządnie zdziwiony. – Coś nie tak ze sklepem?

– Nie, tak tylko pomyślałam... – Robię krótką pauzę, żeby nabrać trochę powietrza. – Czy twoja propozycja wciąż jest aktualna? Chciałabym gdzieś z tobą wyjść, ale nie na randkę.

Ponownie patrzę na drzwi i czuję klucie w klatce piersiowej.

– Bardziej na przyjacielskie spotkanie – dopowiadam konkretniej.

Muszę znaleźć się daleko od niego. Chociaż ten jeden raz.

– Pewnie, przyjadę po ciebie jak najszybciej. Na Bronx?

– Na Bronx.

ROZDZIAŁ ÓSMY

MARIGOLD

KIEDYŚ

Grymas wstępuje na moją twarz, kiedy rozwiązując już chyba setne zadanie z matematyki, otrzymuję wynik, który nie okazuje się tym właściwym. Nie okazuje się nawet bliski temu zapisanemu z tyłu przeklętego podręcznika. Zamykam z trzaskiem książkę. Mam dość tego, że ten cholerny przedmiot nie chce mi wejść do głowy. Obleję jutrzejszy sprawdzian i to na bank.

Zirytowana przecieram twarz dłońmi, a potem opuszczam je z głośnym westchnieniem. Przez krótką chwilę zastanawiam się, czy dalsze wkuwanie ma w ogóle sens. Skoro kilka dni rozwiązywania zadań nic nie dało, co może dać mi kolejna noc spędzona przy książkach?

Nagle słyszę pukanie do drzwi.

Marszczę brwi, nie domyślając się, kto mógłby chcieć czegoś ode mnie o tej godzinie. Jest późny wieczór, kolacja odbyła się ponad dwie godziny temu, czyjaś obecność tutaj wydaje się co najmniej dziwna. Zwlekam się z krzesła i zdziwiona ruszam do drzwi, które otwieram z lekkim wahaniem. Na widok stojącego za nimi Mavericka czuję się delikatnie zaniepokojona. Czy coś przeszkrobałam? Zapomniałam o jakimś dyżurze na stołówce?

Dlaczego tutaj przyszedł?

– Cześć, Mari – wita się ze mną miękkim tonem, jak to ma w zwyczaju.

Gapię się na niego, a on kiwa głową w głąb pokoju.

– Mogę?

– Coś się... stało?

Mój opiekun zaprzecza.

– Zaraz jadę do siebie, ale przed tym chciałem z tobą porozmawiać.

– O czym?

Mężczyzna opiera się ramieniem o framugę drzwi, mrużąc oczy i patrząc na mnie z lekkim rozbawieniem. Wydaje się zrelaksowany, co w sumie podpowiada mi, że nic takiego nie zrobiłam. Nie żebym miała coś na sumieniu, ale mogłam zapomnieć o obowiązkach, które jednak musimy wykonywać w sierocińcu i które nieumyślnie olałam, ucząc się matmy.

– Nie mów, że moja Panna Uciekiniarka nie chce mnie wpuścić do swojego pokoju, bo ma jeszcze więcej tajemnic, o które bym jej nie podejrzewał.

Maverick uśmiecha się w bardzo atrakcyjny sposób i zakasuje rękawy ulubionej czarnej koszuli, w której wygląda... Rany, nie powinnam tak sądzić, ale wygląda w niej obłudnie.

Wzruszam ramionami i otwieram szerzej drzwi, by wpuścić go do środka. Nie mam w końcu nic do ukrycia. Zresztą przed nim nie muszę niczego ukrywać. Później ruszam ponownie do biurka i siadam na krześle, obracając się przodem do łóżka, na którym z kolei siada on.

Kiedy to robi, rozgląda się po niedużym pokoju, w którym panuje półmrok.

– Jak widzisz, pudło. Nie mam żadnych tajemnic, więc się rozgość – rzucam swobodnie, nie czując się już niekomfortowo z tym, że nie nazywam go jak reszta „panem Hudsonem”.

W ciągu ostatnich tygodni jakoś tak przyzwyczaiałam się do tego, że to po prostu Maverick. Mój opiekun, który ułatwia mi życie w sierocińcu, przymyka oko na moje nocne wyjścia i wspiera mnie. Słucha, gdy tego potrzebuję, a nawet zapewnia, że jak już wyniosę się na swoje, będę mogła na niego liczyć. To, co robi, jest naprawdę miłe. Bardzo miłe.

Patrzę, jak opiera przedramiona na kolanach i splata palce dłoni. Po niedługiej chwili koncentruje uwagę jedynie na mojej twarzy.

– Właściwie chciałem ci tylko przekazać, że od jutra nie będziesz mieszkać w tym pokoju sama – obwieszcza, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Twoją nową współlokatorką będzie niewiele młodsza

dziewczyna. Mam nadzieję, że się dogadacie.

– Okej – przytakuję od razu.

Czułam, że szybko zastąpią mi kimś Millie, więc nie jest to dla mnie żadne zaskoczenie.

– Też mam nadzieję, że się dotrzemy – dodaję jeszcze i posyłam Maverickowi uśmiech.

Mężczyzna odwzajemnia gest.

– Wierzę, że złapiecie wspólny język. Błagam, Mari, z tobą nie da się nie dogadać. Jesteś idealnym materiałem na kumpelę, a ja jestem szczęściarzem, że cię mam.

Czuję, jak rumieniec wstępuje na moją twarz. Staram się ukryć go pod warstwą włosów, ale myślę, że Maverickowi i tak nie umyka fakt, że palę buraka, bo mówi mi coś takiego. Nie dość, że słyszę coś takiego, to w dodatku pada z *jego* ust. A jeśli dojrzały, atrakcyjny i tak strasznie idealny mężczyzna prawi ci taki komplement... czujesz się jak w niebie.

No i piekielnie się zawstydzasz, bo nie wiesz, jak masz na to zareagować.

– Więc... jestem dobrą kumpelą? – dociekam, choć sama nie wiem dlaczego.

Może po prostu potrzebuję to usłyszeć? Podrywam nieco głowę i krzyżuję spojrzenie z Maverickiem. Robi mi się zdecydowanie cieplej, ponieważ jego oczy patrzą na mnie dokładnie tak... Z uwagą, zainteresowaniem, troską oraz przekonaniem.

– Nie mógłbym mieć lepszej – stwierdza pewnie.

W duchu skaczę z radości.

– Oby tylko moja nowa współlokatorka wybaczyła mi, jeśli przez przypadek oberwie książką od matmy, gdy w końcu postanowię się na niej wyżyć i rzucę nią w drzwi – pry cham z niezmiennym uśmiechem, wskazując skinieniem na podręcznik bezwiednie leżący na biurku.

Maverick ucieka spojrzeniem do jego blatu.

– Aż tak źle wam się współpracuje?

– Błagam, to jakieś nieporozumienie – tłumaczę mniej radosnym tonem. – Siedzę nad tym już trzeci dzień, a i tak nie ogarniam, dlaczego te wyniki wychodzą takie, a nie inne. Jutro mam ważny sprawdzian i jestem pewna, że go obleję.

Mężczyzna potrząsa głową na moje słowa.

– Nie mów tak. Bierz książkę i chodź tutaj.

Przez chwilę się nie odzywam. Po prostu wsłuchuję się w odgłosy wichury docierające do pokoju przez uchylone okno i patrzę na siedzącego na moim łóżku Mavericka. Wątle światło lampy znajdującej się na biurku pozwala mi dostrzec na jego twarzy czysty spokój. Jest poważny i w żadnym wypadku nie robi sobie ze mnie żartów.

Mrugam pospiesznie, nadal lekko zdezorientowana.

– Że tam? – upewniam się, wskazując na materac.

Brunet przesuwają się nieznacznie, by zrobić mi miejsce.

– Tak.

Skóra pali mnie na samą myśl, że moglibyśmy znaleźć się obok siebie.

– No... dobrze – odpieram zakłopotana, bo na łóżku nie ma zbyt wiele miejsca. Maverick jest za to bardzo postawnym mężczyzną, a ja nigdy nie byłam z żadnym tak bardzo, bardzo blisko. Wstając, pytam jeszcze: – Ale czekaj, po co? Chcesz mi tłumaczyć matkę?

Mój opiekun odpowiada mi kiwnięciem.

– No tak. Mogę być twoim prywatnym korepetytorem.

Narasta we mnie obawa. Cholera, nie chcę się zbłąźnić. Nie przed nim. Myślę, że chociaż to nieodpowiednie, Maverick trochę mi się podoba. Ale to przecież niewinne i chyba normalne. W końcu jest ideałem mężczyzny. No a tacy raczej imponują młodym dziewczynom.

W każdym razie nie czuję się jakoś paskudnie z tym, że mnie fascynuje. Przecież go nie podrywam ani nic z tych rzeczy. Po prostu po cichu zastanawiam się, co by było, gdyby ujrzał we mnie nie kumpelę, nie podopieczną, a dziewczynę... z którą chciałby być.

To i tak się nie wydarzy. On ma prawie trzydzieści lat. No i żonę. Gdy tylko sobie o tym przypominam, w połowie drogi do łóżka, zatrzymuję się w miejscu z książką w ręce i drapiąc się niezręcznie z tyłu głowy, wypuszczam ze zrezygnowaniem powietrze.

– Ale miałeś jechać do domu. Pewnie... ktoś tam na ciebie czeka.

Maverick marszczy czoło, obserwując mnie bacznie.

– Mari, nie zostawię cię, kiedy potrzebujesz pomocy. – Nie zastanawia się choćby sekundę nad tymi słowami. – Nieważne, kto by tam czekał, jesteś dla mnie zbyt ważna, żebym tak po prostu teraz wyszedł, wsiadł w samochód i odjechał do domu.

Ściskam mocniej między palcami grzbiet podręcznika i nie dowierzam, jak szybko kołacze moje serce. To szalone, że w przeciągu ułamka sekundy Maverick wprawił je w tak szaleńczy galop. Stojąc jak ślup i patrząc ufnie w jego cudowne oczy, w których migocze troska, myślę, że to takie dziwne. To, że ktoś mówi ci, że coś dla niego znaczysz.

Rozchylam usta, ale z wrażenia przez moment nic nie mogę powiedzieć.

– Jestem ważna? – wyduszam nareszcie. – Dla ciebie?

Maverick gestem ręki zachęca mnie, bym zajęła miejsce obok. Zmuszam nogi do ruchu i lgnę do niego. Łóżko naprawdę jest małe, piętrowe i ma drabinkę, dlatego gdy na nim siadam, stykamy się z mężczyzną zarówno ramionami jak i kolanami. Czuję na własnej skórze ciepło i siłę bijące od jego ciała i rety... Chyba zaczynam czuć się przy nim bezpiecznie.

Nagle duża, męska dłoń zamyka w uścisku mój policzek.

– Kochanie, spójrz na mnie.

Pieszczotliwy zwrot, który wypada spomiędzy ust Mavericka, przyprawia mnie o ciarki. Czym prędzej wykonuję jego polecenie, a stado motyli budzi się w moim podbrzuszu jak na zawołanie. Nasze twarze dzieli tak nieduży dystans, że czuję na wargach jego ciepły, spokojny oddech i przysięgam, że mogłabym zostać w tej pozycji dłużej.

Mężczyzna gładzi czule kciukiem kącik moich ust, oferując mi całą uwagę.

– Myślałam, że po śmierci mamy już dla nikogo nie będę ważna – szepczę.

Maverick znowu uśmiecha się delikatnie i szczerze.

– Och, Mari. Pomyliłaś się, wiesz?

Ja... wiem. Naprawdę dobrze to wiem. Łzy wzruszenia gromadzą się nagle pod moimi powiekami. Mój opiekun dostrzega to niemalże od razu, a mnie trudno pojąć, że ktoś tak szybko zauważa, że mam szkliste oczy. Nikt nigdy tego nie zauważał. Albo udawał, że nie zauważa.

– Zaraz się za to weźmiemy, a teraz daj się przytulić – mówiąc to miękkim tonem, brunet zsuwa ostrożnie dłoń z mojego policzka i z jej pomocą zabiera mi podręcznik, który do tej pory kurczowo trzymałam pomiędzy palcami. W czasie kiedy odkłada go na bok, ja wciąż wpatruję się w jego przystojną twarz, którą oświetla niewyraźne światło lampy stojącej na biurku.

Mężczyzna kładzie zachęcająco dłoń na moim udzie. Patrzę to na nią, to na niego.

– A jeśli ktoś wejdzie? – pytam niepewnie, bijąc się z myślami. – Mógłby pomyśleć, że to, co robimy, nie jest dobre, ale przecież ty tylko mnie pocieszasz... to nic złego, prawda?

Maverick od razu zaprzecza. Robi to bez zwłoki i bez grama zawahania.

– Oczywiście, że nie. To nic złego. To tylko pocieszanie mojej przyjaciółki.

– Tak, właśnie – przytakuję. – Dokładnie to.

Uśmiecham się wdzięcznie, a następnie przytulam do niego. Pierwsze, co uderza we mnie, gdy przyciskam policzek do jego twardej piersi, to jego zapach. Męski i cudowny. Ledwo powstrzymuję cichy, rozmarzony pomruk, kiedy Maverick zamyka mnie w ciasnym uścisku. Tego właśnie było mi trzeba. By ktoś uwięził mnie szczelnie między ramionami i zapewnił, że jestem dla niego naprawdę istotna, jak teraz robi to mój wspañiały on.

Wtem brunet wciąga mnie bez wysiłku na swoje kolana.

Aż podskakuję. Jest bardzo silny, lecz wcale mnie to nie dziwi. W końcu teraz dobrze wyczuwam jego mięśnie. Żaden chłopak z sierocińca nie jest tak duży i silny. Patrzę na Mavericka z początkowym niezrozumieniem, ale on posyła mi uśmiech, który wygląda jak zapewnienie, że wszystko jest w porządku. Siedzę na nim okrakiem i wtulam się w niego, najmocniej jak tylko mogę, chowając twarz w zagłębieniu jego szyi.

Ufam mu. *Wszystko jest w porządku.*

– Nikt tu nie wejdzie – mówi mi do ucha. – Dawson śpi.

Kąciki moich ust unoszą się ku górze.

– Jak zwykle. Tylko ty jesteś uważny.

– Muszę mieć w końcu was na oku, no nie?

– Pan Hudson jest nie do przechytrzenia – stwierdzam z rozbawieniem.

Poważniej jednak, bo przypominam sobie, że jeszcze parę tygodni temu i dla mnie był on po prostu panem Hudsonem. Był... po prostu człowiekiem, który pracuje w sierocińcu i pilnuje podopiecznych. Z upływającym czasem stał się jednak dla mnie kimś więcej. Stał się moim przyjacielem i kimś, kogo strata w tym momencie na pewno uderzyłaby we mnie mocno.

Myślę o tym, że miałby teraz odejść i mimowolnie obejmuję go mocniej. A on odwzajemnia mój uścisk i poprawia mnie na swoich kolanach.

– Na początku myślałam, że twoja obecność utrudni mi ostatnie miesiące tutaj – wyznaję. – Że okażesz się kłamcą i tak naprawdę wydasz mnie innym opiekunom. Powiesz im, że się wymykam... czy coś. Nie pomyślałam, że też staniesz się dla mnie kimś takim.

Odsuwam głowę od zagłębienia jego szyi, aby zajrzeć mu w oczy.

– Kimś, kogo tak polubię, Maverick – dokańczam nieśmiało, a mężczyzna przenosi spojrzenie na moje usta, lecz prędko wraca nim do moich oczu znajdujących się blisko jego.

– Nawet gdy te ostatnie miesiące upłyną, będziemy mieć kontakt, jasne?

– Jasne – zgadzam się z nim. – Tak, jasne.

Maverick zaczesuje mi kosmyk czarnych włosów za ucho.

– Będę pomagał ci stanąć na nogi. Nie dam ci się stoczyć, Mari.

– Wierzę, że nie dasz – potwierdzam, uśmiechając się do niego.

Brunet uwalnia westchnienie wprost w moje usta.

– Uwielbiam cię, kochanie – wyznaję niskim głosem.

Ponownie obejmuje dłonią mój policzek i styka nasze nosy.

– Z całego serca cię uwielbiam, moja mała ślicznotko.

Uszczęśliwiona pozwalam, żeby mój opiekun przyciągnął mnie do siebie mocniej wartkim szarpnięciem. Mam wrażenie, że siedząc na Mavericku i słysząc, że znowu mnie pociesza, gdy moje oczy szklą się ze wzruszenia, serce zaczyna mi topnieć. Wtedy jeszcze nie miałam bladego pojęcia, jak bardzo i szczerze znienawidzę to jego *moja mała ślicznotko*.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

MARIGOLD

Krople deszczu spływają po szybach sportowego samochodu Alexa, a ja patrzę na obskurne bloki, które mijamy, wyjeżdżając z niesławnego Bronxu. Mimo że oddalamy się od niego, jadąc w kierunku znanym tylko chłopakowi, wciąż odczuwam zdenerwowanie, bo pamiętam o tym, co powiedział mi kilkanaście minut temu Willard. Być może wpadnie w odwiedziny do mojego mieszkania. Być może zrobi mi krzywdę. Być może rzeczywiście udusi mnie gołymi rękami.

Męczy mnie to, jak się ze mną droczy.

A raczej to, jak mnie dręczy.

Wyprana z sił poprawiam się na wygodnym siedzeniu pasażera. Oprócz tego, że nadal gdzieś w żyłach krąży mi strach, czuję się nieswojo przez to, że siedzę w tak luksusowym aucie oraz głupio, że w ogóle zadzwoniłam po Alexa po tym, jak w południe go spławiłam. Nie powinnam była tego robić, ale naprawdę bałam się tego świra. Boże, jestem taka beznadziejna.

Egoistka, słyszę głos w swojej głowie. *Słaba, obrzydliwa egoistka.*

– Przepraszam – wyszeptuję znowu, zerkając niepewnie na Alexa.

Może miał inne plany i zlitował się nade mną, ponieważ przez telefon brzmiałam, jakby coś się stało? Staralam się, by nic takiego nie wychwytał, ale byłam roztrzęsiona i nie potrafiłam nad sobą panować, a ilekroć patrzyłam na drzwi, widziałam w nich *jego*.

Willard zawładnął moimi myślami. Podporządkował mnie sobie. Uwikłał mnie w swoje sidła. Teraz nie ma mowy, bym funkcjonowała normalnie. Choćbym próbowała, wszędzie jest on.

Alex prowadzi samochód ze swobodą i wzdycha.

– Nie przepraszaj już. Poważnie, nie miałem planów na wieczór, Marigold.

– Tak czy siak jest mi głupio, że zmieniałam zdanie tak nagle – odpowiadam markotnie, bo wiedza, że wykorzystałam go, byle tylko znaleźć się daleko od Willarda, smakuje gorzko.

Patrzę na znajomego jeszcze przez chwilę, po czym odwracam zmęczony wzrok do szyby i wbijam go w oświetloną panoramę Nowego Jorku widoczną za oknem. Nawet nocą oraz w nieciekawą deszczową pogodę miasto tętni życiem. Widzę wiele osób przechadzających się po chodnikach, ogrom aut poruszających się po ulicach oraz wielgachne drapacze chmur.

– Skąd ta zmiana decyzji? – dopytuje zaciekawiony Alex. – Nie chciałaś przypadkiem odpocząć i odespać ostatnich dni?

Na myśl natychmiast przychodzi mi kłamstwo.

– Chciałam, ale na Bronksie jest dzisiaj wyjątkowo głośno. Tam nie odpocznę, a tak to przynajmniej spędzę miło czas z tobą – odpieram bez zająknięcia, co najmniej jakbym karmienie kogoś perfidną nieprawdą miała we krwi.

Widzę w odbiciu szyby, że Alex kiwa zgodnie głową.

– Rozumiem. Pojedziemy więc tam, gdzie jest cicho.

– Gdzie? – dopytuję.

– Do mnie.

– Do ciebie?

Przekręcam głowę w bok i ponownie spoglądam na młodego mężczyznę jak zwykle ubranego w białą, elegancką koszulę. Zwracam uwagę na jego strój, kiedy wyciąga z kieszeni jeansów komórkę. Alex zatrzymuje auto przed skrzyżowaniem i odczytuje powiadomienia.

W międzyczasie rozwija myśl.

– Skoro chcesz posiedzieć gdzieś, gdzie jest cicho i spokojnie, po prostu posiedzimy u mnie. Tam nikt nie będzie nam przeszkadzał – odpowiada jak gdyby nic, a potem chowa telefon i krzyżuje ze mną spojrzenie. – No i skoro to nie randka, nie muszę stawać na głowie, by było idealnie. Mam nadzieję, że wiesz, że gdyby to była ona, to zadbałbym, żeby tak było?

Alex posyła mi swój popisowy uśmiech, więc również unoszę słabo kącik ust.

– Domyślam się.

Naprawdę przeczuwam, że akurat on postarałby się, żeby dziewczyna, którą zaprasza na randkę, poczuła się jak w niebie, ale nie chciałabym się o tym przekonać. Nie chciałabym się o tym przekonać, bo nie widzę dla nas żadnej przyszłości. Nie jestem materiałem na partnerkę. I mam pewność, że nie zdołałabym się przełamać, by kogoś pokochać.

Zastanawiam się nad tym wszystkim, a chłopak dociska pedał gazu, ruszając z miejsca. Wtem nawiedza mnie obawa. Dopiero teraz orientuję się, co tak właściwie zaproponował mi Alex – spędzenie czasu u niego, gdzie mieszka zupełnie sam. Odruchowo spinam się i po raz kolejny wiercę na fotelu. Nie chcę zostać z nim sam na sam na jego „terenie”.

Dlatego dość szybko tym razem to ja się odzywam:

– Wiesz co, Alex?

– Hm? – Szatyn zerka na mnie mimochodem.

– Odkąd tu jestem, nie miałam jeszcze okazji pozwiedzać Nowego Jorku.

– Naprawdę? – Wydaje się mocno zaskoczony.

– Może jednak pójdziemy na miasto? – proponuję z nadzieją.

Chłopak przez moment przyswaja to, co powiedziałam.

– Mi pasuje – stwierdza po namyśle i wyłapuje na ułamek sekundy moje spojrzenie, dodając cwanię: – Chętnie będę pierwszym, który ci je pokaże. Akurat przestało padać, więc nie musimy się nigdzie chować przed ulewą. Pogoda jednak nam sprzyja.

Zerkam na szyby. Rzeczywiście nie rozbija się już na nich deszcz. Rozluźniam się nieco. Wizja późnego wieczoru spędzonego na zwiedzaniu Nowego Jorku brzmi przyjemnie, chociaż Alex na pewno tak łatwo się nie podda i będzie próbował ze mną flirtować.

Nie mam pojęcia, co takiego we mnie zobaczył.

Willard miał rację. Nie jestem niczym, na czym warto zawiesić oko. Karczę się w duchu, gdy dociera do mnie, że kolejny raz wtargnął do mojej głowy. Boże, co on ze mną zrobił, że o czymkolwiek pomyślę, to i tak łączy się w jakiś popieprzony sposób z nim?

Postanawiam prędko dać się zagadać Alexowi.

– Co mi pokażesz? – pytam i uśmiecham się dla niepoznaki.

– A co chcesz zobaczyć? – odbija piłeczkę.

Próbuję przypomnieć sobie, z czego najbardziej słynie miasto.

– Nie wiem za dużo o Nowym Jorku, ale myślę, że Statua Wolności to coś, co powinnam obejrzeć w pierwszej kolejności. Jak prawdziwa turystka.

Alex przytakuje. Raczej podoba mu się mój wymyślony na gorąco pomysł.

– Znam miejsce, skąd widok na nią jest nieziemski – rzuca zadowolony.

Mrużę podejrzliwie oczy, nie spuszczając z niego wzroku.

– Jakiś punkt widokowy?

– Prawie.

– Okej – zgadzam się z nim. – Więc chodźmy tam.

Po kilkunastu minutach jazdy i rozmawiania o bzdurach Alex zatrzymuje samochód na parkingu nieco oddalonym od brzegu, skąd dobrze widać znajdującą się na horyzoncie Statuę Wolności. Wsiadamy z auta. Stajemy możliwie jak najbliżej barierki, o którą oboje opieramy się rękami. Uderza w nas wiatr. Ciemne włosy rozsypują się po mojej wykończonej twarzy.

Rozglądam się wokoło, napawając się widokami.

W okolicy kręci się może z kilkanaście osób. Otacza nas za to przytłaczająca panorama nocnego miasta, w tym ogrom wieżowców, które odbijają się w rzece. Przymykam na krótko powieki i wciągam rześkie powietrze do płuc. Jak dobrze. Jak dobrze chociaż przez moment nie czuć się obserwowaną. Nie czuć się osaczoną. Móc odetchnąć pełną piersią.

Otwieram oczy, dopiero słysząc głos stojącego obok Alexa.

– Marigold? – zaczyna niepewnie.

Odwracam się ku niemu.

– Tak?

– Twoje ręce... – Chłopak przenosi na nie spojrzenie i krzywi się.

Sama również wlepiam wzrok w swoje dłonie. Długie, sinoczerwone pręgi zdobią moje nadgarstki i jestem pewna, że powstały może z niecałą godzinę temu przez wbijające się w nie palce Willarda. Ten psychol trzymał mnie przy sobie naprawdę mocno, w czasie gdy staliśmy pośród szarego blokowiska wystawieni na ulewę. Wtedy musiałam się tego nabawić.

– To ślady po tym, jak on poszarpał cię rano? – pyta zmartwiony Findlay.

Marszczę brwi tak, że zapewne pojawia się pomiędzy nimi bruzda, bo przecież Willard nie tknął moich nadgarstków, kiedy staliśmy na scenie. Ale jeśli Alex tego nie pamięta, niech myśli, że zdobyłam te pręgi właśnie podczas występu. Wolę nie mówić mu o tym, że Covington mnie nęka, dręczy i codziennie daje mi popalić. Nie zamierzam pod żadnym pozorem poruszać jego tematu. Nie chcę się narażać, dlatego będę milczeć w temacie Willarda jak grób.

Zsuwam dłonie z poręczy i wsuwam je do kieszeni kurtki.

– Nie martw się, przecież to było udawane, Alex – zwracam się do chłopaka spokojnym tonem i patrzę na niego z równie spokojną miną. – Chcieliśmy wypaść wiarygodnie, dlatego mu na to pozwoliłam. No i zobacz, opłaciło się. Dostaliśmy świetne oceny.

Findlay wydaje się nieprzekonany.

– Ale to musiało i nadal musi cię boleć.

– Nie przesadzajmy – bagatelizuję to, co się stało.

Chociaż faktycznie zaczynam odczuwać dyskomfort, bo moje nadgarstki ścierają się z materiałem kurtki, który wyściela jej kieszenie. Zupełnie tak, jakbym ocknęła się z letargu oraz odczuwała teraz wszystkie bodźce ze zdwojoną siłą. Powstrzymuję grymas.

– Miałem ochotę do was zejść i mu przywalić – wyznaje Alex.

– To dopiero byłaby dobrze zagrana wściekłość – rzucam żartem.

Ale chłopak nie reaguje na to choćby uśmiechem, tylko wypuszcza wydech.

– Po prostu nie jesteś dziewczyną, którą można szarpać jak worek ziemniaków.

Duszę w sobie ciche: *jestem dziewczyną, którą od lat szarpie się jak worek ziemniaków*. Zamiast wypowiedzieć te słowa na głos, na powrót przenoszę spojrzenie w dal, wprost na wysepkę otoczoną nocnym niebem, gdzie znajduje się okazała Statua Wolności, i gapię się na nią w zamyśleniu. Mam wrażenie, że spojrzenie Alexa wciąż mknie po mojej twarzy.

– On już tego nie zrobi. Myślę, że nie trafimy na siebie przy kolejnych zadaniach – mówię odrobinę ciszej, potrzebując uciąć niewygodny temat i tym samym całkiem zmniejszyć ryzyko, że przypadkiem chlapnę coś, czego nie powinnam.

Alex opiera się dolną częścią pleców o barierkę. Nasze spojrzenia się spotykają.

– Oby – mówi poważnie. – Bo chyba naprawdę mógłbym w was wlecieć.

– Miałeś rację, stąd wygląda nieziemsko. – Oboje wiemy, co mam na myśli, ale i tak kiwam głową w stronę zabytku, który chyba najbardziej kojarzy mi się z Nowym Jorkiem.

Przez chwilę milczymy. Wsłuchujemy się tylko w niezmienny hałas – stłumiony nieco przez odległość, jaka dzieli nas od ulic – i wpatrujemy w krajobraz miasta. Ogromną ilość charakterystycznych drapaczy chmur i znajdującą się pośród nich oświetloną Statuę. Alex w pewnym momencie odwraca głowę i zerka na mnie kątem oka, z dyskretnym uśmiechem.

– Właściwie to musimy przejść jeszcze kawałek – stwierdza tajemniczo.

– Co ty kombinujesz?

Z innego miejsca widok na to wszystko mógłby być lepszy?

– Przejedziemy się wokół niej motorówką.

Zastygam z wrażenia w bezruchu. Czy on naprawdę to powiedział? Jego uśmiech staje się szerszy na moją reakcję, a to podpowiada mi, że chyba sobie tego nie wymyśliłam.

– Zwariowałeś? – pytam go poważnym tonem. – Wydasz fortunę na krótką przejażdżkę.

Jestem przekonana, że takie atrakcje o tej porze nie są tanie. Rozglądam się ponownie po najbliższej przestrzeni. Nikt nie decyduje się przepłynąć przez rzekę motorówką i przyjrzeć zabytkowi z bliższej odległości. Wszyscy obserwują ją z daleka, pod osłoną nocy.

– Nie narzekam na brak kasy. – Szatyn sprowadza mnie na ziemię.

Zwieszam ramiona ze zrezygnowaniem.

– Alex.

– Twoje pierwsze wrażenia, jeśli chodzi o Nowy Jork muszą być jak najlepsze.

– Ale będzie mi bardziej głupio – mamroczę zgodnie z prawdą. – Najpierw dzwonię do ciebie jak jakaś niezdecydowana kretyńka...

Chłopak odbija się od barierki, a następnie kładzie dłonie na moich barkach.

– Marigold, nie biorę cię za niezdecydowaną kretyńkę – stwierdza tonem podszytym przekonaniem, zsuwa rękę na moje przedramię i z ciepłym uśmiechem zaczyna mnie gdzieś ciągnąć. – A teraz chodź ze mną, będzie ekstra.

Poddaję się. Coś podpowiada mi, że i tak niewiele ugram w starciu z nim. Daję więc pociągnąć się za rękę do miejsca, skąd wypływają motorówki oraz promy. Znajduje się ono niedaleko nas i nie jest oblegane przez ludzi, a przynajmniej nie o tak późnej porze.

– Niech twój tata potrafi mi pensję jednego dnia i ci ją odda – sugeruję.

W spojrzeniu Alexa miga delikatna groźba.

– Spróbuj go tylko o to poprosić.

Chłopak załatwia formalności z mężczyzną, który stoi na jednej z motorówek. Po krótkiej chwili wchodzimy na nią ostrożnie. Findlay wciąż trzyma mnie za rękę i dba, bym nie zaliczyła gleby na kołyszącym się na wodzie sprzęcie. Dziękuję mu wdzięcznym uśmiechem.

– Byłbyś na mnie zły? – pytam, nawiązując do jego wcześniejszej odpowiedzi.

Mój znajomy prychnął głośno.

– Zabrałbym cię tu znowu i wypchnął za burtę.

– Nie mógłbyś – parskam śmiechem.

– Fakt. Za bardzo cię lubię – mówiąc to, Alex zaczepia dłonie na moich biodrach i podnosi mnie tak, że mój tyłek nieostrożnie ląduje na barierce motorówki. Przestraszona piszczę, śmiejąc się oraz przytrzymując kurczowo palcami jego szerokich ramion.

– Alex! – upominam go rozbawiona, bojąc się, że spadnę i wyląduję w wodzie.

Włosy ciągle rozsypują się po mojej twarzy, targane bryzą, a chłopak obnaża zęby.

– Musimy sobie zrobić zdjęcie – stwierdza. – Zrobi nam pan?

Findlay zwraca się z prośbą do mężczyzny stojącego nieopodal i wręcza mu telefon wyjęty z kieszeni spodni. Jednocześnie bez przerwy trzyma drugą dłoń na moim biodrze, pilnując, bym przypadkiem nie zleciała do tyłu. Ściskam w panice jego ramiona, śmiejąc się.

– Zaraz naprawdę skończę w wodzie – rzucam, szczerząc się do aparatu.

Alex również to robi, po czym wraca spojrzeniem do mojej twarzy.

– Wyłowię cię – zapowiada dziarsko, otaczając mnie swoim ciepłem i patrząc na mnie z dołu z całą uwagą, którą mógłby mi zaoferować. Odwzajemniam to spojrzenie i odrywam jedną dłoń od jego barku, żeby przeczesać włosy u nasady i zmieść je tym samym sprzed nosa.

Uszczęśliwiona kręcę głową z nieznikającym z moich ust uśmiechem.

– Rany, jesteś taki...

– Jaki? – Oczy chłopaka patrzą na mnie zalotnie.

– Czarujący – odpowiadam ciszej, skupiona na nim.

Na nim, stojącym blisko, ale nie za blisko. Siedząc niezgrabnie na barierce motorówki i mogąc patrzeć na oświetlony nocą, ogromny Nowy Jork, myślę, że podczas tych kilkunastu dni, które spędziłam w mieście, jeszcze ani razu nie widziałam go w tak pięknym wydaniu.

Przymykam oczy i wystawiam twarz na nocny wiatr. Rety, uwielbiam to miejsce. Tkwię w zawieszeniu przez jakiś czas, napawając się spokojem, którego mi brakowało, dopóki nie dobiega mnie głos starszego, nieco zniecierpliwionego naszą zwłoką mężczyzny.

– Możemy ruszać?

Otwieram oczy przygotowana, by posłusznie zeskoczyć na motorówkę, lecz dłonie Alexa nie zsuwają się z moich bioder i przytrzymują mnie w miejscu.

– Nie – protestuje chłopak, patrząc wprost na mnie. – Marigold ogląda widoki.

Moje kąciki ust unoszą się bardziej ku górze. Wypuszczam kolejny śmiech.

– Przecież nie możemy opóźniać wycieczki, bo oglądam stąd widoki.

– Możemy. Kto nam zabroni?

– Ograniczony czas? – sugeruję radośnie.

– Zapłacę za niego podwójnie.

Potrząsam głową z niemym buntem. Nie ma szans, że pozwolę wydać mu na siebie więcej pieniędzy. Ostatni raz patrzę z tej perspektywy na oszłamiająco prezentujące się miasto i mocniej uczipiam się męskich ramion, zsuwając ostrożnie tyłek z barierki.

– Dosyc, schodzę – zapowiadam przy tym.

Z chwilą, kiedy podeszwy moich tramppek spotykają się z powierzchnią, dzieje się coś, czego zupełnie się nie spodziewam. Tracę równowagę i wpadam na Alexa, który ciasno obejmuje mnie w pasie, przygotowany, by w razie czego mnie złapać i utrzymać w pionie.

Zaskoczona obrotem sprawy i tego, jak blisko siebie się znaleźliśmy, uwalniam ciężki oddech. Utrzymujemy intensywny kontakt wzrokowy. Nasze twarze zwrócone ku sobie dzieli naprawdę mała odległość. Dłonie chłopaka zaciskają się po moich bokach, a wiatr uderza w nasze stojące nieruchomo ciała. Przelykam bardzo powoli ślinę.

– Trochę tu ślisko – udaje mi się wysapać w szoku.

Również nieco oniemiały Alex przyznaje mi rację.

– Trochę.

Posyłam mu kolejny uśmiech i odsuwam się, bo gdy mija mój początkowy szok, czuję się odrobinę niekomfortowo. Chłopak akceptuje to. Zsuwa ze mnie ręce i patrzy, jak podchodzę do barierki motorówki, a później obserwuję zapierające dech w piersi widoki.

Robię to i myślę, że nie chcę wracać na mroczny Bronx.

Ale wiem, że będę musiała.

Czuję na sobie czujne spojrzenie Alexa przez całą drogę, jaką pokonuję, żeby dotrzeć do klatki bloku. Zanim do niego wchodzę, ostatni raz odwracam się i macham chłopakowi na pożegnanie. Uśmiech, który otrzymuję w zamian, na pewno utkwi w mojej pamięci, ponieważ tej nocy zobaczyłam go naprawdę wiele razy. Tej nocy sama uśmiechnęłam się wiele razy.

Jestem wdzięczna Alexowi, że dzisiaj rzucił cokolwiek robił, żeby przyjechać na Bronx, zabrać mnie na „lepszą stronę Nowego Jorku” i pokazać mi kilka najbardziej rozpoznawalnych miejsc. Sprawił, że chociaż przez moment poczułam się dobrze i bezpiecznie. Mam nadzieję, że uda mi się utrzymać z nim przyjacielską relację. Szczerze go polubiłam i chciałabym w przyszłości zrewanżować mu się czymś podobnym, jeśli będzie mnie potrzebował.

Mimo że spacer po schodach na siódme piętro, gdy odpadają mi nogi, nie brzmi kusząco, zaczynam dzielnie stąpać po stopniach. Trzymam się dłonią brudnej barierki, bo przez to, że stare żarówki nie działają, a na zewnątrz jest ciemno, na klatce schodowej również panuje mrok. Świst wiatru, przedostającego się przez wybite okna, sprawia, że gęsia skórka pokrywa całe moje ciało. Przyspieszam, chcąc jak najszybciej zamknąć się w mieszkaniu.

Zziajana i zziębnięta niemalże truchtam po schodach.

Aż stojąc już na półpiętrze pomiędzy szóstym a siódmym piętrem, dostrzegam cień pewnej osoby siedzącej na stopniach. Spokój, który wcześniej czułam, teraz ulatnia się ze mnie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Orientuję się, z kim mam do czynienia.

Znowu z nim.

Z perfidnie wyszczerzonym nim.

Instynktownie robię krok w tył. Omal nie zlatuję w dół, w ostatniej chwili ściskam w dłoni poręcz. Willard w przerażającym stylu przekrzywia głowę i masuje dłonią kark, ani przez chwilę nie uciekając spojrzeniem od mojej na pewno poblądłej z szoku twarzy.

Czekał na mnie? Planuje mi coś zrobić, tak jak zapowiedział? Wciągnąć mnie do mojego mieszkania, a potem naprawdę udusić tymi obrzydliwymi, poharatanymi łapami? Z milionem pytań kotłujących się w głowie, stoję i myślę, czy mam w ogóle dokąd uciec.

Prędko dochodzę do wniosku, że nie.

– Niby ideał faceta, a jednak zostawił biedną Marigold na pastwę losu i nie odprowadził jej pod same drzwi – słyszę jego kpiący, zachrypnięty głos i nie muszę rozmyślać, kogo ma na myśli. Pewnie widział, że

wsiadałam do auta Alexa parę godzin temu.

Nie dowierzam, jak bardzo Willard jest zadowolony, bo ma mnie w garści. Zupełnie tak, jakby tylko czekał na ten jeden moment, w którym zerwie się gwałtownie z miejsca, niczym rozwścieczone zwierzę, a później doskoczy do mnie i zaatakuje. Robi mi się cholernie ciepło.

A on nie zamierza zamilknąć. Obnaża śmieiej zęby i poprawia się:

– Och, przepraszam. Zostawił biedną Marigold na moją pastwę.

Nie wiem, co mam myśleć o tym jego chyba dobrym humorze. Willard opuszcza rękę i opiera obie na kolanach, splatając swobodnie palce dłoni. Zwracam uwagę na to, jak potwornie są pocięte i brudne, lecz prędko wracam spojrzeniem do jego oczu.

– Bo ty niby odprowadziłbyś dziewczynę pod same drzwi.

Chłopak parska beczelnym śmiechem.

– Oczywiście, że bym tego nie zrobił.

– No widzisz? To po co strzepisz język, Willard?

Zerkam ukradkiem i z utęsknieniem na swoje drzwi. Nie mam pomysłu, jak się do nich przedostać i jednocześnie nie zostać zatrzymaną. Musiałabym chyba przefrunąć nad schodami, by mieć pewność, że sąsiad mnie nie dorwie. Coś podpowiada mi, że i tym razem ucieczka w żadnym wypadku nie przyjdzie mi łatwo. Willard najpewniej chce się ze mną podroczyć.

Teraz przejeżdża w zamyśleniu kciukiem po wardze, obserwując moją twarz.

– Gdyby poważnie zawróciła mi w głowie, pewnie wniósłbym ją do mieszkania na pieprzonych rękach – poprawia się zadziornie. – Być może nawet wcześniej przeniósł ją na nich przez całe bagno, które mamy przed blokiem, żeby przypadkiem do niego nie wpadła.

Nie zamierzam udawać, że wierzę mu w tę bajeczkę. Zamiast tego zakładam ręce na piersiach i podchodzę do pokrytej graffiti ściany, by oprzeć się o nią ramieniem. Zastanawiam się przy okazji, czy jeśli przemknę susem do góry, Willard będzie w stanie mnie schwytać.

– Oczywiście, bo bezinteresowność jest w twoim stylu – mamrocze.

– Nie zrobiłbym tego bezinteresownie.

Jego oczy ciemnieją, co wzbudza we mnie większy niepokój.

– Gdyby rzeczywiście zawróciła mi w głowie i miała twoje usta, pewnie już w progu pchnąłbym ją na ścianę, bo nie dałbym rady ich sobie odmówić, i brał je na ślepo.

W dole mojego brzucha zacieśnia się coś, nad czym nie mogę zapanować. Pomiędzy szumem wiatru a odgłosem rozbryzgujących się co jakiś czas na podłożu kroplach wody, słyszę również jak mocno wali mi serce. Chcę oszukać swoje ciało. Nakazać mu przestać reagować tak na słowa tego kretyna. Ale robię to bez żadnego skutku.

Mało tego, wrywa mi się zadane cichym tonem pytanie:

– A jeśli nie zawróciłaby ci w głowie i nie miałyby moich ust?

Willard unosi niebezpiecznie kącik swoich.

– Byłoby mi szkoda zachodu.

Zaczerpuję krótki wdech.

– Mógłbyś zejść mi z drogi? – pytam w końcu.

Chłopak prychnął.

– Może rozstawić ci jeszcze czerwony dywan?

Zaciskam pięści na jego kpiącą odzywkę, ale nadal nie mam odwagi tak po prostu ruszyć przed siebie i wyminąć go. Wiem, na co go stać i że zapewne mnie zatrzyma.

– Po prostu daj mi przejść do mieszkania – wzdycham zmęczona.

– Ależ proszę.

Brunet odsuwa się nieznacznie, żeby zrobić mi miejsce, lecz ja i tak przez chwilę stoję nieruchomo i wgapiam się w niego ze zwątpieniem. Nie wierzę, że tak po prostu odpuszcza.

Każdy mógłby to zrobić, ale nie on.

Mimo wątpliwości stawiam krok na pierwszym stopniu. Jest niespieszny i ostrożny. Nie spuszczam wzroku z Willarda, zdobywając się na kolejny. Napięcie narasta, nie jestem pewna, czy przesiąkam nim tylko ja, czy ono krąży też w wilgotnym, śmierdzącym powietrzu, jakie unosi się w bloku. Chłopak również na mnie patrzy. Mierzymy się spojrzeniami. Idę do przodu.

Nagle czym prędzej zrywam się do biegu. Pokonuję szaleńczym tempem dwa stopnie i ani jednego więcej, bo w przeciągu ułamka sekundy cudza dłoń owija się wokół mojej kostki i agresywnym szarpnięciem sprowadza mnie do parteru. Willard powala mnie na ziemię. Uderzam plecami o nierówną powierzchnię schodów i oddycham bardzo szybko. On siada na mnie okrakiem. Usadawia się wygodnie, dociskając mnie ciężarem mięśni do krawędzi stopni.

Mogłabym zacząć teraz krzyczeć, ale po co? Zapewne nikt nie wychyliłby nosa zza drzwi, żeby sprawdzić, czy komuś nie dzieje się krzywda, zupełnie tak jak wtedy, gdy niedawno obcy mężczyźni wydzierali się na cały blok.

Ktokolwiek tu mieszka oprócz nas, musi być do tego przyzwyczajony.

Wiercę się pod Willardem, a on przyszpila mnie mocniej do oślizgłej powierzchni i schyla głowę, by przesunąć nosem po moim policzku. Ciepłe powietrze, które wydostaje się spomiędzy jego ust rozbija się na mojej skórze, powodując silne mrowienie.

– Nie dasz mi odsapnąć od siebie choćby na moment – wyduszam cicho i nie wiem, czy do końca składnie, ponieważ chłopak owija szczelnie palce wokół mojej krtani.

Wciąż wędruje bezczelnie nosem po mojej twarzy, będąc maksymalnie blisko mnie. W którymś momencie spomiędzy jego ust wydostaje się niski pomruk.

– Kiedy byłaś z nim... wygadałaś mu się o mnie, Marigold? O tym, co robię? O tym, co robię tobie?

Przechylałam głowę, wlepiając wzrok w obdartą ścianę.

– Przecież wiesz, że nie.

– Nie wiem. Może coś strzeliło ci do głowy i pomyślałaś, że on cię przede mną ochroni? Może dlatego... – Willard robi krótką pauzę – ...nie trzymałaś jednak języka za zębami?

Po tych słowach oddała delikatnie twarz od mojej. Mimo że czuję przed tym opór, spoglądam na niego i widzę, że jego mina staje się ostrzejsza i nieprzyjemna.

– A może wepchnęłaś mu go w usta, bo dostrzegłaś w nim dobrą partię, co? – wypluwa z odrazą, patrząc mi w oczy. – W końcu będąc z nim, nie klepałabyś biedy, jak robisz to teraz.

Zszokowana wybałuszam oczy. Czy on naprawdę to powiedział?

– Ty dupku, nie zrobiłam tego! – warczę wściekle.

Zaczynam szarpać się z Willardem, ignorując piekący ból, który towarzyszy mi, kiedy w ciało wznajają mi się krawędzie schodów. Walę pięściami gdzie popadnie, nie przywiązując już wagi do tego, że to Covington.

Podczas naszej szarpaniny w jego oczach błyska coś upiornego.

Chłopak odpiera każdy mój zamiar. Zsuwa palce z mojej krtani. Jednym zwinnym ruchem chwytą w dłoń moje nadgarstki i przyciska je do stopnia nad moją głową. Wyrywa tym samym z mojej falującej mocno piersi jęk, który odbija się echem po zaciemnionej przestrzeni. Willard zacieśnia swój chwyt. Mam wrażenie, że połamię mi za moment ręce i się tym nie przejmie, skoro zbliża twarz do mojej i unosi nikiemnie kącik ust.

– W sumie pewnie dlatego cię nie odprowadził – rzuca odrażająco.

Sapię głośno, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Jak śmiesz...

– Dlaczego miałby, skoro zmarnował czas? – przerywa mi, z ustami tuż przy moich, drżących z wściekłości. – Jeszcze zmarnował go na kogoś takiego. Nieopłacalne posunięcie.

Nie myślę o tym, że unieruchamia mnie pieprzony Willard. Buzuje we mnie tak wiele emocji, że w dupie mam to, kim jest. Szarpię się znowu i znowu robię to bezskutecznie, ale coraz bardziej zaciekle, z potrzebą, by zrzucić z siebie tego sukinsyna i dzielić go po mordzie.

– To ty się posuń – warczę po raz kolejny, wierząc się pod nim.

Krople potu gromadzą się na moich skroniach, a z warg wprost w wargi Willarda ucieka bezgłośnie tchnienie, bo przypadkowo się o niego ocieram. Chłopak oddaje ruch i śmiało wypycha biodra w przód. Przez moje wystawione na jego bliskość ciało przetacza się podniecenie, którego wcale nie chcę czuć. Szarpię się. On w odwecie mocniej zaciska lodowate palce wokół moich nadgarstków i zadaje mi pytanie.

– Czy ty naprawdę próbujesz mnie zrzucić?

– No chyba nie rzucam ci się na szyję, cymbale.

Zapowietrzam się, gdy gryzie zaczepnie moją dolną wargę, ciągnąc ją ku sobie. Później odsuwa się

na kilka cali i zagląda mi w oczy. Ledwo łapię dech. Plecy bolą mnie tak, że już prawie ich nie czuję, tak samo jak zamknięte w uścisku ręki Willarda przeguby. Ucisk w moim podbrzuszu narasta. Czuję, że zaraz oszaleję. Brunet napiera na mnie postawną sylwetką i jednocześnie śledzi rozbieganym wzrokiem moją twarz, wysapując zadziornie:

– Rozkoszny jest ten twój rumieniec.

– Rumieniec?

Przytyka chętne usta do mojego policzka. Przebiega po nim językiem, naznaczając go śladem jego ciepła. Wilgoć śliny parzy mnie w skórę, ale nie mogę nic poradzić na to, że najwrażliwsze miejsce w moim ciele pulsuje w potrzebie wbrew mojej woli. Gorąco gromadzi się pod moimi powiekami. Jest mi źle samej ze sobą, że nie umiem tego zahamować.

Odpędzam łzy i raz jeszcze szarpnię się, rozzłoszczona własną bezradnością. Willard jedynie stapia nasze ciała bardziej, dysząc mi w twarz.

– Czerwienisz się.

– To ze strachu, bo nie wiem, czy za to „cymbale” nie odetniesz mi ręki – kłamię.

Ani mi się śni przyznawać do tego, że moje ciało chciałoby, by tknął je właśnie on. Wielki, przerażający, obrzydliwy Willard z bliznami na twarzy i okropnym charakterem.

Boże jedyny, chce mi się rzygać na samą myśl, że on miałby mnie wziąć. Ale głowa nie jest w stanie ujarzmić potrzeb ciała, które samo wyrwa się ku Willardowi. *Zepsuta, pokręcona, głupia idiotka*, słyszę głos w swojej głowie, słyszę go ciągle i ciągle. *Zepsuta, pokręcona, głupia idiotka. Skoro twoje ciało go teraz chce, zasłużyłaś na wszystko, co się wydarzyło.*

Chłopak odgarnia mi niedbałym ruchem ręki z twarzy ciemne pasma włosów. Patrzą na niego, oddychając spazmatycznie i niemalże się dusząc, gdy hamuję płacz. Jestem taka żalosna i beznadziejnie zepsuta, a nie chcę taka być. Dlaczego jestem?

Willard nie widzi, że cokolwiek się we mnie obudziło. Mimo ciemności ja za to widzę, jak jego usta wyginają się w prowokacyjnym uśmiechu.

– Nie odetnę ci za to ręki. Każdemu może się coś wymyślić, no nie?

Nic na to nie odpowiadam. Tylko przytakuję szybkim skinieniem, bo wciąż duszą mnie paskudne słowa, którymi obrzuciłabym samą siebie. A on bierze prymitywnie w zęby rąbek mojej bluzki tuż przy szyi, podrywa głowę i patrząc mi w oczy, wypuszcza go.

– Cokolwiek w sobie masz, to wabi mnie w każdy możliwy sposób.

Mój oddech bardziej przyspiesza. Czuję, jaka jestem rozpalona. Czuję, że przez to tylko bardziej zbiera mi się na płacz. Nie odwracam spojrzenia od jego tęczy, patrząc w nie w milczeniu, a kącik ust sapiącego Willarda unosi się ponownie w górę.

– Wymyśliłaś mi się, no nie? – rzuca nonszalancko.

Przez chwilę trwamy tak bez słów, a ja odchylam głowę. Nie dowierzam w to, co się dzieje ze mną, pomiędzy nami. Willard wgryza się mocno w moją szyję. Uwalniam niechciany, cichutki jęk, czując, jak znowu się o mnie ociera. Przesiąkam kolejną falą podniecenia i staram się nie rozpląkać, bo boli mnie świadomość, że jestem dotykana, nieważne jak.

Wtem roznosi się trzask drzwi. Siedzący na mnie chłopak odsuwa wargi od mojej szyi i oboje w tym samym czasie przekręcamy głowy. Oddychamy jak po przebiegnięciu maratonu, patrząc na Rhodessa, który dobiegł na półpiętro.

Mrugam, ukrywając łzy, które już błyszczą mi w oczach.

– Will? – pyta mały, patrząc to na wujka, to na mnie. – Goldie?

Willard natychmiast ze mnie złązi i puszcza moje nadgarstki. Ja natomiast tkwię w bezruchu, kompletnie oderwana od rzeczywistości. Wszystko we mnie uderza tak paskudnie mocno w tak okropnie krótkim czasie. Ból pleców, odrętwiałych rąk, wiedza o tym, że moje ciało naprawdę samo wystawiło się temu popaprańcowi.

Kretynka. Zasłużyłaś na to wszystko, skoro potrzebujesz być tak traktowana.

Zaciskam powieki, czując się tak samo brudna i zepsuta, jak czułam się kiedyś. Po czasie je uchylam. Widzę, że Willard stoi już przy małym i opiera dłoń na jego ramionach, nie zwracając na mnie uwagi. Podrywam się z trudem do siadu. Wszystko mnie boli.

Starszy z Covingtonów przeciera dłońią twarz, jakby się cucił.

– Kurwa mać – klnie. – Rhodes, co ty tu robisz? Powinieneś już spać.

Chłopiec wydyma niewinnie wargę.

– Usłyszałem, że coś spadło i się obudziłem.

– Nasza sąsiadka się potknęła i runęła na schody.

Willard kłamie jak z nut. Nie patrzy wtedy na mnie.

– A potem pociągnęła cię w dół jak w tych romantycznych filmach? – zastanawia się malec, na co omal nie dławie się powietrzem, ponieważ ten scenariusz, on... Chryste. Nie mógłby się ziścić. Nie, kiedy ja nienawidzę Willarda, nie, kiedy on nienawidzi mnie.

– Nie? – dziwi się chłopak.

Rhodes uśmiecha się szeroko, zapewne widząc jego minę.

– Tylko żartowałem – zapewnia.

– Wracaj do środka – nakazuje mu wujek, a mnie przechodzi dreszcz, bo domyślam się, że chce podroczyć się ze mną dłużej. Czuję się bardzo źle ze sobą po tym, co się wydarzyło. Czuję też, że nie dam rady znieść powtórki, dlatego bez namysłu krzyczę za Rhodesem:

– Zaczekaj!

Chłopiec odwraca się do mnie.

– Tak?

To moja jedyna szansa, by zwiać. Teraz gdy Rhodes wszystko widzi, Willard nie ośmieli się do mnie podejść, więc wlepiając rozgorączkowane spojrzenie w malca, szukam po omacku dłońią torebki, która zdążyła zsunąć mi się z ramienia. Udaje mi się ją chwycić. Zaczesej skołtunione włosy za ucho i ledwo podnoszę się do pionu.

Zaczynam chwiejnie wchodzić na górę, pod czujnym wzrokiem Willarda, który prawdopodobnie gapi się na mnie z pewnego rodzaju zaciekawieniem.

– Chciałam tylko życzyć ci dobranoc – dukam.

Rhodes posyła mi szczerzy, wesoły uśmiech.

– Dobranoc, Goldie – odpowiada mi.

Robi to, zanim oszołomiona wtapiam się w czerń. Wyławiam z torebki klucze, wciskam jeden w zamek drzwi i wpadam do swojego mieszkania. Zamykam się w nim niemalże od razu. Ruszam przez długi korytarz do salonu, lecz w połowie drogi do niego nie umiem utrzymać na uwięzi tego, co się we mnie kotłuje. Zatrzymuję się. Krztuszę pierwszym, niekontrolowanym szlochem i nie mogę złapać tchu, przelękając potok łez.

Ale nie płaczę tym razem przez Willarda, chociaż to, co mi robi, też mnie boli. Tym razem płaczę, bo czuję się jak coś tak potwornie zepsutego, że aż pragnącego zostać zepsutym raz jeszcze i to w ten sam, obrzydliwy sposób. Jestem niczym więcej jak dziwadłem.

Któremu najwyraźniej należał się ten los.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

MARIGOLD

KIEDYŚ

Po wieczornym prysznicu wracam do niedużego pokoju, który od kilku dni nie jest już tylko moim królestwem. Zastaję w nim Claire, swoją nową współlokatorkę. Dziewczyna siedzi na górnej części łóżka i rozczesuje wciąż wilgotne po kąpieli jasne włosy, machając przy tym w powietrzu swoimi długimi nogami, których naprawdę bardzo jej zazdroszczę.

Posyłam jej delikatny uśmiech i otrzymuję w zamian podobny. Jest bardzo miła. Na pewno narcystyczna, cholernie zakochana w sobie, ale naprawdę miła. Myślę, że się dogadamy. A przynajmniej wytrwamy razem te kilka miesięcy bez żadnych kłótni czy innych bzdetów.

Podśpiewuję pod nosem piosenkę zasłyszaną w radiu, znajdującym się w pokoju opiekunów, który mijałam podczas spaceru przez korytarz, i podchodzę do szafy. Stojąc już przy niej, wspieram się na palcach stóp oraz odkładam na nią rzeczy niemieszczące się w jej wnętrzu. Podkoszulek, w którym zazwyczaj śpię, podnosi się nieco do góry.

– Na twoim miejscu odpuściłabym sobie kolację – stwierdza Claire.

Marszczę brwi i znowu staję na całych stopach, bo nie mam w rękach już nic do odłożenia. Jednocześnie zbita z tropu zerkam w stronę patrzącej w moim kierunku dziewczyny.

– To znaczy?

Blondynka odkłada na bok szczotkę do włosów.

– To znaczy, że jak dla mnie powinnaś nieco bardziej pilnować, co takiego wsuwasz wieczorami. Trochę odstaje ci brzuch, nie widzisz tego? – tłumaczy, ale jej ton głosu nie jest wcale uszczypliwy. Wydaje się raczej pełen troski i niezłośliwej sugestii.

Zmieszana spuszczam wzrok na swój brzuch.

– Poważnie? Myślałam, że wygląda... normalnie.

Czuję, że zielone oczy Claire nie uciekają od mojej sylwetki. Po niedługiej chwili moja współlokatorka schodzi zgrabnie z łóżka i podchodzi do mnie pełnym naturalnej gracji krokiem. Po tym jak zatrzymuje się tuż obok, podwija swoją koszulkę, eksponując to, co pod nią ma. Patrzę to na jej ładną twarz, to na idealne wcięcie w talii, które posiada.

– Spójrz, ja odmawiam sobie kolacji i mam płaski brzuch. To działa.

Okręca się wokół własnej osi i pozwala koszulce opaść.

– Myślę, że panu Hudsonowi spodobałaby się moja figura.

Jej słowa dezorientują mnie tylko bardziej.

– Chcesz mu się podobać? – pytam zaskoczona.

Claire wzrusza ramionami, jakby to było oczywiste.

– A któraś z dziewczyn nie?

Czuję ukłucie zazdrości, gdy słyszę, że podobno wszystkie dziewczyny z naszej grupy wiekowej oglądają się za Maverickiem. Dobra, ja i on tylko się przyjaźnimy i w przyszłości też będziemy się tylko przyjaźnić, ale i tak wolałabym nie słyszeć, że wzdycha do niego tyle nastolatków. W końcu... on jest wyłącznie moim przyjacielem.

Nie żadnej innej dziewczyny, a moim.

Stojąca obok mnie blondynka wachluje się teatralnie dłonią, a ja odzyskuję fason.

– Jest bardzo, bardzo przystojny, troskliwy, inteligentny – wymienia Claire i nie brzmi wcale tak, jakby obchodziło ją to, że mówi o naszym opiekunie. – Dałabym się pokroić, żeby tylko spędzić z nim czas sam na sam albo żeby dotknął mnie tymi umięśnionymi rękami. Chłopcy z naszej grupy to przy nim rozwydrzone gnojki, a on... jest facetem z krwi i kości.

Próbuję wypędzić z siebie irytację, którą poczułam na słowa dziewczyny. *Przecież nie jest twój. Nie*

będzie. Nie możesz być zazdrosna, mówię sobie.

Rozmarzona Claire w tym czasie kończy swój wywód:

– Na pewno jak czegoś żąda, to dokładnie to otrzymuje.

– Pewnie tak – przyznaję jej rację.

– A co to takiego?

Spoglądam na biurko, na które patrzy blondynka.

– Prezent od mojej poprzedniej współlokatorki, Millie – tłumaczę, wiedząc że ma na myśli średniej wielkości pudełko obwiązane białą wstążką, leżące na drewnianym blacie.

To miłe, że Millie o mnie nie zapomniała. Parę godzin temu kurier przyniósł mi coś od niej. Coś, co kupiła, mieszkując w Europie już kolejny tydzień oraz coś, co w tej chwili nie wydaje mi się do końca trafionym prezentem. Nie dla mnie.

Claire chwyta w dłoń wieczko pudełka i patrzy na mnie z uniesioną brwią.

– Mogę? – upewnia się.

Przytakuję od razu.

– Pewnie.

– Och, jaka śliczna.

Dziewczyna patrzy z uwielbieniem na białą sukienkę, którą wyciągnęła z pudełka. Jest zwiewna, ale w okolicach brzucha bardzo przylega do ciała, dlatego nie wydaje mi się, że w najbliższym czasie zdecyduję się na założenie jej. Jeszcze zobaczyłby mnie w niej Maverick i pomyślał, że jestem gruba. Wykrzywiam smutno usta i odpowiadam Claire.

– Co z tego, jak nie będzie w niej wyglądał dobrze odstający brzuch?

Współlokatorka odkłada sukienkę na miejsce oraz zerka na mnie łagodnie.

– Marigold, przecież zrzucisz to sadelko i jeszcze wszystkich w niej olśnisz.

Przykładam dłoń do miejsca, w którym podobno odłożyło mi się trochę za dużo. Mój brzuch rzeczywiście nie jest do końca płaski, ale do tej pory uważałam go za szczupły.

– Myślisz? – pytam niepewnie.

Claire posyła mi kolejny pocieszający uśmiech.

– Rozprawimy się też z tymi boczkami, zaufaj mi – stwierdza, a później puszcza mi oczko, rusza się z miejsca i wdrapuje na górną część piętrowego łóżka. Obserwuję ją, dopóki nie ziewa przeciągle i nie nakrywa się kołdrą pod sam nos.

– Idziesz już spać?

– Ten dzień był męczący. A ty?

Tak się składa, że umówiłam się dzisiaj z Maverickiem w suterenie, więc muszę jakoś uśpić czujność Claire. Nikt nie może dowiedzieć się, że potajemnie się spotykamy. Jeszcze wszyscy podejrzewaliby nas o nie wiadomo co, a my przecież nie robimy nic niewłaściwego. Po prostu rozmawiamy, dobrze się rozumiemy i przyjaźnimy. To naprawdę nic złego, ale i tak musimy być ostrożni. Chociaż czasami chciałabym utrzymać nosa tym zabujanym w nim dziewczynom i wygadać się, że to ja jestem kumpelą idealnego pana Hudsona.

– Pouczę się jeszcze matmy – kłamię, mając w głowie plan.

Po prostu wyjdę z pokoju, gdy moja współlokatorka zaśnie.

– Podziwiam cię, że ją ogarniasz.

– Powiedzmy – wzdycham, bo tak naprawdę ten przedmiot wciąż jest dla mnie czarną magią, nawet jeśli dzięki cierpliwej pomocy Mavericka zaliczyłam kilka sprawdzianów na naprawdę dobre oceny. Siadam na krześle i dorzucam: – Dobranoc, Claire.

– Miłej nocy.

Dopiero po kilkunastu minutach, kiedy mam pewność, że dziewczyna zasnęła głębokim snem, wymykam się z pokoju i pokonuję standardową trasę prowadzącą do niedużej klitki. Tam czeka już na mnie Maverick. Widzę cień jego sylwetki pośród mroku, dlatego zamykam za sobą drzwi, przekręcam klucz i podchodzę do mężczyzny siedzącego na ławce.

Tak jak zawsze siadam wygodnie na jego kolanie i pozwalam, żeby ciasno otoczył mnie ramionami. Z początku siedzimy w ciemnościach, wymieniając się wrażeniami z tego dnia. Aż w końcu spostrzegawczy Maverick bez trudu zauważa, że nie jestem w nastroju.

– Coś cię męczy, Mari – zaczyna miękkim tonem. – Co to takiego?

Przez chwilę nic na to nie odpowiadam. Jedynie biję się z myślami.

Mam mu powiedzieć, że uważam się za grubasa? To chyba błaha sprawa dla dorosłego mężczyzny. Jakieś kompleksy nastolatki. Nie chcę zwracać mu głowy głupotami. Wtulam się w niego i wdycham jego zapach, a on chowa moje ciało szczelniej w uścisku silnych rąk.

– Masz jakiś problem z ocenami? – docieka. – Z nową koleżanką?

– Jak ci powiem, weźmiesz mnie za kretynkę.

Maverick chyba spogląda na mnie, więc ja też podrywam głowę i patrzę na niego. Mężczyzna wydaje się jednocześnie przejęty moim dziwacznym zachowaniem i lekko zdziwiony tym, że ubzdurałam sobie właśnie taką jego reakcję.

Teraz zbliża twarz do mojej i mówi z politowaniem:

– Poważnie? Miałbym wziąć swoją Mari za kretynkę? Musiałbym chyba oberwać czymś w głowę i to okropnie mocno, żebyś tak o tobie pomyślał.

Poprawiam się na jego kolanie. Jest mi wygodnie, ale się boję.

– Po prostu... czy nie wyglądam trochę grubo? – wypalam nareszcie.

Mój opiekun chyba myśli, że się przesłyszał.

– Jak? – pyta.

– Grubo.

– Cholera jasna, kochanie...

Speszona spuszczam wzrok i wyginam palce dłoni. Maverick w tym czasie przyciąga mnie do umięśnionego ciała oraz składa krótkiego buziaka na moim czole. Z chwilą kiedy jego usta stykają się z moją skórą, ciepło rozchodzi się po całej mojej klatce piersiowej.

– Pod żadnym pozorem nie wyglądasz grubo – zapewnia mnie, a jego ton przesiąka zdecydowaniem, gasząc w pewnym stopniu narastającą we mnie obawę. – Masz cudowne ciało, na którego punkcie równie dobrze można by oszaleć.

Natychmiast palę buraka, więc chowam twarz we włosach.

– A ty mógłbyś oszaleć na jego punkcie? – szeptam pod nosem.

– Tak sądzę.

Po paru sekundach orientuję się, co palnęłam. Robi mi się głupio.

– Przepraszam – wyrzucam to z siebie i po raz kolejny krzyżuję spojrzenie z opiekunem. – Twoją żonę mogłoby zasmucić to, że dopytuję cię o coś takiego.

Maverick chyba nie ma do mnie żalu. Zamyślony nie odzywa się przez moment ani jednym słowem. Wydaje mi się, że tkwi w krótkim letargu i nie zwraca uwagi na otaczający go świat. Jego masywna dłoń w którymś momencie ląduje na moim udzie i przesuwa się po całej jego długości, powoli, subtelnie, przyprowadzając mnie o błogie ciepło w dole brzucha.

Mężczyzna w końcu skupia się już tylko na mnie.

– To nie mogłoby jej zasmucić, Mari – stwierdza przygnębiony. – Trochę nam się ostatnio nie układa. Camille ma mnie gdzieś, liczy się dla niej tylko kariera. Goni za nią, jakby nic poza nią nie istniało. Spycha mnie na dalszy plan, jakbym nie znaczył dla niej kompletnie nic, wiesz?

Wypełnia mnie smutek. Nie lubię gdy Maverick jest taki przygaszony.

– Chcesz o tym pogadać? – pytam, kładąc policzek na jego piersi.

Mężczyzna kręci głową, znowu całując mnie we włosy.

– Może innym razem. Dobija mnie ten temat.

– Rozumiem.

Oboje milkniemy na kilka minut. Maverick gładzi palcami moje włosy. Ja wsłuchuję się w bicie jego serca, przytulona do niego bardzo mocno. W takich chwilach nie dowierzam, jaką jestem szczęściarą. Przecież na moim miejscu chciałoby być tak dużo dziewczyn, a on zainteresował się właśnie mną. Uśmiecham się i przysmykam powieki.

– Mari?

Przekrzywiam głowę i zaglądam pytająco w cudowne oczy. Ich właściciel nie przestaje przesuwać ręką po mojej nodze i naznaczać jej ciepłem swojego dotyku. Wędruje nią w górę i w dół. Sprawia, że czuję się bezpiecznie. Że ogarnia mnie radość oraz spokój.

– To wszystko naprawdę mnie nie odpycha – przyznaje mężczyzna.

Wiem, że ma na myśli moje ciało, które teraz przy sobie trzyma.

– Dotykam cię i daję ci słowo, nic mnie nie odrzuca.

Chwytam jego dłoń, a następnie przenoszę ją na brzuch.

– Nawet gdy dotykasz mnie tutaj?

Maverick przebiega po nim palcami, patrząc mi w oczy.

– Nawet gdy dotykam cię tutaj.

Moje kąciki ust unoszą nieznacznie ku górze. Po tym, jak Claire powiedziała mi, że jej zdaniem mój brzuch odstaje trochę za bardzo, naprawdę zaczęłam się tym bardzo martwić i przejmować. Ale teraz, kiedy Maverick dotyka mnie oraz mówi, że według niego wszystko jest w porządku, czuję się lepiej. W końcu on by mnie nie okłamał. On by mnie nie skrzywdził.

– Cieszę się – odpieram nareszcie i dodaję: – Ufam ci. Jesteś moim przyjacielem.

Mężczyzna zatrzymuje dłoń na moim udzie i ściska je pewnie.

– Mówię ci prawdę – zapewniam. – Naprawdę, kochanie, tylko prawdę.

Kiwam głową na potwierdzenie, że mu wierzę. Ponieważ robię to bez mrugnięcia okiem. Po tych pięciu tygodniach ten facet stał się dla mnie potwornie ważny. Właściwie stał się jedyną osobą, która jest dla mnie ważna. Wiem też, że ja jestem ważna dla niego. Tylko dla niego, bo nie mam nikogo innego prócz mojego opiekuna, mojego przyjaciela, mojego Mavericka, który tak, jak zapowiedział kiedyś – gdy natknęliśmy się na siebie po raz pierwszy w ciemnym ogrodzie sierocińca – oferuje mi pomocną dłoń i ułatwia życie w tym budynku.

Jestem mu wdzięczna. Jestem jego dłużniczką. Będę nią jeszcze długo.

– Prezentujesz się olśniewająco – stwierdza, okręcając sobie wokół palca kosmyk moich włosów, a ja ponownie się rumienię. – Jak ślicznotka.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła? – gdybam, obejmując go w pasie.

– Nie musisz się nad tym zastanawiać.

Maverick wyplątuje palec z czarnych pasm i całuje moją skroń.

– Przecież nawet gdy stąd wyjdiesz, będę obok.

Nie rzucił słów na wiatr. Zawsze był obok.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

MARIGOLD

Kolejnego ranka znowu muszę ratować się kawą. Zmęczona nieprzespaną nocą upijam nieduży łyk napoju i odkładam papierowy kubek na przeznaczone na niego miejsce w podłokietniku fotela. Później przenoszę niezbyt trzeźwe spojrzenie na oświetloną reflektorem scenę, na której zaraz powinien stanąć mężczyzna opowiadający o historii teatru. Pomijając podest, w sali jak zwykle panują ciemności. Reszta studentów zajmuje miejsca, które sobie wcześniej upodobała.

Alex jeszcze do mnie nie dołączył. Myślę, że w sumie mógł zaspać na zajęcia, skoro wczoraj do późna pałętaliśmy się po mieście. Sama pewnie też zasnęłabym głębokim snem, gdyby nie to, co przytrafiło mi się na schodach: kolejna konfrontacja z Willardem.

Następna, która doszczętnie mnie wychłostała.

Tej nocy, biorąc kąpiel w wannie, powtórzyłam kilkanaście razy, że bardziej nienawidzę jego, niż nienawidzę siebie. Nie zamieniłam swojego kłamstwa w prawdę. Nie doliczyłam się upragnionego tysiąca. Bez przerwy nienawidziłam i siebie, i jego.

Ale siebie o wiele mocniej niż jego.

Wyciągam z torebki zeszyt oraz długopis. Robię to z opóźnionym refleksem, tak samo jak z opóźnieniem przekręcam głowę, orientując się, że ktoś przeskoczył nad siedzeniami wyżej i teraz siada po mojej lewej. Stres gniecie mnie w dole brzucha, bo widzę rzecz jasna *jego*.

Willard rozsiada się na fotelu i gapi na mnie z uniesioną brwią, jakby naprawdę dziwiła go moja nadašana mina. Mimo strachu, który odczuwam, mając z nim styczność, jestem zbyt poturbowana ostatnią nocą, żeby przemilczeć jego obecność i pozwolić, żeby zamienił w koszmar również mój dzień, dlatego próbuję pozbyć się go z miejsca obok.

– To miejsce nie jest wolne.

Chłopak wydaje się niewzruszony moimi słowami. Patrzę na niego spod byka, kiedy wyluzowany opiera rękę na oparciu mojego fotela i unosi przebiegle kącik ust.

– Nie przytrzasnę dupą twojego wymyślonego przyjaciela, jeśli o to ci chodzi, Harding. Zmieścimy się na tym fotelu we dwójkę.

– Nie jestem szurnięta i nie mam żadnego wymyślonego przyjaciela – odpowiadam od razu opryskliwie. – Po prostu tu siedzi ktoś inny i pewnie za moment przyjdzie.

Chłopak kręci głową.

– Twój kochaś? On siedzi zwykle po twojej prawej. Miejsce po twojej lewej zawsze jest za to wolne. Każdy może je w takim razie zająć i nie masz nic do powiedzenia.

Biorę uspokajający wdech i rozglądam się po zaciemnionej sali. Nikt na nas nie patrzy, dlatego obracam się przodem do zadowolonego Willarda, ale nie zmniejszam dystansu pomiędzy nami. Po prostu obrzucam spojrzeniem jego pokrytą bliznami twarz i staram się mu przekazać, że nie chcę użerać się z kimś takim jak on choćby chwilę dłużej.

Z tyłu głowy mam myśl, że podczas rozmowy z Covingtonem nie mogę się zapędzać. Muszę ważyć słowa. To nadal nieokrzesany skurwiel, potrafiący rozwiązywać wszystko przemocą. Pamiętam o tym przez cały czas, chociaż wzbiera we mnie irytacja.

Wytracona z równowagi postanawiam grać w otwarte karty.

– Postawmy sprawę jasno: czego chcesz?

Mój rozmówca taksuje mnie badawczym wzrokiem.

– Znowu mnie ostrzec, a raczej zastraszyć? Czy znowu sobie ze mnie zadrwić? Może mnie poniżyć? – wymieniam, jakby nigdy nic. – Czego tym razem chcesz, Willard?

Chłopak wciąż trzyma rękę na oparciu mojego fotela i zbliża się do mnie. Nasze twarze zwrócone do siebie dzieli może kilka cali, a spomiędzy jego ust wydostaje się odpowiedź.

– Może wszystkiego po trochu?

Otoczona mrokiem mam wrażenie, że przypiera mnie do muru, mimo że wcale mnie nie dotyka. Mimo tego recytuję wyraźnie w jego kierunku pewną obietnicę:

– Nic. O tobie. Nikomu. Nie. Powiem.

Mogę być naiwna, zepsuta, obrzydliwa, ale nie jestem pieprzonym kablem.

– Rób, co chcesz, możesz nawet paradować po Bronksie z towarem w biały dzień, a ja będę udawać, że jestem ślepa – ciągnę szczerze, wpatrzona w jego oczy. – Możesz nawet stanąć tutaj, na scenie, i wykrzyknąć, że bawisz się w jeszcze gorsze rzeczy, a po mnie to spłynie.

Willard również mi się przypatruje, kiedy kontynuuję:

– Nie mam interesu w tym, by sprzedawać brudy na ciebie komukolwiek. Chcę tylko od ciebie odetchnąć. Jestem wykończona, Willard. Tobą i wszystkim, co mi robisz. Naprawdę cię to nie rusza, że rujnujesz mnie wieczór w wieczór? Jesteś aż takim draniem?

Mam gdzieś to, że odkrywam przed nim swój paskudny stan. Ale prawda jest taka, że odkąd przyjechałam do Nowego Jorku, od tych kilkunastu dni, czuję się tak, jakby ktoś pozbawiał mnie sił, choćby ich resztek. Nie czuję się ani trochę bezpiecznie. To przykre, bo liczyłam, że pomieszkując w tym mieście, nareszcie uda mi się odsapnąć. Pomyliłam się.

Ale może takie odpady jak ja nie miały poczuć spokoju.

Siedzący obok Willard jedynie mnie w tym utwierdza.

– Oczekujesz odpowiedzi w stylu: „nie jestem wcale aż takim draniem, przepraszam za to, co ci robiłem, teraz możemy przejść od nienawiści do przyjaźni”? – rzuca rozbawiony.

Odwracam wzrok. Nie mogę patrzeć na jego zuchwały uśmiech.

– Kurwa, Harding, naprawdę nie rusza mnie to, jak się czujesz z tym, że dobrze się bawię. Jesteś moim problemem. A teraz w dodatku niczym więcej jak zabawką, która co jakiś czas najwyraźniej zaczyna szwankować... – dodaje świadomy, jak mocno mnie upokarza.

Bez trudu wyłapuję w jego głosie złośliwość. Wzdrygam się i ponownie odwracam ku niemu, ponieważ ten nawija sobie na palec wolnej ręki kosmyk moich włosów.

– To już nie jest tylko kwestia, czy się komuś wygadasz na mój temat. To też kwestia przyjemności, którą czuję, widząc cię w złym stanie – szepta mi prawie że w usta. – Tak potwornie cię nie cierpię. Lubię cię nie cierpieć. Być twoim przekleństwem. Z czasem do tego przywykniesz, tak jak przywykłem do tego już ja.

Odsuwam się natychmiast, choć moje własne ciało, które ostatnio zaczęłam mocno nienawidzić i którym zaczęłam równie mocno gardzić, delikatnie drży, naelektryzowane niechcianym dotykiem Willarda. Odsuwam się dalej, najdalej jak mogę, i dociekam:

– Mam przywyknąć do odgrywania z tobą roli kozła ofiarnego i oprawcy?

Kąciki ust chłopaka pozostają uniesione ku górze.

– Odgrywania roli? To nie teatr, Gold. To nasza zabawna rzeczywistość. Pewnego dnia przed pójściem spać stwierdzisz, że nie chcesz tkwić w innej. Bo ta trzyma się ciebie jak kula u nogi... bo lubisz być traktowana siłą, tłamszona i osaczana.

Mam ochotę napluć mu w twarz z protestem. Ale gdy przypominam sobie, że już kiedyś byłam tłamszona, osaczana i testowana, ile jestem w stanie wytrzymać, boję się, że chociaż dostałam za to nauczkę, część mnie może być po prostu do tego przywiązana.

Żaloszna, słyszę swoje myśli. Jesteś żaloszna, zepsuta, beznadziejna.

Patrzę na Willarda bez emocji, obserwuję uważnie jego szramy na twarzy, aż w końcu docieram spojrzeniem do jego oczu, w których miga podejrżane i zaciekle zaciekawienie.

– Usiądź gdzie indziej – żądam. – Nie dam się w nic wciągnąć, rozumiesz?

– Sam cię w to wepchnę. Siłą.

Toksyczny sukinsyn.

Utrzymujemy kontakt wzrokowy, ale nagle słyszę, jak za moimi plecami rozlega się szmer. Odwracam głowę. Widzę Alexa wchodzącego w rząd, gdzie znajdują się nasze miejsca. Czym prędzej obracam się przodem do sceny, ignorując swojego rozmówcę.

Liczę, że Willard zrozumiał aluzję. To koniec naszej rozmowy.

– Marigold? – Findlay siada obok mnie oraz wydaje się zaskoczony, widząc, kto zajmuje miejsce po mojej lewej stronie. Potwierdza to jego pytający ton głosu.

Ja jednak całkowicie zlewam zarówno Covingtona, jak i jego temat.

– Cześć – witam się z przyjacielem.

– Cześć... – On nadal z niesmakiem zerka na Willarda, lecz prędko koncentruje uwagę już tylko na mojej osobie i z jakiegoś powodu mówi nieco głośniejszym głosem: – Mam nadzieję, że po tylu wrażeniach wczoraj szybko zasnął i jednak odpoczął.

Początkowo odpowiadam mu skinieniem.

– Tak. Po powrocie do mieszkania padłam na łóżko i przespałam całą noc. Dziękuję za miły wieczór, było fajnie – kłamię, ale tylko w kwestii przespanej nocy. – Naprawdę fajnie.

Alex mierzwi palcami swoją fryzurę.

– Może powtórzymy go niedługo? Mógłbym pokazać ci jeszcze Times Square nocą. A potem zimą, wtedy jest tam najładniej.

– Pewnie. Zgadamy się w najbliższym czasie.

Staram się wygonić z głowy świadomość, że obok mnie siedzi Willard i najpewniej przysłuchuje się mojej i Alexa rozmowie. Czuję jednak jego spojrzenie, przesuwane się bez przerwy po części mojej twarzy, którą ma na widoku. Może i zachowuje między nami jakąś przestrzeń, ale to, jak się na mnie gapi, skutecznie mnie dekoncentruje.

Dobrze, że Alex nie zamierza przestać mówić. Odciąga mnie od *niego*.

– Zapomniałem przesłać ci zdjęcia. Wyszliśmy na nich świetnie.

– Masz na myśli te z motorówki? – dopytuję.

– Tak, spójrz.

Chłopak odblokowuje telefon. Przysuwam się do niego, kiedy widzę, że wybiera ikonkę galerii. Wokół wciąż jest przeraźliwie ciemno, dlatego nie muszę specjalnie wyteżać wzroku, żeby dojrzeć na ekranie komórki nasze zdjęcia.

Muszę natomiast mocno zagryźć wargę, by nie wypuścić z siebie westchnienia, ponieważ czuję, jak cudze usta dotykają mojej nagiej łydki. Przeszywa mnie prąd, od palców stóp do policzków, które zapewne oblewa mi czerwień w ciągu jednej głupiej sekundy.

Zaciskam uda i wsuwam pomiędzy nie trzęsące się dłonie.

Przeklinam to, że założyłam dzisiaj sztruksową spódniczkę. Przeklinam to, że zerkając ukradkiem w lewo, widzę schyłego Willarda, który niby wiąże sznurowadła, a tak naprawdę chwyta w wielką dłoń moją kostkę, żeby uziemić mi nogę, i najpierw owiewa ciepłym powietrzem moją skórę, a później wyznacza szlak muśnięć wzdłuż całej długości łydki.

Mój oddech przyspiesza wbrew mojej woli. Moje ciało przesiąka podnieceniem wbrew mojej woli. Moje serce pędzi w galopie wbrew mojej woli. Ledwie powstrzymuję się od tego, by nie odrzucić głowy w tył, gdy Willard znaczy moją skórę bezczelnym liźnięciem. Karcę swoje ciało, które po raz kolejny się mu wystawia, i nienawidzę siebie mocniej.

Gdzieś pomiędzy kolejnymi pocałunkami, którymi chłopak obsypuje bezceremonialnie moje nogi, przypominam sobie, gdzie jestem, z kim rozmawiam i co się dzieje. Reflektuję się i wbijam wzrok w telefon Alexa, który niczego nie widzi i czeka na moją odpowiedź.

– Rzeczywiście... – udaje mi się wydusić. – Wyszliśmy świetnie.

Findlay doznaje olśnienia.

– Zapomniałbym, mam coś dla ciebie.

Po tych słowach odwraca się, żeby wyjąć coś ze swojej torby. Willard podsuwa wtedy szorstką dłoń wyżej, w zgięcie mojego kolana, i szarpnięciem rozsuwa moje uda. Moje miękkie nogi poddają mu się bez mojej kontroli. Zupełnie tak, jakbym nie miała nad nimi władzy. A to tak bardzo mnie frustruje i tak potwornie boli, bo czuję się tylko gorzej z tym, co się dzieje.

Moje podbrzusze przeszywa silny skurcz. Usta Willarda są chętne i wilgotne, brną wszędzie tam, gdzie nie chcę ich czuć, ale jednocześnie doprowadzają mnie do obłędu. Chłopak podciąga mi do góry spódniczkę nosem, przesuwając wargami po moim udzie, aż w końcu dysząc mi w nie ledwie słyszalnie, unosi głowę i patrzy na mnie z mrocznym uśmieszkiem, którym się brzydę, a który bez mojej zgody rozpala mnie do granic możliwości.

Gardło mam okropnie suche, kiedy zerkam na Alexa.

– Co takiego? – wykrztuszam, przywierając plecami do oparcia.

Willard zasysa skórę na moim udzie. Mam wrażenie, że nawet to robi złośliwie. Ogień trawi każdy mój rozdygotany mięsień. Przytwierdzam pięty do posadzki, niemalże odczuwając przy tym ból, a on wgrzyza się w miejsce, na którym wcześniej pozostawił kolejne liźnięcie.

Moje udo wiotczeje, bo chłopak trzyma jego skrawek w zębach. Resztkami samokontroli unoszę dłoń i wplatom palce w jego włosy, próbując go jakkolwiek powstrzymać, ale on kompletnie o to nie dba. Puszczą moją skórę. Liże ją. Zdobi śladem śliny. Moja kobiecość pulsuje w niechcianej potrzebie, gdy jego usta są tak blisko niej.

Boże jedyny.

Wtem Alex zaczyna się do mnie znowu odwracać. Czym prędzej unoszę kolano i mimo że nie mam takiego zamiaru, uderzam nim Willarda w szczękę. Chłopak uśmiecha się i prychna, zsuwa moją spódniczkę, a następnie rzeczywiście wiąże swoje sznurówki.

Moje zmysły szaleją na najwyższych obrotach, a obraz przed oczami wydaje się rozmazany, kiedy z rozszalałym, dudniącym w piersi sercem przyjmuję kilka kartek od Alexa.

– Tata kazał ci przekazać – mówi uprzejmie.

Mija chwila, zanim czuję się zdolna, by mu odpowiedzieć.

– Ach, dokumenty do podpisania. – Oglądam je pobieżnie i wracam rozbieganym spojrzeniem do chłopaka, który przed momentem mi je wręczył. – Dziękuję.

Findlay najwyraźniej nie widzi, że coś się we mnie zmieniło. Być może na zewnątrz nie wyglądam, jakby tak się stało, ale w środku... targa mną tak ogromna nienawiść względem samej siebie, że przez głowę przemyka mi naprawdę paskudna myśl. Być może takie zepsute odpady jak ja nie powinny dłużej żyć, skoro najpewniej nic nie sprawi, że zostaną naprawione.

Nic we mnie nie powinno łąknąć dotyku Willarda. Brzydzę się nim. Dlaczego moje ciało nie?

Kręcę głową. Nie. Nie zrobię tego. Powtarzam w duchu: *nie będę tak mocno siebie nienawidzić, nie będę tak mocno siebie nienawidzić, nie będę tak mocno siebie nienawidzić*. W ogólnym rozrachunku powtarzam to trzy razy, bo słyszę pytanie Alexa.

– Masz dzisiaj wieczorną zmianę?

– Tak – przytakuję.

Odechciewa mi się rozmawiać z kimkolwiek. Mam ochotę odsunąć się od wszystkich, wrócić na Bronx i zaszyć w mieszkaniu. Nie patrzę już ani w lewo, ani w prawo. Po prostu obejmuję beznamiętnym wzrokiem scenę, na którą wchodzi właśnie znajomy mężczyzna.

– Nie bierzesz ich za dużo? – Ton Findlaya jest bardzo troskliwy.

Przymykam powieki, biorąc wdech nosem.

– Potrzebuję kasy, Alex. Będę brała każdą, która mi się nadarzy.

– Rozumiem. Każdy kto mieszka *tam*, chyba chciałby się wyrwać.

Otwieram oczy i przyznaję mu rację.

– No właśnie.

Zajęcia się rozpoczynają. Mam podejrzaną przeczucie, że nikt nie zajmuje już miejsca po mojej lewej. Z zawahaniem zerkam w stronę, gdzie wcześniej siedział Willard. Nie ma go. Musiał zmyć się z zajęć albo zająć inny fotel oraz wtopić w ciemności sali teatralnej. Mknę wzrokiem do oświetlonej sceny, lecz zanim zdążę go w niej utkwic, zauważam przez przypadek napis znajdujący się na jednej ze stron mojego otwartego zeszytu.

Co by powiedział, gdyby zrozumiał, że to dla mnie rozchyliłaś swoje usta, Gold?

Będąc już w pracy, pogrążam się w wirze obowiązków. Nie myślę o niczym, co niezwiązane jest z płytami czy obsługą klientów. Chodzę ze stosem winyli w rękach od regału do regału i porządkuję je na półkach, co jakiś czas pomagając osobom odwiedzającym sklep najczęściej w znalezieniu czegoś, czego poszukują. Pierwsze godziny upływają mi na tym dość spokojnie.

Problem rodzi się, kiedy zapada zmrok, a do końca zmiany zostaje mi kilka kwadransów. Wtedy stoję za ladą, wydaję starszemu panu resztę i po zwróceniu się do niego z uprzejmym „do widzenia”, spuszcza wzrok i zamykam szufladę, w której jest kasetka.

– Dobry wie... – zaczynam, bo kolejny klient wyrasta przede mną, lecz nie kończę. Unosząc wzrok,

orientuję się, że dobrze go znam. – Skąd wiesz, gdzie pracuję? Łazisz za mną?

Willard wsuwa dłonie do kieszeni czarnej, skórzanej kurtki, która moim zdaniem czyni go bardziej postawnym, opinając idealnie jego barki. Chłopak milczy przez chwilę i patrzy na mnie z wyzywająco uniesionym kącikiem ust.

– To tylko przypadek. Oboje wiemy coś o przypadkach, prawda?

Nie odzywam się. Akurat ja naprawdę za nim nie łąziłam i każde nasze początkowe spotkanie było wynikiem mojego pecha, a nie moim zamiarem, by go śledzić, do cholery.

– Wyjźdź – rozkazuję w końcu na jednym wdechu. – Chociaż tutaj daj mi spokój. Chcę skupić się na pracy, nie mogę pozwolić sobie, żeby mnie wylali.

Rozglądam się i upewniam, że nikogo poza nami nie ma w sklepie. Na szczęście jesteśmy w nim sami. Później ponownie krzyżuję spojrzenie z rozbawionym Willardem i nie wierzę, że nadal tylko potwierdza się to, o czym mówił mi rano na zajęciach w sali teatralnej.

Willard Covington lubi mnie nie cierpieć.

Teraz wyciąga dłonie z kieszeni kurtki, by chwycić w nie przypadkową płytę leżącą na ladzie. Ogląda ją z każdej strony, ale wiem, że robi to na pokaz i tak naprawdę gdzieś ma winyle. Przyszedł tutaj tylko ze względu na mnie i po to, żeby się ze mną podroczyć.

– Findlay zadba, żeby staruszek cię nie wywalił. Którą płytę polecasz?

Patrzę na niego nieprzyjemnie.

– Żadną. Jesteś przecież głuchy, skoro gdy ktoś ci mówi, że masz dać mu spokój, nie dajesz mu tego spokoju, Willard.

Mam nadzieję, że przez mój ton głosu nie przebija się delikatny strach. Mój rozmówca jest jednak nie do przechytrzenia. Wierci dziurę w twarzy przez kilka dłużących mi się sekund, aż w końcu uśmiecha się, spuszcza wzrok i od razu podrywa głowę.

– Tak, Gold. Pyskuj mi przez ściśnięte gardło, bo nie wiesz, czy się stawiać, czy mazać. Możesz robić to i to jednocześnie, podoba mi się, jak się gubisz.

Moja dolna warga drży, kiedy odwzajemniam jego spojrzenie.

– Kiedyś zastanawiałem się, czy jesteś tak naprawdę twarda czy słaba... A teraz wiem, że jesteś po prostu tak zepsuta, niestabilna i rozstrojona, że sama już nie wiesz, jaka jesteś.

Boli mnie to, że Willard trafia w samo sedno. Boli mnie to, że ma rację. Jestem zepsuta, jestem kompletnie rozstrojona i w zależności od sytuacji wykazuję się albo głupotą albo rozważą. Nie jestem *albo* głupia, *albo* rozważna. Jestem zmienna jak przywołany przez niego kiedyś liść na wietrze. W jednej chwili może mi być wszystko jedno i wtedy mu się stawiam. Innym razem nie chcę, by coś mi zrobił. Wtedy staję się potulna i wytrzymuję jego gierki.

Sama nie wiem, jaka tak naprawdę jestem. Znajduję się na swojej najgorszej granicy.

– Wyjźdź – powtarzam, mimo że ogromna gula wyrosła mi w gardle.

Willard odkłada winyl na ladę. Pozostaje szyderczo rozbawiony.

– Chciałem płytę, ale nie zaciętą, która ciągle bełkocze *wyjźdź*.

Zniecierpliwiona zaciskam spocone dłonie w pięści.

– W takim razie weź tę.

Wskazuję kiwnięciem na przedmiot, który odłożył. Gdzieś mam to, co mu wciskam. Potrzebuję, by stąd wyszedł. A najlepiej, by dał mi się od siebie odciąć. Nie jestem pewna, ile jego beznadziejnych zamiarów wobec mnie w niedalekim czasie dam radę znieść.

– Każdego klienta tak spławiasz?

– Jesteś tym jedynym.

– Tym jedynym... – Kiwa powoli głową. – Co za wyznanie, Harding.

Wypuszczam ze zrezygnowaniem całe powietrze, które zalega mi w płucach.

– Dlaczego marnujesz czas na mnie, kiedy mógłbyś zabrać gdzieś Rhodesa i zrobić mu miłą niespodziankę? – pytam, próbując wzbudzić w nim wyrzuty sumienia, ale bez rezultatu.

– Rhodes jest na kółku artystycznym.

– To zrób miłą niespodziankę sobie i jedź gdzieś daleko, pozawiedzać czy coś – odburkuję pod nosem, próbując jakkolwiek go stąd wykurzyć, choćby najgłupszym możliwym pomysłem. – Może do innego stanu. Na inny kontynent. Może jak najdalej ode mnie.

Biorę do ręki kilka winyli leżących na ladzie i ruszam do szklanej witryny, by ułożyć je na wystawie. Po drodze mijam Willarda bez żadnego zainteresowania.

– Może powinienem pozwiedzać – przyznaje mi rację.

Marszczę brwi. *Odpuścił? On? Mnie? Poważnie?*

– Pięknie – rzucam mimo zaskoczenia. – A teraz sio.

– Twoje mieszkanie.

Odwracam się gwałtownie do chłopaka, zapowietrzając się.

– Dupek. Trzymaj się z daleka od mojego mieszkania, Willard!

Myślę, że oboje słyszymy w moim podniesionym głosie nie tylko gniew, ale też wycieńczenie. Moja pierś podskakuje w nierównym tempie, kiedy dysząc, patrzę na Willarda. Mam gdzieś, czy dokopie mi jakimś szyderczym komentarzem, czy może nawet mocno mnie uderzy. Nie wykończy mnie jeszcze bardziej. Nie, kiedy już czuję się jak wrak.

Chłopak wpatruje się we mnie z zainteresowaniem. Przez moment stoi w miejscu, po czym robi kilkanaście kroków w moją stronę. Zatrzymuje się blisko mnie. Na tyle blisko mnie, że może zabrać mi z rąk płyty. Willard robi to i odkłada je gdzieś na bok. Milcząc, prostuje się.

Obserwuje mnie z góry.

Moje serce pompuje krew wciąż w tym samym szaleńczym tempie. Nie wiem, jakiej odpowiedzi z jego strony mogę się spodziewać. Stoję na miękkich nogach, ale z hardo zadartym podbródkiem, i patrzę na niego wyczekująco. Usta mam na wysokości jego piersi, dlatego to na niej rozbija się mój oddech. Sunę spojrzeniem od czerni jego skórzanej kurtki, przez tatuaż na szyi, aż do twarzy pokrytej szkaradnymi bliznami i niepokojąco ciemnych oczu.

Willard wyciąga dłoń w stronę mojego policzka. Nie wycofuję się. Stoję nieruchomo, podczas gdy on przeciera niespiesznie kciukiem moje pomalowane szminką usta. Zaraz opuszcza rękę i patrzy z powagą na dzieło, którego dokonał.

Na swoje podobno ulubione, rozmazane usta.

– Rozmazałaś się – mówi szeptem.

– Ty mnie rozmazałeś – odpowiadam, z jakiegoś powodu też używając szeptu.

– Szkoda, że w ten sposób, co?

Uśmiecha się, ale tym razem wydaje mi się, że robi to bez zbędnej uszczypliwości. Raczej w pewnym stopniu cwanie. Nie rozmyślam nad tym zbyt długo. Zamiast tego zwracam się do niego niechętnym tonem:

– Nie. Wcale nie szkoda.

Chłopak wzdycha. Chyba nie do końca mi wierzy.

– Pogadamy o tym za jakiś czas, zepsuta Marigold.

Nabuzowana maszeruję przed siebie. Mimo że wcześniej udało mi się minąć Willarda bez podobnych zagrywek z jego strony, to teraz brunet toruje mi drogę swoim ogromnym cielskiem, którego nie uda mi się ominąć, choćbym się dwoiła i troiła. Czuję, jak zamyka w uścisku dłoni mój policzek i styka nasze nosy. Zadaje mi też pewne pytanie.

– Jak to jest, że ciągnie cię bardziej do złego mnie niż do dobrego Alexandra, co?

Prycham mu z oburzeniem prosto w twarz.

– Nie ciąg...

– Czyżby? – przerywa mi od razu.

Walę go z otwartej dłoni w twardą pierś. A on tylko uśmiecha się ponownie i zsuwa rękę z mojego policzka, który zaczyna mnie niemiłosiernie mrowić. Następnie na powrót chowa ją wraz z drugą do kieszeni kurtki, idąc tyłem do drzwi i nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Widzimy się później... Gold.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

MARIGOLD

Burza trwa w najlepsze. Nawet jeśli okna w moim mieszkaniu są zamknięte, i tak słyszę jak co jakiś czas po blokowisku echem roznosi się głośny grzmot. Rozproszona odgłosami przerywam naukę scenariusza, którego kwestie zaprezentuję na scenie podczas najbliższych zajęć, wstaję i odkładam stos kartek na podłogę. Myślę, że skoro nie mogę się skupić na nauce, to przynajmniej posprzątam bałagan. Narobiłam go wcześniej w kuchni, kiedy gotowałam.

Nie robię jednak najmniejszego kroku w jej stronę, ponieważ zatrzymuje mnie w miejscu coś niedorzecznego: wrażenie, że ktoś podąża za mną spojrzeniem. Wzdycham cicho, bo najwyraźniej znowu coś sobie ubzdurałam. Zamknęłam przecież drzwi na klucz, a okno dokładnie zasłoniłam. Kto miałby mnie obserwować, skoro stoję w pustej kawalerce?

W kuchni biorę się za uprzątnięcie syfu. Następne grzmoty zdają się trząść blokiem, gdy chodzę tam i z powrotem, pochłonięta zadaniem. W pewnym momencie chwytam worek na śmieci z zamiarem wyniesienia go na korytarz. Zaglądając w ciemności, które do niego prowadzą, dostrzegam jednak znajomą twarz. Zamieram i upuszczam śmieci na ziemię.

Nie. Błagam... nie.

Czuję, jak kolory odpływają z mojej twarzy. Jak grunt osuwa mi się spod stóp. Im dłużej bez reakcji wpatruję się w stojącego naprzeciwko mężczyznę, tym bardziej oczy zachodzą mi rozmazaną plamą. On... on musi być wymysłem mojej wyobraźni. Musi zniknąć.

Czas mija. A on tego nie robi. Nie znika.

Mam go przed sobą, swobodnie opartego ramieniem o ścianę i wpatzonego wprost we mnie. Szczękam zębami. Dopadają mnie pierwsze łzy. Moją krtań zalewa narastająca panika. Ledwo karmię płuca oddechem, kiedy z trudem wykrztuszam przerywany szept:

– Co... co ty tutaj robisz?

– Zastanawiam się: dlaczego? – Ton jego głosu jest upiornie spokojny.

Jeśli przywodzi mi on cokolwiek na myśl, to jedynie surowość. Nikczemną, brudną i wyniszczającą. Przypominam sobie wypowiedziane wraz z nią każde żądanie, każdą komendę, każde polecenie. Przypominam sobie wszystko to, od czego próbowałam się usilnie odciąć.

Zanoszę się głośnym płaczem.

Krztuszę się i bez władzy w nogach cofam do kuchennego blatu. Czuję, jak pali mnie podskakująca w nierównym tempie klatka piersiowa. Choćbym chciała zachować zimną krew, przy nim nie potrafię, bo myśl o tym, co mógłby mi zrobić, łamie mnie na drobne części.

Mężczyzna odbija się leniwie od ściany. Trzymając zaciśnięte palce na krawędzi blatu, od razu przesuwam się w bok i nie odrywam spojrzenia od ciemnych oczu patrzących na mnie w wygłodniały sposób. Przetykam łzy raz po raz, bo on się nie zatrzymuje. Idzie do mnie, a ja nie mam, jak się stąd wydostać.

Niemalże słyszę przy uchu wysapane przez niego pochwały. Iluzja umysłu działa na mnie jak dotyk bicia. Czym prędzej rzucam się do szaleńczego biegu. Wydzieram się płacząco najgłośniejszym, jak jestem w stanie, ale sama nie wiem, na co liczę.

Przecież nikt z Bronksu nie przejmie się krzykami.

Biegnę do korytarza. Potykam się o własne nogi. Łzy przysłaniają mi pole widzenia, lecz mknę przed siebie bez opamiętania. Robię to, dopóki nie zostaję pchnięta na ścianę. Odbijam się od niej, lecz błyskawicznie coś mnie do niej przytwierdza. Olbrzymie ciało wręcz gniecie moje. Mężczyzna kładzie mi łapska na biodrach i przesuwa nimi w górę i w dół, a ja szlocham i szamotam się do upadłego. Bez cienia szansy na wydostanie się.

– Zastanawiam się... dlaczego wymknęłaś mi się z rąk, Mari?

Na krótki moment przestaję się z nim szarpać. Mój oddech nadal jest płytki i urywany. Zapłakana patrzę błagalnie na mężczyznę, mając w sobie marną nadzieję, że mnie zrozumie.

– *T-tam nie widziałam dla siebie przyszłości, wiesz? – dukam łamiącym się głosem. – Tam nie czułam się ani trochę szczęśliwa. Tam... było mi okropnie źle.*

Zatrzymuje dłonie na mojej talii i wzdycha, jakby z dezaprobatą.

– *Nie zapytałem, dlaczego wyjechałaś z Charleston. Musisz słuchać mnie uważnie, maleństwo. Wiesz, że drażni mnie powtarzanie się, prawda? Spróbujmy jeszcze raz.*

Zaciskam powieki, bo jego twarz jest zbyt blisko mojej.

– *Dlaczego wymknęłaś mi się z rąk?*

Odwracam głowę w bok i choć chcę się powstrzymać, i tak wybucham płaczem.

– *Byłaś bezpieczna – ciągnie, wszystkie wymownie brzmiące słowa wypowiedając w moje rozchyłone wargi. – Przygarnąłem cię do siebie, jak najbardziej troskliwy właściciel. A ty... zwiatałaś. To mocno mnie uderzyło. Poczulem się zraniony. Jak nigdy dotąd, Mari.*

Otwieram załzawione oczy. Nie umiem złapać tchu.

– *Poczulem się też niezadowolony, że zrobiłaś coś, czego nie miałaś zrobić pod żadnym pozorem. Dlatego gdy wrócimy, będę musiał przywołać cię do porządku, moja ślicznotko – zapowiada tym samym stanowczym tonem, który wywołuje we mnie paskudne wspomnienia.*

W jego oczach maluje się złowieszczy błysk. Dobrze wiem, co ma na myśli.

– *Nie... nie rób mi tego – skomlę. – N-nie zabieraj mnie tam.*

Przejeżdża opuszką palca po moim policzku, uśmiechając się.

– *Zaraz wyjdziemy z tego mieszkania. Pamiętaj, musimy być dyskretni.*

Moje serce pęka w najdrobniejszy mak, kiedy przypomina:

– *Zawsze musieliśmy.*

Wrzask zdziera mi gardło. Mam wrażenie, jakby krwawiło. Roztrzęsiona łapię wdechy i przetrząsam zapłakanym spojrzeniem ciemności mieszkania. Chociaż nikogo nie widzę i tak rzucam się do najbliższej ściany, na której umiejscowiony jest włącznik światła.

Przy pierwszej próbie zrywam się do niego zbyt szybko, bo upadam z kanapy prosto na kolana. Włosy rozsypują się po mojej twarzy i wchodzą mi do ust. Chyba cudem udaje mi się stanąć na nogach, lecz na ledwie sekundę. Nie mogę się zaprzecić, nie runąć znowu na ziemię. Próbuję więc przedostać się do celu na klęczkach. Po chwili z trzaskiem włączam światło. Patrzę, jak zalewa pustą kawalerkę, w której nie ma nikogo.

Opadam na panele i kulę się, pochlipując.

Tak strasznie potrzebuję się odciąć. Niczego bardziej nie potrzebuję, niż nareszcie odciąć się od tego, co było. Wyrzucić to z pamięci. Pozbyć się koszmarów. Przecucia, że czyjś oddech stale omiata mój kark. Przecucia, że ktoś ciągle na mnie patrzy. Poczucia zagrożenia, które bez przerwy nakazuje mi rozglądać się w panice naokoło. Poczucia bycia nienormalną i obłąkaną. Leżę na podłodze i łkam przy włączonym świetle, bo bez przerwy rozsadza mnie od środka okropna panika. Mimo że mieszkanie jest puste, widzę w nim wszędzie *jego*.

Przywieram do zimnych paneli i skomlę jak sponiewierany pies.

Jestem żalonym strzępkiem rozpacz, składam się tylko z bólu, który przepływa przez całe moje dygoczące ciało. Skrobię paznokciami drewno, przytłoczona wszystkim, co zostawia mnie bez żadnych sił: moim dręczycielem, moimi koszmarami, moją nienawiścią wobec samej siebie. Łzy kreślą ślady po moich policzkach. Coraz więcej śliny gromadzi się w ustach.

Zaczynam się dławić.

Czołgam się po ziemi do kuchni. Mój szloch wypełnia obdarte ściany mieszkania. Nie poradzę sobie. Wiem, że tym razem nie poradzę sobie z przetrwaniem reszty nocy, jeśli nie sięgnę po coś, co zabierze ode mnie ten stan. Otwieram szafkę drżącymi palcami. Wyciągam pozostawioną w niej przez poprzedniego lokatora butelkę, którą wcześniej zauważyłam.

Nie analizuję. Wlewam w siebie czystą wódkę. Część ciurkiem ucieka mi kątem ust, ale nie przejmuję się. Piję i piję, robiąc przerwy, gdy nie mogę znieść posmaku. Mój żołądek buntuje się, gardło razem z nim, lecz nie przestaję, bo wiem, że wynagrodzi mi to uczucie ulgi.

Nie będę myśleć. Nie o nim. Nie o nich. Może nawet zasnę na podłodze tak głębokim snem, że nie wybudzi mnie z niego żaden koszmar lub też w ogóle się z niego nie wybudzę. Chciałabym zasnąć wystarczająco głębokim snem, by już nigdy się z niego nie wybudzić.

Tkwę na brudnej podłodze, zamroczona i na razie lekko pijana. Wciąż nie mogę zmusić się do upragnionego zaśnięcia. Jediną oznaką, że w ogóle jestem przytomna, jest powoli unosząca się pierś. Nadal płacę pod nosem. To jak prawdziwa tortura. Potrzebuję zasnąć. Potrzebuję wyłączyć do końca myślenie, bo nie chcę myśleć ani trzeźwo, ani nietrzeźwo.

Musisz zacisnąć zęby, mówię sobie. Zaraz będzie ci łatwiej. Już za moment.

Z każdą kolejną chwilą rzeczywiście rejestruję coraz mniej. Przeszuję płakać. Po prostu pozwalam, żeby do końca oszołomił mnie alkohol. Żeby wsiąkł we mnie w każdym tego słowa znaczeniu. Żeby straciła zdrowy rozsądek. Żeby runęła na samo najpaskudniejsze dno.

Otwieram oczy. Wszystko jest zupełnie rozmazane.

Z cichym stękiem przekręcam się na bok. Ledwo kontaktuję, ale myślę... Może *on* da mi cokolwiek, co zmusi mnie do zaśnięcia? Może Willard, ten diler z mieszkania niżej, sprzeda mi coś, co oderwie mnie od rzeczywistości? Uśmiecham się szeroko. Tak, to musi się udać. On musi mi coś sprzedać. Oboje przecież dobrze na tym wyjdziemy. Niech tylko nie ukręci mi karku za to, że go nachodzę. Albo niech to zrobi. W sumie mógłby.

Po co taki odpad jak ja kradnie ludziom powietrze?

Pełnę po podłodze. Muszę się do niego dowlec. Za wszelką cenę. W korytarzu udaje mi się podnieść. Objam się o ściany i śmieję, bo nie mogę poradzić sobie z zamkiem drzwi. Rety, z tym również nie mogę sobie poradzić. Śmieszy mnie własna nieporadność i głupota. Czka z rozbawieniem i chwiejnym krokiem ruszam do schodów.

Prawie zlatuję z nich w dół, nie trafiając stopą w pierwszy stopień. Śmieję się głośniej. Zabawnie byłoby umrzeć przez wypadek z głupich schodów. Trzymam się poręczy i schodzę w dół, aż docieram do właściwych drzwi. Pukam w nie.

Ponownie chichoczę, bo obraz przed moimi oczami jest całkiem zamazany. Nagle widzę przed sobą swojego sąsiada. Ma chyba komicznie zmarszczone brwi i gapi się na mnie jak na fatamorganę. Co za dureń. Przecież nie jestem fatamorganą, tylko jego sąsiadką, która stoi w obskurnym i ciemnym przejściu, chcąc kupić od niego coś zajebistego na sen.

– Harding? Co ci strzeliło do łba, żeby tutaj przychodzić?

Słyszę go jak przez mgłę. Przytrzymuję się framugi drzwi, uczepiam na niej palce i czka po raz kolejny, nie odrywając wzroku od Willarda. Ma na sobie czarną koszulkę i szare dresy. Chyba jest zajęty, bo słyszę w tle telewizor. Ale przecież zajmę mu tylko tycią sekundkę.

Czuję jego ostry zapach, bo zbliża twarz do mojej i obnaża przy tym zęby.

– Polubiłaś się ze mną droczyć? – rzuca zawadiacko.

Kręcę głową, unosząc wysoko kąciki ust.

– Może ty strzelisz mi do łba? Przynajmniej będę mieć od ciebie spokój. Na długo. Na tak bardzo długo... Masz czym wsadzić mi kulkę? Na sto procent masz. W końcu jesteś dilerem, to pewnie niedaleko ci do bycia pieprzonym gangsterem.

Język mi się płacze, co chłopak od razu zauważa. Jego wyraz twarzy dość szybko staje się mniej wesoły. Czuję też, że Willard uważniej mi się przygląda, zanim odpowiada.

– Piłaś coś – udaje mi się rozszyfrować. – Wracaj do siebie.

Zirytowana przepycham się, by znaleźć się w mieszkaniu.

– O nie, włożyłam dużo zachodu, żeby się tu doczołgać, więc nie zamkniesz mi przed nosem drzwi, zanim nie dasz mi czegoś, czego chcę.

Wyglądam rozbieranym spojrzeniem za jego ramię, a on zatrzymuje mnie w przejściu, zamykając w uścisku dłoni mój nadgarstek. Zadzieram brodę i patrzę zaciekle w jego cholernie ciemne, poważne oczy, kiedy wypluwa mi w twarz prychnięcie.

– Niby czego ci nie dam? Wódki?

– Na pewno masz w tych swoich proskach coś odjechanego na sen – pomrukuje i jeszcze raz próbuję przepchać się do przodu. On musi coś tam trzymać. Na pewno coś tam ma.

Chłopak mocniej ściska mój nadgarstek. Chyba mi go zmiażdży. Wyginam usta w grymasie i burczę pod nosem niezrozumiale, spuszczać wzrok na jego spracowaną dłoń zacisniętą wokół mojej ręki. Próbuję się wyswobodzić, ale Willard trzyma mnie szczerze.

– Znowu miałaś koszmar? – pyta nieprzyjemnie.

Ignoruję to, co do mnie mówi, i brnę w zaparte.

– Daj mi coś na sen. Zapłacę ci.

Willard robi krok do przodu i zderza swoje ciało z moim. Jego siła odrzuca mnie do tyłu, ale jakimś trafem odzyskuję równowagę, bo wolną ręką uczepiam się ściany. On patrzy na to wszystko podminowany, jakbym przynajmniej go obraziła. Ale przecież jest dilerem! Do kogo innego miałabym udać się po coś, co nie jest pewnie do końca legalne, jak nie do dilera?

Teraz puszcza moją rękę i chwyta w dłoń brodę, by zajrzeć mi w oczy. Uderzenie zimna i gorąca nachodzi mnie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ponieważ Willard śledzi brązowymi ślepiami moje. Wpatruje się w nie zażarcie tak, jakby chciał przytłoczyć mnie ciężarem spojrzenia i wyrzucić na mnie na pewno zły wpływ.

– W dupie mam twoje pieniądze – recytuje wyraźnie niskim, nieoczekującym sprzeciwu tonem. – Wynocha do siebie.

Przez chwilę tkwię w bezruchu, zahipnotyzowana jego ponurym wzrokiem, ponurym wyrazem twarzy i ponurą aurą. Aż w końcu wyrwam się z transu. Sapię sfrustrowana jego odmową. Dlaczego mi, do diabła, odmawia? Przecież może zarobić. Dużo zarobić.

– Daj mi coś na sen... – powtarzam uparcie i zrzucam jego rękę z brody.

– Nie dam ci nic.

– To sprzedaj! – zdesperowana podnoszę głos.

Willard zaciska szczękę. Podburzam go tylko bardziej i bardziej, ale nie rozumiem w czym widzi problem. Przytrzymuję się ściany, bo moje nogi stają się wiotkie, a spojrzenie pozostaje rozmazane. Patrzę jednak na niego zawzięcie bez chwili przerwy.

– Sprzedaj... – powtarzam nieco bełkotliwie.

Chłopak wciąga powietrze nosem, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Kurwa mać, Harding, nic ode mnie nie wyciągniesz, rozumiesz?

Jego dobitne słowa przelewają czarę goryczy. Zaciskam pięści i ponownie przeciskam się do przodu, wpadając chwiejnym krokiem na jego sylwetkę. Wciskam mu paznokcie w brzuch, na którym zaczęłam dłonie, i wypluwam w tors potok poplątanych zdań.

– Bo co? Bo muszę najpierw się jakoś wgryźć w twoje sfery, żeby zostać twoim stałym klientem? Przejść śmieszny test, żeby diler łaskawie sprzedał mi coś, czego chcę? Chcesz kasy, weź kasę. Chcę czegoś na sen, daj mi coś na sen, i wszyscy będą zadowoleni!

Willard przytrzymuje mnie w miejscu uściskiem ręki na biodrze. Wplątuje palce drugiej dłoni w moje włosy i z jej pomocą szarpie moją głowę w tył, wystawiając ku sobie moją twarz. Dyszę mu wściekle w usta i mimo że nie chcę tego czuć, i tak czuję się tak, jakby mnie poskramiał. Jakby z łatwością okiełznał rozwścieczoną wersję mnie. Bez wysiłku ją utemperował.

Nie odrywa ode mnie spojrzenia, a jego tęczy iskrzą stanowczością.

– Zejdź. Mi. Z oczu – wyrzuca powoli. – Wynocha do siebie, natychmiast.

Połykam tchnienie i powstrzymuję łzy. Nie mogę odejść z niczym. Nie dam sobie rady. Nie dam rady przetrwać nocy w tym mieszkaniu, będąc świadoma, półprzytomna i przerażona.

– Nie możesz odrzucić na bok swojej chorej nienawiści do mnie i chociaż raz mi pomóc? – pytam ciszej. – Chociaż raz, Willard. Jeden jebany raz ułatw mi życie, zamiast je utrudniać.

Chłopak pozostaje poważny. Przygląda mi się z kamienną miną, z początku bez słów. Odwdzięczam mu się tym samym i liczę, że zmieni zdanie.

– Mam cię, kurwa, wciągnąć na piętro wyżej? – grzmi w końcu, szarpiąc raz jeszcze moimi włosami i nachylając się nad moją twarzą tak, że stykamy się nosami.

Willard trąca swoim zaczepnie o mój i owiewa oddechem moje usta. To intymne. Złe. Podstępnie przyjemne. Rozchyłam wargi i tym razem to ja zderzam nasze nosy. Stoimy w progu jego mieszkania, wymieniając się pieszczotą, która nie powinna być zarezerwowana dla nas, ale jestem zbyt pijana, by powstrzymać ciało łaknące jego ciała. Wtem wykorzystuję to, że chłopak wpatruje się w moje usta, i wyciągam ręce w kierunku kieszeni jego dresów.

Gwałtownie zaczynam za nie szarpać, potrzebując odnaleźć w nich cokolwiek.

– Masz coś tu, na pewno masz... – powtarzam, jakbym była niepoczytalna.

– Ja pierdolę, koniec, Marigold!

Odsuwa się jak oparzony i siłą rzeczy ściąga ze mnie ręce. Ma przyspieszony oddech, gdy przeciera dłońią usta. Nie przestaje patrzeć na mnie z silną odrazą, a ja wplatom palce w skołtunionie włosy i zamykam oczy, walcząc z kolejną porcją gorących łez pod powiekami.

Ja chcę tylko zasnąć. Oderwać się od tego paskudztwa, które we mnie siedzi. Oderwać się od strachu, który wymordował mnie na milion sposobów. Dlaczego Willard nie może sprzedać mi czegoś, co pozwoli mi na chwilę stracić kontakt z otoczeniem?

Aż tak mnie nienawidzi? Naprawdę aż tak strasznie mnie nienawidzi?

– Will? – słyszę chłopięcy głos, który dobrze znam. – Co tu robi Goldie?

Otwieram oczy. Dostrzegam wyglądającego zza ściany i czerwonego na buzi Rhodesa. Spojrzenie wciąż mam rozmyte, ale widzę, że coś jest z nim nie tak. Jest chory? Opuszczam bezradnie ręce i na powrót skupiam całą uwagę na twarzy Willarda. On, nawet jeśli rozmawia z chłopcem, nie odrywa wzroku ode mnie.

– Nic, Rhodes, wracaj oglądać film – mówi do niego o wiele łagodniejszym tonem niż tym, którym zwracał się do mnie. – Będziesz musiał później opowiedzieć mi co się stało, okej?

– Ale Goldie nie wygląda dobrze... może ona też źle się czuje?

Brunet przejeżdża językiem po wnętrzu policzka, jakby się zastanawiał.

– Odprowadzę ją do mieszkania – stwierdza, mierząc mnie od góry do dołu, a potem wypycha mnie z korytarza na klatkę schodową.

Wypadam na nią z jękiem, bo Willard nie jest delikatny. Następuje trzask drzwi, chłopak odcina nas od Rhodesa. Odwracam się ku brunetowi i patrzę na niego, czując się słaba i pogubiona. Odczuwam milion emocji naraz, zwłaszcza kiedy zamyka ciasno w dłoniach moje policzki i ściska je naprawdę mocno, jakby karał mnie za szopkę, którą odstawiłam.

Powietrze w niemalże rozlatującym się bloku jest śmierdzące, a wzrok, którym obserwuje mnie Willard, niezmiennie natarczywy oraz mroczny. Twarz boli mnie od nacisku jego palców. Oddycham coraz szybciej, patrząc na niego z bałaganem w głowie. W pewnym momencie opieram znowu dłonie na jego brzuchu, ponieważ nie czuję się na siłach, by utrzymać się w pionie. Muszę się o niego podeprzeć.

– Will, ja... – Sama nie wiem, co chcę powiedzieć. Chyba zapytać: czego mi brakuje, że nie chce mi nic sprzedać? Przecież mam pieniądze. Całe dwieście dolarów w kieszeni.

Ale to nieistotne, co zamierzam z siebie wydusić, bo on zakończył temat naszej transakcji, która nie doszła do skutku. Teraz zabiera ręce i nadal obserwuje mnie rodzajem spojrzenia, które równie dobrze mogłoby mrozić krew w żyłach.

– Zamknij się i nie ruszaj – rozkazuje oschłym tonem.

Potem odciąga od siebie moje dłonie. Chwieję się na nogach. Willardowi to nie umyka. Mimo ciemności panujących na klatce schodowej widzę, jak się schyla, a niecałą sekundę po tym bierze mnie na ręce. Podskakuję w jego ramionach i zwijam się w kłębek, czując się zamroczona i otepiała. Przylegam do ciepłego torsu, pociągając nosem.

– Ja chcę tylko zasnąć – wyszeptuję żałośnie, nie myśląc o tym, że Willard widzi mnie właśnie taką. Rozbitą, bezbronną i wyglądającą jak siedem nieszczęść. Jedyne, co mnie obchodzi, to potrzeba, którą przesiąkam: oderwania się od rzeczywistości.

Wszystko zlewa się w czarną plamę. Cokolwiek widzę, nie ma kształtu. Kołyszę się w silnych ramionach. Willard wchodzi na schody i niesie mnie w spokojnym tempie. Zdaje mi się, jakby nie wzruszał go mój ciężar, mój stan, jakby nie wzruszało go nic. Jeśli wcześniej myślałam, że jego postura jest wielka, to teraz przylegając do niej, czuję, że gdyby chciał, mógłby rozbić mnie w najdrobniejszy mak. Jest barczysty i obrzydliwie dobrze zbudowany, a uścisk, w którym mnie trzyma solidny, przez co aż przechodzą mnie ciarki.

Nagle słyszę jego nieprzyjemny pomruk.

– Więc zaśnij.

– Tam nie zasnę – odpieram od razu słabym szeptem. Wiem, że choćbym próbowała zasnąć przy zapalonym świetle, nie przekonam samej siebie, że *jego* nie ma w mieszkaniu.

Willard poprawia mnie sobie w ramionach.

– A gdzie zaśniesz?

Przez moment zastanawiam się nad jego pytaniem. Czuję wtedy powiew wiatru, bo wchodzimy na

półpiętro, na którym znajduje się ściana z wybitym oknem. Odruchowo przywieram do Willarda, którego ciało jest ciepłe. W głowie mam milion myśli, ale tej jednej nienawidzę. Tej, która uświadamia mi, jak bardzo nie chcę i jak bardzo jednocześnie potrzebuję, żeby trzymał mnie tak dłużej.

Jesteś taka żalosna, jeśli potrzebujesz właśnie tego. On cię dręczy. Wykańcza. Dlaczego mimo że to wiesz, w tej chwili potrzebujesz, żeby cię nie puszczał?

– Tu – odpowiadam prawie bezgłośnie. – Zasnę tutaj.

Willard prychnął prześmiewczo i zerka na mnie.

– Na klatce schodowej? Harding, nie wydziwiał.

Dopiero po chwili uświadamia sobie, że nie miałam na myśli klatki schodowej.

– Nie – mówi stanowczo, przenosząc wzrok gdzieś w dal. Jego grdyka podskakuje pod skórą, kiedy przełyka i dodaje sucho: – Nie myśl o tym. Nie zaśniesz przy mnie. Nie będę chwycił cię za rączkę. Kurwa, co ty sobie w ogóle wyobrażasz?

Czuję ukłucie w piersi. Nie wiem, dlaczego odczuwam lekki ból na wydźwięk jego słów. Wmawiam sobie, że alkohol czyni mnie wrażliwą. Kręci mi się w głowie. Chwytam się za skroń i przykładam policzek do męskiej piersi, plotąc to, co mi ślina na język przynosi.

– Są rzeczy, które przerażają mnie bardziej niż zasypianie przy tobie.

– Jakie?

– Brudne i podłe – mamroczę ledwie zrozumiale.

Willard chyba wchodzi do mojego mieszkania, bo otwiera kopniakiem drzwi. Zresztą jest w nim jasno, w przeciwieństwie do pogrążonej w mroku klatki schodowej.

– Musisz się z nimi uporać i zasnąć u siebie – obstaje przy swoim, brzmiąc na zirytowanego samym faktem, że miałam czelność powiedzieć między wierszami, że chcę zasnąć przy nim. Prawda jest taka, że w tym momencie wybrałabym każdego, kto by mi się napatoczył.

Byle tylko nie zostać sama ze swoją najgorszą marą.

– Nie, proszę, nie dam rady. Will – wydycham przez ściśnięte gardło.

– Dlaczego tak się do mnie zwracasz? – upomina mnie i nie sili się na łagodność, pozostaje chłodny oraz nieprzystępny. – Nie rób tego więcej. Oducz się tego.

Chłopak niesie mnie w głąb mieszkania. Uczepiam się go kurczowo. Nie dostałam od niego nic na sen. Nie dostanę jego obecności. Zwariuję w swoich czterech ścianach, z wrażeniem, że *on* znalazł mnie po tylu miesiącach uciekania.

– Nie kładź mnie tam – niemalże płaczę. – Nie wychodź...

Ściskam w dłoniach jego podkoszulek, ale on i tak odkłada mnie na kanapę. Próbuję dosięgnąć go znowu, ale bez skutku. Willard chwycił moje nadgarstki. Nachylony nade mną patrzy mi w oczy z gniewem, który rozprawia po moim ciele zimno.

W czasie gdy to robi, mówi szorstko:

– Nie przejmę się żadną twoją prośbą. Nie zapominaj, że jesteś dla mnie nikim.

Puszcza mnie gwałtownie i rusza w stronę wyjścia. Wołam go, ale on się nie odwraca. Staczam się z kanapy na podłogę, zupełnie odurzona wypitym wcześniej alkoholem. Nie mogę wstać. Nie mogę się ruszyć. Mogę tylko płakać.

– Willard... – wyszeptuję łamliwie, próbując go przywołać.

Zaciskam dłoń na piekącym gardle. Wyrывa mi się wydech.

– Muszę... muszę się wydostać. Ja muszę...

Opadam na panele i moczę je łzami. Wszystko podpowiada mi, że *on* tu jest, patrzy na mnie, czeka na właściwy moment, żeby dać o sobie znać. Wołam Willarda mimo bólu, bo moje spierzchnięte usta pękają. Ale on nie wraca. Zamiast tego zwraca się do mnie beznamiętnym tonem, stojąc na pewno już za drzwiami mieszkania:

– Później otworzy ci je Rhodes!

Czy on mnie jakoś zabarykadował w mieszkaniu? Naprawdę to zrobił?

– C-co? – pytam z jękiem, ledwo łącząc kropki. – Willard? Willard!

Łkam w podłogę, krztusząc się śliną.

– Willard, proszę, daj mi wyjść! – wrzeszczę, wciskając paznokcie w drewno, aż bołą mnie płytki. Zanoszę się większym płaczem, nie panując nad sobą i zaciskając powieki. Nie czuję się zdolna nawet, by

otworzyć oczy. Przeraża mnie to, że zobaczę gdzieś niedaleko *jego*.

Wyję głośno. Moje gardło zdaje się usychać. Serce pędzi w szaleńczym biegu. Nadal wołam Willarda. Dlaczego mi to zrobił? Dlaczego tak strasznie mnie nienawidzi? Nie wiem, ile to trwa. Ile się wydzieram. Ile walę pięściami w podłogę. W pewnym momencie czuję się wypompowana z energii, ale pozostaję świadoma. Nie zasypiam. Ani na chwilę.

– Daj mi wyjść... – wykrztuszam resztką sił.

Ale on nie daje mi wyjść.

Przez kolejne godziny leżę nieruchomo na zimnej podłodze, wypruta ze wszystkiego, patrząc pustym spojrzeniem w korytarz i modląc się po cichu, żeby nikt się w nim nie pojawił.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

MARIGOLD

Nie wiem, która jest godzina. Nie wiem nawet, czy wciąż jest noc. Okna pozostają zasłonięte ciężkimi zasłonami, przez co moje poczucie czasu szwankuje. Myślę jednak, że przeleżałam na ziemi wiele godzin. Wtedy powtarzałam do upadłego, że *on* nie nawiedzi mnie w moim mieszkaniu. Chociaż nie powtórzyłam kłamstwa tysiąc razy i nie zamieniłam go w prawdę, nie poczułam na sobie jego rąk ani nie usłyszałam, jak przez ciszę przedziera się jego niski głos.

Wydaje mi się, że trochę wytrzeźwiałam. Obraz przed moimi oczami już się nie chwieje. Myślę też w miarę normalnie. Jeśli coś potwierdza, że wypiłam za dużo, to tylko ból głowy, który rozsadza mi czaszkę. Jest silny, ale znoszę go, bo jeśli czegoś nie mogłabym znieść, to nie głupiego bólu głowy.

Zwlekam się z podłogi. Jestem połamana, lecz nie przywiązuję do tego wagi, ponieważ słyszę, że ktoś majstruje przy moich drzwiach. Przestraszona zbliżam się do nich i wyglądam przez wizjer. Widzę Rhodesa. Kamień spada mi z serca, bo o dziwo pamiętam, co powiedział Willard, zanim zostawił mnie całkiem samą. Mały miał otworzyć mi później drzwi.

Przecieram twarz i przypominam sobie kolejne strzępki rozmowy.

Jak błagałam go, żeby nie wychodził. Jak zrobił to, nie oglądając się za siebie choćby jeden raz. To nie był chłopak, który miał się dla mnie zmienić, więc nie mam pojęcia, dlaczego coś we mnie naiwnie uwierzyło, że jeśli go poproszę, on rzeczywiście ze mną zostanie.

Nie zastanawiam się nad tym zbyt długo. Zamiast tego otwieram powoli drzwi, by nie przestraszyć stojącego za nimi malca.

– Rhodes? – szepczę ostrożnie, namierzając czerwoną buźkę chłopca.

Jego policzki zdają się płonąć, co mocno mnie niepokoi. Coś mu dolega.

– Will kazał mi je otworzyć – tłumaczy, wskazując na drzwi, i posyła mi słaby uśmiech, zanim wycofuje się i drepta w stronę schodów prowadzących na piętro wyżej.

Marszczę brwi, ale nie dlatego, że mały ma rozwiązane sznurowadła.

– Gdzie wybierasz się o tej godzinie? Wasze mieszkanie jest niżej.

– Do pani Hamilton. – Odwraca się do mnie i sięga poręczy dłonią, jakby chciał się nią podeprzeć.

Musi być okropnie słaby. – Nadal kiepsko się czuję. Może da mi jakieś leki.

– Fakt, wyglądasz marnie – potwierdzam zatroskana.

– Ty też.

– Więc oboje wyglądamy dość marnie. – Wzruszam ramionami, po czym gaszę światło w mieszkaniu, wyciągam klucze z zamka, zamykam drzwi i podchodzę powoli do Rhodesa. – Odprowadzę cię, dobrze? Jest późno, nie powinieneś iść sam.

– W porządku.

Chłopiec odpowiada mi skinieniem. Włosy zachodzą mu przez to na czoło, dlatego pod przykrywką odgarnięcia mu z niego czupryny, przykładam tam dłoń. Jego skóra pali. Rhodes jest cały rozpalony i zdecydowanie powinien zażyć coś na zabicie gorączki. Zabieram dłoń i ruszam z nim po schodach do drzwi Hamilton. Przy okazji zerkając w stronę okna widzę jasne potwierdzenie, że trwa noc. Niebo jest ciemne i rozgwieżdżone, a wiatr świszczy wyraźnie.

– Przykro mi, że Will nie dał ci tego, po co przysłaś.

Zerkam na małego i wykrzywiam usta, bo mimo że akurat mojego wtargnięcia do ich mieszkania nie pamiętam zbyt dobrze, to domyślam się, że mogłam przeholować i porządnie zirytować Willarda. Na trzeźwo nigdy w życiu nie znalazłabym się pod jego drzwiami ani tym bardziej nie pozwoliłabym sobie na nic, co mogłoby go wkurzyć.

Pozostaje mi liczyć, że jeśli już to zrobiłam, nie pozbawi mnie głowy.

– To nic, zapomnij o tym – pomrukuje, krocząc obok wpatrzonego we mnie Rhodesa. – Byłam w złej formie, niepotrzebnie na niego nakrzyczałam.

– Zdenerwował się, gdy wrócił. Potem wyszedł załatwić kilka spraw.

Udaję, że pierwsza część zdania, które wypowiedział, nie istnieje.

– Zostawił cię z gorączką? – pytam zaskoczona.

– Nie chciał, ale musiał. Kazał mi leżeć i odpoczywać. Powiedział, że wróci z lekami za niedługo, ale minęło dużo czasu. Pani Hamilton jest moją ostatnią deską ratunku.

– Rozumiem – odpieram, czując, że Willard musiał mieć ważny powód, by iść, ponieważ na sto procent nie zostawiłby Rhodesa w takim stanie bez opieki.

Przystajemy przed drzwiami starej jędzy, a chłopiec stuka w nie kilka razy. Obrzucam spojrzeniem jedno z najwyższych pięter budynku i wzdrygam się delikatnie, słysząc podejrzany szmer. Zupełnie tak, jakby coś pełzało mi pod nogami. Wszędzie jest ciemno i strasznie.

– Nie otwiera... – wzdycha zrezygnowany malec.

Kucam przed nim. Serce ściska mi się, kiedy widzę go załamanego.

– Wydaje mi się, że ja mam coś w swojej apteczce na gorączkę – rzucam niepewnie, bo nie jestem co do tego przekonana, a następnie unoszę nieznacznie kącik ust, by dodać dziecku otuchy. – Leć do was, a ja przeszukam mieszkanie i wpadnę za chwilę, dobrze?

– Dobrze, Goldie.

Rozdzielamy się na moim piętrze. Wchodzę do siebie i przetrząsam zakamarki kuchni w poszukiwaniu prowizorycznej apteczki. Na szczęście odnajduję w niej leki na zabicie gorączki. Tylko tyle mogę zaoferować Rhodesowi, ale lepsze to niż nic. Z łupem w rękach i trylionem wątpliwości w głowie idę do mieszkania Covingtonów.

Jest nieco większe niż moje, zadbane i... czuję się w nim jak intruz. Powinam szybko dać Rhodesowi lekarstwa i stąd zwiać, zanim wróci Willard. Podejrzewam, że mógłby mnie sprać, gdyby dowiedział się, że tutaj przebywam. Nawet jeśli zapuściłam się tu na moment, by uratować małego Rhodesa, który teraz wygląda jeszcze marniej, nie jest to żadne usprawiedliwienie, skoro Willard nie życzy sobie moich wizyt. Zdecydowanie nie jest ze mną w porządku, skoro wchodzę na niesamowicie cienki lód, choć w dobrej wierze.

Nie powinno mnie obchodzić cokolwiek, co dotyczy małego. A jednak rusza mnie widok, który zastaję w pokoju. Chłopiec leży na dużym, starym łóżku, spocony i coraz słabszy.

– Mam. – Pokazuję mu leki. – Jak się czujesz?

– Gorzej.

Spoglądam na niego bezradnie i wyjmuję tabletkę z blistra. Podaję mu zarówno ją, jak i leżącą niedaleko butelkę wody.

– Połknij to, a ja zrobię ci okład. – Dotykam po raz kolejny jego czoła, a on spełnia moje polecenie. – Jesteś cały rozpalony. Gdzie się tak załatwiłeś, co?

Malec kaśla cicho. Mam nadzieję, że gorączka spadnie, a najlepiej, że Rhodes po prostu wydobrzeje. Zwłaszcza że nie wiadomo, o której właściwie wróci tutaj Willard. Po zrobieniu okładu z pierwszego lepszego ręcznika i przekazaniu go mojemu pacjentowi siadam na krześle przodem do oparcia i kładę na nim dłoń, a na nich z kolei podpieram brodę.

– Pewnie w szkole – odpowiada chłopiec na moje wcześniejsze pytanie. – Goldie?

– Tak?

Patrzę, jak wygina nerwowo palce.

– Boję się. Will miał dawno wrócić.

Ton jego głosu zdradza, że nie dość, że jest wykończony chorobą, to w dodatku przybity i zmartwiony. Czuję ból w okolicach mostka, bo chciałabym obiecać maluchowi, że jego wujek wróci szybko, ale nie wiem, gdzie jest ani ile go nie będzie. Czy w ogóle wróci. Właśnie dlatego nadal siedzę na tym przeklętym krześle i biję się z myślami.

Ponieważ powinnam stąd wyjść właśnie teraz.

Ale odciąga mnie od tego myśl, że Rhodesowi może się pogorszyć, a w takim wypadku nikogo przy nim nie będzie, bo kto wie, za ile Willard postanowi pojawić się na Bronksie. Rozdarta gapię się w niezidentyfikowany punkt w ścianie i próbuję wmówić sobie, że nie obchodzi mnie życie tego chłopca. Nie okazuje się to jednak w żadnym wypadku proste. Czas mija, a ja nie mogę zmusić kończyn do ruchu, bo oszukuję samą siebie.

Uwalniam bezsilnie powietrze i znowu spoglądam na Rhodesa.

– Wróci – staram się brzmieć pewnie, by jakkolwiek go uspokoić, zwłaszcza teraz. – Przecież miał przynieść leki dla ciebie. A akurat na tobie naprawdę mu zależy.

Dla niepoznaki unoszę niemrawo kącik ust.

– Wiem – stwierdza chłopiec.

– Prześpij się. To wyjdzie ci na dobre.

Rhodes przytakuje i przykrywa się kołdrą.

– A ty... znikniesz, jeśli zasnę?

– Powinam – odpieram smutno. – Ale boję się, że ci się pogorszy.

– Więc zostaniesz.

– Najwyżej Willard będzie zły.

Próbuję grać nieprzejętą, jakbym miała to gdzieś, ale wewnątrz mnie odzywa się obawa o to, jak zareaguje Willard, kiedy się tu zjawi. Wyszarpie mnie stąd? A może obieca, że będzie teraz dla mnie gorszy, mimo że nie miałam złych intencji? Nie mam pojęcia.

Ale nie chcę teraz o tym myśleć. Ani o tym, że pewna część mnie tej nocy chciała, żeby został przy mnie akurat on. Nie chcę, żeby jakkolwiek część mnie widziała w nim kogoś, przy kim mogłabym poczuć się bezpiecznie, bo to przecież on jest dla mnie zagrożeniem.

Gdy tak się dzieje, czuję się, jakbym porządnie zwariowała.

– Will nie będzie zły. – Rhodes kaszle i patrzy na mnie mętnym spojrzeniem. *Wygląda mizernie.* – Przekonam go, że nie zrobiłaś nic złego. Tylko się mną zaopiekowałaś.

To pewnie nie zadziała, ale zamiast kontynuować tę rozmowę, wyciągam rękę w stronę twarzy chłopca i przebiegam czule palcami po jego gorącym policzku.

– Śpij, kochany – szepczę. – Śpij.

Rhodes zasypia po paru minutach.

Czuwam przy nim i choć wraz z upływem czasu mój strach przed Willardem narasta, nie decyduję się na ucieczkę. Dwie godziny później wskazówki zegara wiszącego na ścianie wskazują godzinę szóstą, a za oknem robi się powoli szaro. Właśnie wtedy słyszę pewien zgrzyt. Na wpół przytomna prostuję się i wstaję, bo to odgłos zamka drzwi.

Wiem, z kim się teraz zmierzę.

Biorę uspokajający wdech i przechodzę do ciemnego korytarza. Tam rzeczywiście odnajduję Willarda, lecz nie w takim stanie, w jakim spodziewałabym się go zastać.

– Willard? – wyduszam oniemiała. – Co... co ci się stało?

Podchodzę w pośpiechu do z trudem stojącego w pionie chłopaka i czuję, jak mocno dudni mi serce w piersi, gdy widzę jego zarówno zakrwawioną twarz, jak i dłonie, w których trzyma siatkę z jakimiś zakupami. Wystawia ją w moją stronę. Znajduje się w takim amoku, że chyba nie wie, kto przed nim stoi. Boże, jest kompletnie zamroczony i zmasakrowany.

Jego twarz i ubrania pokrywa krew.

– R-Rhodes – charczy słabo. – To dla niego.

Przerażona zabieram od niego siatkę i patrzę, jak robi kilka kroków w głąb mieszkania. Za trzecim osuwa się na podłogę, nie mogąc dłużej ustać. Kompletnie zdruzgotana tym, co się dzieje, padam na kolana i przebiegam rozbieganym wzrokiem po obitej twarzy Willarda. Mogę go nienawidzić i nie cierpieć, ale widząc, że jest ledwo żywy, mam wobec niego ludzkie odruchy. Potrząsam jego ramionami. Im dłużej pluje krwią, tym bardziej zaczynam się trząść.

Jak mam mu, do cholery, pomóc? On przecież za moment totalnie odpłynie. Próbuję się nie mazać, ale bezsilność poniewiera mną jak chce.

– Dałam mu coś na zabicie gorączki – przekonuję go, w międzyczasie odrzucając siatkę z lekami na bok i sięgając po bluzę zwisającą z komody. Potem na powrót skupiam się na brutalnie pobitej twarzy Willarda i ścieram z niej posokę, cała dygocząc. – Wydobrzeje.

– Kim ty w ogóle... do diabła, jesteś?

Willard błądzi niewyraźnym wzrokiem po mroku korytarza, aż w końcu wbija go we mnie, jednak wciąż jest śnięty i otumaniony.

– Nie poznasz mnie? – wydycham, lecz prędko wyrzucam z siebie inne pytanie: – Kto załatwił cię

aż tak? Hej, Willard, nie odlatuj. – Klepię go lekko po policzku, bo zamyka oczy.

Moje szczypią mnie uporczywiej. Zbliżam się do chłopaka i w panice raz jeszcze potrząsam jego ramionami, modląc się, by się ocknął. Nie chcę być świadkiem niczyjej śmierci. Choćby jego.

– Harding – rzuca, ale otwiera oczu. – Wiedziałem, że będziesz miała głos zdarty wodą.

Rozpoznaje mnie i unosi kącik ust, ale jestem zbyt przejęta tym, czy mi zaraz nie zejdzie, by obchodziło mnie to, co mógłby zrobić mi za znalezienie się w jego mieszkaniu bez jego zgody.

– A ja nie wiedziałam, że wejdiesz tu ledwo żywy – odpieram żałośnie, ścierając niechlujnymi ruchami krew z pokrytej bliznami twarzy. Willard stara się podnieść, dlatego kręcę głową i zatrzymuję go w miejscu chyba jedynym argumentem, który jest w stanie go przekonać. – Nie wtaczaj się tam. Zostań w korytarzu, niech mały cię nie widzi. Nie w takim stanie.

Chłopak rzeczywiście zastyga w bezruchu. Uchyła powoli powieki, a jego ciemne oczy zaglądają wprost w moje, gdy próbuję jakkolwiek opanować tragiczną sytuację, ale to naprawdę ciężkie zadanie. Przeraza mnie to, jaki jest skopany. To, że sama brudzę się jego lepłą krwią.

– Co robi? – docieka.

– Śpi.

– Chociaż on ma to szczęście, co?

Domyślam się, do czego nawiązuje Willard.

– Tak – przytakuję. – Chociaż on. Skoro ty nie dałeś mi nic, co by mi pomogło.

Mówię to bez pretensji, raczej ze smutkiem, bo kiedy naprawdę potrzebowałam zasnąć, on postawił ponad ludzki odruch swoją nienawiść wobec mnie: nie dał mi niczego na sen. Ja teraz go nie zostawiam, przez co wychodzę na naiwną kretynkę, ale nic nie poradzę, że nie chcę patrzeć, jak ktoś niemalże umiera na moich oczach.

Zastanawiam się, czy zadzwonić po pogotowie. Przypadek Willarda na pewno kwalifikuje się do tego, by je powiadomić. Wydaje mi się, że co jakiś czas jego pierś przestaje się unosić. Wtedy i ja wstrzymuję oddech i czuję, jak łyzy bezradności znowu kumulują się w moich oczach.

Nagle chłopak kontynuuje temat tego, co stało się wcześniej.

– Nie babraj się w tym gównie. Mogę cię nienawidzić i tobą gardzić, ale nigdy nie dam tego szajsu w ręce kogoś, kto nie miał z tym styczności. Nawet jeśli to twoje obrzydliwe łapy.

– Majaczysz. Powinnaś zadzwonić po pogotowie?

– Nie majaczę, skończona kretynko.

Zwężam oczy. *Pięknie, teraz też potrafi być bucem.*

– W porządku, ostatni dupku, a teraz mi odpowiedz.

– Pod żadnym pozorem nigdzie nie dzwonisz – zarządza.

– Ale ty ledwo żyjesz! – protestuję zła, odkładając bluzę.

Usta Willarda rozciągają się w słabym, ale kpiącym uśmiešku.

– Mam jeszcze trochę złych zamiarów do spełnienia. Wobec ciebie.

Dureń. On tu prawie schodzi, ale co z tego? Podroczmy się z Harding, bo przecież zawsze jest na to odpowiedni czas i okoliczności.

Och, błagam.

– A kogo innego – odburkuję, ściągając swoją bluzę i teraz nią ścierając kolejne warstwy krwi z jego twarzy. Czerwień widzę również na jego delikatnie obnażonych zębach.

– Nikogo. Jesteś moim jedynym okazem do dręczenia.

Dziwię się, jaki obrót przyjmuje ta rozmowa. To wszystko jest takie popieprzone. On jest najpewniej zbyt przyćmiony tym, jak oberwał, a ja może zbyt skacowana, by pamiętać o tym, że powinniśmy traktować się jak gówno. Chyba właśnie z tego powodu to wszystko wygląda, jak wygląda, a on droczy się ze mną w nieco mniej... okrutnym i swoim stylu.

Wiedząc, że nie może mi się oberwać, przechylam głowę i pytam poważnie:

– Wiesz, że mogę cię teraz za to strzelić w ten skrzywiony pysk?

– Nadstawić lewy czy prawy policzek?

Prycham na jego idiotyczną odpowiedź.

– Nadstaw twarz, kretynie, bo muszę ci ją przetrzeć.

Willard skupia na czymś spojrzenie. Myślę, że z każdą kolejną minutą czuje się odrobinę lepiej,

choć nadal wygląda, jakby zaliczył bliskie spotkanie z tirem. Teraz zresztą szczerzy się i odbija piłęczkę swoim aroganckim, popisowym tonem:

– Nadstaw usta, smarkulo, bo lubię mieć je w zasięgu wzroku.

Szybko orientuję się, że tym, na czym skupił spojrzenie, są moje wargi. Zupełnie mimowolnie je rozchyłam, ale prędko zamykam, powstrzymując z całych sił uśmiech. Przecież nie może podobać mi się to, że ten dupek najwyraźniej ma fioła na punkcie moich ust.

– Tak? – wyrywa mi się tak czy inaczej. – I co jeszcze?

Chłopak obserwuje mnie z bardzo bliskiej odległości.

– Zastanawiać się, czy gdy w końcu ich skosztuję, dostanę obsesji.

– Dostaniesz to chyba moralniaka, jak rano przypomnisz sobie, co wygadywałeś, kiedy słabo kontaktowałeś. – Chwytam go za brodę. Chcę wytrzeć mu lewy policzek, a on się wierci. – Możesz nie utrudniać mi zadania?

– To się przysuń.

Wywracam oczami na tę głupią propozycję.

– Ta, dodaj do tego „wskocz mi na kolana” – ironizuję, ukrywając rozbawienie.

– Wskocz mi na kolana – powtarza to za mną nonszalancko, a ja nie wierzę, że naprawdę z nim rozmawiam i, jakby tego było mało, czuję jakąś pojebaną chęć, by rozmawiać z nim dłużej o totalnych pierdołach. Karczę się za to w duchu i staram ogarnąć.

– Poradzę sobie, siedząc obok ciebie, a nie na tobie.

– W czym widzisz problem? Przecież parę godzin temu uczepliłaś się mnie jak pijawka.

– Uczepliłabym się wtedy każdego – zaznaczam natychmiast i wytyżam wzrok, bo w mroku trudno mi dostrzec, gdzie przyłożyć nasączoną krwią bluzę. – Nie myśl, że jesteś dla mnie jakiś szczególny.

– Mhm.

Nagle Willard wyciąga w moją stronę rękę i kładzie je na moich biodrach.

– Gdzie te łapy? – wypluwam, lecz zanim zdążę jakkolwiek zareagować, siedzę już na nim okrakiem i dziwię się, jak udało mu się w ogóle w takim stanie mnie na sobie ułożyć. Dopiero potem marszczę nos i próbuję z niego wstać, ale bez rezultatu. Trzyma mnie szczerze.

– Tam, gdzie mi się podoba – mówi bezczelnie, na co fukam.

– Jak ja cię nie cierpię.

– Ze wzajemnością i życzeniami, żeby nie spało ci się dzisiaj za dobrze.

Walę go z otwartej dłoni w ramię.

– Sukinsyn – klnę. – Ale hej, nie odpływaj – dodaję resztę miłszym tonem, ponieważ Willard przymyka ponownie powieki.

Oberwał naprawdę mocno. Na jego twarzy odznaczają się siniaki i zadrapania, które w towarzystwie bliźni czynią go groźniejszym. Cichy głos w głowie podpowiada mi, że w rzeczy samej, niewiele rejestruje. Jest jak nie on. To wyjaśniałoby, dlaczego drażni się ze mną w taki sposób. Taki, który nie sprawia, że mam ochotę zapaść się pod ziemię i zniknąć.

A może sedno nie tkwi w niby innym sposobie, w jaki się ze mną drażni.

Może po prostu totalnie zwariowała. Może on od początku miał rację i zaczęłam już przyzwyczajać się do rzeczywistości, w której jestem traktowana przez niego źle. Może tak naprawdę nigdy nie odzwyczaiłam się od rzeczywistości, w której jestem tak traktowana.

Miej swój honor, mówię sobie. Miej swój pieprzony honor.

Z letargu wyrywa mnie wrażenie, że silny i pewny uścisk dłoni Willarda na moich biodrach słabnie. Powinno mnie to cieszyć, ale tak nie jest, bo to oznacza, że on cały słabnie. Pochylam się do przodu, wcześniej odrzucając bluzę, i klepię go po czystym już policzku.

– Cholera, powinnam zadzwonić po pomoc – wydaję z siebie bezsilny jęk, patrząc niepewnie na chłopaka i przesuając z jakiegoś powodu ostrożnie palcami po jego skroni.

– Spróbuj, a połamię ci paluchy.

– Aua, nie odgryzaj mi ich! – wyduszam zaskoczony pisk, bo Willard w ułamku sekundy otwiera oczy, po czym obejmuje wargami moje palce i wgryza się w nie, jakby chciał je zjeść.

– Nigdzie... – charczy. – Nie dzwonisz.

Mówi to i gapi się na mnie półprzytomnie, przesuając dłońmi po moich udach. Czuję mrowienie

tam, gdzie dociera ciepło jego rąk, mimo że nie chcę go czuć. Odgarniam ciemne, splątane włosy z własnej twarzy i potwornie zmęczona wypuszczam głęboki wydech.

Ta noc nie mogłaby być cięższa.

– Nie dzwonię – potwierdzam, choć wolałabym, by obejrzał go lekarz. – Nie gorączkuj się tak. Hej, czy ty nie masz gorączki, tak jak Rhodes? Mógł cię przecież zarazić, a wyglądasz jakoś tak kiepsko, oprócz tego, że masz obitą twarz i w ogóle... och.

Dotykam jego czoła i już wiem, dlaczego może być też taki śnięty.

– Masz gorączkę – mamroczę.

Jakby sam fakt, że wpadł tutaj ledwo żywy, nie był wystarczająco do dupy.

– Zaczekaj tu – nakazuję mu i ściągam z siebie powoli jego rękę.

Usta chłopaka wyginają się w następnym drwiącym uśmiechu.

– Czekaj, już się zrywam z miejsca i zapierdalam na przebieżkę po osiedlu.

– Nie dość że cham, to jeszcze ironista – bąkam, kręcąc głową również z uśmiechem.

Następnie wstaję z niego i zbieram z podłogi siatkę, w której przyniósł leki na gorączkę. Biorę kilka tabletek i ruszam do kuchni, żeby wziąć stamtąd kubek i przelać do niego wodę. Prędko wracam do pogrążonego w czerni korytarza, po czym przekazuję mu rzeczy.

Willard połyka tabletki i opiera tył głowy o ścianę, eksponując napiętą grdykę.

– Mogłaś chociaż się uczesać, jak przychodzisz w gości – rzuca po tym, jak z powrotem siadam obok niego i związuję niezdarnie skołtunione włosy w koński ogon.

– A ty przypudrować nos, jak ich przyjmujesz – odgryzam się.

Brunet mruży oczy i prycha.

– Suka. Policzymy się niedługo.

– Nie będziesz tego pamiętał – zaprzeczam i kreślę jakiś niezrozumiały wzorek paznokciem na wierzchu jego pokrytej szramami dłoni, którą położył na moim kolanie.

Przez dłuższą chwilę nie uzyskuję odpowiedzi, więc podrywam głowę i krzyżuję z nim spojrzenie. Jego wydaje się mniej trzeźwe, ale oczy... skupiają się ciągle na moich. Tkwimy w ciszy, gapiąc się na siebie bez słów. Trwa to dłuższy czas i czuję się wtedy dziwnie.

W pewnym momencie Willard odchrząkuje.

– Nie muszę pamiętać – bąka, a jego powieki opadają ociężale. – Policzę się z tobą, bo wciąż cię nie trawię. Nieistotne, w jakim jestem stanie, nie trawię cię tak samo mocno.

Nic na to nie mówię. Zresztą, on niedługo potem i tak zasypia z wycieńczenia, oparty o ścianę w korytarzu. Zsuwam z kolana jego rękę i podnoszę się do pionu. Powinam już iść do siebie. Zanim to robię, zabieram z ziemi zakrwawione bluzy i wrzucam je do wanny w łazience. W pomieszczeniu wpada mi w ręce spirytus. To pewnie nim Willard zwykle odkaża rany. To nie jest jednorazowa sytuacja. Jakiś czas temu ktoś pociął mu też przecież kostki.

Ze sporą butelką spirytusu i ręcznikiem wracam do przedpokoju. Nasączonym płynem materiałem oczyszczam rany na twarzy chłopaka i dopiero gdy kończę, daję mu spokój.

– Śpij źle, prostaku – mamroczę pod nosem.

Postanawiam sprawdzić, co u małego Rhodessa. Śpi jak zabity. Liczę, że prędko mu przejdzie. Gotowa do wyjścia, zmierzam do korytarza. Tam uważam, by nie zdeptać leżącego w nim Willarda. Już chcę sięgnąć do zamka drzwi, by je otworzyć, kiedy nagle ktoś zaczyna walić pięściami w drewno. Zdruzgotana robię parę kroków w tył, nic z tego nie rozumiejąc.

– Covington, wyłazimy! – słyszę męskie krzyki. – Brakuje dwóch stów!

Włosy na karku stają mi dęba. Walenie w drzwi wzbiera na sile. Mam wrażenie, że mój sąsiad, który zdążył się przebudzić, próbuje coś z siebie wydusić, ale z marnym skutkiem. Jest niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu, otumaniony i tkwi w jakimś innym wymiarze.

Patrzę z obawą na drzwi. Drewno trzęsie się, przyjmując ciosy. Ja też zaczynam się trząść, bo nie mam pojęcia, co robić. Jest ich chyba kilku. Kilku facetów chcących czegoś od Willarda. Nie chcę wyobrażać sobie, jak przerażająco wyglądają. Po głosach wydaje mi się, że są to jacyś wyrośnięci goryle i kryminaliści.

– Dwie. – Następuje strasznie głośny trzask. – Kurwa. Stówy.

Chwytam się za głowę, zaciskam powieki i myślę, intensywnie myślę, ale dekoncentrują mnie krzyki

i odgłos stale taranowanych drzwi. Serce obija mi się o żebra w potwornej panice.

– Nie ignorujemy się, młody, dwie stowy!

Otwieram oczy. Przetrzęsam kieszenie spodni. Powinnam mieć w nich pieniądze, które przygotowałam wcześniej, bo chciałam przecież kupić od Willarda coś na sen. Rozwijam banknoty. Mam w dłoni lekko ponad dwieście dolarów, zarobionych do tej pory w sklepie pana Findlaya. Niewiele myśląc, padam na kolana i wsuwam przez szparę drzwi właściwą sumę.

Walenie ustaje. Faceci coś do siebie mówią i chyba odchodzą, krzyżąc na odchodne „niedługo widzimy się znowu”. Siedzę przez dłuższą chwilę na klęczkach przed drzwiami, w zaciemnionym korytarzu, i próbuję się ogarnąć po tym, co się stało. Ani trochę teraz nie dziwi mnie to, że niedawno Rhodes błagał mnie, żebym w takiej sytuacji wpuściła go do siebie.

No właśnie, przypominam sobie od razu. *Rhodes. Hałasy mogły go obudzić.*

Podnoszę się i przemykam do pokoju. Mimo ciemności dostrzegam siedzącego na łóżku chłopca. Jest zaspany i zdezorientowany. Przeciera dłońmi swoje wielgachne oczy. Prędko zauważa mnie w progu oraz zwraca się do mnie z pytaniem:

– Goldie? Co to było?

Podchodzę do łóżka i kucam przed nim. Nadal jestem trochę rozdygotana, ale staram się nie wzbudzić w małym podejrzeń. Muszę sprawić, żeby szybko zapadł w sen. Sięgam po jego dłonie i głaszczę ich wierzchnie części, posyłając chłopcu fałszywy uśmiech.

– Nic takiego – odpieram. – Ktoś dobijał się do sąsiada, śpij, Rhodes.

– Na pewno? – Malec unosi brew.

Przytakuję pewnie.

– Tak.

– Will wrócił? – pyta zmartwiony.

Chyba nie jest już aż tak czerwony, jak był wcześniej, a to dobry znak. Być może obejdzie się bez wizyty u lekarza, jeśli Willard zadba jutro o niego i o siebie. Ale ciężko stwierdzić, czy po tym, jak oberwał, w ogóle zwlecze się rano z podłogi, na której zasnął.

Postanawiam zrobić coś jeszcze, zanim wyjdę od Covingtonów.

– Tak – potwierdzam i dodaję: – Zaraz go tutaj położę.

Rhodes kładzie się i wtula policzek w poduszkę.

– W porządku.

– Dobranoc – życzę mu ciszej.

– Dobranoc, Goldie – odpowiada mi również szeptem.

Tak jak zapowiedziałam, z wielkim wysiłkiem zgarniam ledwo kontaktującego Willarda z podłogi. Dobrze, że chłopak współpracuje i robię mu tylko za podpórkę, ponieważ sam jest w stanie jakoś dowlec się do łóżka, gdzie śpi Rhodes. Z początku czuję się źle z tym, że pomogłam mu aż tak, lecz przypominam sobie, że on zaniósł mnie do mieszkania na rękach.

A wcale nie musiał tego robić. Mógł zostawić mnie na brudnej klatce schodowej na pastwę losu, dlatego jest mi trochę mniej źle. Ostatni raz nachyliłam się nad jego pobitą twarzą i przebiegam knykciami wzdłuż całej długości jednej z jego starych blizn.

– Ja też cię nie cierpię – wyznaję niemalże bezgłośnie.

Później ruszam do drzwi. Sprawdzam przez wizjer, czy klatka schodowa świeci pustkami. Mając pewność, że tak jest, wychodzę z mieszkania Willarda. Na półpiętrze wyglądam przez okno i orientuję się, że na zewnątrz powoli robi się jasno. To była trudna i popieprzona noc. Domyślam się, że przez nią będę przez cały dzień ledwo funkcjonować.

Zanim dwie godziny później opuszczam Bronx, dwa razy sprawdzam, czy Rhodes i Willard mają się w porządku.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

MARIGOLD

KIEDYŚ

Owijam szczelniej materiałem płaszcza drżące z zimna ciało i jeszcze mocniej ściskam dłoń Mavericka, z szerokim uśmiechem prowadząc go nocą przez ciemny las. Już prawie jesteśmy. Zaraz dotrzemy tam, dokąd chciałam zaprowadzić go już dawno, ale nie było ku temu okazji, bo albo któryś wieczór bywał zbyt ryzykowny, gdy mój przyjaciel pełnił dyżur w sierocińcu z kimś bardziej czujnym niż starsza pani Dawson, albo też Claire nie opuszczała mnie na krok.

Trudno było nam się zgrać, ale to w tym momencie nie wydaje się ważne.

Ważne jest to, że nareszcie mogę pokazać mu, dokąd udaję się za każdym razem, kiedy czuję się źle. Zazwyczaj wymykam się wtedy z sierocińca, by poczuć się odrobinę normalniej. Normalniej z myślą, że wcale nie jestem żadnym więźniem. Wtedy również przedzieram się nocami przez ten nieduży las i wychodzę na pobliską kamienną plażę.

Tak jak teraz.

Razem z mężczyzną wyłaniamy się spomiędzy gąszczy drzew. Naszym oczom ukazuje się bezkres wody i czerń nieba. Opuszczam rękę, ale nie rozdzielam dłoni splecionej z dłonią Mavericka. Lubię, gdy trzymamy je w ten sposób. Zbliżam się do mężczyzny i stykam ramię z jego umięśnionym bicepsiem schowanym pod czarną, skórzaną kurtką, a on przeczesuje wnikliwym wzrokiem przestrzeń, którą mamy wyłącznie dla siebie.

– Teraz ani trochę nie dziwi mnie to, że ciągle się wymykasz.

Patrząc na niego, upewniam się cicho:

– Podoba ci się ta plaża?

– Potwornie. Nie miałem pojęcia, że mamy taką pod nosem.

Kamień spada mi z serca. Chciałam, by nie poczuł, że zmarnował ze mną czas. W końcu ma wiele zajęć, przez takie wyjście ze mną na pewno musi z czegoś zrezygnować. Pełna ulgi wspieram się delikatnie na palcach stóp i opieram brodę na jego barku.

Przez moment podziwiam go, jego przystojną twarz i piękne oczy, które nagle koncentrują się tylko na mnie. Znowu się uśmiecham. Jestem szczęściarą, że mężczyzna jak on spędza ze mną wieczory i noce. Dawno nikt nie dbał o mnie tak, jak robi to Maverick. Nikt nie okazywał mi tyle wsparcia i zainteresowania co on. Mój najlepszy, ulubiony opiekun.

– Usiądziemy? – proponuję, wskazując kiwnięciem na duży kamień.

– Pewnie.

Oboje siadamy na skale, tuż przy sobie. Mężczyzna otacza mnie ramieniem. Cieszę się jego bliskością i wtulam policzek w jego tors. Szybko nawiedza mnie jednak wrażenie, że coś nie gra. Maverick jest dzisiaj trochę nieobecny, przygaszony, może nawet zasmucony, co sprawia, że i we mnie kielkuje przygnębienie, bo nie miałam okazji widzieć go w takiej wersji.

Zmartwiona unoszę spojrzenie na jego twarz i przez chwilę biję się z myślami.

– Nie masz dzisiaj dobrego humoru – zagajam w końcu, gryząc wargę.

Mam nadzieję, że nie uzna, że naruszam jego prywatność, czy... coś. Ale jest przecież moim przyjacielem. Przyjaciele się o siebie troszczą. Ja też chcę się o niego troszczyć, skoro on bardzo, ale to bardzo, troszczy się o mnie na każdym kroku.

Mężczyzna wzdycha i wyłapuje moje spojrzenie.

– To nic. Jutro nie będę taki markotny.

– Chodzi o nią, prawda?

– O nią?

– O twoją żonę – odpieram konkretniej, przypominając sobie, jak kilka tygodni temu zdradził mi, że pomiędzy nimi coś mocno zgrzyta. – Nadal wam się nie układa. Tylko przez nią chodzisz od jakiegoś czasu taki załamany i nieswój.

Maverick spogląda w niebo. Wydaje mi się, że trafiłam w sedno.

Sięgam po jego dłoń zwisającą z mojego ramienia i składam na jej wierzchu ledwie wyczuwalny pocałunek. Z chwilą zetknięcia jego skóry z moimi ustami mężczyzna wciąga dyskretny wdech do płuc. Zastanawiam się, co jest tego powodem. Czy zrobiłam coś nie tak? Coś, co mu się nie spodobało? Nieco zmieszana wyznaję:

– Nie chcę, żebyś taki był. Wtedy i ja nie czuję się dobrze.

– Problem jest jeden, Mari. – Mężczyzna mówi to zbolalym tonem, który wprawia moje serce w drżenie.

– Jaki?

– To już nie to samo, co było kiedyś.

Widzę, że wiele go kosztuje rozmowa o tym, co łączy go z żoną. Z tego, co wiem, wszystko sypie się, ponieważ Camille, o ile dobrze zapamiętałam jej imię, ciągle goni i goni za karierą, nie widząc nic poza nią. Przez to nie znajduje czasu dla Mavericka i jakoś tak... odsuwają się od siebie, a on nie ma już pomysłu, jak ratować ich małżeństwo.

Szkoda mi go. Bardzo szkoda. Mój Maverick wydaje się taki bezradny i smutny.

Jest zbyt dobry, by w zamian za swoją miłość otrzymywać obojętność żony. Czy ona naprawdę nie umie docenić tego, jak on się stara? Jak wiele jej daje? To z jej strony okropnie podłe. Mrugam powoli, przyglądając się niepewnej minie Mavericka. Chyba jest niepewny, czy ciągnięcie tego ma w ogóle jakikolwiek sens. Nie dziwię mu się ani trochę.

Mężczyzna przejeżdża bezsilnie palcami wolnej ręki wzdłuż grzbietu nosa, jakby zbierał się do tego, by mi o czymś powiedzieć.

– Myślę, że jeszcze kilka lat temu nie wyobrażałem sobie dnia bez widoku jej uśmiechu – stwierdza nareszcie, unosząc nostalgicznie kącik ust. – Myślę, że jeszcze kilka lat temu byłem nią oczarowany w każdym znaczeniu tego słowa. Gotowy spełniać jej życzenia. Gotowy na każde jej skinienie. Naprawdę szaleńczo w niej zakochany, a teraz... teraz już tego nie czuję.

Muskam dłoń mężczyzny wargami.

– Dlaczego?

Maverick wzrusza ramionami, jakby ze zrezygnowaniem.

– Chciałbym wiedzieć, dlaczego zblizamy się do końca czegoś, co wydawało nam się bardzo trwałe. Bo małżeństwo z Camille naprawdę wydawało mi się czymś cholernie trwałym.

– Zamierzasz się z nią rozwieść?

Ponownie spogląda wprost na mnie.

– To nie jest kwestia przeskoczenia przeszkody, Mari.

– Co masz na myśli? – pytam, niewiele rozumiejąc.

– Rozwody bywają dość... trudne i czasochłonne.

– Och – tylko tyle daję radę z siebie wydusić.

No tak, Maverick ma stuprocentową rację. Są przecież różne przypadki. Rozwód nie zawsze może być szybki i łatwy. Przez dłuższy moment siedzimy w ciszy, zwróceniu twarzami ku sobie. Robimy to, dopóki mężczyzna nie marszczy brwi, jakby coś sobie przypomniał.

– Nie było cię dzisiaj na kolacji. Dlaczego?

Nie do końca wiem, co mu odpowiedzieć.

– Ja... – Zasysam nerwowo policzek.

– Powiedz prawdę.

Do tonu jego głosu wkrada się ostrzejsza nuta, co delikatnie mnie dziwi, ale tłumaczę to zwykłą troską. Ponieważ mój przyjaciel chce dla mnie jak najlepiej, a teraz nie wie, z jakiego powodu znowu jakimś cudem wymigałam się od kolacji. Jest zmartwiony.

Zwieszam zawstydzona głowę, wypuszczając cichutko powietrze.

– To bez sensu.

Mój opiekun przyciąga mnie do siebie mocno.

– Mari, kochanie – zwraca się do mnie łagodniej.

Serce mięknie mi niemalże w ułamku sekundy.

– Nie jesz, bo wciąż masz obawy, że coś ci odstaje?

Nie mam odwagi spojrzeć mu w oczy. Przecież już próbował przemówić mi do rozumu. Stracił czas,

by zapewnić mnie, że wcale nie jestem słoniem. A teraz miałabym mu wyznaczyć, że nadal patrzę na siebie krytycznie? Weźmie mnie za idiotkę. Za gówniarę, która histeryzuje. Nie chcę, żeby mój Maverick wziął mnie za kogoś takiego. Jego Camille na pewno nie histeryzuje.

Nie, stop. Nie mogę porównywać się do jego żony.

Po co to robię?

Unoszę brodę i na niego spoglądam. Orientuję się wtedy, że mężczyzna przygląda mi się uważnie, jakby prześwietlał mnie wzrokiem na wskroś. Na pewno domyśla się odpowiedzi na swoje pytanie, ale jest na tyle cierpliwy, że czeka, aż sama coś z siebie wyduszę. Zestresowana podwijam palce u stóp i staram się brzmieć normalnie.

– Przejdzie mi. Za jakiś czas.

Maverick zsuwa rękę z mojego ramienia po to, by chwycić w swoje dłonie moje.

– Dlaczego wmawiasz mi, że to nic takiego? – pyta zasmucony, na co krzywię się, ponieważ ani przez chwilę nie chciałam, by dotknął go mój beznadziejny i błahy problem.

Patrzę na niego przepraszająco.

– Ponieważ masz dużo swoich problemów z Camille? Ponieważ ona pewnie nie myśli o sobie w ten sposób?

Dopiero po chwili dociera do mnie, że wypaplałam za dużo.

– Nie myśli o sobie w ten sposób? – powtarza za mną. – Mari, dlaczego w tym, o czym mówisz, jest w ogóle miejsce dla Camille?

Zabieram dłonie i zakładam ręce na piersi, spuszczać wzrok na swoje trampki. Pięknie, teraz wyszło, że zestawiam w myślach siebie i jego żonę. A naprawdę próbowałam wyprzeć z głowy podobne porównania, bo w końcu one do niczego nie prowadzą.

Nie spodobałam się komuś tak idealnemu jak Maverick. Choćbym starała się z całych sił, nie zwrócić na siebie uwagi kogoś tak opiekuńczego, świetnie zorganizowanego, mądrego i atrakcyjnego. Nie jestem dojrzałą kobietą sukcesu. Ładną ani szczupłą. Błyskotliwą i wygadaną. Jestem... nastoletnią sierotą, która jest nijaka, szara, która wtapia się w tłum.

Odwracam się do Mavericka i wpatrzona w jego oczy, stawiam na szczerość.

– Nie wiem. Może próbuję być taka jak ona, skoro jej jakimś cudem udało się zdobyć kogoś takiego jak ty – szepczę i pociągam nosem.

Jest mi niesamowicie głupio.

– Ślicznotko...

– Też chciałabym trafić w przyszłości na kogoś takiego – ciągnę, nie pozwalając mu nic powiedzieć. – Kogoś, kto ma tak dobre serce. Chcę być taka jak Camille, skoro ona trafiła na ciebie. Tylko w przeciwieństwie do niej nigdy nie pozwolę, żeby kiedykolwiek odbiło mi na punkcie kariery. Nigdy nie zaniedbam kogoś, o kim marzyłam.

Maverick mnie słucha. On zawsze to robi. Zawsze w ten sposób. Słucha, jakby nie chciał, by umknęło mu choćby jedno wypowiedziane przeze mnie słowo. Wyłącznie jego obchodzą głupoty, które plotę. Teraz uśmiecha się delikatnie i zwiesza głowę, kręcąc nią.

Po chwili ponownie na mnie spogląda.

– Nie próbuj być taka jak ona, Mari... bo potrafisz namieszać w głowie bardziej niż Camille – wyznaje z lekkim oporem, jakby miał obawy, czy powinnam o tym wiedzieć.

Nie ukrywam, że odrobinę zbija mnie z tropu.

– To znaczy?

– To znaczy, że zacząłem myśleć o tobie więcej, niż powinienem.

Rozchylam usta. Mam wrażenie, jakby czas zwolnił, a wraz z nim moje serce. Patrzę na Mavericka i nie mogę uwierzyć w to, czym się ze mną podzielił. Naprawdę o mnie myśli? Naprawdę... mogłam namieszać mu w głowie? Ja? Komuś takiemu jak on? To niestosowne. Tak, to na pewno niestosowne i nie w porządku, ale rety... Mam ochotę skakać pod sufit.

Zwłaszcza kiedy mężczyzna obejmuje dłonią mój policzek i patrząc na mnie z uczuciem, dokańcza miękkim tonem:

– To znaczy, że mimo tego, jak bardzo jest to niewłaściwe, coś we mnie obudziłaś, kochanie. Wydaje mi się, że mogłaś mnie sobą oczarować.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

MARIGOLD

Nie miałam pojęcia, że na uczelni, w najbardziej oddalonym od wejścia do budynku skrzydle, znajduje się stare pianino. Odnalazłam je dopiero dzisiaj, przechadzając się po pustej szkole powoli i bez celu. Tak naprawdę przyszłam na zajęcia o wiele za wcześnie, bo dziwnie było mi przebywać na Bronksie po tym, co wydarzyło się w nocy. To było pochrzanione.

Musiałam odsapnąć od tej okolicy.

Teraz siedzę na krześle przy instrumencie i gram zapamiętaną dawno temu melodię. Byłam dzieckiem, gdy mama spróbowała rozpaścić we mnie miłość do pianina. Nie musiała jednak włożyć wiele trudu w to, bym się w nim zakochała. Odkąd moje palce zetknęły się z jego klawiszami, sama zaczynałam pytać, czy możemy grać częściej, nawet jeśli byłam mała i nie dosięgałam nogami podłogi, ciągle wierząc się na fotelu i prawie robiąc fikołka do tyłu.

Moje serce otula ciepło na to jedno wspomnienie.

Nie mam pojęcia, ile się tak relaksuję w towarzystwie muzyki. Wtem przerywam grę, bo chyba niedługo rozpoczną się wykłady. Promienie słońca przebijają się przez poranną mgłę i wślizgują do wnętrza budynku przez duże, szklane okna. Zalewają podest, na którym znajduje się instrument, oraz oślepiają mnie na moment, ponieważ zerkam na szarówkę i pograżone w niej budynki sąsiadujące ze szkołą. Na jednym z nich jest zegar. Udaje mi się odczytać z niego, że dochodzi ósma. Zresztą mówią też za tym wybrzmiewające z korytarzy rozmowy studentów.

Uznaję, że to dobry moment, żeby udać się do sali. Sięgam po swoją torebkę leżącą na podłodze, prostuję się i cholera, dostaję zawału, bo nagle nie siedzę już sama na siedzeniu przed pianinem. Obok mnie siedzi Willard, który nie wiem kiedy ani jak zdążył się tutaj znaleźć.

– No proszę, Marigold Harding jednak nie jest takim beztalenciem – rzuca jak zwykle złośliwie rozbawiony i tym samym podpowiada mi, że słyszał, jak grałam.

Początkowo nic nie odpowiadam. Za bardzo skupiam się na tym, jak wygląda jego twarz po tym, co stało się w nocy. Jest porządnie obita. Zadrapania, blizny, siniaki i te podłużne szramy, które miał już wcześniej, wyglądają paskudnie. Jestem przekonana, że inni studenci i profesorowie zwrócą na nie uwagę, ale Willard to Willard. Będzie miał to totalnie gdzieś.

W tej chwili również ma gdzieś to, że mu się przyglądam. Zrezygnowana zsuwam z ramienia torebkę i kładę ją sobie na udach, bo mam przeczucie, że Covington tak łatwo mnie nie przepuści. To nie w jego stylu. Przez kilka sekund zastanawiam się, czy pamięta coś z tej nocy, ale prędko wyganiając tę myśl z głowy. Miał gorączkę. Został pobity. Może nie pamiętać.

Wolę, żeby nie pamiętał. Ja też wolałabym nie pamiętać. Nie chcę, żeby coś we mnie się do niego przywiązało ani żeby coś w nim przywiązało się do mnie, o ile to możliwe. Najlepiej by było, gdybyśmy poszli w swoje strony. Zaczęli traktować się jak powietrze. Po prostu.

Przekręcam się w bok i spoglądam na niego nieco bojowo.

– Daruj sobie. Po co się dosiadłeś?

Willard mruży oczy. Pod jednym ma limo.

– Może jestem wrażliwy na muzykę? – sugeruje kpiąco, ciągnąc te swoje gierki, które chociaż nie przyprawiają mnie już o chęć zwrócenia śniadania przez ogromną panikę, to bez przerwy sprawiają, że czuję się niespokojna.

Przeraża mnie to, że miał rację. Powoli się przyzwyczajam. Wiem o tym i chcę to zatrzymać. Bardzo chcę to zatrzymać. Ściskam niepostrzeżenie w dłoni pasek torebki i zwracam się do Willarda obojętnym tonem:

– W takim razie jeśli zaśpiewam ci, żebyś spierzał, to trafi do ciebie lepiej, niż gdy ci to po prostu powiem?

– Graj – rozkazuje krótko, obserwując mnie.

Oczywiście, że ma na myśli grę na pianinie.

– Bo co? – Przechyłam pytająco głowę.

Chłopak zbliża twarz do mojej. Na moment, jak to ma w zwyczaju, spuszcza wzrok na moje usta. Ilekroć ostatnio obdarzał je tym uważnym wzrokiem, czułam niechcianą potrzebę przekonania się, jak obchodziliby się z nimi ktoś, kto tak zwariował na ich punkcie.

Duszę ją głęboko w sobie i zadzieram brodę. Krzyżujemy spojrzenia.

– Bo ja zagram ci na nerwach – ostrzega cicho Willard.

– Już to robisz. Od kilku tygodni.

– Och, nie. – Unosi kącik ust. – Mogę dopiero zacząć, Gold.

Na moment zerkam w bok i na powrót zaglądam w brązowe oczy chłopaka, również obnażając zęby w nieznacznym, zwycięskim uśmiešku.

– Tu są kamery. Nic mi nie zrobisz.

Willard ściąga brwi.

– Sądzisz, że obchodzi mnie to, że mogę iść na głupi dywanik za dręczenie innej studentki?

– A nie? – Mój uśmiech odrobinę rzadnie, lecz staram się trzymać fason.

– Ani trochę. – W jego głosie pobrzmiwa drwina. – Graj.

Zaciskam szczękę. On naprawdę ma wszystko i wszystkich w nosie. Mógłby zostać srogo ukarany za to, na co pozwoliłby sobie względem mnie, ale zupełnie to po nim spływa. Natomiast we mnie szaleje większe zdenerwowanie, bo tylko bardziej uświadamiam sobie, że Willard nie ma granic, których bałby się przekroczyć. Nie ma złych rzeczy, których bałby się zrobić. Nie ma krzywd, których bałby się wyrządzić, i paskudnych zamiarów, których bałby się dopełnić. Dlatego jest taki przerażający. Ponieważ jest w stanie bez wahania rzucić się na najgłębszą wodę i przy okazji pociągnąć mnie w najgorsze głębie.

Jest nie do ujarznienia, a ja jestem taka dla niego. Poczułam to dobrze w nocy. Niewiele pamiętam z odwiedzin w jego mieszkaniu, ale to, co utkwiło mi w pamięci, to sposób, w jaki szarpnął moimi włosami, wypowiedział moje imię i na mnie spojrział.

Jego spojrzenie wyrażało *przestań*, któremu chciałam się poddać. Nie wiem dlaczego. Nie wiem, z jakiego powodu pomyślałam, że muszę go posłuchać, jakbym była kimś, kto musi się z nim liczyć. To nadal mnie przeraża, bo nie chcę myśleć o sobie, jakbym musiała się z nim liczyć. Odwracam ponownie wzrok, czując się z tym wszystkim gównianie.

Pech, że nie stać mnie na wizytę u jakiegoś specjalisty. Raczej go potrzebuję, ale może lepiej, że jest jak jest. Bałabym się, że to, co usłyszysz ode mnie psycholog, zmusi go do zamknięcia mnie w wariatkowie.

Sztynnieję, bo nagle Willard szarpie moje dłonie i kładzie je na klawiszach. Nabieram dyskretnie powietrza nosem i postanawiam się jakoś wymigać.

– Nie rozgrzałam wystarczająco dobrze palców.

– Kłamczucha – prychnął chłopak. – Daj rękę.

– Znowu odgryziesz mi palec? – wypalam bez namysłu drwiącym tonem.

– Co?

Następuje cisza. Dobiega mnie hałas rozmów z korytarzy znajdujących się nieopodal. Kątem oka spoglądam na Willarda i dochodzę do wniosku, że sprawia wrażenie zbitego z tropu. *Nie pamięta*, orientuję się. *Nie pamięta, co stało się ostatniej nocy*.

– Nic... nic takiego – szepczę, a on sięga ponownie po moją rękę. – Co ty robisz?

Przykłada ją sobie do policzka i przejeżdża opuszkami palców po zadrapannej skórze. Nieświadomie wstrzymuję oddech, czując pod nimi delikatne mrowienie, gdy tylko stykają się z kolejnymi szramami i siniakami odznaczającymi się na jego twarzy. To zbyt intymne, by należało się akurat nam, dlatego szybko wyszarpuję rękę, chociaż nie robię tego chętnie.

– Są miękkie i ciepłe – stwierdza. – Musisz długo grać.

Natychmiast protestuję.

– To żaden dowód. Zanim przyszedłeś, nie grałam wcale długo.

– Obserwowałam cię od początku. Grałaś długo.

– Psychol – wypluwam, bo to oznacza, że patrzył na mnie prawie pół godziny.

– Lubię twoje komplementy. – Posyła mi kolejny prowokujący uśmiešek.

Zerkam mimochodem na zegar widoczny za oknem. Za dwie minuty mamy pierwszy tego dnia

wykład. Wbijam spojrzenie w brązowe oczy Willarda i obwieszczam:

– Zaraz zaczynają się zajęcia.

Wzrusza ramionami.

– Więc wybierz coś krótkiego, jeśli ci na nich zależy.

Oczywiście, że tobie na nich nie zależy. Poddaję się i kładę palce na klawiszach pianina. Zbieram się w sobie przez moment i przypominam sobie kolejną melodię, która kojarzy mi się z mamą. Gram ją z taką swobodą, że mogłabym zerknąć na Willarda i nie wypaść przy tym z przyjemnego transu, ale nie robię tego. Trzymam się zamiaru, by się od niego odciąć. Będę próbować, pomimo że te próby z góry skazane są na porażkę.

Po paru minutach kończę występ i sięgam po swoją torebkę. Powinnam jak najprędzej znaleźć się w sali teatralnej, bo tam znowu mamy zaprezentować pewne zadanie w parach. Na szczęście tym razem mogliśmy dobrać się do niego sami, więc nie wahałam się, gdy Alex zapytał, czy nie chcę odegrać roli razem z nim. Co prawda czasu było tak mało, że nie zdążyliśmy się spotkać na żywo, ale dogadaliśmy się przez internet i chyba to nam wystarczyło.

Wstaję w pośpiechu i wycierając spódniczkę z kurzu, zadaję Willardowi pytanie.

– Twoja wrażliwa na sztukę, nieistniejąca część, została udobruchana?

On jedynie kręci głową z pobażaniem i wyciąga coś z kieszeni. Kładzie to na klawiszach pianina.

– Masz – odpowiada.

Sam też podnosi się, poprawiając kaptur czarnej bluzy. Jest potwornie wysoki. Staram się wyjrzeć za jego wielką sylwetkę i skontrolować, czy studenci zaczęli już wchodzić do sali, ale to mi się nie udaje. W końcu spoglądam na to, co położył przed momentem na instrumencie. Sięgam po pomięte banknoty zwinięte niechlujnie w rulon i oglądam je bez podejrzeń.

– Płacisz mi za dwie minuty stukania w klawisze pianina? – zastanawiam się.

– Dwieście. Tyle chcieli, prawda?

Doznaję olśnienia. Willard właśnie oddał mi pieniądze, które dałam za niego facetom, uderzającym w nocy w drzwi jego mieszkania i upominającym się o nie. A to oznacza, że... pamięta. Pamięta, co się wydarzyło, może niekoniecznie wszystko, ale pamięta.

Z opóźnionym refleksem unoszę na niego niepewny wzrok. Jest obojętny.

– Tak... – potwierdzam prawie bezgłośnie.

Wtedy on odwraca się, zapewne by ruszyć samotnie do sali teatralnej. Lekko oszołomiona zaciskam pięść, mnąc w niej banknoty i wołam chłopaka:

– Willard?

Brunet odwraca głowę.

– Ma się dobrze – odpiera, jakby czytał mi w myślach. – Kazał przekazać.

Wiem, że mówi o gorączkującym wczoraj Rhodesie.

– W porządku.

Spogląda na mnie ostatni raz i odchodzi. Zostaję sama przy pianinie oświetlonym promieniami słońca przebijającego się przez poranną mgłę. Stoję chwilę w bezruchu, aż w końcu zrywam się z miejsca i biegnę do sali, w której najpewniej rozpoczęły się już pierwsze zajęcia.

Na szczęście udaje mi się wejść do niej przed profesorką. Niedługo po mnie zjawia się też Willard, co zauważam, ponieważ akurat oglądam się przez ramię. Siada kilka rzędów za mną. Trochę dziwi mnie to, że obok niego usadawia się Emma. To jedna z dziewczyn z naszej grupy. Ma gęste, rude włosy i wygląda jak piękność z tych wszystkich billboardów w centrum miasta.

Nie snuję domysłów, dlaczego siedzą razem, bo Alex wciąga mnie w rozmowę. Dyskutujemy o naszym występie, który kilkanaście minut później wychodzi nam niezłe, ale nie perfekcyjnie. Wiemy to my i oceniająca nas kobieta.

– Mogłam dać z siebie więcej – wzdycham, schodząc ze sceny.

Ruszam żwawym krokiem do schodów. W sali jak zawsze jest ciemno, więc uważam wchodząc na pierwszy stopień.

– Daj spokój, nie zawsze zgarnia się najlepsze oceny – pociesza mnie kroczący obok mnie, uśmiechnięty Alex. – Chociaż ktoś tu się najwyraźniej do tego przyzwyczaił, co?

Unoszę ręce w obronnym geście.

– Nie patrz tak na mnie. Po prostu jestem ambitna.

– To dobra cecha, pod warunkiem, że cię nie zaślepi – rzuca mądrze chłopak, wchodząc za mną do rzędu, w którym wcześniej siedzieliśmy. – Kto cię tak bombarduje?

Spoglądam na podświetlony ekran swojej leżącej na siedzeniu komórki, która zwróciła uwagę Alexa. Sięgam po nią, po czym siadam na fotelu i odczytuję powiadomienia.

– Leah – odpieram. – Też pracuje w sklepie twoich rodziców. Polubiłyśmy się.

– Nie miałem okazji z nią jeszcze pogadać.

– Może dlatego, że jak już wpadasz do sklepu, to robisz to podczas moich zmian? – sugeruję, a moje kąćki ust unoszą się ku górze, podobnie zresztą jak siedzącego obok szatyna.

– Może.

Odpisuję Leah i odkładam telefon na bok.

– Powinieneś ją poznać, jest super. Zastanawialiśmy się ostatnio nad jakimś babskim wieczorem – zdradzam, na co Alex porusza zabawnie brwiami.

– Może się wkręcić?

Wystawiam do niego język.

– Nie wkręcisz.

Chłopak odwraca się, by spojrzeć na coś za naszymi plecami. Słyszę poruszenie. Chyba kolejna para wstaje i idzie na scenę, przywołana przez donośny głos profesorki. Przez to, że byłam zajęta rozmową z Alexem, nie usłyszałam, kto teraz odegra swoje role, ale gdy tylko wyginam nieco szyję i wyostrzam wzrok, widzę, że po schodach schodzi Willard.

– Emma chyba leci na złych chłopców – gwizdże cicho rozbawiony Alex.

Marszczę czoło.

– To znaczy?

– Klei się do Covingtona – wyjaśnia. – Dziwne, co ona w nim widzi?

Dopiero teraz zauważam, że ramienia Willarda rzeczywiście uczepia się Emma. Jej śmiech jest tak głośny, że szybko zaczyna mnie drażnić. Zaplatam ręce pod biustem i opieram się o oparcie fotela, nie spuszczać wzroku z dogadującej się pary, wchodzącej akurat na scenę.

– Nie mam pojęcia – mamroczę do Alexa, przenosząc wzrok na swój zeszyt.

Biorę w dłoń długopis i z jakiegoś powodu rysuję przypadkowe wzroki obok napisu, który tkwi na jednej ze stron: *co by powiedział, gdyby zrozumiał, że to dla mnie rozchyliłaś swoje usta, Gold?* Alex nie może go dostrzec, bo nie dość, że jest nieduży i wokół panuje mrok, to w dodatku zaginam zeszyt tak, bym tylko ja mogła odczytać bazgroły. Końcówka długopisu omal nie dziurawi kartki przez siłę nacisku, z jaką dociskam ją do niej, sama nie wiem dlaczego.

Nie patrzę na scenę, za to Alex obserwuje uważnie występ, który na niej trwa. Z tego, co słyszę, Emma i Willard grają parę. Nie chcę znać kontekstu. Ani tego oglądać. To wydaje się nudne. Dziwię się, że Willard zgodził się chociażby udawać, że są razem. Nie pasują mi do niego ckliwe historyjki, podobne do tej, którą w tej chwili prezentują.

– On raczej też coś do niej ma – zauważa Alex.

Zakładam nogę na nogę i macham nią w powietrzu.

– Nie widziałam ich nigdy razem.

– Pewnie coś zaiskrzyło, kiedy spotkali się, żeby przygotować występ.

– Mhm – pomrukuje, zaabsorbowana swoim zeszytem.

Alex chyba właśnie na mnie zerka.

– Coś się stało?

– Nie, dlaczego?

– Jesteś jakaś nieobecna – stwierdza.

– Próbuje sobie przypomnieć, czy mieliśmy coś przygotować na kolejne zajęcia. – Ściągam w zastanowieniu brwi, przez co pewnie bruzda wykwita mi między nimi. Jednocześnie odwracam się do Findlaya, który macha ręką na znak, że nie powinnam się martwić.

– Nie, nie przejmuj się – odpowiada i przenosi wzrok na chwilę na oświetloną jednym reflektorem scenę. Właśnie wtedy jego szczeka zdaje się sięgać ziemi. – Cholera, poniosło ich.

Z lekkim oporem również wędruję spojrzeniem w tym samym kierunku. Dostrzegam Willarda

i Emmę. Całujących się. Zażarcie i do utraty pieprzonego tchu. Ich usta zgrywiają się wręcz intuicyjnie, a jego dłonie zsuwają się z jej talii na biodra i szarpnięciem przyciągają do jego klatki. Patrzę na to z nieczytelną miną i zamykam zeszyt. Chociaż czuję, że coś jest ze mną teraz nie tak, obserwuję, jak Willard kradnie dech innej dziewczynie. Jak sprawia, że Emma chwieje się na nogach i pąsowieje na twarzy. Przysięgam, że stąd słyszę jej jęk.

Odciąga mnie od nich cudzy dotyk. Alex kładzie dłoń na moim kolanie. Odruchowo schylam się, by móc schować zeszyt do torebki leżącej na podłodze. Tym samym niby przypadkiem strącam rękę chłopaka, który niezniechęcony pyta:

– Może wyskoczmy gdzieś dzisiaj?

Prostuję się i odgarniam dłonią włosy z twarzy.

– Gdzie?

– Broadway? – proponuje. – Mam bilety na świetną sztukę, wchodzisz w to?

Przyglądam się Alexowi i zastanawiam się przez chwilę, co mu odpowiedzieć. Wtem jednak dobiega mnie głos wniebowziętej profesorki. Kobieta rozwodzi się nad tym, jak świetnie poszło Willardowi i Emmie. Przymykam powieki i od razu je uchylam. Widząc pełen nadziei uśmiech swojego rozmówcy, przytakuję niemalże natychmiast.

– Pod warunkiem, że...

– Że będzie to czysto przyjacielskie wyjście – dokańcza za mnie szatyn, a jego entuzjazm nie gaśnie choćby na głupią sekundę, nawet kiedy dopowiada: – W porządku. To jak?

Nie patrzę na schody, którymi zapewne teraz podąża mój sąsiad. Pozostaję w pełni skoncentrowana na oczach Alexa, podczas gdy on kładzie rękę na oparciu mojego fotela.

– A dasz mi zapłacić za siebie? – Również delikatnie się uśmiecham.

Chłopak kręci głową.

– Zwariowałaś.

– Alex... – próbuję go jeszcze przekonać.

– W tym nie ustąpię – zapowiada.

Wzdycham. Mogłam się tego spodziewać.

– Wchodzę w to – decyduję nareszcie.

Tego poranka nie zerkam już za siebie.

Wieczorem, od razu po skończonej zmianie w sklepie z winylami i powrocie do domu, biorę szybki prysznic i przebieram się w nieco bardziej wyjściowe ciuchy. A właściwie w jedyną w miarę elegancką sukienkę, którą trzymam w szafie. Jest czerwona i ma gorsetową, przylegającą górę oraz dół ciągnący się do ziemi. Gdzieś odnajduję również długie rękawiczki, które zakładam na ręce. Dawno nie ubierałam się w ten sposób. Nie było ku temu okazji. Robię prosty makijaż i dobieram stare szpilki oraz płaszcz, który kładę na kanapie. Oby się nie pogniótł.

Mam prawie pół godziny do wyjścia, a jestem już gotowa, dlatego siadam na krześle przy stole i przeglądam powiadomienia na telefonie. Odpisuję Alexowi i Leah, a potem z braku laku decyduję się odetchnąć świeżym powietrzem i obejrzeć zachód słońca.

Zsuwam szpilki i boso wychodzę przez okno na przejście ewakuacyjne, dbając, by nie zaczepić się nigdzie sukienką. Kraty nieprzyjemnie wżynają mi się w stopy, lecz ignoruję to. Opieram przedramiona na balustradzie i patrzę na słońce chowające się powoli za wielgachnymi nowojorskimi wieżowcami. Nowy Jork jest w porządku, ale myślę, że nie na dłuższą metę. Kto wie, może w przyszłości wywieje mnie gdzieś dalej. Marzy mi się Kolorado.

Mama zanim zmarła, mówiła mi, że chciałaby tam zamieszkać.

Wiatr targa moimi włosami i wprawia w ruch materiał sukienki. Jakiś czas tak stoję i patrzę w dal, na ciemniejące niebo, dopóki nie słyszę rozbrzmiewającego nieopodal, znajomego głosu.

– Gdy się postarasz, potrafisz być mniej brzydka.

Przechylam odrobinę głowę i dostrzegam stojącego na schodach kilka stopni niżej ode mnie Willarda. Spojrzenie jego ciemnych oczu mknie od moich bosych stóp, przez czerwien sukienki, aż zatrzymuje się na mojej twarzy. Uśmiecham się fałszywie, ponieważ coś sobie wtedy przypominam. Coś, co próbowałam

wyprzeć z pamięci, ale chyba utknęło mi w głowie.

Niewiele myśląc, rozkładam ręce i odpowiadam Willardowi równie chamsko:

– Za to ty najwyraźniej nie musisz starać się być skończonym gnojem.

Cień uśmiechu przemyka przez jego twarz.

– Gdzie się wystroiłaś?

– Idę świętować, że tego dnia miałam styczność z tobą tylko jeden raz – odzywam się wciąż w niemily sposób, obrzucając wzrokiem plac pomiędzy ogromnym blokowiskiem.

Mam wrażenie, że Willard nadal się szczerzy. Słyszę, że zaczyna wchodzić do góry. Po chwili czuję jego obecność za plecami i to, jak chwyta między palce moje włosy, żeby zaczesać je za plecy. Zgrywam kompletnie nieprzejętą, gapiąc się w dół, na bawiące się na placu zabaw dzieci. A on zbliża się bardziej. Jego tors gwałtownie uderza w moje plecy. Willard schyla głowę. Drażni ciepłym oddechem zagłębienie mojej szyi, a ja z trudem pozostaję twarda.

– Tylko wróć, a nadrobimy ten okropny wynik – szepta mi zmysłowo do ucha.

– Nie będzie mnie tutaj.

Napinam mięśnie, bo jego długie palce prześlizgują się wzdłuż mojego ramienia w dół, aż docierają do łokcia, na którym kończy się materiał czerwonej rękawiczki. Willard bawi się nią, chyba mu się podoba, ale kompletnie nie zależy i nie zależało mi na tym, by podobać się jemu. Jemu powinna podobać się wyłącznie Emma, którą dzisiaj z taką pasją całował.

Chłopak wzdycha mi w bark.

– Nie podejrzewałem, że będziemy się bawić tutaj. Myślałem raczej, że ugościsz mnie u siebie – wyznaje, a ja doskonale wiem, że ciągnie te swoje beznadziejne gierki.

Ku jego zdziwieniu szybko odwracam się i odpycham go od siebie.

– W życiu.

Jeśli Willard nie spodziewał się, że go odepchnę, nie daje tego po sobie poznać. Jedyne unosi wyżej kącik ust i odpiera szyderczo:

– Przyjmuję zaproszenie.

Przewracam oczami.

– Ale się cieszę. Tylko spójrz.

Po tych słowach unoszę dłonie i pokazuję mu dwa środkowe palce.

– Robisz to, a ja bardziej nie mogę doczekać się twojego powrotu – mówi rozbawiony chłopak.

Opuszczam ręce i robię krok w jego stronę, prychając.

– Niech zgadnę: będziesz na mnie czekał na wycieraczce jak pies?

Jestem na niego wściekła. Wmawiam sobie, że to wcale nie dlatego, że na moich oczach całował inną. Przecież to mnie kompletnie nie obchodzi. Nie jestem zazdrosna. Nie o niego. Nie chcę jego uwagi. Ani odrobiny. Nie chcę od niego absolutnie niczego. Jest nikim, a ja złoszczę się, bo go nienawidzę i nie chcę znać, lecz nie mam wpływu na jego obecność w moim życiu.

Willard też robi krok w moją stronę. W dodatku robi go z takim impetem, że wpadam dolną częścią pleców na barierkę i przez sekundę boję się, że wypadnę z siódmego piętra na beton. Brunet opiera wyprostowane ręce na barierce po moich bokach i parska pod nosem.

– Mam w głowie wiele sposobów na to, jak dostarczyć sobie dzisiaj tobą rozrywki, a gdy o nich myślę... tak. Rzeczywiście czuję się gotowy czekać na ciebie na wycieraczce jak jebany kundel.

– W sumie zachowujesz się jak zwierzę – odpyskuję.

W brązowych oczach Willarda miga mroczne ostrzeżenie.

– Nie prowokuj mnie.

Przyglądam mu się z fałszywym uśmiechem.

– Bo wypchniesz mnie za barierkę?

Nieważne, że czuję, że byłby w stanie to zrobić. W tym momencie każdą emocję, którą w sobie trzymam, przysłania wściekłość na tego skończonego dupka. Chłopak styka nasze czoła i owiewa oddechem moje usta, wyłapując moje rozszoszczone spojrzenie.

– Nie prowokuj mnie w innym kontekście – szepcze nisko.

Wzmacnia uścisk, w którym więzi moje biodro. Zaraz, kiedy on niby położył tam dłoń? Spuszczam wzrok i otwieram szerzej oczy, ponieważ już wiem, o co mu chodzi. Przed chwilą porównałam go do

pieprzonego zwierzęcia. Zabrałam wtedy jego rękę z barierki, aby móc się uwolnić. Jakimś cudem ułożyłam ją na swoim biodrze. Cholera, kurwa, jasna.

Skąd we mnie taki odruch?

Błyskawicznie strącam jego rękę i pozwalam, by opadła bezwiednie w dół. Znowu zaglądam mu w oczy, które pozostają niczym nieprzeniknione. Ani złością, ani zadowoleniem, po prostu niczym. Patrzymy na siebie przez chwilę bez słów, aż w końcu się odzywam, bo coś mi nie pasuje. Jak mogę go prowokować w jakikolwiek sposób? On się mną brzydzi. Powtarzał to wiele razy. A jeśli tak jest, jak może poczuć się chociaż odrobinę sprowokowany?

Marszczę brwi i stoję prosto, rozdzielając nasze czoła.

– W jakim kontekście mogę cię niby prowokować? Przecież się mną brzydzisz, nie możesz patrzeć na mnie tak, jakbyś...

– Chciał cię dotknąć? – przerywa mi.

Ponownie układa dłoń na moim biodrze i z jej pomocą przyciąga mnie do siebie. Wpadam na niego tak prędko, że aż muszę zaczerpnąć pospieszny wdech i oprzeć ręce na jego piersi. Nic z tego nie rozumiejąc, zsuwam powoli palce w dół po jego torsie, ale zamiast zsunąć je do końca, zatrzymuję je na jego podbrzuszu schowanym pod materiałem bluzy.

– Być może posądziłaś mnie o coś, co nie jest prawdą – mówi tajemniczo, schylając usta ku moim i śledząc spojrzeniem mój odrobinę pogubiony wyraz twarzy. – Być może nie pociąga mnie nic, co jest piękne, a wszystko, co jest wstrętne i obrzydzące, Marigold?

– Emma jest dla ciebie wstrętna i obrzydząca? – wyrzywa mi się.

Żałuję zadania tego pytania, bo nie chcę, by ten kretyn pomyślał, że mam coś do tego, że całował rudzielca. On jednak kręci głową, udzielając mi odpowiedzi. Co to ma niby znaczyć? Emma go nie pociąga? W takim razie dlaczego, do diabła, ją całował? Chciał mi zrobić na złość? To się przeliczył, bo kompletnie nie przejęłam się tym, że dotknął cudzych ust.

Nie odgarniam rozwianych włosów sprzed nosa. Wciąż trzymam ręce na brzuchu chłopaka i szukam w jego oczach odpowiedzi. Choćby niemej.

– Dlaczego to cię kręci? – pytam. – Wszystko, co wstrętne?

Willard nie rozmyśla długo nad swoimi słowami.

– Choćby dlatego, że sam taki jestem.

– Jesteś?

– Gdybyś mogła, przecież właśnie teraz wydrapałabyś sobie oczy – zakłada, również patrząc na mnie zaciekle. Jednocześnie unosi dłoń i zaczesuje pasma moich włosów za ucho.

W czasie gdy to robi, wydaje mi się, że serce w mojej piersi bije dwa razy mocniej. Zabieram ręce z jego ciała i odwracam zmęczony wzrok. Patrzą na niemalże rozlatujące się już bloki, a Willard głaska ostrożnie knykциями mój policzek. Nigdy nie przeszło mi przez myśl, że doświadczę czułego dotyku z jego strony. Nigdy nawet nie chciałam go od niego otrzymać.

A jednak teraz jest mi tylko odrobinę szkoda.

Szkoda tego, że wszystko nie wygląda inaczej. Że on jest taki. Że ja jestem taka. Że... że to wszystko tak się zaczęło i że na pewno nie skończy się dobrze. Ponieważ pewna część mnie odnosi dziwne wrażenie, że gdyby sam Willard był dobry i potraktował mnie lepiej, mogłabym stracić dla niego głowę, choćby dla innych był obrzydliwy przez to jak wygląda jego twarz. Ale nie jest dobry. Wcale nie potraktuje mnie lepiej. A ja nie stracę dla niego głowy.

Odwzajemniam jego spojrzenie i z jakiegoś powodu chcę, by o tym wiedział.

– Gdyby niezsuta ja mogła kiedykolwiek spotkać ciebie w tym innym, dobrym wydaniu, teraz zapytałabym, dlaczego ty jeszcze w ogóle zwlekasz – stwierdzam szeptem.

Willard przestaje głaskać moją skórę palcami.

– Z czym zwlekam, Marigold?

– Ze wszystkim, na co bym ci bez wahania pozwoliła.

Odpycham go od siebie.

– Muszę już iść – dodaję ledwie słyszalnie i wymijam go, kierując się do otwartego okna. Domyślam się, że jest już późno. Zresztą chyba widziałam przed momentem w oddali samochód Alexa wjeżdżający w ulicę, przy której znajduje się blok. Miał po mnie przyjechać.

Podwijam ręką sukienkę, niezmiennie dbając, by się nie potargiała.

– Musisz iść do innego – poprawia mnie Willard.

Przystaję w miejscu, jakby sens jego słów mnie do tego zmusił. Gapię się tępo w szybę własnego okna i wsłuchuję w dziecięce krzyki dobiegające z dołu oraz jego cichy ton głosu.

– Innego... którego nie musisz wyobrażać sobie w dobrym wydaniu.

– Masz rację – potwierdzam, nie odwracając się do niego.

Coś uporczywego rozrasta się w mojej piersi. Czy to... smutek?

– Zapytasz go, dlaczego zwleka? – zastanawia się chłopak.

Zaciskam usta w linię. Walczę z natłokiem myśli.

– Na pewno zapytam. Na razie, Willard.

Chcę ruszyć do mieszkania, lecz wtem jego ręka dosięga mojego nadgarstka. *Jak zwykle*, wzdycham w duchu. Nie mam chęci ani siły, by się przeciwstawić. Cokolwiek teraz powie, nie sprawi to, że mój wieczór legnie w gruzach. Bo chyba tego chce Willard?

Zepsuć mi wieczór, tak jak psuje mi każdy jeden od kilku dobrych tygodni. Pech, że tym razem nie da rady tego dokonać. Nie będę miała z nim styczności. To samo w sobie mnie cieszy i czyni mój wieczór dobrym. Zaglądam mu w oczy, a on zagląda w oczy mnie. Nadal jest beznamiętny i obojętny. Ja również taka jestem. Willard ściska mocno mój nadgarstek.

– Nie musiałabyś mnie pytać, dlaczego zwlekam z całowaniem cię.

Kiwam głową i uśmiecham się krzywo. No jasne, że nie musiałabym.

– Bo nie brałbyś pod uwagę, czy tego chcę.

– Bo zrobiłbym to tak szybko, jak zobaczyłbym, że tego potrzebujesz.

Mój uśmiech rzednie. Nie wiem, ile to trwa. Jak długo tkwię w zawieszeniu i przyglądam się Willardowi z dołu. Wiem natomiast, że kiedy skupiam się na jego ustach, które są tak blisko moich, przypominam sobie, że dzisiaj miała je Emma. A myśl o tym napędza mój gniew, tak samo jak wrażenie, że Willard dobrał się do jej warg, by zrobić mi na złość. Co on sobie myślał?

Wyrrywam rękę z jego uścisku i cedzę przez zaciśnięte zęby:

– Wiesz co? Odwal się.

Wchodzę przez okno do mieszkania i zamykam je z trzaskiem. Potem biorę głęboki wdech, zakładam szpilki i narzucam płaszcz na ramiona. Wychodząc z mieszkania, czuję się zdołowana, dlatego obiecuję sobie, że tego wieczora nie będę myśleć o Willardzie, który co noc sprawia, że staję się tylko bardziej zagubiona przez to, w co mnie wpłatał.

Wsiadając do sportowego samochodu Alexa, spoglądam na przejście ewakuacyjne między szóstym a siódmym piętrem bloku. Willard to widzi. Stoi tam. A ja mam nadzieję, że czuje się chociaż odrobinę tak, jak ja czułam się dziś rano.

Do czego to, do cholery, prowadzi?

ROZDZIAŁ SZESNASTY

MARIGOLD

Sztuka dobiega końca, dlatego z Alexem szybko opuszczamy wielką salę, żeby uniknąć kolejek do szatni. Ludzie naprawdę licznie przybyli na spektakl. Wszystkie miejsca przeznaczone dla publiczności były zajęte, ale raczej mnie to nie dziwi. Lokalizacja robi swoje. Przynajmniej tak twierdził Alex przez całą podróż, jaką odbyliśmy z Bronxu do lepszej części Nowego Jorku.

Wychodzimy na zewnątrz. Zakładam swój płaszcz i wtapiam się razem z chłopakiem w tłumy przechadzające się ulicą. Przyjaciel czym prędzej sięga po moją dłoń i wyprowadza mnie z tego ogromnego bałaganu. Dopiero gdy jesteśmy już w innej alei, odsuwa się, a ja mogę odetchnąć pełną piersią, bo tutaj ścisk jest odrobinę mniejszy.

– Podobało ci się? – Alex serwuje mi swój sympatyczny uśmiech.

– Pewnie. – Również pozwalam, by moje kąciki ust drgnęły ku górze. – Chociaż chyba nabawiłam się kompleksów przez profesjonalnych aktorów.

Findlay śmieje się na głos.

– To co? Kontynuujemy zwiedzanie Nowego Jorku?

– Jeśli chcesz się trochę dłużej ze mną pomedytować – rzucam z rozbawieniem.

– Och, błagam, oczywiście, że chcę. – Zadowolony bierze mnie pod rękę i zapewne zastanawia się nad tym, gdzie moglibyśmy się udać. – Możemy przejść się na Times Square.

– To niedaleko?

– Kilka mil. Ale nie mów, że dłuższy spacer w nocy nie brzmi świetnie.

– Brzmi świetnie... – odpieram, siląc się na podekscytowany ton.

Alex zaczyna prowadzić mnie we właściwym kierunku. Staram się wtedy nie dać po sobie poznać, że wiem o tym, jak długi spacer w wysokich szpilkach mnie czeka, nieco dała mi w kość. Nie zamierzam jednak narzekać, więc koncentruję myśli wokół czegoś innego. Patrzę na wysokie drapacze chmur i podziwiam nocne niebo, rozpościerające się nad nami.

– Mój tata bardzo cię chwalił. Podobno super się spisujesz – wyznaje chłopak.

– Tak? – Zerkam na niego. – To bardzo miłe. Mówił o mnie coś jeszcze?

– Że jeśli chodzi o ciebie... – Robi krótką przerwę i wypuszcza głośno powietrze. – Powinienem popchnąć sprawę do przodu. Ale uznajmy, że tego nie było.

Spuszczam głowę, unikając spojrzenia Alexa.

– Tak, tak zróbmy – przyznaję mu rację.

Oboje milkniemy i wsłuchujemy się w hałasy dochodzące z jezdni. Jest mi źle, bo nie chciałam zasmucić Alexa, a czuję, że to zrobiłam. Tym bardziej nie chciałam, by uznał, że to z nim jest coś nie tak. Boję się, że taka myśl mogła go nawiedzić, dlatego unoszę podbródek i spoglądam na niego znowu. Niepewnie.

– Na ten moment naprawdę nie rozglądam się za chłopakami, Alex. – Wiem, że brzmię wiarygodnie. W końcu mówię prawdę. – Chciałabym najpierw zaaklimatyzować się w mieście, skupić na pracy, odłożyć trochę kasy, wynieść się z Bronxu i dopiero potem może...

Szatyn wylapuje moje spojrzenie i dokańcza za mnie:

– Wziąć mnie pod uwagę jako materiał na faceta.

Odpowiadam mu skinieniem.

– Może. Zobaczmy, co przyniesie czas.

– W porządku, zobaczymy, co przyniesie czas – powtarza za mną i po chwili na jego twarzy ponownie gości uśmiech. – Trzymam kciuki, żeby udało ci się wydostać z Bronxu.

Opieram głowę o jego ramię i cieszę się, że atmosfera między nami nie zrobiła się niezręczna. Przez kolejnych kilkanaście minut idziemy ulicami miasta, śmiejąc się, mijając wielu turystów i co rusz podskakując na klaksony aut. Kiedy jednak nogi bolą mnie od wysokich obcasów tak bardzo, że muszę

zrobić sobie przerwę, nie mówię o tym Alexowi, a namierzam wzrokiem pierwszą lepszą knajpę i zwracam się do niego z propozycją:

- Może wejdziemy tutaj na trochę? Napijemy się czegoś i ruszymy dalej?
- Chętnie. – Na szczęście nie ma nic przeciwko.

Wchodzimy do środka. Jest tam dużo ludzi. Siadamy z Findlayem przy jednym z niewielu wolnych stolików, a następnie zamawiamy po piwie. W oczekiwaniu na nie dyskutujemy o studiach i podziwiamy wnętrze lokalu. Na ścianach wyłożonych drewnem wiszą obrazy. Panuje tu raczej staromodny klimat, ale nawet mi się to podoba. Jeśli posiedzimy tu jakiś czas, to przynajmniej nie odpadną mi nogi.

Kelnerka stawia na stoliku nasze zamówienie, a Alex zmienia temat.

- Szkoda, że nie było cię na ostatniej imprezie.
- Zabawa była przednia? – dopytuję, sięgając po wysoką szklankę.

Chłopak parska śmiechem. Tak, zabawa na tej imprezie najpewniej była przednia.

– Uwierzysz, że Zack kompletnie narąbany sturlał się po schodach na sam dół, po czym otrząsnął się i stwierdził, że chce jeszcze raz? Podejrzewaliśmy, że miał wstrząs mózgu. – Mimo że nie przypominam sobie, który z chłopaków z naszej grupy to Zack, i tak uśmiecham się szeroko. – Żeby tego było mało, ktoś zawiązał mi złotą rybkę z akwarium, a Emma przestała kontaktować po ósmym kieliszku. To była dziwna noc – podsumowuje.

Upija łyk swojego piwa, nie spuszczać ze mnie rozbawionego spojrzenia. Ja natomiast myślę o drugim imieniu, które wypowiedział mój przyjaciel. Z jakiegoś powodu chętnie dowiedziałabym się czegoś o Emmie. Praktycznie wcale jej nie znam.

Po paru sekundach dociera do mnie, że zapatrzyłam się w jeden z obrazów i zamieszałam swój napój słomką kilkanaście razy. Wzdycham i zaglądam siedzącemu naprzeciwko chłopakowi w oczy.

- Właściwie, co wiesz o Emmie?

Alex kładzie przedramiona na stoliku.

- Wiem, że ma okropny gust co do chłopaków.
- A coś więcej? – ciągnę go za język.

Mija dłuższy czas, zanim coś sobie o niej przypominam.

– Pracuje w jakiejś restauracji i chce iść w ślady matki, która też była aktorką. W sumie nie wydaje się jakaś wyjątkowa. Zwykła dziewczyna – stwierdza, wzruszając ramionami oraz utrzymując ze mną kontakt wzrokowy. – Dlaczego o nią pytasz?

Nie podoba mi się, że Emma zaczęła przeszkadzać mi, odkąd całowała się z Willardem. Cholera, cholera, cholera. Nie ma opcji. To, co we mnie siedzi, nie może być zazdrością. Nie może za żadne skarby nią być. Nie mogę być zazdrosna o tego chłopaka. Nie mogę być taka żałosna. Jeśli jestem albo będę właśnie taka, znenawidzę siebie do granic możliwości. A mam wrażenie, że ta nienawiść mogłaby popchnąć mnie pewnego dnia do czegoś bardzo złego.

Nie mogę się do niego przywiązać ani pragnąć jego uwagi. Moje ciało również nie może go chcieć. Nie mogę poczuć tego wszystkiego do niego: kogoś, kto jest dla mnie najgorszym potworem. Nie chcę być aż tak nienormalna. Bo gdybym nienawidziła Willarda i jednocześnie chciała czegoś od niego, byłabym chyba skrajnie nienormalna... zniszczona.

Potrzebuję wyrwać się z tej pułapki. Ale jak mam to zrobić, skoro on nie odpuszcza?

- Marigold? – odzywa się Alex. – Dlaczego pytasz o Emmę?

Nagle przypominam sobie, gdzie jestem i co robię. Potrząsam głową.

– Spośród wszystkich ludzi z naszej grupy znam tylko ciebie – wypalam, mając nadzieję, że chłopak łyknie kłamstwo. – To trochę słaby wynik.

W jego oczach błyska wesoła iskra.

– Fakt, nie jest najlepszy. W każdym razie nie miałem Em za taką, która zrzuca majtki przed typami pokroju Covingtona. Myślałem, że jest rozsądniejsza.

Piję swoje piwo. Z jakiegoś powodu dokucza mi poczucie wstydu.

- Może w jakiś sposób ją do siebie przyciągnął? – mamroczę.

– Czym? – Alex stuka palcami o powierzchnię stolika. – Obrzydliwą gębą czy nieprzyjemnym charakterem? Em chyba upadła na głowę, skoro pomyślała o nim jak o kimś, na kim warto zawiesić oko. Nikt normalny nie zawiesiłby go na nim.

– Tak myślisz?

– Doskonale wiem, że tak jest.

Przejeżdżam nerwowo obcasem szpilki wzdłuż łydki. Wmawiam sobie, że denerwuję się, bo dyskutujemy o Willardzie, a ja mam pojęcie o tym, czym on się zajmuje. Jeśli wyjawiałabym to Alexowi, skończyłabym marnie, więc muszę jak najprędzej uciąć temat Covingtona, by niczego nie chlapnąć, nawet jeśli mocno się pilnuję.

Na szczęście nie muszę za bardzo się starać, by zmienić tor naszej rozmowy.

Wtem przerywa ją dźwięk przychodzącego połączenia. Zaskoczony Alex wyciąga telefon z kieszeni spodni. Zerka na ekran i prędko chowa komórkę, patrząc na mnie z niezmiennym uśmiechem. Upijam kolejny łyk piwa. Muzyka w knajpie jest głośna, ale przez nią i tak ponownie przebija się znajoma melodia wybrzmiewająca z urządzenia chłopaka.

– Odbierz – zachęcąm go. – Może to coś istotnego.

Findlay znowu wyciąga telefon i bez entuzjazmu odbiera połączenie.

– Słucham – mówi do słuchawki, nie kryjąc, że jest zajęty.

Patrzę, jak jego mina z każdą upływającą sekundą staje się bardziej napięta. Nie wiem, z kim ani o czym rozmawia, ale mam przeczucie, że coś się stało. Zwłaszcza że mój przyjaciel przejeżdża palcami wzdłuż grzbietu nosa, jakby coś go trapiło.

Po paru minutach rozłącza się i wstaje.

– Muszę jechać pilnie do apartamentu – oznajmia.

– Do apartamentu? – upewniam się, że dobrze go usłyszałam.

– Ktoś chyba włamał się do mojego mieszkania. Policja już tam jest.

– O rany – wydecham zdumiona. – Jasne, nie zatrzymuję cię.

Chłopak kładzie na stoliku banknot. Płaci nim za nas oboje. Później sięga po płaszcz i zakłada go w pośpiechu. Jest mocno zdenerwowany. Na jego miejscu też bym była. Również wstaję i szykuję się do wyjścia na nocny Nowy Jork. Nasze spotkanie właśnie dobiegło końca.

Alex staje przede mną i wygląda na załamanego z takiego obrotu sprawy.

– Przepraszam Marigold, mieliśmy przejść się na...

– Nie przepraszaj, i tak jest już późno – przerywam mu, trącając swoją dłońią jego, by jakkolwiek dodać mu otuchy. – Biegnij do auta i jedź.

– Zamówię ci taksówkę – oferuje.

Kręcę głową, by nie gadał głupot.

– Goni cię czas, a ja mam obok metro. Nie baw się w żadne zamawianie taksówki.

– Ale... – próbuje zaprotestować, lecz twardo stoję przy swoim.

– Nic mi się nie stanie. Zmiałaj już.

Posyłam mu uśmiech i liczę, że tym gestem go przekonam.

– Przepraszam – powtarza, patrząc mi przy tym prosto w oczy i kładąc ręce na moich ramionach. – Widzimy się jutro, jak ogarnę, co jest grane.

Od razu przytakuję.

– Do zobaczenia i trzymam kciuki, żeby to nie było nic groźnego.

Wypowiadam te słowa i przytulam się do chłopaka, który może niecałą minutę później jest już w drodze do parkingu przy Broadwayu, gdzie zostawił samochód. Współczuję mu. Włamanie do mieszkania dostarcza pewnie sporo nerwów. Sama też wychodzę z knajpy i kieruję się w stronę najbliższej stacji metra. Muszę co prawda zapytać o nią przechodnia, ale docieram na miejsce dość szybko. Tam czekam trochę na przyjazd metra.

Wsiadając do niego, odczuwam zmęczenie.

Po dłuższym czasie i dotarciu do dzielnicy, w której mieszkam, myślę, że Bronx o późnej porze okazuje się zaskakująco cichy. Idę żwawym krokiem przed siebie po tym, jak dla własnego bezpieczeństwa ściągam z nóg obcasy. Nigdy w życiu nie dałabym rady uciec w nich przed kimś, kto być może zastawiłby mi drogę. Nauczona złym doświadczeniem ściskam w dłoni szpilki. Wyteżam wzrok i słuch. Niczego nie słyszę, a pośród mroku widzę tylko zarys wielkich bloków i pustkę na chodniku. Stawiam kolejne kroki, oddychając nieco głośniejsze.

Liczę, że zaraz wejdę do swojej klatki bez żadnych problemów po drodze.

Wtem dobiega mnie podejrzany szmer. Strach odzywa się w każdej komórce mojego ciała. Odwracam głowę przez ramię. Nie natrafiam spojrzeniem na żaden cień. Przenoszę je więc przed siebie i nie zwalniam tempa. Ciągłe mknę do przodu. Aż zrywam się do biegu, ignorując to, że ranię sobie bosc stopy o chodnik.

Ktoś podąża za mną. Jestem tego pewna. Przypominam sobie słowa Willarda, które skierował do mnie, zanim się rozdzieliliśmy. Chciał jeszcze dzisiaj się na mnie natknąć. Biegnę w szaleńczym tempie do bloku. Włosy zachodzą mi na twarz. Więcej śliny gromadzi się w ustach. Moje płuca przepala ból, ale ignoruję to. Wyszarpuję z torebki pęk kluczy i modłę się, by wsunąć właściwy w zamek drzwi. Dobiegam do nich i rozdygotana trafiam do niego za drugim razem. Ciągnę desperacko za klamkę i kolejny raz odwracam głowę.

Mężczyzna. Biegnie za mną mężczyzna. On. Willard.

Wbiegam do środka, robiąc przy tym niemały hałas. Czerwona suknia, którą mam na sobie, faluje w powietrzu. Grunt pod moimi stopami jest lodowaty i oślizgły, prawie zabijam się na pierwszych stopniach schodów. Dyszę ciężko, trzymam się mocno wolną dłonią śliskiej poręczy i ile sił mam w nogach, zasuwam na siódme piętro.

Na szóstym zostaję pchnięta na ścianę.

Odbijam się od niej i wpadam wprost na Willarda. Doskwiera mi suchość w gardle. Moje stopy pieką, urywany oddech jest nie do opanowania. Stoję w ciemnościach i przyglądam się szeroko otwartymi oczami chłopakowi, którego usta rozciągają się w perfidnym uśmiešku.

– Niech zgadnę: lubisz gonić sąsiadki po osiedlu? – sapię, ledwo dając radę utrzymać się w pionie, dlatego kładę roztrzęsioną dłoń na jego brzuchu i ściskam między palcami materiał czarnej bluzy by jakkolwiek się podeprzeć. – Takie hobby?

Willard w odpowiedzi kładzie łapy na moich biodrach, schyla się i przysuwa usta do moich.

– Niech zgadnę: bałaś się powrotu na Bronx, dlatego aż tak odwlekłaś go w czasie? – Również dyszy, bez przerwy złośliwie wyszczerzony.

– Bzdura – wypluwam mu w twarz.

Moje oczy gonią za jego oczami, w których tańczy rozbawienie.

– Za to w moim przypadku to żadna bzdura. Lubię gonić sąsiadki po osiedlu. Zwłaszcza te, które sądzą, że dadzą radę przemknąć do siebie niezauważone.

– Podobno jeśli podzielisz się tymi zainteresowaniami z gliniarzami, wręczą ci nagrodę dla mistrza w berka. Radziłabym ci wszystko im wyśpiewać – bąkam, a w zamian otrzymuję prychnięcie. Willard ociera się ustami o mój policzek i tak jak ja normuje swój oddech.

– A ja radziłbym tobie wymienić zamki w drzwiach.

Dreszcz przetacza się przez całe moje ciało.

– Nie – protestuję niemalże bezgłośnie.

Obserwuję go zdruzgotana i kręcę głową.

– Nie wparowałaś mi do mieszkania, gdy mnie nie było.

Wszystko dzieje się jak w zwolnionym tempie. Nie wierzę, że nawet w mieszkaniu nie będę mogła czuć się już bezpiecznie. Willard chyba naruszył każdą moją przestrzeń. Każdą jedną. Myśl o tym doprowadza do tego, że mam ochotę zrygać się ze stresu.

– A jeśli to zrobiłem? – pyta, śledząc wzrokiem mimikę mojej twarzy.

– Wydrapię ci te cholerne oczy, Willard! – Zaślepiona gniewem unoszę rękę i próbuję dosięgnąć nią jego twarzy. On jest jednak szybszy i zamyka w uścisku dłoni mój nadgarstek.

– Obawiam się, że coś może stanąć ci na przeszkodzie – mówi poważniej, oglądając z każdej strony czerwone rękawiczki, które mam na rękach. Sięgają mi łokci i raczej mu się spodobały. – Ale mógłbym ułatwić ci zadanie i zsunąć ci je z rąk.

Odrywa od nich wzrok, by utkwić go w moich oczach.

– Zębami. – Jego ton głosu brzmi naprawdę mrocznie.

Szarpię się, starając się od niego uwolnić.

– Skurwiel – wyrzucam rozłuszczona i unoszę gwałtownie drugą dłoń, w której trzymam parę szpilek.

Obcas jednej z nich przesuwa się po policzku Willarda. Zdziwienie maluje się na jego twarzy.

Wykorzystuję okazję i to, że jest zdezorientowany. W pośpiechu oraz niezgrabnie pokonuję kilkanaście stopni dzielących mnie od mieszkania. Otwieram drzwi i wbiegam do środka na wiotkich nogach. Wkraczam w mrok. Zamykam się w swoich czterech ścianach, zanim Willard zdąży do nich wparować. Na sam koniec wykrzykuję ostrzeżenie:

– Lepiej, żeby w tym mieszkaniu rzeczywiście nie było śladu po tobie!

Jestem wściekła. Nadal się go boję, ale jestem na niego kurewsko wściekła. Zaczynam obawiać się, czy nie zwariuję, jeśli mój popaprany mózg będzie pewnie teraz tworzył różne wizje zakładające, że ten psychol nawiedza mnie w nocy i się nade mną znęca.

Zsuwam z ramienia torebkę, zaś szpilki rzucam w kąt. Przed pójściem spać przetrząsam całe mieszkanie w poszukiwaniu śladu po Willardzie, ale nie odnajduję choćby jednego. Mocno liczę na to, że jedynie się ze mną droczył i wcale nie przekroczył już kolejnej mojej granicy.

Rano, dopiero podczas wrzucania zeszytów do torebki, orientuję się, że jest weekend. Zmachana rzucam rzeczy na kanapę i krzywię się, bo jeden notes łąduje na ziemi. Podnoszę go z podłogi, zastanawiając się, jak w takim razie spędzić dzień. Nie mam zajęć na uczelni. Nie mam zmiany w sklepie. Cóż, wychodzi na to, że mogę chociaż raz pozwolić sobie na nicnierobienie. Nie brzmi to jakoś zachęcająco, bo nie lubię beczynnie siedzieć, ale... niech będzie.

Wlepiam wzrok w trzymany w dłoni zeszyt. Wygląda niby zwyczajnie, lecz pewne wspomnienie, które przychodzi mi na myśl, czyni go nie do końca takim zwykłym. Otwieram notes mniej więcej w połowie i śledzę spojrzeniem stronę, na której Willard zostawił po sobie ślad w postaci pytania: *co by pomyślał, gdyby wiedział, że to dla mnie rozchyliłaś usta, Gold?*

Powtarzając w myślach to zdanie, czuję na plecach ciarki.

Śledzę resztę, tym razem swoich, zapisków nabazgranych na kartce. Właśnie wtedy zamieram, ponieważ moim oczom ukazuje się coś, czego na sto procent wcześniej na niej nie było. To... odpowiedź na pytanie Willarda.

– „Pewnie byłoby mu przykro... ale tak bywa. Przywłaszczył je sobie ten, który miał na nie większą ochotę” – czytam na głos i nie dowierzam.

On tu był. Musiał tu być. W nocy w moim mieszkaniu. Napisać tę odpowiedź w moim zeszycie. Wczoraj na pewno jej w nim nie było. Odrzucam przedmiot, jakby mnie parzył. Robię parę kroków w tył, czując wypełniający mnie znajomy niepokój i... płonąca wściekłość. Zaciskam pięści. Nie umiem jej ugasić, mimo że próbuję.

Jestem wkurwiona.

Aż cała dygoczę, bo mam już po dziurki w nosie tego, na co pozwala sobie Willard. Nie myśląc za dużo, ruszam pędem do drzwi. Zabiję go. Albo on zabije mnie. Któreś z nas skończy martwe. Mogę to być ja. Mam to w dupie. Jeśli przynajmniej wygarnę temu psycholowi, co o nim myślę, zanim skończę pocięta, to poczuję się wygrana. Teraz liczy się dla mnie jedynie zdzielenie go po tej okropnej, pokrytej bliznami i perfidnie wyszczerzonej gębie.

I pewna potrzeba, która udaje, że wcale nie istnieje. Nie powinnam jej czuć. Chcieć, by on również spojrział na mnie oczami pełnymi furii.

Zbiegam po schodach w dół. Wparowuję do mieszkania Willarda jak do siebie, ponieważ drzwi są otwarte. Wchodzę do korytarza, a mój palec wskazujący wystrzela w kierunku stojącego przede mną chłopaka. Właśnie kończy zakładać ciemną bluzę i patrzy na mnie ze zmarszczonymi w zdziwieniu brwiami.

– Ty sukinsynie... – cedzę rozzłoszczona, stając tuż przed nim i wbijając paznokiec w jego pierś. – Byłeś w moim mieszkaniu!

Chłopak unosi beczelnie kącik ust.

– Musiałem się jakoś pocieszyć spacerem po czterech kątach mojej Harding – stwierdza rozbawiony, po czym dorzuca: – Było mi bez niej jakoś smu...

Willard przerywa w pół zdania. Siła, z jaką wymierzam mu uderzenie z otwartej dłoni w policzek, odrzuca jego głowę w bok. Płaśnięcie rozlega się po korytarzu, w którym stoimy, i miesza wraz z moim przyśpieszonym oddechem. Czuję mrowienie pod palcami i ból całej ręki, ale nie przywiązuję do tego wagi, a zamiast tego kładę dłonie na piersi chłopaka i odpycham go do tyłu.

– Jesteś tak strasznie popierdolony – syczę, nie panując nad sobą. – Boże, jesteś taką świnia, kretyńcem, idiotą! – wyliczam napędzona złością, raz jeszcze próbując go popchnąć.

Willard ani drgnie. Stoi jak posąg i patrzy na mnie wnikliwie. Patrzy, jak zaciskam usta, jak zapowietrzam się i na pewno czerwienieję na twarzy. Rozdrażniona znowu staram się go ruszyć, lecz bez rezultatu. Mam ochotę wyrządzić mu najgorszą krzywdę.

Walę go ile wlezie pięściami w tors. Wyrzucam z siebie pojedyncze warknięcia. Gniew przysłania mi wszystkie inne emocje. Przysłania mi zdrowy rozsądek. Chcę znęcać się nad nim, tak jak on znęca się nade mną. Chcę, żeby czuł się zagrożony, tak jak ja czuję się zagrożona przez niego ciągle, bez najkrótszej przerwy. Uderzam raz po raz. Raz po raz.

W końcu przestaję i aż trzęsę się z kotłującej we mnie złości. Podrywam głowę. Widzę uśmiech Willarda, którego widok działa na mnie jak czerwona płachta na byka. Opuszczam rękę. Nabieram łapczywie powietrze w płuca oraz wypluwam pytanie:

– Dlaczego, do cholery, się szczerzysz? Zarobiłeś przecież w twarz.

Chłopak wydaje się kompletnie nieprzejęty. Jego policzek jest cały czerwony.

– Bo nie myślałem, że przywalisz mi dopiero po czterech tygodniach. Obstawiałem, że zrobisz to po czterech dniach, odkąd się poznaliśmy.

– Obstawiałeś... – powtarzam za nim prawie bezgłośnie, po czym wpadam w kolejny atak i obsypuję jego tors ciosami. – To ty będziesz potrzebować obstawy, jak cię dorwę. Nie miałeś i wciąż nie masz pieprzonego prawa włamywać się do mojego mieszkania!

Ciemne pasma włosów rozsypują mi się po twarzy. Niewiele widzę. Po tym, jak odgarniam je niedbałym gestem dłoni, ponownie zadzieram brodę, by spojrzeć na Willarda, ale jego... nie ma już przede mną. Zaskoczona odwracam się. Widzę, jak chłopak majstruje przy zamku drzwi i czuję, że nastął ten moment, który w głębi duszy spodziewałam się, że nastanie.

Który w głębi duszy chciałam, by nastął. Coś we mnie chciało jego furii. Aż czuję załazek pokręconej ulgi, odpowiadającej tej paskudnej potrzebie.

– Co ty wyprawiasz? – pytam, czując pot na plecach.

Willard ściąga brwi.

– Nie rozumiem. Skąd u ciebie ten nagły strach, Gold? Przed paroma minutami wparowałaś tu odważna i zacięta. Nie mów, że obleciał cię teraz cykor.

Mam chyba serce w gardle, bo chłopak jest już stuprocentowo poważny. A jego powaga i spokój nie wróżą niczego dobrego.

– Otwórz te drzwi – wyduszam, powoli przytomniejąc.

Stoi w miejscu. Zagradza mi drogę do wyjścia.

– Okej, poniosło mnie – przyznaję ciszej, bo schodzi ze mnie napięcie. – Zareagowałam zbyt impulsywnie, dlatego teraz może lepiej wrócę do siebie i zapomnimy o sprawie.

Zwieszam głowę. Zaczyna docierać do mnie powaga sytuacji. Uświadamiam sobie, że adrenalina, którą czuję, jest jednocześnie przerażająca, ale również... przynosi mi ukojenie. Nie, stop. Ona nie może przynosić mi ulgi. Chcę pozbyć się tego wrażenia. Robię niepewny krok w stronę Willarda, naiwnie licząc, że mnie przepuści i pozwoli mi wyjść. Pokonując kolejne kilkanaście cali, nie spuszczam wzroku z jego twarzy.

– Tak, wymażmy to z pamięci – kontynuuję głupio, idąc powoli do przodu i ignorując to, że część mnie czuje się okropnie zaspokojona widokiem takiego Willarda. Złego. Przerażającego. Bezwzględного. – Ja otworzę teraz drzwi, pójdę na górę i...

Nie mówię nic więcej. Nie daje mi na to szansy on i jego mroczny ton, którym się do mnie zwraca:

– No, chodź tutaj, Harding.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

MARIGOLD

Trzy słowa w zupełności wystarczą. Wypowiedziane przez niego trzy słowa w zupełności wystarczą, bym poczuła się tak, jakby coś wmurowało mnie w podłogę. Sekundy mijają jedna za drugą. Próbuję coś wykombinować. Odnaleźć w głowie rozwiązanie, które pomogłoby mi wydostać się z sideł Willarda, w które sama się wplątałam. Ale robię to bez skutku, a on rusza teraz do mnie szybkim krokiem, wyglądając jak bestia.

– Ani mi się waż.

Nie mam pojęcia, dlaczego protestuję. Przecież mój protest nic dla niego nie znaczy, czego dowodzi drapieżny uśmiech na jego wciąż pokrytej siniakami, zadrapaniami i bliznami twarzy. Jakkolwiek nie próbowałabym go przebłagać, moje starania spełzną na niczym.

Chłopak zrywa się do biegu.

Jest zwinny i szybki, sprawia wrażenie, jakby pościg za kimś miał w pieprzonej krwi. Reaguję momentalnie. Również biegnę w głąb mieszkania. Spanikowana mknę przed siebie i nie mam pojęcia co robić. Przecież jestem zatrzaśnięta w pieprzonej pułapce na własne życzenie. Mój mózg działa na najwyższych obrotach, ale nic nie przychodzi mi do głowy.

W dodatku Willard wrzeszczy za mną donośnym głosem:

– Nie masz jak się stąd wydostać!

Słyszę, jaki jest zadowolony. Co najmniej jakby udało mu się coś w życiu. Przełykam ogrom śliny nagromadzonej w ustach i roztrzęsiona biegnę dalej.

– Odpieprz się, Willard!

Czuję, że mógłby teraz przewrócić oczami.

– Nawet nie wiesz, gdzie biegiesz! – woła kpiąco.

Powstrzymuję łzy, gdy wyobrażam sobie, co mi zrobi.

– Nie wystawię ci się tak po prostu!

Chcę doskoczyć do okna i wyjść przez nie na przejście ewakuacyjne, lecz on jest bliżej niego. Skręcam więc do pomieszczenia znajdującego się nieopodal. Nawet zatrzaśnięcie się w łazience i zaczekanie wiele godzin na powrót Rhodessa brzmi jak dobry plan. Przy małym Willard nie odważy się niczego mi zrobić, ponieważ chce być w jego oczach dobrym wujkiem.

Wbiegam do środka, ale nie daję rady zamknąć za sobą drzwi, ponieważ chłopak wbiega do łazienki zaraz po mnie. Wszystko wiruje, obraz przed moimi oczami zniekształca się, a ja jestem pewna, że to wina przerażenia, które odczuwam w każdym skrawku drżącego ciała.

Willard podąża w moją stronę. Idzie do mnie, a ja nie mogę złapać tchu.

– Determinacja godna pochwały – rzuca, unosząc zadziornie kącik ust.

Jego kroki są upiornie powolne. Mam wrażenie, że każdy jeden, który stawia, przybliża mnie do zwariowania ze strachu. Przybliżają mnie do tego również jego kolejne słowa:

– Powiem ci ją w twarz, bo zaraz skończysz pode mną.

– Nie posuwaj się dalej – wyduszam łamiącym się głosem.

Willard patrzy na mnie z politowaniem jak na naiwne dziecko.

– Akurat wobec ciebie ciągle chcę posuwać się najdalej.

– Nienawidzę cię.

Ciemnobrązowe oczy chłopaka świdrują mnie na wskroś. Nie mam, gdzie od niego uciec. Za mną jest już tylko zabudowana wanna. Serce boleśnie obija mi się o żebra. Panika wprawia je w galop. *Myśl. Myśl, Marigold, do diabła, myśl.* Powtarzam to sobie ciągle i ciągle. Nie mogę po prostu odpuścić. Muszę się skoncentrować, coś wykombinować i jakoś się stąd wyrwać.

Nagle doznaję olśnienia. To może się nie udać. Nie, to nie ma prawa się udać, ale muszę spróbować. Może... może to przejdzie. Przyozdabiam twarz spokojną miną i uśmiecham się. Zgrywam zrelaksowaną,

jakby nagle uleciało ze mnie całe zdenerwowanie i panika.

To wszystko dziwi Willarda.

– Chyba powinienes wytlumaczyć Rhodesowi, co tak właściwie wyprawiasz, Will. – Kiwam głową w stronę salonu znajdującego się za plecami chłopaka.

– Rhodesowi?

Zdezorientowany Willard odwraca głowę. Właśnie wtedy rzucam się do biegu, próbując go minąć. Niestety nic nie idzie po mojej myśli. Covington natychmiast zauważa, co się dzieje. Przekłada rękę przez mój brzuch i popycha mnie mocno do tyłu. Jednocześnie rzuca się na mnie jak pierdolone dzikie zwierzę. Krzyczę, potykając się o rozwiązane sznurówki własnych tramppek. Tracę równowagę. Próbuję złapać się zasłony wanny. To wszystko dzieje się w mgnieniu oka. Zasłona zrywa się, ja ląduję w wannie, Willard ląduje na mnie, a żeby tego było mało, przypadkowo odkręcam kran, próbując złapać się czegoś ręką i oboje kończymy mokrzy.

Ja pierdołę.

Przemoczone ubrania ciężą mi na ciele, trudno jest mi wykonać jakikolwiek ruch, zwłaszcza że przygniatają mnie potwornie ciężkie mięśnie Willarda. Wije się pod nim, sapiąc z wysiłku, a jego zupełnie to nie rusza. Nic go nie rusza. To, że jest mokry. To, że jego łazienka wygląda jak pobojuwisko. To, że przed paroma minutami dostał ode mnie w twarz.

Nic go nie rusza prócz widoku moich ust tak blisko jego warg.

Widzę, jak je obserwuje. Z zapartym tchem. Z nikczemną obsesją w oczach. Willard obserwuje je tak, jakby istniały tylko one. Mimowolnie je rozchyłam. Patrzę na jego twarz, po której spływają krople wody. Przyglądając mu się przez dłuższą chwilę bez słów, przyłapuję się na potrzebie, by wyciągnąć rękę w stronę jego czoła i odgarnąć mu z niego mokre kosmyki włosów. Prędko chowam ją głęboko w sobie. Przecież jest głupia. Tak jak tamta, która popchnęła mnie w pewnym stopniu do tego, by tu przyjść. Potrzeba obudzenia w nim gniewu.

Skupiam się na szumie wypływającej z kranu wody.

Dociera do mnie, że przytłacza mnie nie tylko Willard i jego następne zamiary. Przytłacza mnie też elektryzujące napięcie wypełniające niedużą łazienkę. Chłopak przygniata mnie całym sobą i dyszy wolno w moje wargi. Cholera, jest blisko. Tak niebezpiecznie blisko...

Ale jemu to nie wystarcza, bo schyla się jeszcze bardziej, chcąc znaleźć się bliżej. Stykamy się nosami. Porozumiewamy spojrzeniami. Jestem przekonana, że zarówno jego, jak i moje wyrażają to samo. Nienawiść, ale też dziwną, przez nas obojga niechcianą fascynację.

Willard wyrzuca nagle pomiędzy warg pogardliwie brzmiące słowo:

– Kłamczucha.

Wdycham powietrze, które on wydycha.

– No i na co ci to było? – dopytuje cicho.

– A tobie? – odpowiadam. – To ty mnie goniłeś.

– A teraz utopię cię w wannie.

Wytrzeszczam oczy. Chłopak za to ponownie się uśmiecha.

– Nie nabieraj się – mówi i trąca nosem mój. – Nie tym razem.

Moje ciało pragnie się rozluźnić pod wpływem jego tonu, ale umysł nie zgadza się na to pod żadnym pozorem. *Nie bądź głupia, nie bądź głupia, nie bądź tak paskudnie głupia*, powtarzam sobie. *On z tobą pogrywa. Jest twoim koszmarem. Nic w tobie nie może go chcieć.*

Willard dotyka wargami przestrzeni pod moją szczęką. Ucisza na krótki moment każdą myśl w mojej głowie. Z trudem hamuję westchnienie. Zamiast niego wydobywam szept:

– Co ty robisz?

Miejsce, w którym jego usta przed momentem zetknęły się z moją skórą, pali mnie żywym ogniem i nie chce przestać. Willard rozpałił mnie do czerwoności zwykłym, krótkim i na pozór niewinnym całusem. Gdy ten fakt tylko do mnie dochodzi, czuję się okropnie źle.

Teraz unosi głowę i patrzy na mnie pociemniałymi oczami.

– Jesteś cała przemoczona – ignoruje zadane przeze mnie przed chwilą pytanie. – Idę o zakład, że tym razem to ty skończysz z gorączką.

– Chyba już z nią skończyłam.

– Bo?

– Bo jest mi gorąco – wrywa mi się. – To znaczy... Boże, nie.

Chcę się spod niego wygramolić, lecz on nie daje mi ku temu szansy. Zamiast tego nareszcie wyłącza wodę i sięga mokrymi dłońmi do moich policzków. Zamyka je w ciasnym uścisku i rzuca mi w twarz polecenie wypowiedziane nieoczekującym sprzeciwu głosem:

– Odchyl głowę w tył, na tyle, na ile możesz.

Ciepło wybucha głęboko we mnie.

– Dlaczego? – dociekam niepewnie.

– Bo chcę sięgnąć ustami tam, gdzie mi się spodoba.

Niechciane podniecenie kumuluje się między moimi nogami. Boże jedyny. Powinnam pluć na jego rozkazy, a nie zaciskać uda w oczekiwaniu na jego kolejny ruch.

Nie spuszcza z niego wzroku. Jest spokojny i również wpatruje się w moją twarz. Pewna popaprana część mnie pragnie, by jego usta opadły w tej chwili na moje i potwierdziły, że to, co mówił kiedyś ich właściciel, było prawdą: że gdyby tylko zetknęły się z moimi, całowałyby je do upadłego. Że zagarniałyby je dla siebie w najbardziej przyjemny sposób.

Jest jeszcze druga część mnie. Ta rozsądniejsza, która każe mi zaprotestować.

– Ale ja nie chcę, żebyś mnie tam całował – słucham jej.

Willard marszczy czoło.

– Więc dlaczego słuchasz mojej komendy?

Przeklinam to, że gdzieś pomiędzy jego rozkazem a moim protestem zrobiłam to, czego chciał. Odchyliłam głowę, dając mu dostęp do czegokolwiek, co zapragnie pocałować, co zapragnie ugryźć, naznaczyć śladem języka czy cholera wie, co jeszcze zrobić.

Zagubiona zamykam oczy i wyduszam z siebie ledwie słyszalną odpowiedź:

– Bo sprawiasz, że ciągle działam wbrew sobie.

Łzy zaczynają kumulować się pod moimi powiekami. Chyba właśnie... chyba właśnie pękam. Chociaż czuję opór przed tym, by kontynuować, jakimś cudem go pokonuję.

– Nie mów, że tego nie widzisz. Że powoli osiągasz to, czego chciałeś. Że zaczynam przyzwyczajając się do tego, w czym mnie uwięziłeś. Jeszcze kilka tygodni temu w życiu nie wparowałabym ci do mieszkania z pretensjami, tak jak zrobiłam to dzisiaj. Dzisiaj zrobiłam to, bo poczułam, że chcę złościć się na ciebie... ale nie tylko. Poczułam też, że chcę, żebyś to ty złościł się na mnie. Jakby to było normalne, że ciągle jesteś na mnie wściekły.

Głos delikatnie mi się łamie.

– Jakby ta rzeczywistość, w której ty jesteś dla mnie okropny, była normalna. Nie chcę, żeby ona była dla mnie normalna. – Nabieram drżący wdech. – To dzieje się... wbrew mnie. Nie chcę chcieć, żebyś się na mnie złościł. Nie chcę chcieć czuć na sobie twojej wściekłości. Dlaczego chcę tego wszystkiego, Willard? Co... co ty mi najlepszego zrobiłeś?

Może i kiedyś już byłam traktowana siłą, kontrolowana, osaczana i tłamszona, ale teraz wiem, że Willard – oprócz tego, że mnie do tego znowu przyzwyczał – zrobił mi coś jeszcze. Doprowadził do tego, że chcę czuć na sobie jego wściekłość. Chcę, by był na mnie wściekły. Chcę tego, bo zbyt wiele razy był na mnie wściekły, bym teraz umiała bez tego trwać.

Bez poczucia, że jest obok i mnie nienawidzi.

Otwieram zaszkłone oczy i od razu natrafiam na jego beznamiętne spojrzenie. Nie obchodzi go to. Wiem, że nie. Wiem też, że nie powinnam mu tego wszystkiego mówić, bo poczuje się jak zwycięzca. Jednak... jednak może gdy tak się poczuje, trochę zwolni?

A ja spróbuję się naprawić? Może poszukam kogoś, kto mi w tym pomoże?

Może jeśli Willard dowie się, że osiągnął, co chciał, odrobinę mi odpuści? Jeśli dowie się, że mnie zrujnował. Jeśli dowie się, że przywykłam do tego, co mi zgotował. Chociaż trudno przyznać mi to przed nim i przed samą sobą, to teraz już jestem pewna, że Willard Covington dopiął swego. Jeszcze parę godzin temu miałabym wątpliwości.

Lecz teraz ich nie mam.

On doprowadził do tego, że czuję się z tym wszystkim normalnie. Jakby to było w porządku. Jakbym była czymś, na czym może się wyżyć. Gdyby teraz przestał traktować mnie jak swoją rozrywkę, poczułabym

się z tym dziwnie. Choć to pojebane, poczułabym się dziwnie z tym, że Willard przestał traktować mnie tak, jak traktował mnie od miesiąca.

Poległam. Podałam się mu. Nieświadomie. Nie mając takiego zamiaru i walcząc zaciekle z wpływem, jaki chciał na mnie wywrzeć. Ale... nie udało mi się. Wywarł go na mnie.

Więc teraz mu to wyznaję.

– Nie chcę, żebyś mnie całował, ale moje ciało tego chce – szepczę z niepokojem, mówiąc mu to prosto w oczy. – Ono chce też czegoś od ciebie wbrew mnie. Dlaczego wciąż sprawiasz, że się sypię i zaczynam nienawidzić siebie bardziej niż kiedykolwiek wcześniej?

Uścisk palców Willarda na moich policzkach staje się odrobinę słabszy. Chłopak nadal nie wygląda jednak tak, jakby moje słowa jakkolwiek go ruszyły. Jest poważny i nieprzystępny. Nie odrywa spojrzenia od mojej twarzy, na którą skapują krople wody z jego nosa.

Cali mokrzy leżymy w wannie. Milczymy.

A we mnie powoli budzi się do życia obojętność. Robi mi się nieco mniej smutno, że tak to wygląda, że przegrałam w starciu z Willardem. Nie mam pojęcia, czy ktokolwiek byłby w stanie wygrać z kimś takim jak on. Tak zawziętym. Bezwzględny. Paskudnie okrutny.

Przekręcam głowę i wlepiam wzrok w martwy punkt znajdujący się w wannie.

Skupiam się na nim przez cały czas, który spędzamy w łazience, i ignoruję fakt, że Willard przygląda mi się w ciszy. Gdy jednak po mieszkaniu rozlega się dźwięk dzwonka do drzwi, na powrót krzyżuję z nim spojrzenie. Zmarszczka pomiędzy jego brwiami podpowiada mi, że jest zbity z tropu. Czy to oznacza, że nikogo się nie spodziewał?

– Kto to? – pytam, choć nawet nie wiem po co.

To przecież nie jest moja sprawa.

– Siedź tutaj.

Rysy jego twarzy stają się ostrzejsze.

– Siedź tutaj i się nie ruszaj – mówiąc to, podnosi się ze mnie.

Czuję ulgę, kiedy nie czuję go już na sobie. Poprawiam się w wypełnionej niewielką ilością wody wannie. Towarzyszy mi głośny chlupot. Willard w tym czasie odgarnia mokre włosy z czoła i kieruje się w stronę wyjścia z łazienki. Myślę, że jest lekko zdenerwowany.

Z trudem wydostaję się z wanny i również wychodzę z pomieszczenia. W drodze do korytarza słyszę donośne, męskie głosy dochodzące z niego, dlatego zatrzymuję się blisko okna, skąd mogłabym wydostać się na przejście ewakuacyjne.

Zanim jednak się na to decyduję, wyostrzam słuch.

– Przyjechaliśmy po ciebie – mówi jakiś facet. – Masz podwózkę, młody.

Chyba słyszałam już ten głos. Mógł należeć do jednego z mężczyzn, którzy niedawno dobijali się do Willarda. Dałam im wtedy dwieście dolarów, byle sobie poszli. Wydawało mi się, że to jacyś gangsterzy i nadal myślę, że wcale się nie pomyliłam.

– Nie mogliście napisać? – mamrocze sucho Covington.

– Patrz, jeszcze coś mu nie pasuje – prychna drugi gość. – Co, nie jesteś sam? Masz tutaj jakąś lalczkę? – zwraca się tym razem do Willarda, a ja otwieram bezgłośnie okno, chcąc po prostu jak najprędzej znaleźć się u siebie, a potem udać się na tę lepszą stronę miasta.

Nie wiem nawet po co, ale nie dam rady usiedzieć na Bronksie ani godziny dłużej.

– Nie, tylko dzieciaka – wzdycha nieprzejęty Willard. – Chodźmy już.

– Zostawiasz go samego?

– Przecież nie wyjdzie.

Następuje trzask drzwi i odgłos przekręcanego klucza. W tym momencie wychodzę z mieszkania chłopaka, który zepsuł mnie bardziej, niż już byłam zepsuta. Stojąc przez kolejne minuty na przejściu ewakuacyjnym, patrzę w dół na to, jak Willard wsiada do samochodu razem z dwoma wydzieranymi goryłami. Zanim to robi, patrzy w górę. Na mnie.

Jakby wiedział, że tam mnie odnajdzie. Jakby chciał się w czymś upewnić, ale to chyba już tylko... to chyba już tylko wymysł mojej popapranej wyobraźni.

Popołudnie spędzam na samotnym zwiedzaniu miasta i próbach uprzątnięcia bałaganu, który mam w głowie. Na Bronx wracam przed tym, jak się zmierzcha. W mieszkaniu robię kolację, zjadam jej część i próbuję się zdrzemnąć. Udaje mi się odpłynąć na jakieś dwie godziny, ale to by było na tyle, więc decyduję się usiąść tam, gdzie zwykle, i popatrzeć na dzielnicę z wysokości.

Wychodzę przez okno na schody. Na zewnątrz o tej porze jest szaro i dość chłodno, jak na to, że dopiero zaczyna się październik. Podchodzę do barierki oraz opieram na niej rękę. Przeczesałem spojrzeniem wielki plac, na którym bawi się jeszcze kilkoro dzieci. Oprócz nich ostatnie osoby zmierzają szybko do obskurnych bloków, pewnie bojąc się zaczepki.

Dopiero po chwili zerkam w bok i zauważam, że nie jestem na przejściu ewakuacyjnym sama. Nie dziwi mnie to, że dostrzegam siedzącego na schodach Willarda. Dziwi mnie natomiast to, że trzyma w ręku czystą wódkę, gapiąc się pustym wzrokiem w dal.

Odwracam się do niego i zmęczona uwalniam westchnienie.

– Pijesz?

Nie odwraca się, ale myślę, że kpiący uśmiech i tym razem zdobi jego twarz.

– Co, tylko tobie wolno? – pyta z przekąsem, popijając alkohol z gwinta.

– Nie boisz się, że stracisz równowagę i stąd zlecisz?

– Nie. Musiałbym mieć tak słabą głowę jak pieprzona Marigold Harding.

Krzyżuję ręce pod biustem, ale nie w bojowy sposób. Po prostu nie narzuciłam na siebie nic cieplejszego i teraz doskwiera mi chłód zbliżającej się nieubłaganej nocy. Przesuwam wzrokiem po męskich plecach schowanych pod materiałem czarnej bluzy i krzywię się.

– Grzeszysz uprzejmością. Cały Willard Covington.

Chłopak odkłada powoli wódkę na bok. Odwraca się do mnie bokiem. Podczas gdy to robi, mogę dostrzec w jego brązowych oczach coś na kształt podejrzanego... zawzięcia.

– Alexander Findlay na pewno ma świetne maniery i jest uprzejmy.

Nie mam pojęcia, o co mu chodzi. Po co wspomina o Alexie?

– Po co mi to mówisz? – dociekam.

– Powinnaś go lepiej poznać i dać mu szansę. To facet dla ciebie.

Marszczę czoło. Coraz bardziej dziwi mnie zachowanie Willarda. Z reguły był dla mnie jedną wielką niewiadomą, ale teraz przechodzi samego siebie. Robię zaledwie krok w stronę schodów i schodzę stopień w dół, zbliżając się do niego tylko odrobinę.

– Jeszcze wczoraj wydawałeś się zirytowany, gdy powiedziałam, że wychodzę z innym, a teraz pchasz mnie w jego ramiona? – pytam z niezrozumieniem.

Mój wstawiony rozmówca mierzy mnie od stóp do głów i prycha.

– Wydawałem ci się zirytowany, bo miałaś z kimś wyjść? Kurwa, nie wydziwiaj – parska i ponownie sięga po wódkę. – Gdzieś mam to, co robisz i z kim. Teraz daję ci po prostu radę, bo sądzę, że jesteś ślepa. Powinnaś zakreślić się wokół Findlaya. Dogadalibyście się, a ty byłabyś z niego zadowolona.

Schodzę jeszcze jeden stopień niżej.

– Przecież kiedyś uważałeś, że zależy mu tylko na jednym – przypominam sobie noc, kiedy wróciłam z pierwszego spotkania z Alexem. – Miałeś go za nadzianego palanta...

– Myliłem się – przerywa mi.

Przykładam dłoń do czoła, mając wrażenie, że głowa zaraz mi eksploduje.

– Dżentelmeni od siedmiu boleści nie bawią się w pieprzenie na tak wczesnym etapie znajomości. A Findlay wydaje się dla ciebie odpowiedni – brnie w zaparte.

Naprawdę nie domyślałam się, z jakiego powodu bardzo stara się zeswatać mnie z Alexem. Jaki miałby w tym interes? Musi jakiś mieć. Przecież oni się nawet nie lubią. Willard nie przekonuje mnie do Findlaya, bo chce mu wspałałomyślnie pomóc się ze mną umówić.

Tu musi... być coś na rzeczy. Po prostu musi, choćby nie wiem co.

– Co ty próbujesz ugrać, Willard? – pytam prosto z mostu.

Upija jeszcze jeden łyk wódki i nawet się przy tym nie krzywi.

– Nic. – Wzrusza niedbale ramionami. – Daj mu szansę, a ja dam sobie na wstrzymanie. Przez parę dni albo dłużej nie chcę słyszeć o tym, że istnieje cholerna Marigold Harding.

W pierwszej chwili wydaje mi się, że się przesłyszałam.

– Dasz sobie... na co? – szepczę ledwie słyszalnie.

– Na wstrzymanie – wypluwa oraz wstaje.

Robi to z leniwym ociąganiem, w czasie gdy ja nic nie rozumiem. Willard? Ten sam Willard, który odkąd przyjechałam do Nowego Jorku, nękał mnie i dręczył, zamierza na jakiś czas mi odpuścić? Nie mam pojęcia, co mam mu na to odpowiedzieć.

Szok odbiera mi mowę.

To, co właśnie się dzieje, z każdą kolejną minutą wydaje mi się coraz bardziej abstrakcyjne. Covington wchodzi po stopniach, wciąż trzymając w jednej dłoni butelkę z alkoholem. Kiedy stoi już na tym samym schodku, na którym stoję ja, schyla się, by wyszeptać mi coś do ucha.

– Co nie znaczy, że nie będę miał oczu dookoła głowy – zaznacza dobitnie, mnąc w palcach pasmo moich włosów. – Pamiętaj, jak skończysz, jeśli powiesz komuś coś, czego nie powinnaś.

Odsuwam się od niego i patrzę na jego śmiertelnie poważną twarz.

– Jesteś wstawiony. Jutro ci się to wszystko odwidzi.

Zanim odchodzi w swoją stronę, rzuca jeszcze:

– Nie odwidzi.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

MARIGOLD

KIEDYŚ

Ostatnie miesiące upłynęły mi szybko. Chyba powinno cieszyć mnie to, że czas tak strasznie pędził. W końcu podopieczni sierocińca zazwyczaj odliczali dni do chwili, kiedy staną się niezależni, opuszczą mury „więzienia” i zaczną decydować o sobie oraz swoim życiu. Ale mnie tak naprawdę to wcale nie ekscytowało. Raczej... napawało strachem. Bałam się, że nie udźwignę dorosłych decyzji, dorosłej codzienności, dorosłych wyzwania i problemów.

Został mi ostatni tydzień pobytu w tym miejscu i przysięgam, mam ochotę rwać sobie włosy z głowy, za każdym razem, kiedy Claire pyta, jaki mam na siebie plan. Dobrze, że dość szybko dzisiaj zasnęła. Dzięki temu mogłam uniknąć jej kolejnych zaczepek i wymknąć się z pokoju do Mavericka, który czekał na mnie tam, gdzie zwykle.

W zaciemnionym składziku.

Lubiłam tam przychodzić, ponieważ wiedziałam, że będzie na mnie czekał. Że mnie wysłucha i podniesie na duchu, przytuli najmocniej, jak potrafi, i da mi upragnione poczucie bezpieczeństwa. W ciągu kilkunastu tygodni gdzieś pomiędzy naszymi nocnymi spotkaniami urosła we mnie potrzeba, by był ze mną już zawsze. Chciałam mieć go przy sobie zawsze.

Cholera, myślę, że mogłam się w nim zakochać.

Nie mam pewności, czy to zrobiłam, ale jeśli tak jest, to bez znaczenia. W końcu dla Mavericka jestem wyłącznie kumpelą. Co prawda kiedyś powiedział, że go oczarowałam, ale nie poruszył więcej tego tematu. Dlatego cokolwiek do niego czuję, musi mi przejść.

Może to jednak nie okazać się proste, bo teraz, gdy siedzę na podłodze i chowam się pomiędzy jego ramionami, czuję się jak w niebie.

Jest ciemno. Ja patrzę w milczeniu w mrok, a mężczyzna, który również się nie odzywa, chyba obserwuje moją twarz, jakby przeczuwał, że coś mi dokucza. Prawdopodobnie nawet domyśla się, co takiego nie daje mi spokoju, bo po chwili pyta:

– Nadal się tym denerwujesz?

Jakiś czas temu podzieliłam się z nim obawami związanymi z opuszczeniem murów sierocińca, a teraz Maverick potwierdza, że zawsze mnie słucha. To potwornie miłe.

Odpowiadam mu dopiero po krótkim namyśle.

– Bardzo. Nie mam pojęcia, jak to dalej będzie.

– Jak to jak? – Mężczyzna przytula mnie mocniej, jakby chciał dodać mi otuchy. – Za tydzień skończysz osiemnaście lat i oficjalnie nie będziesz już podopieczną sierocińca. Znajdziesz pracę, dach nad głową, wszystko będzie dobrze.

Nie przekonuje mnie jego zapewnienie.

– Gdzie ja się podziękuję, Maverick? – pytam niepewnie, przekrzywiając głowę i patrząc mu w oczy. – Pieniądze, które dostanę na start, wystarczą mi pewnie na wynajęcie czegoś na maksymalnie kilka tygodni. Oczywiście od razu poszukam pracy, ale... boję się.

– Nie masz czego, Mari.

Mój opiekun całuje mnie czule w czoło i wzdycha.

– Już mówiłem, gdy stąd wyjdiesz, możesz najpierw zamieszkać u mnie, a później, jak już będzie przeszkadzała ci moja obecność, przenieść się, gdziekolwiek zechcesz.

Potrząsam od razu głową.

– Twoja obecność nigdy nie będzie mi przeszkadzać – zaprzeczam. – Uwielbiam cię i dziękuję, że zawsze z całych sił starasz się mi pomóc. To naprawdę dużo dla mnie znaczy.

Posyła mi piękny uśmiech.

– Cieszę się.

Gdy powiedziałam Maverickowi o tym, co mnie martwi po raz pierwszy, przez dłuższy czas intensywnie nad czymś myślał. W końcu stwierdził, że mogłabym na jakiś czas zatrzymać się w jego mieszkaniu. A właściwie w mieszkaniu jego żony, które dostała w spadku po dziadkach. Maverick zamieszkał tam kilka dni temu, żeby mieć bliżej do pracy oraz... odsapnąć od Camille. Wiedział, że ona nigdy tam nie jeździ i może nawet nie pamięta o tej norze.

Początkowo nie brałam tej opcji pod uwagę. Byłoby mi głupio zerować na Mavericku. Zresztą to mieszkanie jego kobiety, nawet jeśli ona ma je gdzieś. Im dłużej jednak rozważam propozycję mojego przyjaciela, tym bardziej zaczynam się wahać.

Zamieszkanie z nim na parę tygodni sporo by mi ułatwiło.

Nadal skupiona na jego oczach unoszę delikatnie kącik ust i wyciągam rękę w stronę twarzy Mavericka. Obejmuję dłonią jego policzek. Głaskam go powoli kciukiem, zachwycając się nieosiągalnym dla mnie mężczyzną. Boże, to niewłaściwe, ale straciłam dla niego głowę.

– Nigdy się ode mnie nie odwróciłeś – szepczę.

Czuję, jak rozpiera mnie radość. Maverick nakrywa moją dłoń swoją.

– I nie zamierzam się od ciebie odwracać – odpowiada poważnie.

– Może... – zaczynam niepewnie. – Może jednak zatrzymam się u ciebie na chwilę?

Mężczyzna sprawia wrażenie zadowolonego z wydukanych przeze mnie słów.

– Byłoby świetnie. Trochę mężczyźnie mówienie do ściany. Gdybyś zajęła jeden z pokoi, miałbym się do kogo odezwać. Zwłaszcza że akurat z tobą bardzo lubię rozmawiać.

Zabieram dłoń z jego twarzy, odwracam się i uśmiecham szerzej. Gest ten dość szybko jednak rzednie, bo chciałabym się w coś upewnić.

– Camille nie będzie miała nic przeciwko temu?

Maverick nie odpowiada. Odrobinę za to smutnieje.

– Przepraszam, niepotrzebnie zapytałam. Przecież ona pewnie nawet by się o tym nie dowiedziała. W końcu... już jej nie obchodzisz – końcówkę zdania wypowiadam ledwie słyszalnie. Zalewa mnie fala wstydu, że w ogóle palnęłam coś tak głupiego.

Jemu i tak jest trudno, a ja pewnie sprawiam, że jest mu jeszcze trudniej. Mężczyzna rozchyła odrobinę nogi, obejmuje rękami mój brzuch i przyciąga moje plecy do swojego torsu. Przytulam się do niego, a on opiera brodę na moim ramieniu.

– Nie przepraszaj, masz rację – mówi przygnębiony. – Camille się tym nie zainteresuje, bo jestem już dla niej nikim. Nie zainteresuje się tym, z kim mieszkam ani gdzie. Mari, my... wisimy na włosku. Powiedziałem jej, że się na trochę przenoszę, bo ułatwi mi to dojazd do sierocińca. Że nie będę musiał tłuc się przez całe miasto, a ona jedynie na to cicho przytaknęła. Chyba uznała, że to będzie dla nas wygodne. Ja też tak uznałem. Nie będziemy musieli się mijać, chociaż ona i tak spędza dni, a czasami nawet noce w pracy. Tu już nie ma czego ratować. Ona chyba nie chciałaby tego ratować. Najlepszym wyjściem dla nas będzie rozwód.

Słucham go i ja również zaczynam czuć się zdołowana. Maverick zasłużył na bycie szczęśliwym, a nie ignorowanym na każdym kroku. Cholera, ta Camille nie wie, jaki skarb wypuszcza z rąk. Powinna się ogarnąć. Zrobić to już dawno.

– A jak sprawa z rozwodem? – dopytuję nieśmiało.

– Zbieram się, żeby złożyć pozew – wyznaje mężczyzna. – Jakoś tak... trudno mi po prostu położyć go na stół i rzucić, że się rozstajemy. Jesteśmy razem w końcu parę dobrych lat.

– Może jeszcze zmienisz zdanie? Odbudujecie to małżeństwo?

– Nie, Mari. – Brzmi na naprawdę pewnego swoich słów.

Odwracam raz jeszcze twarz ku niemu i unoszę brew.

– Dlaczego jesteś tego pewny?

– Bo poczułem coś do innej kobiety i nie chcę krzywdzić przez to Camille. Dlatego to kwestia czasu, aż się z nią rozwiodę.

Zaglądałam w jego oczy, mimo że najchętniej zerwałabym nasz kontakt wzrokowy, wlepiła wzrok w podłogę i spróbowała udawać przed nim i przed sobą, że to, co mi powiedział, wcale nie sprawiło, że poczułam się gorzej.

– To uczciwe – mówię.

Następnie rzeczywiście przenoszę spojrzenie gdzieś w bok i walczę z wrażeniem, jakby moje serce gniótł silny smutek.

– To pochrzanione – poprawia mnie Maverick.

Jest trochę niepewny. Jakby nie wiedział, co robić.

– Dlaczego? – dopytuję przez ściśnięte gardło.

Tak naprawdę nie chcę słuchać o tym, że podoba mu się inna kobieta. Jasne, sama nie mam u niego szans i nie powinien mi się nawet podobać, ale nic nie poradzę na to, że się nim zauroczyłam. Zapewne gdy rozwinie myśl, będę czuć wręcz bolesną zazdrość. Boję się tego, ale chcę mu doradzić i chcę, aby był szczęśliwy. On też chciałby, bym ja była szczęśliwa.

Maverick chowa nos w zagłębieniu mojej szyi i walczy ze sobą przez jakiś czas.

– Bo ta kobieta jest sporo ode mnie młodsza – mamrocze niewyraźnie. – Jest moją kumpelą. A ja nie chcę, żeby to, co do niej poczułem, zepsuło naszą przyjaźń i żeby poczuła się niekomfortowo, że obejrzał się za nią dorosły facet.

Nagle podrywa głowę i owiewa oddechem mój bark.

– Wiesz, Mari. To chyba nie wyjdzie. – Oczami wyobraźni widzę, jak na jego twarzy maluje się szczerze zrezygnowanie. Tak bardzo mi go szkoda. – Nie powinienem o nią zabiegać. Jakoś to w sobie uścię... jakoś to zwalczę. Tak będzie najlepiej.

Mam pewne przeczucie, ale... nie. To niemożliwe.

– Przecież zdarzają się związki z różnicą wieku i nie ma w tym nic złego ani dziwnego – odpowiadam szeptem. – Warto spróbować, Maverick. Po tym, jak samotny czułeś się długo przy Camille, powinieneś pozwolić sobie na szczęście z kimś innym.

Czując przyptyw odwagi, zadzieram brodę i widzę w jego oczach zmartwienie.

– Wyznaj tej dziewczynie, że nie jest ci obojętna – zachęcam go.

Wygląda, jakby bił się z myślami. W pewnym momencie zabiera ręce z mojego ciała, uwalnia mnie z uścisku. *Powiedziałam coś nie tak?* Zaniepokojona pozwalam, żeby złapał mnie za biodra, a następnie obrócił w swoją stronę i ułożył moje nogi po swoich bokach.

Otacza nas czerń. Przyglądam się z bliska jego twarzy, gdy nabiera wdech.

– Boże, Mari... Przysięgam, że nie jesteś mi obojętna.

Serce w mojej piersi zamiera w ułamku sekundy.

– Miałem na myśli ciebie – ciągnie niepewnie, zapewne boi się, jak zareaguję. – To do ciebie coś poczułem w ciągu kilku ostatnich miesięcy i wiem, że to nieodpowiednie albo może nawet okropne, ale nie mogłem tego zatrzymać, chociaż potwornie się starałem.

Nie potrafię nic z siebie wykrztusić. To dla mnie nieprawdopodobne. Przez głowę przed momentem co prawda przewinęła mi się myśl, że opisując dziewczynę, do której coś poczuł, mógłby opisywać mnie, lecz prędko wypędziłam ją z głowy, bo uznałam, że jest naiwna i zwyczajnie głupia. A teraz... rany. Jestem przerażona, ale mam też ochotę skakać z radości.

Mój wymarzony mężczyzna zakochał się we mnie, jak ja w nim.

Obserwuje mnie nadal nieśmiałym spojrzeniem. Nieśmiałość kompletnie mi do niego nie pasuje, ale wydaje mi się, że on też poczuł się przestraszony tym, że pomiędzy nami coś się narodziło. Przecież jest jeszcze moim opiekunem. Ja jeszcze jego podopieczną. To zakazane. W dodatku on jest starszy. Ja jedenaście lat młodsza. To też trochę komplikuje sprawę.

Czuję się zagubiona. Nie wiem, co mam robić. Z jednej strony chciałabym czegoś z nim spróbować, ale czy ja w ogóle czuję się gotowa na związek? Nigdy nie miałam chłopaka. W dodatku starszego, bardziej doświadczonego i takiego, który wie czego pragnie. Nie chcę podejmować pochopnych decyzji, mimo że moje serce wrywa się do mojego Mavericka.

Na szczęście on rozumie, że to dla mnie nowa sytuacja. Przenosi dłoń z mojego biodra na mój policzek i po dłuższej chwili ciszy mówi dalej:

– Nie chcę, żebyś czuła się zmuszona do tego, by odwzajemnić to, co do ciebie czuję, Mari. Chcę małymi krokami cię do siebie przekonać. Do siebie jako być może twojego faceta, o ile tylko nie będziesz miała nic przeciwko temu, że jestem jedenaście lat starszy i jestem twoim byłym opiekunem... Chcę dla ciebie wziąć rozwód z żoną. Chcę dać ci to, o czym marzysz.

To, co mówi, zapiera mi dech w piersi. Boże, ja chyba śnię. To wszystko wydaje się tak abstrakcyjne. Nagle dowiaduję się, że idealny mężczyzna, w którym podkochiwałam się od miesiący, również się we mnie podkochuje. Że dla mnie chce wziąć rozwód z żoną.

Maverick zbliża usta do moich. Patrzę na jego wargi i drzę pośród ciemności.

– Oszalałem – wyznaje. – Przez ciebie oszalałem, ślicznotko.

Później zdobywa się na coś, przez co natychmiast uderza we mnie fala gorąca. Mężczyzna całuje mnie ostrożnie. Nadal trzyma dłoń na moim policzku i kosztuje moich ust w sposób, który odbiera mi zmysły. Poddaję się mu. To niesamowicie przyjemne. To, jak łączy nasze wargi w powolnym tempie. Odgłos ich, ocierających się o siebie, napędza we mnie chęć na więcej. Chryste, czuję się jak odurzona. Kompletnie przepadam dla tego faceta.

Maverick sprawia, że odlatuję przez jeden naprawdę długi pocałunek.

Gdy się ode mnie odrywa, kradnie mi jeszcze jednego, tym razem krótkiego buziaka. Zastanawiam się, jak on w ogóle zdołał, aż tak zająć moje myśli. Ciągle myślę tylko o nim. Nie mogę przestać, zwłaszcza gdy kładzie drugą dłoń na mój drugi policzek i patrzy mi w oczy.

– Mari... – zaczyna i myślę, że nie może dobrać odpowiednich słów.

Ma przyspieszony oddech. Nawet to, jak szybko oddycha po długim pocałunku, czyni go dla mnie tylko bardziej atrakcyjnym. Myślę, że zaczynam się rumienić. Czuję uporczywe ciepło na policzkach. Maverick zresztą chyba domyślił się, że to był mój pierwszy raz.

Postanawiam wrócić do tego, co powiedział przed nim.

– Nie spodziewałam się, że wyznasz mi coś takiego – mówię speszona, bawiąc się palcami. – Zwłaszcza że przez ostatnie miesiące ja też trochę się w tobie podkochiwałam.

Mężczyzna jest wyraźnie zaskoczony.

– Naprawdę?

– Mhm.

Nabiera powietrza, jakby czuł opór przed zadaniem pewnego pytania.

– Więc widzisz dla nas szansę? – szepta, gładząc palcami moje policzki.

Chociaż nie jestem stuprocentowo pewna, że to wypali, przytakuję.

– Widzę. Naprawdę widzę, o ile Camille...

– Już nic nie będzie mnie z nią łączyć – zapewnia mnie.

– W porządku. – Posyłam mu uśmiech. – A teraz... mógłbyś to powtórzyć?

Maverick odwzajemnia gest, a potem raz jeszcze łączy nasze usta w pocałunku.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

MARIGOLD

W poniedziałek siedzę na scenie w sali teatralnej, macham nogami w powietrzu i pochłaniam jabłko, słuchając uważnie opowieści Alexa, który relacjonuje mi wydarzenia sprzed weekendu. Mamy dłuższą przerwę pomiędzy zajęciami, dlatego możemy sobie pozwolić na swobodną rozmowę – nie przeszkadzamy żadnemu profesorowi, co już kilka razy nam się zdarzyło.

Findlay podobno po tym, jak wrócił w środku nocy do apartamentu, dowiedział się, że ktoś rzeczywiście włamał mu się do mieszkania i zabrał z niego kilka cennych rzeczy. Pamiętam, jaki zdenerwowany wyszedł z knajpy, gdy usłyszał, że to miało miejsce. Teraz na szczęście mówi o tym, jakby mówił o pogodzie. Raczej wszystko jest w porządku.

– Dobrze, że nie przebywałeś w apartamencie, kiedy było to włamanie – stwierdzam, biorąc ostatni gryz jabłka, a potem rzucając ogryzkiem w stronę kosza.

Całe szczęście trafiam nim do odpadów.

– Też to sobie powtarzam – wzdycha Alex. – Nie wiadomo, czy ktoś, kto to zrobił, nie miał przy sobie broni.

Spoglądam na niego z troską.

– Najważniejsze, że się o tym nie przekonałeś. No i że ten ktoś nie zabrał za dużo fantów – dopowiadam, nawet jeśli Findlay nie musi martwić się o brak pieniędzy.

– Też prawda – przytakuje. – A tobie jak minął weekend?

Opieram wyprostowane ręce za plecami i odwracam wzrok do uwikłanej w mroku strefy dla publiczności. Przez chwilę myślę, co odpowiedzieć Alexowi.

– Spokojnie – przyznaję nareszcie. – Raczej.

– Czyli bez rewelacji.

– Bez rewelacji – powtarzam za nim.

Prawda jest jednak taka, że sobota była dla mnie zmierzaniem się z faktem, którego nie chciałam znać. Wieczór tamtego dnia – jedną wielką niewiadomą. Nie miałam pojęcia, z jakiej racji Willard zdecydował się odpuścić mi swoje numery na jakiś bliżej nieokreślony czas. Przez pierwsze godziny sądziłam, że były to słowa pijanego chłopaka rzucone na wiatr, ale nie.

Willard nie zaczepił mnie w niedzielę. Wydaje mi się, że robi to, co postanowił i zachowuje się, jakbym nie istniała. Czy mi to przeszkadzało? Nie... tak... może. Szlag. Byłam rozdarta, bo z jednej strony mój zdrowy rozsądek twierdził, że wszystko wyszło na dobre, natomiast ten zagubiony kawałek mnie opowiedział się za „nie wiem, co myśleć”.

Był jeszcze ten, który chciałam najchętniej od siebie oderwać.

Ponieważ on wołał za Willardem. Wołał za nim, za spojrzeniem jego oczu, za tonem jego głosu, za jego mroczną otoczką i drapieżnym uśmiechem. Byłam do niego przywiązana, czego nie mogłam już się wyprzeć, bo wiedziałam o tym doskonale.

Potrzebowałam jego uwagi jak pieprzonego powietrza. Właśnie taki wpływ na mnie wywarł. Zaczęłam łaknąć wszystkiego, co mógłby mi dać, nieistotne, czy było to dobre czy złe, bolesne czy uzdrawiające. Willard zamknął mnie w garści, a ja nie wiedziałam, jak się z niej wymknąć. Czy w pewnym momencie, za jakiś czas, nie przestanę chcieć się z niej wymknąć.

Im dłużej mnie mocno tłamsił, tym bardziej czułam się od niego zależna. Aż w końcu dotarliśmy do momentu, w którym nie musi mnie wcale dłużej tłamsić, bym czuła się od niego zależna. Ponieważ teraz, gdy odciął się ode mnie na dobrą, wciąż czuję się właśnie taka.

Zależna. Od niego. Najgorszego niego.

Mimo że ta wiedza mnie załamuje, udaję, że wszystko gra. Odwracam głowę i patrzę na siedzącego obok Alexa, który początkowo gapi się na ekran telefonu, lecz prędko chowa urządzenie do kieszeni eleganckich spodni i przenosi wzrok przed siebie. Jego mina staje się nieco zaskoczona, jednak nie mam

pojęcia, z czego to wynika. Może coś zobaczył?

– Za to oni podobno wczoraj dali niezły popis u Garetta – mówi.

Spoglądam tam, gdzie on. Na górne rzędy foteli. Chociaż niewiele mogę wyłapać w mroku, udaje mi się dostrzec Emmę siedzącą na kolanach Willarda i bawiącą się sznurkami jego ciemnej bluzy. Wciskam paznokcie w podest sceny. Ten widok mnie drażni.

Jestem zazdrosna. Nie ma na to innego wytłumaczenia. Wkurzam samą siebie swoją beznadziejną zazdrością o kogoś, o kogo nie powinnam być zazdrosna, lecz powoli chyba się z tym godzę. Z tym wszystkim, co zrobił mi Willard. Z tym, że jestem żałosna i zepsuta.

Szybko zwracam się do przyjaciela z pytaniem:

– Kim jest Garrett?

Alex wskazuje palcem na kilkoro uczniów stojących na schodach.

– Ten chłopak w czapce z daszkiem. Organizował imprezę.

Kiwam głową na znak, że wiem, o którego mu chodzi.

– Okej, a co masz na myśli przez: Emma i on... – wzdycham – ...dali popis?

– Nie można było ich od siebie odciągnąć – wspomina Findlay. – Podobno migdalili się przez całą noc na oczach wszystkich. Ale dają dziesięć dolarów, że za tydzień, może dwa, nacieszą się sobą tak bardzo, że będą umieli się powstrzymać, także nie bój się imprez organizowanych przez „naszych” z powodu przysysających się do siebie pijawek.

Willarda w niedzielę nie było więc nawet na Bronksie. Był z nią na imprezie. Całował ją. Być może tak, jak twierdził, że pocałuje mnie. Czuję nasilającą się we mnie niechęć, lecz ukrywam ją i wracam spojrzeniem do oczu Alexa, który czeka na odpowiedź. Dostaje ją.

– Nie boję się ich. Nie jestem po prostu typem imprezowiczki, dlatego nie chodzę na „te wasze domówki” – wypowiadając kilka ostatnich słów, robię palcami cudzysłów w powietrzu.

– Raz na jakiś czas na dobre wysłaby ci „ta nasza domówka”, Marigold. – Alex naśladuje mój gest i robi to w tak komicznym stylu, że śmieję się cicho.

– Nie, naprawdę. To nie moja bajka.

Myślałam, że przenosząc się do miasta jak Nowy Jork i zaczynając studia, posmakuję studenckiego życia. Moje założenia szybko okazały się nietrafione, w dużej mierze dlatego, że nie jestem jednak osobą, którą uszczęśliwiłyby alkohol, używki, głośna muzyka, przygodny seks i spędzanie czasu z ludźmi. Nadal nie czuję się komfortowo w towarzystwie nieznajomych.

Nie czuję, że to wszystko jest tym, czego potrzebuję.

– A oni... powinni zaszyć się w jakimś składziku – dopowiadam mrukliwie, zerkając w kierunku Emmy i Willarda, bo nawet ze sceny słyszę, że ponownie zaczęli się obściskiwać.

Zwieszam głowę, patrząc na swoje trampki. Chciałabym, by widok, który przed chwilą dostrzegłam, nie robił na mnie żadnego wrażenia. Ale robi. Robi mi się smutno, chociaż bardzo nie chcę czuć smutku ani niczego podobnego. Chcę przejść obok tego obojętnie.

– Ktoś ich w końcu upomni – mówi Alex.

– Oby jak najszybciej.

– Przeszkadzają ci? – docieka, więc wzdycham i patrzę na jego twarz.

– Te odgłosy. – Robię specjalnie niedługą przerwę, by przyjaciel usłyszał to, co powinien, a następnie ciągnę: – Pomruki, mlaśnięcia i wszystko, co wyrzuca z siebie Emma.

Chłopak uśmiecha się krzywo, słysząc to, co mam na myśli.

– Tak, mogliby być ciszej.

Ile razy odwracam wzrok, tyle razy coś nakazuje mi ponownie utkwić go w Willardzie. Czuję się jeszcze bardziej zdołowana, widząc, jak zawzięcie i bez przerwy pożera usta innej. Moje gardło ścisza żal i niewypowiedziany na głos protest. Ponieważ to boli aż tak, że mam ochotę wykrzyknąć, by ściągnął z niej rękę i oderwał się od jej warg.

Zrujnował mnie. Boże, jak on mnie zrujnował.

– Gdzie idziesz? – pyta Alex, a ja dopiero w tym momencie orientuję się, że wstałam i chwyciłam swoją torebkę. Zrobiłam to jakby bez kontroli.

Patrzę na Willarda z mocno kołatającym sercem.

– Zapomniałam ci powiedzieć, że nie będzie mnie dzisiaj na ostatnich zajęciach. Mam wizytę

u lekarza – odpowiadam cichym i przygnębionym tonem, nie zaszczycając Alexa choćby najkrótszym spojrzeniem.

– Coś poważnego? – Brzmi na zmartwionego.

– Nie, zwykła kontrola – ciągnę swoje kłamstwo, wiedząc, że nie usiedziałabym w sali ani pięciu minut dłużej. – Ale trudno było załapać się na termin.

W końcu zerkam na przyjaciela, który ciągle bacznie mnie obserwuje.

– Rozumiem – rzuca, a następnie dodaje z sympatycznym uśmiechem: – Chociaż jestem pewny, że bez ciebie zanudzę się na śmierć.

Odwzajemniam niemrawo gest.

– Oby nie.

– Napisz mi potem wiadomość, czy wszystko okej.

Kiwam głową na znak, że to zrobię.

– Pewnie. Widzimy się jutro.

Ruszam powolnym krokiem w stronę schodów prowadzących do wyjścia znajdującego się u szczytu sali. Idąc po stopniach, jeszcze raz zerkam na Willarda, chociaż głos w mojej głowie podpowiada mi, że nie powinnam tego robić pod żadnym pozorem. Może rzeczywiście nie powinnam tego robić, skoro spojrzenie, które posyła mi chłopak, jest obojętne i nieprzejęte.

Ale czego ja się spodziewałam? Że będzie żałował, że zrobił mi to wszystko, zamiast wyrządzić mi jeszcze większą krzywdę?

On nie umiał czuć się winny.

Przez całą wieczorną zmianę, którą odbywam w sklepie z winylami, biję się z myślami. Jestem kompletnie zagubiona, bo potrzebuję *jego* uwagi i obecności po tym, jak nie miałam jej przez niemalże dwa dni. Z drugiej strony wiem, że nie powinnam robić niczego, by ją zdobyć. Tym bardziej nie wybierać się po zamknięciu sklepu do miejsca, w którym myślę, że go znajdę. Ponieważ kiedyś, gdy rozmawiałam z Rhodesem, mały wygadał się, że często przychodzi tam z Willardem bawić się w horror. To całkiem zabawne, że oni się w niego bawili, a ja przeżywałam go naprawdę.

Ruiny domu na ogromnej polanie na obrzeżach miasta wyglądają paskudnie, gdy docieram do nich po dłuższym czasie. Niebo pokrywają gęste, szare chmury. Obserwuję je z wysoko zadartym podbródkiem, po czym przenoszę spojrzenie na źdźbła słomy, które deptam podeszwami butów. Nie wiem, czy zastanę tutaj Willarda, ale wiem, że przesadziłam.

Przychodząc tutaj, po prostu przesadziłam.

Zła na siebie zatrzymuję się w miejscu. Targają mną sprzeczne emocje. Znowu mam wątpliwości, co robić. Stoję przed zniszczonym budynkiem, który ma wybite szyby w oknach i którego ściany pomalowane są graffiti. I walczę. Walczę zarówno ze zdrowym rozsądkiem, jak i potrzebą, której nie chcę czuć: potrzebą otrzymania choćby grama uwagi Willarda.

Uderza we mnie wiatr. Stoję nieruchomo. Nie wiem.

Nagle z domu wyłania się postać. Widzę Willarda, który przeciera dłonią usta i idzie za budynek. Nie zauważa mnie. Chyba czymś się denerwuje. Wypuszczam powietrze i robię krok w tył. Co ja, do cholery, wyprawiam? Wplątam dłoń we włosy. Mam ochotę rwać je z głowy z pieprzonej frustracji. Robię jeszcze kilka kroków w tył i czuję, jak poniewiera mną wichura.

Wtem Willard wraca do drzwi, z których wcześniej wyszedł. Jego spojrzenie odnajduje moje. Patrzę z daleka na chłopaka, na którego twarzy pojawia się nieznaczące zaskoczenie.

– Harding?! – woła do mnie. – Czego tu szukasz?

Och, chrzanić to. I tak mnie przyłapał. Popchnięta tą wiedzą zmierzam ku niemu. Myślę o tym, czego mogłabym od niego chcieć. Wpadam na coś stosunkowo szybko i nie zwlekając, kiedy tylko przystaję przed już w pełni poważnym Willardem, wyrzucam z siebie wydech:

– Wiem, że potrzebujesz kasy.

Skoro diluje, musi jej potrzebować.

– Co w związku z tym? – pyta i chyba nie obchodzi go nawet, skąd dowiedziałam się, że mogłabym znaleźć go właśnie tutaj.

Chowam dłonie w kieszeniach płaszcza, patrząc na niego z dołu.

– Mogę ci zapłacić za pożyczenie mi samochodu na kilka godzin.

– Zapomnij.

Jego odmowa nadchodzi naprawdę szybko.

– Mam prawo jazdy – wzdycham, przechylając delikatnie głowę w bok i ignorując to, że wiatr wzbiera na sile. – Nie stratuję go, wjeżdżając w pierwsze lepsze drzewo.

Chłopak poprawia materiał bluzy na barkach i przewraca oczami.

– Po co ci auto? – zastanawia się.

– Chcę się gdzieś nim wybrać.

– Dlaczego?

– Bo mam taki kaprys – bąkam, niechętnie uświadamiając sobie, że ulga rzeczywiście obudziła się we mnie, bo znalazłam się blisko Willarda. Powinnam z tego powodu jedynie rozpaczać. Z tego jednego, że okręcił sobie kawałek mnie wokół palca i spaczył go złem.

Chwilę przygląda się mojej twarzy bez słów. Potem rozkłada ręce.

– Odbieram nim za dwie godziny Rhodesa od mieszkającej na drugim końcu miasta dziewczyny, z którą robi projekt, więc odpowiedź brzmi nie – stwierdza zdecydowanym tonem.

W zasadzie chcę gdzieś pojechać, choćby sama, dlatego nie poddaję się. Zmuszam nogi do ruchu i zbliżam do Willarda, który gapi się na mnie i unosi pytająco brew.

– Pięćdziesiąt dolarów? – oferuję. – Sześćdziesiąt? Ile chcesz?

Chłopak uśmiecha się z pobłażaniem, mrużąc oczy na podmuch wiatru.

– Harding, nie błaznuj. Mam odebrać Rhodesa za równe dwie godziny. Obiecałem mu coś dzisiaj i zamierzam się z tego wywiązać.

– W takim razie jedź teraz ze mną – wypalam, chociaż wiem, że ten pomysł jest zarówno dobry, jak i zły. – Wrócimy tutaj za dwie godziny i wywiążesz się z czegoś, co mu obiecałeś.

Willard upewnia się, że wszystko dobrze usłyszał.

– Mam jechać... z tobą? – parska.

– Tak, mi też to średnio pasuje, ale to chyba sensowna opcja – mówię to zadziwiająco beznamiętnym tonem, jak na to, że gorące napięcie zdaje się krążyć w moim krwiobiegu.

– Sześćdziesiąt dolarów. – Covington stawia swój warunek.

– Stoi – zgadzam się.

Musi bardzo potrzebować kasy, skoro po tym, jak w sobotni wieczór zapowiedział, że chce żyć tak, jakbym nie istniała, teraz jedzie ze mną, choć sam nie wie gdzie. Nie rozmyślałam nad tym zbyt długo. Po prostu idę za nim, na tyły budynku, gdzie zaparkowany jest jego grat.

W samochodzie, siedząc już na miejscu pasażera, wyciągam z torebki portfel i umówione sześćdziesiąt dolarów. Willard zajmuje fotel kierowcy, po czym wydziera mi z dłoni pieniądze. *Tak, musi potrzebować tej kasy*, dociera do mnie, że się nie myliłam.

Wrzucam torebkę pod nogi oraz zapinam pasy. Brunet w tym czasie odpala silnik. Słyszę, jak samochód ryczy, i nabieram wdech, bo trochę przeraża mnie podróż czymś takim.

– Jeden dolar więcej za każdy raz, gdy odezwiesz się niepytana – pomrukuje Covington, skupiając się na nierównej, usłanej zaschniętą słomą drodze.

Zerkam na jego profil i odgryzam się.

– Jeden dolar mniej za każdy twój złośliwy komentarz. Och, chyba czeka mnie darmowa przejażdżka, jak miło – wypowiadając końcówkę zdania, przykładam teatralnie dłoń do serca.

– Ciesz się lepiej, że mam wolne dwie godziny.

– Mam ochotę skakać pod sufit – mamroczę sarkastycznie i wystawiam dłoń w kierunku radia, bo jeśli zaraz w aucie nastanie cisza, chyba poczuję się nią przytłoczona.

Willard widzi, co chcę zrobić, i protestuje.

– Nie dotykaj.

– Nie było mowy o radiu – odpieram.

– Jeden dolar więcej za dotknięcie...

– Jeden dolar mniej za ustanawianie kolejnych zasad – rzucam w pośpiechu, przez co on nie może dokończyć swojego komentarza. Po tym uśmiecham się zwyczajnie, włączam, tak jak chciałam, radio

i zaczynam zmieniać stacje, poszukując muzyki w swoim guście.

Nagle prawa dłoń chłopaka sięga po moją, znajdującą się nadal w powietrzu.

– Jesteś cwaniarą. – Willard mówi to z... lekkim rozbawieniem?

Patrzę to na jego dłoń, to na jego spokojną twarz.

– A ty zabieraj rękę.

– Stanowczą cwaniarą – poprawia się.

Prycham, wrywam się z jego uścisku i wbijam plecy w oparcie fotela. Jednocześnie mknę spojrzeniem do szyby i uzmysławiam sobie, że zaraz wyjedziemy z polany. Przy okazji dobiega mnie melodia piosenki, którą bardzo dobrze znam, więc zaczynam podśpiewywać pod nosem słowa.

– *Oh, I love it and I hate it at the same time. Hidin' all of our sins from the daylight*³ – szeptałam do siebie i unoszę mimowolnie kącik ust. Prędko jednak dociera do mnie, że spojrzenie Willarda wylądowało w którymś momencie na mojej twarzy, dlatego poważnieję, odwracam się do niego i zadaję mu nurtujące mnie pytanie: – Co obiecałeś Rhodesowi?

– Sześćdziesiąt dwa dolary.

Obruszam się natychmiast:

– Dlaczego dwa? Przecież odezwałam się bez pytania, a za to miał być jeden dolar.

– Twoje popisy wokalne są liczone podwójnie, bo cierpną mi uszy – odpiera już bardziej zrelaksowany chłopak.

– Zaraz ścierpnie ci coś innego, jak zasadzę ci kopniaka w interes, dupku – fukam urażona, bo jestem pewna, że od mojego śpiewu nie mogą aż ścierpnąć uszy.

Willard prowadzi swobodnie samochód i wyjeżdża na ulicę.

– Prędzej stracisz równowagę, łamago – wzdycha. – Gdzie mam jechać?

– Na jakieś wzgórze za miastem – decyduję po tym, jak zastanawiam się przez chwilę w jaki sposób mam ochotę spędzić kolejne godziny. – Chcę zobaczyć Nowy Jork z wysokości.

– Chcesz zobaczyć Nowy Jork z wysokości... – powtarza za mną Willard, a ton jego głosu wyraża zamyślenie. – W takim razie mogę załatwić ci skok ze spadochronem.

– Z uszkodzonym spadochronem.

– Masz mnie.

– Pieprz się – wypalam, ale nie jestem w stanie zapanować nad tym, że kącik moich ust podjeżdża ku górze. W tym samym momencie sięgam dłonią do pokrętki, by obniżyć fotel.

– A ty nie majstruj w moim samochodzie.

Dziwię się, że to wyhaczył, skoro gapi się na jezdnię. Ale niech będzie.

– Niewygodnie mi – narzekam, bo siedzenia w tym gracie nie dość, że cuchną, to jeszcze są twarde jak skała. Nie wspominam na głos o tym pierwszym. Zerkam kątem oka na Willarda, który zatrzymuje się na czerwonym świetle przed skrzyżowaniem i sięga po telefon.

– Wybacz, następnym razem zabiorę specjalnie dla ciebie poduszkę, żeby było ci miękko w tyłek – ironizuje, uśmiechając się sarkastycznie w moją stronę, a potem koncentrując już na ekranie telefonu. Chyba widzę, że ktoś zasypał go wiadomościami.

Nawarstwia się we mnie irytacja, gdy wyobrażam sobie, że to Emma. Szybko jednak próbuję ją przepędzić i odpowiadam chłopakowi równie bezczelnym tonem:

– Jednak czasami masz przejawy troski.

– Na pewno nie wobec ciebie. – Ostatni raz zagląda mi na kilka sekund w oczy, zanim chowa telefon do schowka i dociska pedał gazu. – Nie trawię cię. Sześćdziesiąt cztery dolary.

Wiem, że mnie nie trawi. Ja jego też nie. Ale hej, jakie sześćdziesiąt cztery dolary?

– Za co niby? – wypluwam, aż prostując się jak struna.

Na twarzy Willarda znowu maluje się znajoma powaga.

– Za to, że muszę w ogóle użerać się akurat z tobą.

– To nie jest fair.

– Nie musi. A teraz podziwiaj widoki i ucisz się.

– A teraz podziwiaj widoki i ucisz się – przedrzeźniam go i mam wtedy głupie wrażenie, że w jego oczach tli się cień rozbawienia, którego nie dojrzę w nim nigdzie indziej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

MARIGOLD

Willard zatrzymuje samochód na zjeździe przy drodze, która nie wygląda na zbyt uczęszczaną. Znajduje się on na wzniesieniu, a u jego podnóża roztacza się krajobraz ogromnego miasta, oświetlonego milionem świateł wybijających się na tle prawie czarnego nieba. Nie mogąc się powstrzymać, by obejrzeć go niekoniecznie przez nieco brudną szybę auta, wysiadam szybko z pojazdu i podchodzę do barierki oddzielającej nas od przepaści. Tu jest... naprawdę ładnie.

Uśmiecham się do samej siebie i przez dłuższą chwilę omiatam spojrzeniem piękną panoramę. Zapominam wtedy o wszystkim, a nawet o tym, że za moimi plecami najpewniej stoi Willard. Bo zakładam, że nie został w samochodzie z zamiarem przeczekania tam czasu, który spędzę na podziwianiu zapierającej dech w piersi scenerii. W pewnym momencie wyciągam z kieszeni telefon i robię kilka zdjęć. Robię nawet jedno sobie i śmieję się, bo oglądając je w galerii, widzę, że załapał się na nie Covington. Odwracam się do niego.

Siedzi na masce czarnego samochodu i nie odrywa ode mnie wzroku. Wracam do niego leniwym tempem. Zajmując miejsce obok chłopaka, nie odzywam się słowem, ale po kilku sekundach to on inicjuje rozmowę, odwracając jakby od niechcienia głowę w moją stronę.

– Podobno mam niewygodne auto – przywołuje moje stwierdzenie.

Zapatrzona w jego oczy wypuszczam tchnienie.

– Nie mam gdzie indziej usiąść.

– Zawsze możesz stać.

– Albo wykorzystać kierowcę.

Nie mam pojęcia, kiedy i dlaczego to się dzieje. Nagle po prostu siedzę na kolanach Willarda, a on oplata mnie dłonią w talii, zapewne nie chcąc, żebym upadła i pociągnęła go za sobą na ziemię. Opieram podeszwy trampek na masce samochodu, patrząc w dal, na niebo. Wtedy chłopak przysuwa usta do mojego ucha, by wyszeptać do niego kilka zdań:

– Nie powinnaś siadać mi na kolanach. Ani nawet tego chcieć.

Jego szept w połączeniu ze sposobem, w jaki głaszcze moje kolano palcami, sprawia, że odczuwam obawę przed tym, że zaraz stracę kontakt z rzeczywistością.

– Przecież wiem – odpieram, niezmiennie wpatrując się w przestrzeń pod nami. – A ty nie powinieneś zgadzać się jechać ze mną gdziekolwiek nawet za sześćdziesiąt dolarów, skoro chciałeś żyć przez parę dni tak, jakbym nie istniała.

– Przecież wiem – powtarza moje słowa.

Spoglądam na niego.

– Więc dlaczego...

– Bo jestem pazerny na kasę – przerywa mi niewzruszonym tonem. – Dlatego. Nie obchodzi mnie to, kto zaoferował mi pieniądze. Obchodzi mnie to, że po wszystkim je dostanę. Nie myśl przypadkiem, że nie potrafię ci się oprzeć.

To, co mówi na końcu, z jakiegoś powodu traktuję jak wyzwanie. Z jakiegoś powodu chcę doprowadzić do tego, żeby nie był w stanie mi się oprzeć. Przekręcam się na jego kolanach i unoszę podbródek, wpatrując się w jego oczy spod wachlarza rzęs.

– Nie? – upewniam się cichym głosem.

Willard nie waha się nad odpowiedzią.

– Nie.

– A teraz?

Wyginam szyję, by moje usta znalazły się blisko jego. By skupił się na nich. By zmusiły go do przyznania, że jednak nie potrafi mi się oprzeć. Czuję chorą ekscytację. Buchającą we mnie adrenalinę. Po raz pierwszy odkąd poznałam Willarda, myślę, że to ja mogę przejąć kontrolę. Teraz, gdy siedzę na jego

kolanach, pośród ciemności i chłodu nocy, myślę, że to ja mogę zadreńczyć go tym, czego nie dostanie, o ile nie zabierze sobie tego sam.

Jego jabłko Adama podskakuje, kiedy przełyka niespiesznie ślinę.

– Zabieraj te usta – rzuca rozkaz.

Ale nie przestaje patrzeć na nie, jakby był spragniony.

– Zabierz je, zanim gorzko pożałujesz, że dobrowolnie mi je oddałaś. – Jakimś cudem Willard koncentruje się na moich oczach. Ma w sobie resztki silnej woli. Widzę, że niewiele dzieli go od tego, aby nakryć moje wargi swoimi. Zaczynam się na nim wiercić.

Nie wiem, czy bardziej niecierpliwę się tym, że jeszcze nie pękł i mnie nie pocałował, czy bardziej ekscytuję tym, że to ja w tej chwili kontroluję tę pochrzanioną sytuację. Nie rozstrzygam, czy postępuję dobrze czy źle, nie obwiniam się o to, że jestem zepsuta i głupia, nie walczę z nienawiścią, którą odczuwam wobec siebie.

Tym razem wyłączam umysł.

Bo jest za późno na to, bym powinna się tym przejmować. Zostałam omamiona przez chłopaka, który ponownie obiera sobie za cel moje cholerne usta. Zostałam pochłonięta przez jego wpływ. Nie mogę wydostać się z sieci, w którą mnie wplątał, choćbym próbowała robić to ciągle i z całych sił. Godzę się ze swoim losem. Z tym, że skończyłam jako jego kukiełka.

Nie mam już honoru. Ale nie tęsknię za nim, gdy ocieram się wargami o jego.

– Ją też ostrzegłeś w ten sposób? – pytam, obejmując dłońmi jego szyję oraz kawałek szczęki, i wtłaczam w płuca oddech, który wypuścił on.

Brunet ściska palcami moje kolano.

– Ją?

– Emmę.

Znowu przytykam usta do jego, pragnąc go złamać, doprowadzić do obłądu, zniewolić jego umysł trylionem myśli o sobie. Nasze wargi uderzają o siebie, ale to, co robię, nie ma wiele wspólnego z pocałunkiem. Drażnię go. Chcę go dla siebie na kolanach, naprawdę i w przenośni. Mogę to osiągnąć. Wiem, że mogę, tak samo jak on mógłby osiągnąć coś podobnego.

Będę zdzierać z niego silną wolę, aż i on będzie potrzebował mnie.

Willard przekręca mnie tak, że siedzę na nim okrakiem. Powstrzymuję się od odrzucenia głowy w tył i wyrzucenia z siebie prośby, by całował moją szyję. To on ma być ten jeden raz na mojej łasce. Jakieś auto przejeżdża obok nas. Światło jego reflektora pada na część pokrytej bliznami twarzy chłopaka. Przejeżdżam kciukiem po jednej ze szram, wbijając w nią paznokieć.

– Nie – wyznaje ochryple chłopak. – Nie ostrzegłem jej.

Udaje mi się ocknąć. Przypominam sobie, o co go zapytałam: czy ostrzegł Emmę przed tym, że pożałuje oddania mu swoich ust. Mój oddech staje się urwany, bo brązowe tęczówki Willarda intensywnie szukają spojrzenia moich.

– Dlaczego? – pytam.

– Bo tylko twoje czynią mnie tak głodnym, że aż nie jestem pewien, czy po tym, jak ich spróbuje, będzie co z nich zbierać.

– Jej nie?

– Żadne nie – dorzuca i nie wytrzymuje.

Próbuje dosięgnąć moich ust, lecz odsuwam twarz od jego, uśmiechając się chytrze.

– To chciałam usłyszeć. – Wplątuje jedną dłoń w jego włosy oraz ciągnę za nie, ponieważ wypełnia mnie satysfakcja. Dopięłam swego. Willard wygląda jak desperat, kiedy raz jeszcze próbuje mnie pocałować. Raz jeszcze więc mu uciekam, doprowadzając go do szału.

– Chciałaś to usłyszeć? – wydycha w pytający sposób.

– Z jakiegoś powodu chcę słyszeć, że mam w sobie coś, czego żadna inna ci nie da – odpieram, zachowując pokerową minę. – Czym to ja mogę cię dreńczyć, bo tego nie dostaniesz.

Covington prychnie, obejmując dłońmi mój tyłek.

– A jeśli sam to sobie zabiorę?

Drocę się z nim bardziej. Składam przelotne muśnięcie ust tuż w kącik jego i zsuwam dłonie, badam nimi jego pierś. Jest twarda i rozbudowana, a on sam zniecierpliwiony.

– Będziesz chciwym dupkiem – odpowiadam z manierą.
– Mówiłem, że lubię twoje komplementy.
– Żalonym mięśniakiem, który umie brać wszystko wyłącznie siłą – poprawiam się, bo jestem przekonana, że to mocniej go rozdrażni. Fakt, że jedyną drogą, którą może obrać, by dostać ode mnie, czego chce, jest przewaga fizyczna, jaką nade mną ma.

Dotykam go bez skrępowania, mknę palcami niżej, do jego brzucha, nie zrywając naszego kontaktu wzrokowego, podczas gdy on rzuca coś pod nosem.

– Niech będzie – udaje mi się zrozumieć cichy pomruk.

Willard odchrząkuje, napiera czołem na moje i mówi głośniej:

– Dręcz mnie, Marigold. Chcę być przez ciebie dręczony.

Jego oczy są mrocznie roziskrzone.

– A nawet zadręczony.

– Będiesz – zapowiadam. – Chociaż tak mogę ci się odwdzięczyć.

Milkniemy oboje. Przez kolejne kilkanaście minut trwamy w tej jednej pozycji, patrząc na przepiękny krajobraz. W pewnym momencie Willard sięga do moich włosów. Bawi się nimi. Pasma prześlizgują się przez jego palce, a ja nieświadomie wstrzymuję oddech, bo to dziwna odmiana. Jego niewinny, nienacechowany złośliwością dotyk. Jego delikatność i czułość.

– Serio chciałaś popatrzeć na Nowy Jork? – zagaja nagle. – Tak po prostu?

Ziewam. To był ciężki dzień. Robię się coraz bardziej zmęczona.

– Aż tak cię to dziwi? – odpowiadam mu pytaniem. – Pochodzę z małego miasta. Nowy Jork jest dla mnie czymś nowym i innym. Chcę obejrzeć go w każdym wydaniu.

– W takim razie oglądaj.

– Ile mam czasu? – dociekam, bo pamiętam, że Willard obiecał coś Rhodesowi.

Chłopak zakasuje rękaw bluzy i spogląda na zegarek oplatający nadgarstek.

– Jakies pół godziny.

Potwierdzam skinieniem, że tyle mi wystarczy.

– Mogę zabrać się potem z wami na Bronx?

Mój towarzysz wypuszcza ze świstem powietrze.

– Jeśli musisz.

Odwracam się do niego i widzę, że kącik jego ust drga ku górze. Mój również odrobinę się unosi, chociaż nie wiem do końca dlaczego. Wiem natomiast, że trochę dokuczają mi nocne zimno, dlatego przywieram szczerzej do Willarda, na co on... obejmuje mnie mocniej?

– Ale nie doliczysz mi za to więcej kasy? – rzucam podejrzliwie.

– I tak oskubałem cię do ostatniego grosza.

– Nie powiem, że nie. – Wypełniam policzki powietrzem. Dobrze, że wzięłam kilka zmian Leah, więc mój budżet jakoś bardzo nie ucierpi przez te sześćdziesiąt parę dolarów.

Willard wyplątuje palce z moich włosów i wbija wzrok w dal, prosto w panoramę, którą chciałabym oglądać codziennie. Podążam jego tropem, zwłaszcza że sam każe mi to zrobić:

– Skup się na swoich widokach. Następna okazja może się już więcej nie powtórzyć.

Cokolwiek zrobiliśmy razem kiedyś, pewnego dnia miało się już nie powtórzyć.

O umówionej godzinie podjeżdżamy pod kamienicę koleżanki Rhodesa, z którą podobno robił projekt. Chociaż sędzę, że określenie *koleżanka* użyte wcześniej przez Willarda było jednak nietrafione, ponieważ świetnie pamiętam, co mówił mi chłopiec jakiś czas temu. Podobno nie miał żadnych, ale to żadnych znajomych. Cóż, kto wie. Może coś się w tej kwestii zmieniło, a inne dzieciaki z klasy poszły po rozum do głowy?

Od rozmyślań na ten temat odciąga mnie szarpnięcie za klamkę drzwi. Rhodes nagle wdrapuje się na tylne siedzenia i zdecydowanie rozpromienia, bo zauważa mnie z przodu.

– O, Goldie. – Wciąż rozczuła mnie to jego *Goldie*. – Wpadasz do nas?

Willard odpala auto i zmierza w drogę powrotną na Bronx.

– Napisałem ostatni megatrudny sprawdzian z matematyki na najlepszą ocenę i z tej okazji Will musi

dzisiaj spełniać wszystkie moje zachcianki – kontynuuje podekscytowany malec. – Najpierw zamawia największą pizzę z pepperoni, a potem ogląda ze mną filmy z wypożyczalni. Kilka części *Harry'ego Pottera*, rozumiesz? Brzmi fajnie, co nie?

Patrzę mimochodem na milczącego chłopaka. To takie nie w jego stylu, by traktować kogoś tak dobrze, jak traktuje swojego bratanka albo siostrzeńca.

Odwracam się do Rhodesa i unoszę brew.

– Musi spełniać wszystkie twoje zachcianki?

– Mhm. Dlatego cię zapraszam. To moja zachcianka.

– Rhodes – karci go Willard.

Siadam prosto i kiwam głową z uznaniem.

– To dziecko jest sprytne.

– Nie jestem dzieckiem – grzmi sam zainteresowany.

Gryzę się w język, byle się nie roześmiać. Jest uroczy.

– Wybacz.

– Okej. Ale wpadniesz?

Nie widzę na twarzy Willarda ani jednej oznaki, która podpowiedziałyby mi, co powinnam zrobić. Jasne, po tym, co się wydarzyło w ciągu ostatnich godzin, nie spodziewam się, że będziemy się przyjaźnić. Nie ma takiej opcji. Mam przeczucie, że cokolwiek powstanie kiedyś pomiędzy nami, to zawsze będzie miało coś wspólnego z nienawiścią. Jakbyśmy istnieli, byle się nienawidzić, w sposób, który trzyma nas jednak przy sobie.

Analizuję wszystkie za i przeciw. Już mam odmówić, gdy Rhodes mimo zapiętych pasów próbuje przepchać się do przodu, by chwycić mój łokieć. Rety, ma tak dużo energii. Ja natomiast czuję się jej pozbawiona po zajęciach, zmianie w pracy i wieczorze z Willardem.

– Pokażę ci coś, co miałem pokazać ci już dawno temu – mówi radośnie.

Krzyżuję z nim znowu spojrzenie.

– Co takiego?

– Jak maluję dziury w ścianach. Powstały kolejne, a mi została resztką farby.

Smutek zagnieżdża się na dnie mojego serca, bo odnajduję w pamięci wspomnienie tego, jak Rhodes opowiadał mi o tym, że lubi malować ubytki w ścianach. Podczas gdy inne dzieciaki miały pewnie wymyślne hobby, czy to sport, czy rysunek, czy taniec... on uzupełniał farbami plakatowymi dziury. Zwieszam głowę, ukrywając na pewno malujące się teraz na mojej twarzy przygnębienie. Chciałabym, by mały kiedyś posmakował lepszego życia.

– Chętnie zobaczę, jak sobie z nimi radzisz – odpowiadam mu, ale nawet jeśli próbuję wydobyć z siebie wesoły ton, moje starania kończą się fiaskiem.

Po dłuższym czasie docieramy na Bronx. Willard nie sprawia wrażenia wkurwionego tym, że wchodzi do mieszkania razem z nimi, albo też perfekcyjnie kamufluje swoją niechęć do zachcianki Rhodesa, bym spędziła resztę wieczoru w ich towarzystwie. Znika zaraz po tym, jak pomaga ściągnąć małemu farby z wysokiej szafki w salonie, tłumacząc, że idzie odebrać kolację.

Zostaję więc sama z małym i dołującym widokiem uśmiechu na jego twarzy, gdy moczy stary, postrzępiony na końcu pędzel w resztkce małego słoiczka, po czym zaczyna majstrować przy pierwszej nieestetycznie wyglądającej dziurze w ścianie.

– Jedna warstwa nigdy nie wystarcza – mówi, brzmiąc co najmniej jak specjalista. – Zazwyczaj za trzecią to ładnie wygląda. Chcesz spróbować?

Podziwiam Willarda, jeśli będąc na moim miejscu, nie poczuł się rozbitym widokiem rozradowanego Rhodesa bawiącego się w najlepsze naprawianiem ścian.

– Nie sądzę, żebym zrobiła to lepiej od ciebie – waham się.

Chłopiec przekazuje mi pędzel.

– Spróbuj – zachęca.

Przyjmuję przedmiot, wzdychając.

– No dobrze.

Próbuję naśladować jego ruchy. Wklepuję farbę w ubytek i robię kwaśną minę, bo to niby żadna filozofia, ale jestem w tym beznadziejna. Nawet trzecia warstwa, o której wspominał Rhodes, nie przykrywa

przeklętej dziury. Oddaję dosyć szybko pędzel jego właścicielowi.

– Artystką raczej nie będę – stwierdzam, oglądając z niesmakiem swoje dzieło.

– Ale jesteś lepsza od Willa – pociesza mnie malec, próbując zdusić śmiech. – On przyciskał tak mocno pędzel, że prawie go złamał.

Rozbawiona przytakuję. Mogę to sobie wyobrazić.

– Hej, wszystko słyszę – odzywa się chłopak, a ja dopiero teraz rejestruję, że zdążył wrócić do mieszkania po odebraniu zamówienia od dostawcy. – Przyszła pizza.

Rhodes aż podskakuje w miejscu. Zanim zdołam odetchnąć, on już stoi przy Willardzie, próbując dosięgnąć wielgachnego kartonu, co wygląda... śmiesznie. Okropnie śmiesznie, zważywszy na fakt, że chłopiec jest niziutki, a jego wujek ma z dwa metry wzrostu.

To słodkie. Moment, kiedy Willard kuca i pstryka malca w nos, też taki jest.

Starszy z chłopaków kładzie jedzenie na ledwo trzymającym się w jednym kawałku stoliku, po czym opada na kanapę z głośnym łoskotem. Bije od niego zmęczenie, więc nie czuję się osamotniona w tym, że sama ledwo funkcjonuję. Z lekkim ociąganiem podnoszę się z klęczek, bo dziury, które malowaliśmy, były nisko umiejscowione, i rozglądam się po mieszkaniu. Chociaż byłam w nim kilka razy, nie miałam szansy mu się lepiej przyjrzeć. Zwłaszcza gdy gonił mnie po nim Willard. Tamtym razem liczyło się dla mnie jedynie przetrwanie.

– Chodź, Goldie – przywołuje mnie Rhodes. – Lubisz pizzę?

Widzę jego wypchane kołację policzki i powstrzymuję chichot.

– Tak, ale... nie jestem głodna – odpowiadam niewyraźnie.

– Wsuń coś. Marnie wyglądasz.

Mój wzrok ląduje na Willardzie. Chłopak siedzi na kanapie i opiera swobodnie rękę na jej oparciu, mierząc mnie spojrzeniem od stóp do głów. Nie podejrzewam, co mógłby sobie myśleć, ale nadal boję się, co siedzi mu w tej chorej głowie, więc odpuszczam i nie snuję możliwych opcji. Po prostu siadam na przeciwległym skraju sofy, bąkając pod nosem:

– Też lubię twoje komplementy.

Niedługo potem we trójkę oglądamy pierwszą część kultowego *Harry'ego Pottera*. To znaczy – właściwie oglądamy go tylko z Willardem, ponieważ Rhodes chociaż bardzo stara się nie zamykać klejących się powiek, i tak odpada gdzieś w połowie filmu. Wujek reaguje szybko. Bierze bez trudu na ręce chłopca i przenosi go do sypialni, gdzie będzie mógł chrapać do woli i gdzie nikt nie będzie mu przeszkadzał. W tym czasie spinam włosy w niechlujny kok gumką, którą miałam na nadgarstku oraz przecieram dłonią twarz. Powinam iść już do siebie.

Chcę wstać, ale coś mnie przed tym powstrzymuje. Willard wraca do salonu i bez ceregieli kładzie się na sofie na wznak. Sęk w tym, że głowę umieszcza... umieszcza ją na moich udach. Podkładając pod nią rękę, przygląda mi się z dołu poważnym wzrokiem.

– Willard? – pytam zdezorientowana, nic z tego nie rozumiejąc.

Chłopak uwalnia głośny, niejako zrezygnowany oddech z płuc.

– Rhodes zabrał wcześniej wszystkie poduszki do sypialni.

– No dobrze, i?

– Szukam czegoś, co mi je zastąpi.

Nie powstrzymuję parsknięcia.

– Moje nogi mają zastąpić ci poduszki?

– Poszukiwania zakończone sukcesem.

Sprzedaję mu pacnięcie w ramię.

– Kretyn.

Trudno mi pojąć, że to naprawdę ma miejsce. Willard leży na mnie i przemawia przez niego spokój, podczas gdy niemalże zawsze na moich oczach przemawiała przez niego agresja oraz wściekłość. Nie myślałam, że on w ogóle mógłby potrafić się wyciszyć. Mimo że to wydaje mi się chwilowe, cieszę się, że trwa chociaż przez krótki czas.

Bo pewnie zaraz wrócimy do skakania sobie do gardeł.

Willard przymyka powieki. Jego pierś unosi się w powolnym tempie, a usta nieznacznie rozchylają. Ciekawi mnie, czy mógłby tak zasnąć. Przykładam ostrożnie opuszki palców do szram na jego twarzy

i śledzę ich bieg, delikatnie obrysowując je paznokciami. Są długie i pociągłe. Ich zrobienie musiało dostarczyć mu niewyobrażalnie dużo bólu.

– Czym zostały zrobione? – pytam prawie bezgłośnie.

Porozumiewamy się jakby telepatycznie, bo on wie, o co mi chodzi. Marszczy brwi, ale nie uchyla powiek, będąc jakby cały czas daleko stąd.

– To nie jest...

– Moja sprawa – dokańczam za niego.

Uśmiecham się słabo i z pogodzeniem. Jasne, że nie wyzna mi prawdy o sobie i o tym, co mu się przytrafiło. Dlaczego miałyby? Nic się między nami nie zmieniło, więc... Nagle ani jedna myśl więcej nie wydaje mi się istotna, ponieważ Willard dokańcza zmęczonym głosem:

– ...trudne do zgadnięcia. – Spina się delikatnie. – Nóż. Zostały zrobione nożem.

Gorycz zalewa moje gardło. Jego słowa uderzają we mnie bardzo mocno.

– Ich powstawanie... okropnie cię bolało – wysnuwam wniosek, szepcząc.

Chcę zabrać dłoń z jego twarzy, ale on jakimś cudem przewiduje mój ruch. Otwiera oczy, mruga kilka razy, sięga po moją rękę i na powrót przykładą palce do miejsc, w których ma obrzydliwe blizny. Robi to dokładnie, co dowodzi, że zna położenie każdej. Jestem o tym przekonana. Być może patrzył na nie zbyt długo, by nie nauczyć się, gdzie się znajdują.

Nie widzę w jego oczach niczego na kształt żalu albo przygnębienia, gdy mówi:

– Nie bardziej niż wiedza, że zostałem oszpecony na resztę życia.

– One niewiele zmieniają. – Obserwuję nierówne linie, po czym wracam do brązu tęczy Willarda.

– Mam na myśli, że z nimi czy bez nich wyglądasz normalnie.

– Nie wmawiaj mi tego.

– Nie próbuję.

Chłopak kręci głową i na pewno mi nie wierzy. Nagle podnosi się zwinnie do siadu. Obraca przodem do mnie, a potem sięga dłonią po moją brodę, na której zaciska palce.

– Więc czego próbujesz, mówiąc takie rzeczy komuś, kto jest twoim koszmarem? – docieka przekonany, że coś podejrzanego stoi za moimi wcześniejszymi słowami.

Wytrzymuję jego ciężkie, natarczywe spojrzenie.

– Niczego – odpieram cicho. – Mówię, co myślę.

– Po co?

– Nie wiem. – Odciągam od siebie jego dłoń i odczuwam coraz gorsze zmęczenie. – W tym tkwi problem. W tym, że przy tobie staję się kimś, kogo nie poznaję.

Zwieszam bezradnie ramiona i wyszeptuję pomiędzy nas:

– Przy tobie nie poznaję samej siebie, Willard.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

MARIGOLD

KIEDYŚ

Dzień, w którym muszę opuścić sierociniec, na pewno na długo utkwi w mojej pamięci i będzie kojarzył mi się ze ścisłym wzruszenia w sercu, które zdążyło mocno przywiązać się do tego miejsca w ciągu ostatnich kilku lat. Czuję go ciągle, przechadzając się po raz ostatni znajomymi korytarzami. Gdy byłam młodsza, ślizgałam się po nich z Millie na świeżo umytej podłodze, a teraz... teraz obie poszłyśmy swoimi ścieżkami. To smutne, ale przecież nic nie trwa wiecznie.

W pokoju czeka na mnie spakowana walizka, nieduży plecak i konieczność pożegnania się z Claire. Życzymy sobie wszystkiego dobrego, a potem wychodzę, taszcząc za sobą bagaż. Wszelkie formalności załatwiłam wcześniej, dlatego już bez dalszej zwłoki idę do wyjścia z budynku. Uśmiech wkrada się na moją twarz, bo w drodze do dwuskrzydłowych drzwi widzę wychodzącego zza zakrętu Mavericka. Jest zajęty jakimiś dokumentami.

Ale chyba wyczuwa moją obecność, bo nagle unosi wzrok znad papierów.

Krzyżujemy spojrzenia praktycznie od razu. Mężczyzna zatrzymuje się. Rozgląda, po czym wciąga mnie w zakręt, popycha na ścianę i od razu kradnie mi buziaka. Śmieję się cicho, bo nie może się ode mnie oderwać przez dłuższą chwilę, jakbyśmy nie widzieli się wieki, a przecież od naszego ostatniego spotkania minęły zaledwie dwie godziny.

– Nie dasz rady poczekać z tym do wieczora? – pytam, rozdzielając nasze usta i szczerząc się jak nienormalna.

Maverick wsuwa palce w szlufki moich spodni i z ich pomocą znów przyciąga mnie do siebie.

– Przepraszam, że jestem zbyt podatny na urok swojej kobiety. – Przewraca z rozbawieniem oczami, a ja topię się, jak zawsze gdy nazywa mnie swoją kobietą.

To wciąż wydaje mi się surrealistyczne. Od paru dni jestem dziewczyną Mavericka Hudsona. Za moment, gdy rozwiedzie się z Camille, nareszcie będą mogli dowiedzieć się o tym absolutnie wszyscy. Chyba jeszcze nigdy życie nie układało mi się tak dobrze jak teraz.

Mężczyzna przytyka usta do mojej szczęki i obsypuje ją pocałunkami, jakby coś go zaczarowało. Muszę go przypilnować, bo nikt nie może nas razem nakryć w sierocińcu. Mimo uśmiechu, który bez przerwy błąka się na mojej twarzy, odpycham delikatnie Mavericka.

– Wciąż nikt nie może nas tutaj zobaczyć – przypominam. – Twoja reputacja...

Mój ukochany patrzy na mnie z błyskiem w oku.

– Masz rację, ale cholera, szaleję za tobą, Mari – wyznaje lekko zdyszany. – Widzę cię i w sekundę mam ochotę znaleźć się przy tobie.

Zagryzam wargę. Motyle w moim brzuchu prędko budzą się do życia. Jestem szczęśliwa. Matko, jestem tak strasznie szczęśliwa.

– Teraz będziesz miał mnie przy sobie bez przerwy – zapewniam go rozradowanym tonem i poprawiam kołnierz jego czarnej koszuli.

Patrzy na mnie z góry i przytakuje.

– Jestem szczęściarzem.

– Jeszcze się przekonamy, czy może jednak nie popełniłeś błędu, wiążąc się ze mną... albo też decydując się ze mną zamieszkać. – Ucieszona opuszczam ręce, po czym zakładam je pod biustem. Nie mogę doczekać się naszej nowej codzienności. Codzienności we dwoje.

– Na pewno go nie popełniłem.

Albo mi się zdaje, albo gdzieś nieopodal rozlega się podejrzany szmer. Patrzymy po sobie z Maverickiem. On też go raczej usłyszał i też się nim zaniepokoił. Na wszelki wypadek odsuwamy się na bezpieczną odległość, by móc w razie czego stworzyć pozory. W końcu co jest złego w tym, że była

podopieczna żegna się ze swoim byłym opiekunem.

– Ktoś idzie? – zastanawiam się przyciszonym tonem.

– To chyba fałszywy alarm.

Po paru sekundach potwierdzam skinieniem, że też mam podobne odczucia. Ale nawet jeśli je mam, i tak skanuję wzrokiem najbliższe otoczenie i zarządzam:

– Musimy się rozdzielić. Lepiej nie ryzykować, że ktoś nas przyłapie.

Maverick chyba przystaje na moją sugestię bez mrugnięcia okiem. Wyciąga przy okazji coś z kieszeni spodni. Coś, co głośno się o siebie obija. Zainteresowana odgłosem spoglądam na swojego ukochanego, który trzyma w dłoni niewielkich rozmiarów pęk kluczy.

– Spotkamy się w domu? – pyta i podaje mi przedmiot. – Szedłem ci je jakoś podrzucić, żeby Claire nie widziała, ale skoro pojawiłaś się przede mną sama, to trzymaj.

Przejmuję klucze i dla pewności rozglądam się wokoło jeszcze raz. Korytarz jest na szczęście pusty. Wracam więc spojrzeniem do moich ulubionych oczu.

– Jaki to adres?

– Wszystko wysłałem ci w wiadomości.

– Dobrze. – Wypuszczam wydech, bo *to się dzieje*. – W takim razie plan jest taki: ja jadę teraz do mieszkania, ty przychodzisz do niego za kilka godzin, a potem idziemy...

– Na randkę – dokańcza za mnie Maverick.

Całuje mnie, nie dając mi dojść do głosu. Śmieję mu się w usta i uderzam go lekko pięścią w tors. Jest niemożliwy. No i perfekcyjny pod każdym względem. Camille chyba nie wie, jaki skarb wypuściła z rąk. Ale to jej decyzja, że tak go potraktowała. Będzie tego później żałować. Może nawet za parę dni, bo Maverick planuje niedługo pogadać z nią o rozwodzie.

– Do tej księgarni, o której ci mówiłam, że bym mogła porozmawiać z właścicielem o mojej, mam nadzieję, nowej pracy – poprawiam go uszczęśliwiona. – Na randkę możemy iść później. Ewentualnie nigdzie nie iść i zrobić ją w domu.

Mężczyzna spogląda na mnie pytająco.

– Jesteś typem domatorki?

– Raczej.

Robię krok w bok, bo naprawdę zaczynam się bać, że ktoś nas tutaj odnajdzie. Jest przecież środek dnia, a przyłapać może nas każdy: czy to inny opiekun, podopieczny, czy po prostu ktoś, kto tutaj pracuje. Nie chciałabym, by do tego doszło.

Maverick bierze dokumenty pod pachę.

– Nie wiedziałem.

Wycofuję się jeszcze bardziej i w międzyczasie puszczam mu oczko.

– Na szczęście masz teraz dobrą okazję, by poznać mnie na wylot.

– Właśnie to zamierzam zrobić – odpowiada mi, zanim macham mu na pożegnanie, sięgam po rączkę od walizki oraz plecak, po czym wychodzę z budynku z myślą, że nie było się czego bać. Opuszczenie sierocińca nie jest wcale aż tak straszne.

Nie, gdy mam przy sobie swojego ukochanego.

Przez całe popołudnie czuję się nieswojo, przebywając w mieszkaniu należącym do Camille. Gdyby wiedziała, że pałęta się po nim nowa dziewczyna jej męża, najpewniej stwierdziłaby, że mam niezły tupet, a później wyszarpała mnie stąd za włosy. Cholera, w co ja się wkopałam? Z tego może wyjść naprawdę niezłe bagno. Ale jestem zakochana w Mavericku do szaleństwa i ufam mu, że nic złego się nie wydarzy, bo on szybko przekaże jej papiery rozwodowe. Później sprzedadzą mieszkanie. Za część pieniędzy, które z niego otrzyma, kupi coś dla nas.

Wtedy zakończymy etap ukrywania się z naszym związkim.

Siedzę na kanapie, wyprostowana oraz spięta. Kilka minut po szóstej wieczorem mój Maverick wraca do domu. A przynajmniej mam nadzieję, że to on jest osobą, która właśnie przekręca klucz w zamku drzwi. Na szczęście po chwili wchodzi do salonu, serwując mi swój oszałamiający uśmiech, bez trudu przyprawiający mnie o szybsze bicie serca.

– I jak ci się podoba? – pyta, odkładając aktówkę na stolik.

Obserwuję wnętrza, które na dobrą sprawę podziwiałam od wielu, wielu godzin. Następnie wracam spojrzeniem do mężczyzny akurat siadającego obok na sofie.

– Jest świetnie. Ale masz pewność, że Camille tutaj nie przyjdzie?

Maverick wzdycha.

– Nie przyjdzie, już mówiłem, Mari. Podejrzewam, że ona nawet nie pamięta o istnieniu tego mieszkania – mówi to, a następnie wciąga mnie śmiało na swoje kolana.

Przytulałam się do niego, lecz nadal czuję odrobinę niepewnie.

– Po prostu trochę się boję, że będzie chciała mnie dopaść.

– Dopaść? – Mój ukochany obejmuje mnie ręką w pasie. Jednocześnie przygląda mi się wnikliwie, a ja wiem, że chciałby, bym podzieliła się z nim swoimi wszystkimi obawami.

Dlatego robię to. Patrząc mu w oczy, rozwijam myśl:

– No... przecież zostawiasz ją dla mnie. To chyba wystarczający powód, przez który powinna chcieć ze mną porozmawiać. Ja na jej miejscu chciałabym ze sobą porozmawiać. – Wydaje mi się to oczywiste i odrobinę dziwi mnie to, że Maverick od początku nie rozumie, o co mi chodzi.

Pewnie jest zmęczony. Od samego rana był w pracy. Potwierdza to powolne tempo, w jakim masuje brwi, jakby chciał zmusić się do myślenia.

– Faktycznie... – przyznaje po namyśle i obejmuje mnie drugą ręką. Palcami zatacza okręgi na moim biodrze. – Ale zadbam o to, żeby trzymała się od ciebie z daleka.

Uśmiecham się. To dużo dla mnie znaczy.

– Dziękuję.

– Dla ciebie wszystko, ślicznotko. – Maverick całuje moje ramię, po czym podrywa głowę i na powrót krzyżujemy spojrzenia. – A teraz możemy już jechać? Do tej księgarni.

Kiwam ochoczo głową.

– Tak, jasne.

Po kilku minutach wychodzimy z mieszkania i schodzimy na parking przed blokiem. Mój partner po dżentelmeńsku otwiera przede mną drzwi samochodu. Dziękuję mu skinieniem i wsiadam do auta. Zaraz ruszamy w trasę do pobliskiej księgarni, którą upatrzyłam sobie jako potencjalne miejsce pracy, przeglądając w internecie różne ogłoszenia.

– Dostaniesz tę pracę – zagaja zrelaksowany Maverick, na moment odciągając wzrok od jezdni i przenosząc go na mnie. – Wiem, że tak.

Patrzę na niego naprawdę wdzięcznie.

– Zawsze we mnie wierzysz. To miłe.

– Jestem twoim facetem, więc jestem też od dopingowania cię. – Na powrót koncentruje uwagę na drodze rozpościerającej się przed maską samochodu i do tego kładzie prawą dłoń na moim kolanie. Ponownie się uśmiecham. Jego dotyk kojarzy mi się wyłącznie z czułością.

On cały kojarzy mi się z odpowiedzią na wszystkie moje niewinne pragnienia, które rodziły się we mnie podczas pobytu w sierocińcu. Tam odczuwałam potrzebę bliskości i bycia w centrum czyjegoś zainteresowania. Wsłuchiwania się w *kocham cię* skierowane w moim kierunku. A w tym momencie otrzymując wszystko to od mojego idealnego chłopaka... czuję się tak, jakbym miała wzbić się w powietrze i zacząć latać.

Miałam szczęście, że stanął na mojej drodze.

– Czasami zastanawiam się, co by się ze mną stało, gdybyś tamtej nocy nie spacerował po ogrodzie wokół sierocińca – rzucam niepewnie, kiedy on masuje swobodnie dłonią całą długość mojego uda. – Myślę, że byłabym nieszczęśliwa i zakompleksiona. Że widziałabym wszystko w szarych barwach... Po osiemnastych urodzinach wyszłabym na swoje i skończyła po czasie na ulicy, więc jestem i będę ci dozgonnie wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

Maverick raz jeszcze zerka na mnie mimochodem.

– Dozgonnie? – dopytuje nieco zachrypniętym tonem.

Wzruszam ramionami, patrząc na niego wesoło.

– Tak się mówi, prawda? Że będziesz komuś wdzięczny do końca życia.

Kącik ust mojego mężczyzny unosi się w nieco mroczny sposób.

– Tak, kochanie. Tak właśnie się mówi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

MARIGOLD

Widok zdjęcia, które zrobiłam wczoraj podczas wypadu z Willardem za miasto, zdecydowanie nie powinien przyprawiać mnie o wrażenie, jakby motyle fruwały mi w brzuchu. A jednak leżę teraz ze zgiętymi kolanami na pustych siedzeniach w zaciemnionej sali teatralnej, wyczekując kolejnych zajęć, i gapię się na nie z myślą, że spędziłam wczoraj miły wieczór z chłopakiem, który zdołał namącić mi w głowie, chociaż bardzo nie chciałam, by to zrobił.

Trzymam telefon tuż nad twarzą i wciąż przyglądam się fotografii. Jestem na niej ja, delikatnie uśmiechnięta, a za mną widać stary samochód Willarda, na którym siedzi on sam. Obserwuje mnie z charakterystyczną dla siebie nieczytelną miną. Przesuwam opuszką palca po ekranie komórki i wypuszczam wydech. Nie mógł mnie sobą odurzyć... ale chyba to zrobił.

Odurzył mnie sobą tak mocno, że bez przerwy czuję, jakbym bez niego nie mogła normalnie funkcjonować. Przywiązał mnie do siebie tak bardzo, że ciągle wydaje mi się, jakby trzymał mnie na łańcuchu. Przywłaszczył mi się tak niepostrzeżenie, że nadal nie umiem wskazać momentu, kiedy dostał to, czego zapragnął: kiedy zaczęłam łaknąć jego uwagi, jego dotyku, jego nieobliczalności, jego wściekłości, a nawet jego paskudnej brzydoty.

Już nawet nie mam siły, by się za to karcić i nienawidzić, skoro wiem, że ani karanie siebie, ani darzenie siebie nienawiścią nie będzie w stanie zmusić mnie do opamiętania się. Takie podejście zbyt długo nie przynosiło efektów, żebym uwierzyła, że jakieś nadejdą.

Z transu wyrывa mnie szmer. Słyszac go, wracam od razu do rzeczywistości. Odkładam telefon na bok, po czym podpieram się na przedramionach i wyginam szyję, by wyrzeć znad oparcia fotela na wejście do sali. Marszczę brwi, bo byłam przekonana, że reszta studentów właśnie zaczęła wchodzić do środka, tymczasem pośród czerni widzę jedną osobę. Willard zmierza w moją stronę leniwym krokiem, z dłońmi wetkniętymi do kieszeni spodni.

– Kolejne zajęcia odbędą się w innej sali – informuje mnie. – Wszyscy już tam są.

To by wiele wyjaśniło, stwierdzam w duchu i zbieram się na leżaczo. Próbując sięgnąć dłonią po znajdującą się na podłodze torebkę, parskam jeszcze śmiechem.

– Nie wierzę, że to akurat ty wspaniałomyślnie ratujesz mnie od spóźnienia.

Willard nie przestaje iść w moim kierunku i unosi zadziornie kącik ust.

– Nie ratuję cię od spóźnienia – zaznacza. – Po prostu dbam o to, żebyś wiedziała, że nikt tutaj nie zajrzy, gdy będę obchodził się z tobą, jak mi się żywnie podoba.

Potem wszystko zdaje się pędzić w zawrotnym tempie. Willard zwinnym ruchem zabiera moje nogi i podnosi podłokietnik fotela. Potem z powrotem kładzie je na miejscu i wskakuje na mnie całym potężnym ciałem. Zostaję przytrzaśnięta do siedzeń. Nie mogę złapać tchu, bo zawisa nade mną ze spojrzeniem, którym jak sądzę, mógłby mnie zdominować.

Chyba to nawet robi. Chyba nawet nie mam nic przeciwko temu. Nie ruszam się pod jego ciężarem, jedynie wyciągam dłoń w stronę policzka i przesuwam po nim palcami.

– Mam dzisiaj prezentację – mówię z nieznacznym uśmiechem.

Willard rozchyła wilgotne usta i dotyka nimi mojej brody, przestrzeni nad górną wargą i nosa. Każde uderzenie w moją skórę obłoku ciepłego powietrza, który przy okazji z siebie wyrzuca, sprawia, że mięknią mi kolana. W pewnej chwili zaprzestaje tego, co robił do tej pory, i z odrobiną cięższym oddechem zatrzymuje ponure spojrzenie na moich oczach.

– Zaprezentujesz ją po tym, jak ja zaprezentuję ci coś innego.

– Niby co? – Unoszę pytająco brew, czując strach i ekscytację.

– Co robię, kiedy nareszcie daję się zwabić.

Marszczę czoło.

– Nie wabiłam cię.

– Kłamczucha – prycha chłopak.

Zaraz dobiera się do mojej zuchwy i kąsa ją zaczepnie. Chociaż odczuwam dyskomfort, bo nie jest przy tym delikatny, odrzucam głowę w tył, dając mu sygnał, by dotarł do szyi.

– Zerknęłaś na mnie przez kilka godzin tymi wielkimi oczami – mruczy mi w nią leniwie oraz naznacza ją beczelnie śladem swoich zębów. – Za każdym razem tak samo nieśmiało, jakbyś bała się, że jeśli cię na tym przyłapię, skończysz pode mną z albo sinym gardłem po tym, jak cię uduszę, albo czerwonymi policzkami, jak cię pocałuję.

Wiercę się pod nim, bo wsuwa dłoń pod moją elegancką koszulę i obejmuje nią moją talię. Robi to stanowczo i pewnie, przy czym unosi rozgorączkowany wzrok na moją twarz.

– Co byś wolała, Marigold? Bym przyłapał cię, a potem udusił... czy może pocałował?

Mój umysł zasnuwa pieprzona mgła, skoro mam ochotę prosić o to drugie. Orientuję się jednak, gdzie jesteśmy, i przebiegam rozbieganym spojrzeniem ściany sali. Niewiele na nich widzę, dlatego na powrót zaglądam Willardowi w oczy i drzę, bo on zsuwa dłoń na moje biodro.

– Żebyś ze mnie teraz zszedł – udaje mi się wydusić. – Tu mogą być kamery.

– Nie ma ich. A ty nie masz drogi ucieczki, której nawet nie chcesz mieć.

– Will... – urywam w pół zdania, ponieważ jego usta opadają na odsłonięty w niedużym stopniu dekolt. Chłopak gryzie go i liże. To nikczemnie podniecające. Obejmuję palcami jego kark i przyciągam go do siebie bardziej, szepcząc raz po raz jego imię.

Brunet bierze głęboki wdech nosem i od razu wypuszcza go ustami.

– Nazwij go tak – żąda, nie oczekując sprzeciwu.

Z trudem wykrztuszam z siebie jedno słowo:

– Kogo?

– Każdego jednego, który czegoś od ciebie chce. Nazwij go moim imieniem, żeby pojął, kto cię sobie przywłaszczył – dopowiada srogo i śmiało ściska w wielkiej dłoni moje biodro.

– Przecież mnie sobie nie przywła... Boże.

Moje próby droczenia się z nim zostają prędko zduszone, ponieważ Willard wypycha biodra i zderza krocze z moim. Czuję, że zdążył stać się twardy, a ten fakt napędza we mnie zarówno lęk, jak i niepoprawną potrzebę. Zamykam oczy. Pozwalam, by fala napięcia rozlała się po moim ciele wraz z kolejnym posunięciem chłopaka. Przez wszystko, co robi, przemawia wręcz zezwierżenie. Jest nieokielznany, jest przerażająco nieobliczalny i chciwy, gdy chwyta w dłoń moją szczękę i trzymając ją naprawdę mocno, dyszy mi w twarz:

– Ładnie...

– C-co? – sapię, nic z tego nie rozumiejąc.

– Ładnie wygnij plecy – zwraca się do mnie komendą. – Chcę zrobić coś z tymi guzikami, ale zbyt szybko oddychasz.

Moja pierś rzeczywiście faluje w ekstremalnym tempie. Posłusznie więc wyginam plecy, a Willard puszcza moją twarz i z pomrukiem aprobaty znowu przytyka wargi do mojego dekoltu. Palcami za to sprawnie rozpiną koszulę.

– Bardziej? – pytam rozpalona. – Tak jest... okej?

Napinam się jak struna, a on ponownie mruczy.

– Robisz to zajebiście dobrze, Gold.

– Ty też – wypalam, nie wiedzieć czemu.

Willard parska cichym śmiechem. Przez moment czuję się z tym nieswojo, bo nie jest to dźwięk, który słyszę często. Właściwie nie jestem pewna, czy słyszałam go więcej niż raz.

– Czy ty powiedziałaś „ty też”? – docieka kpiąco chłopak.

Obrzucam jego twarz urażonym spojrzeniem.

– Nie śmieję się.

– Bo co?

– Bo zapewne zacnie brakować mi sposobu, w jaki to robisz. A nie chcę, by tak było.

Przez kilkanaście sekund gapi się na mnie bez żadnych słów, aż w końcu kiwa z opóźnieniem głową i przystępuje do dalszego rozpinania guzików mojej koszuli.

– Masz rację – zgadza się ze mną. – Nie możemy do tego dopuścić.

Następnie odkrywa mój biust schowany pod materiałem białego, koronkowego stanika i przygląda mu się z drgającą co rusz grdyką. Chociaż jest ciemno, widzę w jego oczach blask pożądania. Willard nie zwleka. Zatrząskuje w uścisku dłoni moje boki i obsypuje muśnięciami moje obojczyki. Początkowo nie czuję się z tym dobrze, ale staram się przemóc, bo tym razem nie jest to wina Covingtona, a czegoś, co ciągle mnie przesładuje.

Wtem uwalniam cichy, niekontrolowany chichot. Zaintrygowany chłopak odsuwa się na pewną odległość, by móc objąć spojrzeniem moją twarz. Obserwuje mnie w skupieniu.

– Z czego ty się teraz śmiejesz? – dopytuje, odnajdując moje oczy pośród czerni.

– Mam łaskotki.

Ściąga brwi.

– Co masz, kurwa?

– Łaskotki, wulgarny durniu – bąkam rozweselona. – Całuj mnie gdzie indziej.

– A może chcę, żebyś się udusiła? – Mówi to z drwiącym uśmiechem i raz jeszcze dotyka ustami miejsca, które musnął nimi przedtem. Zanoszę się śmiechem, bo naprawdę trudno mi się opanować. Przenoszę ręce na męską pierś i uderzam w nią pięścią.

– Willard, do cholery!

– Duś się – wymaga, chyba wyszczerzony.

– Jesteś kretynem.

Przewracam oczami z rozbawieniem, lecz prędko poważnieję, bo dobiega mnie podejrzany trzask. Patrzymy po sobie z Willardem. On też go wyłapał. Teraz zastyga nade mną w bezruchu i oddycha mi głęboko w biust. Moje sutki natychmiast przez to twardnieją.

– Ktoś tu idzie – mówię niemal bezgłośnie, próbując uspokoić kołatające serce.

Chłopak przesuwając dłoń wyżej i bawi się ramiączkiem stanika.

– Co z tego?

– Jajco – rzucam niedojrzale. – Nie może mnie zobaczyć pod tobą.

W brązowych oczach maluje się coś na kształt zaciekawienia.

– Wstydzisz się tego, że to ja jestem nad tobą? – Willard zadaje mi to pytanie upiornie spokojnym tonem, od którego przeszywa mnie dreszcz. – Wstydzisz się tego, że ktoś tak brzydki jest nad tobą? Wstydzisz się tego, że masz na sobie monstrum, Marigold?

Słucham go i nie dowierzam.

– Masz mnie za taką? – szeptam.

Nie otrzymuję niczego w zamian, więc bez namysłu kontynuuję:

– Nie wstydzę się ciebie. – Obejmuję dłońmi jego policzki i głaskam kciukami podłużne szramy, które je pokrywają. Przy tym utrzymuję kontakt wzrokowy z Willardem. Nadal tkwię pod nim, przyszpilona do siedzeń i otoczona ciemnościami. – Gdybym miała taką ochotę, mogłabym nawet uwiesić ci się na szyi na oczach każdej osoby, która przebywa teraz w tym budynku. Po prostu nie zamierzam mieć opinii tej drugiej. Kręcisz z Emmą.

Przypominam sobie coś i reaguję jeszcze ostrzej.

– Nie będę tą drugą, rozumiesz? – recytuję wyraźnie, może też w pewien sposób wściekle, i dopiero po czasie dochodzi do mnie, że w którymś momencie zamknęłam twarz chłopaka w naprawdę mocnym uścisku. A jego to nie obeszło. Nawet się nie wzdrygnął.

Zsuwam ręce z jego policzków i pozwalam im opaść. Willard nie przestaje przyglądać mi się baczny spojrzeniem, jakby nad czymś intensywnie rozmyślał.

– Will? – wzdycham, chcąc wytrącić go z transu.

Odzyskuje fason i zaczyna zapinać guziki mojej koszuli.

– Zerwijmy się – dzieli się ze mną swoim pomysłem.

Patrząc na niego zdezorientowana.

– Dokąd chcesz iść?

– Gdzieś daleko.

– Nie mogę się tak po prostu zrywać. – Siadam na fotelu, bo chłopak po tym, jak kończy radzić sobie z moim ubraniem, złazi ze mnie oraz wstaje na nogi. – Zależy mi na tych studiach.

Początkowo czuję się jak zwykle po czymś podobnym: czyli źle z tym, że pozwoliłam Willardowi na

to, żeby mnie całował. Wyciszam jednak głos swojego sumienia, ponieważ zamierzam nadal godzić się z myślą, że jestem żalosna, zepsuta i zasłużyłam na każdą krzywdę, którą mi wyrządzono, skoro teraz mogę się przemóc i przyjąć to, co dostaję od Covingtona.

W tym czasie on wyciąga w moją stronę rękę.

– Byłaś praktycznie na każdym zajęciach – zauważa słusznie, drugą dłonią czochrając roztrzepaną fryzurę. – Nieobecność na dwóch nie sprawi, że cię wywalą.

Może ma rację? Przecież dwie nieobecności to nie koniec świata. Jeszcze przez paręnaście sekund rozstrzygam w duchu, co powinnam zrobić, po czym podejmuję decyzję i daję się pociągnąć Willardowi w górę. Wpadam na niego z impetem, bo jest cholernie silny.

– Do diabła z tobą – mamrocze mu w pierś.

Biorę kurtkę oraz torebkę i ruszam razem z nim do wyjścia. Podążamy po schodach do szczytu sali w milczeniu, tak samo jak nie odzywamy się do siebie, pokonując korytarze budynku. Nie przechadza się po nich nikt. Wszyscy najpewniej siedzą w salach i przyswajają wiedzę. Na zewnątrz jest potwornie mgliście. Idziemy na parking, a ja rozglądam się po okolicy i widzę ogromne budynki skrywające się pod warstwą szarych kłębowców oraz ubranych ciepło przechodniów, których – mimo niewygodnej pogody do spacerowania – jest w pobliżu od groma.

Wsiadając do starego auta Willarda, zerkam na niego kątem oka i zupełnie mimowolnie mówię coś w duchu do samej siebie.

– Czy ty rzucasz właśnie na mnie jakiś urok?

Słyszę pytanie rozbawionego chłopaka i odwracam się do niego już całkowicie. Wtedy też zapinam pasy i zastanawiam się, o co może mu chodzić.

– To znaczy? – ubieram swoją ciekawość w słowa.

– Burczysz coś pod nosem.

Uzmysławiam sobie, że wcześniej nie powiedziałam niczego w duchu. Musiałam wyszeptać to na głos, może i bardzo cicho, ale wciąż na głos. Willard odpala silnik. Ja natomiast nie wiem, jak wyjaśnić mu swoje małe dziwactwo tak, by nie wziął mnie za ostatnią wariatkę. Pewnie już mnie za nią ma, ale jestem przekonana, że prawda o tym, co często wyprawiam z kłamstwami, popchnęłaby go do tego, by myślał o mnie jak o bardziej stukniętej.

Odrobinę zmieszana wyglądam za brudną szybę.

– Och. To nie urok – stwierdzam niepewnie.

– Więc co?

Chłopak wjeżdża na zatłoczone ulice miasta. Wyjechanie z Nowego Jorku trochę nam zajmie, bo jak zwykle wiele samochodów porusza się po jezdni.

– Pewne... przeświadczenie – ciągnę nadal nieśmiało.

– Jakie przeświadczenie?

– Przeświadczenie o tym, że jeśli powtórzę kłamstwo tysiąc razy, ono stanie się prawdą. – Odwracam się do Willarda i widzę, jak mruży oczy. Chyba myśli, że żartuję, lecz kiedy wie, że tego nie robię, zaciąga się porządną dawką powietrza.

– To trochę...

– Pokręcone? – dokańczam za niego.

– Naiwne. – Obdarza mnie przelotnym łypnięciem, po czym skupia się na ulicach miasta, które przemierzamy. – Któregoś razu zamieniłaś w ten sposób kłamstwo w prawdę?

– Nie udało mi się jeszcze doliczyć do tysiąca w żadnym przypadku – odpieram mrukliwie i bawię się guzikami swojej koszuli. Przy okazji upewniam się, że są dopięte. Mając co do tego pewność, wracam spojrzeniem do Willarda, który przejeżdża językiem po wnętrzu policzka, jakby nad czymś intensywnie myślał. Dość szybko postanawia mnie o coś zapytać.

– A teraz jakie kłamstwo powtarzałaś?

Uśmiecham się słabo, akurat gdy krzyżujemy spojrzenia.

– Że przynajmniej dzisiaj mnie nie zranisz.

Pomiędzy nami zapada cisza. Do wnętrza samochodu dostają się tylko stłumione hałasy dochodzące z zatłoczonej ulicy. Willard odrywa ode mnie wzrok i wlepia go przed siebie. Ja też zresztą uciekam swoim do pograżonych we mgle nowojorskich drapaczy chmur.

– Powinieneś też tego spróbować – sugeruję po chwili, wzruszając ramionami. – Może ty okażesz się bardziej wytrwały i powtórzysz coś tysiąc razy?

Chłopak wzdycha.

– Nie sędzę. Nie mam cierpliwości do takich bzd... – nie dokańcza, jakby poczuł nagle, że nie powinien tego robić. Jakby ten jeden raz liczył się z tym, że może sprawić mi przykrość.

– Bzdetów – dopowiadam za niego i kiwam głową. – Rozumiem.

– Harding...

– Przecież to mogą być dla ciebie bzdety – rzucam bez pretensji i sięgam dłonią do radia, by przełączyć piosenkę. – Dokąd nas wieziesz?

Willard wyrzuca z siebie kpiące prychnięcie.

– Dokądś, gdzie będę mógł cię zakopać.

– Czyli wracamy na Bronx i wrzucasz mnie w swoją pościel – insynuuję słodkim tonem, drocząc się z nim, bo doskonale wiem, że nie takie „zakopanie mnie” miał na myśli.

Czuję, że oczy mojego kierowcy świdrują mnie na wskroś.

– Szczerzysz się – mówi, a mój uśmiech staje się szerszy.

– A ty popisujesz dobrym wzrokiem?

Na ten sarkazm Willard jedynie masuje wolną dłonią skroń.

– Błagam, po co mi to było? – Brzmi na zniechęconego.

– Nie wiem. Sam chciałeś się zerwać.

– Jedziemy tam, gdzie byliśmy wczoraj – odpowiada nareszcie konkretniej na pytanie, które zadałam kilka chwil temu, a mnie przechodzą ciarki, bo przypominam sobie, że to miejsce jest potwornie upiorne. Bez niego w życiu bym się tam nie zapuściła.

Ze wzrokiem utkwionym w twarz chłopaka, wykrzywiam usta i dociekam:

– Do tego opuszczonego domu? Będzie tam strasznie, skoro jest mgła.

– Pękasz? – W jego głosie wyczuwam prowokację.

Poprawiam się na siedzeniu. Może trochę się boję takich ruder, ale zamiast się do tego przyznać, przyznaję się do czegoś innego:

– Moje spodnie pękają na tyłku. Szlag, to wina wczorajszej pizzy.

Mimo iż początkowo nie chciałam, w końcu wsunęłam dwa kawałki i teraz tego żałuję, bo rano z trudem wcisnęłam się w swoje znoszone jeansy.

– Nie miej nic do swojego tyłka.

Wybucham cichym śmiechem na słowa Covingtona.

– Nie mów, że przyjdiesz mu z odsieczą – wypalam.

– Przyjdę. Jest całkiem kuszący.

Zamykam usta, bo boję się, że szczęka zaraz dosięgnie mi podłogi. Czy Willard, który nienawidzi mnie tak mocno, jak umie, przyznał właśnie, że mój tyłek jest dla niego kuszący? To... nie wiem, dziwne. To, że jedziemy teraz razem za miasto, też jest dziwne. To, że się nawet w jakiś popieprzony sposób dogadujemy, też takie jest. Ale domyślałam się, że to chwilowe.

Skanuję spojrzeniem jego profil, kiedy koncentruje się na drodze, a on mimo że nie odwdzięcza mi się niczym podobnym, i tak to zauważa, bo dopytuje zachrypniętym tonem:

– Patrzysz na mnie i szukasz czegoś, co w odpowiedzi ty mogłabyś uznać za kuszące?

– Twoje blizny takie są – odpowiadam szeptem i bez najkrótszego namysłu.

Willard zatrzymuje się przed skrzyżowaniem i potrząsa głową.

– Daruj sobie. Nie mogą być.

Serce bije mi w piersi w ekstremalnie szybkim, wręcz bolesnym tempie, kiedy rodzi się we mnie silna potrzeba, której nie chcę i nie mogę powstrzymać.

– Pocałowała je kiedyś jakaś dziewczyna? – pytam cicho.

Wydaje mi się, jakbym tkwiła w jakiejś hipnozie. Opieram ostrożnie wyprostowaną rękę na udzie Willarda. Podpieram się na niej, a chłopak śledzi spojrzeniem mimikę mojej twarzy przez cały czas, nie robiąc niczego, chociaż zbliżam się do niego bardziej i bardziej. Ignoruję to, że pas wżyna mi się w klatkę piersiową. Obserwuję zaciekle *jego*. *Jego* i tylko *jego*.

W pewnym momencie przestrzeń pomiędzy naszymi ustami jest bardzo mała.

– Która chciałaby je całować? – wydycha, ocierając się swoją górną wargą o moją dolną. Im dłużej igramy ze sobą w ten sposób, tym bardziej ja też potrzebuję nareszcie je złączyć.

Chwieję się delikatnie na ręce trzymanej na jego nodze.

– Której byś na to pozwolił? – odbijam piłeczkę.

Willard obejmuje mnie w pasie i przyciąga do siebie maksymalnie blisko. Aż wyduszam sapnięcie, bo pasy coraz nieprzyjemniej wciskają się w moje ciało.

– Nikt mnie tam nie całował – przyznaje ledwie słyszalnie, pieszcząc palcami mój bok. – Nie wiem, czy komukolwiek bym na to pozwolił.

– Pochyl się – rozkazuję.

On z początku ani drgnie.

– Ładnie – dodaję, tak jak w sali teatralnej on. – Pochyl się ładnie, Will.

W jego oczach dostrzegam iskrę przypomnienia. Brązowe ślepią nie odpuszczają moim, gonią za nimi zaciekle i bez przerwy. Napięcie wypełnia samochód, mam wrażenie, że ten grat mógłby za moment od niego wybuchnąć. Trzęsę się, odczuwając ekscytację w całym ciele.

Rany. Co on we mnie budzi?

– Tak? – upewnia się, że pochylił się wystarczająco, bym mogła spełnić swój zamiar.

Nie odpowiadam. Po prostu obejmuję dłonią jego policzek i przesuwam wargami po miejscach, w których ma blizny. Najpierw mknę po nich ostrożnie ustami. Dopiero po czasie składam na pociągłych śladach delikatne muśnięcia. Jeden za drugim. Jeden za drugim. Willard znosi to bez reakcji. Nie pozwala mi dostrzec, czy jest zadowolony, czy też nie.

Nagle słyszymy klakson, dlatego przestaję, uśmiecham się do Willarda z twarzą tuż przy jego i ostatni raz głaszczę jego policzek kciukiem, patrząc mu głęboko w oczy.

– Są właśnie takie – szeptam jeszcze. – Kuszące.

Roznosi się kolejny głośny i irytujący odgłos. Chłopak przez moment przygląda się moim tęczęwkom, po czym gwałtownie odsuwa, odpina pasy i zrywa się z miejsca. Opadam na swój fotel oszołomiona, bo nie mam pojęcia, co on najlepszego wyprawia.

– Gdzie ty idziesz? – pytam w pośpiechu.

Willard sięga do klamki drzwi i szarpie za nią.

– Nie będzie trąbił na mnie żaden chuj. Zajęty jestem, to nie jadę.

Dociera do mnie, że to się dzieje. On znowu wpada w szał z błahego powodu. Znowu rośnie w nim furia z błahego powodu. Przeraza mnie to, jak w ułamku sekundy Willard zamienia się w nieokrzesań bestię. Ja mogę wiedzieć, że on ma z tym problem, ale nie przypadkowy kierowca, który po prostu chce dotrzeć najpewniej jak najprędzej do celu.

Również odpinam pasy i czym prędzej łapię go za rękaw bluzy.

– Will, wracaj tutaj! – wrzeszczę za nim. – To tak nie działa!

W moim gardle zalega gula. Nie wiem, jak go zatrzymać. Ściskam między palcami czarny materiał jego ubrania i mierzę się z wielgachnym strachem, bo gdy Willard jest już na skraju swojego fotela, odwraca się do mnie z szeroko otwartymi, przepelnionymi gniewem oczami. Jego nozdrza falują, a usta zaciskają się w wąską kreskę. Dla kogoś jego reakcja może okazać się zabawna, ale mi nie jest ani trochę do śmiechu, ponieważ wiem, że on ma problem. Najbardziej błaha rzecz potrafi go rozwścieczyć. A wtedy nie jest w stanie nad sobą zapanować i wszystko, ale to wszystko, jest zdolny rozwiązać wyłącznie przemocą.

– Jedź – dodaję miękko i zerkam na tylną szybę, na faceta, który chyba dojrzał zaciśniętą pięść Willarda wystającą przez otwarte drzwi od strony kierowcy, bo rozdziawił usta naprawdę szeroko. – Ten gość trzęsie się już wystarczająco ze strachu.

Brunet na szczęście po dłuższej chwili zamyka z trzaskiem drzwi. Patrzy na mnie z obojętnym wyrazem twarzy, a następnie przenosi spojrzenie na jezdnię i rusza z piskiem opon przed siebie. Oddycham z ulgą, bo ta sytuacja mogła się źle skończyć. To... to przykre. Jeszcze gdy całowałam jego blizny, Willard był taki spokojny i wyciszony. Wystarczył praktycznie jeden klakson, by obudził się w nim żądny przemocy potwór. By coś go zamroczyło.

Kolejne minuty spędzamy na porządkowaniu swoich myśli w ciszy.

– Zawsze byłeś taki narwany? – pytam łagodnie po pewnym czasie.

– Tak.

Jego odpowiedź jest krótka, zwięzła i oschła.

– A gdybyś się postarał...

– Nie umiałbym przestać – wyprzedza moje pytanie. – Dawno temu stwierdziłaś, że mam problemy z agresją. Mam je. Popadam z byle powodu w furję. Biję, leję, walę, poniewieram, katuję i znęcam się z byle powodu. Jestem obrzydliwym skurwysynem z byle powodu, bo to nawiedza mnie nagle: ta chęć, by wyrządzać wszystkim wszystko, co najgorsze. Ona nie przechodzi. Ciągle wzbiera na sile. Ciągle rośnie. Ona jest, a ja z nią żyję, bo jestem do niej przywiązany mocniej, niż możesz sobie wyobrazić – dokańcza na jednym wdechu.

Nie chciałam mieć racji w tym, co dolega Willardowi. A jednak ją miałam. Odwracam głowę w bok i patrzę na mgliste obrzeża miasta, które powoli zostawiamy za sobą w tyle.

– Gdybyś wpadł w furję... myślisz, że byłbyś w stanie mnie uderzyć? – zastanawiam się nagle, nawet nie wiem z jakiego konkretnie powodu.

Willard milczy w tej kwestii naprawdę długo.

– Nie wiem – wyznaje w końcu, będąc szczerym.

Zamykam oczy, podczas gdy on szepta pod nosem:

– Jestem nieobliczalny nawet dla siebie, Marigold.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

MARIGOLD

Pustkowie, do którego docieramy, wygląda tak, jak je zapamiętałam. Otacza je tylko bezkres, teraz zresztą mocno zamglony, a jedynym obiektem, który mogę namierzyć wzrokiem, jest niedokończony, opuszczony dom z powybijanymi oknami oraz pokryty kilkoma warstwami graffiti. Willard zatrzymuje samochód tuż obok niego. Wyciąga kluczyki ze stacyjki, a potem odwraca się w moją stronę ze wspaniałomyślną informacją.

– Jesteśmy.

Mam ochotę się zaśmiać, ale zachowuję powagę. Coś we mnie potrzebuje adrenaliny, którą może zaoferować mi tylko wrażenie, że czuję jego oddech na karku. Zwariowałam. Naprawdę zwariowałam i teraz wysiadam czym prędzej z samochodu, wdeptując podeszwami butów w rozmokniętą słomę. Uciekanie po takim gruncie na pewno będzie trudne.

Skołowany Willard również wysiada, ale nie robi tego w pośpiechu.

– Harding? – woła za mną.

Odwrócona do niego robię kilka kroków w tył, nie dbając o to, że mam na sobie wyłącznie koszulę i spodnie. Czuję uderzenie zimna otulające moje drżące ciało. Słyszę chłupot kałuży pod stopami, lecz nadal oddalam się od samochodu, patrząc wyzywająco na zaciekawionego Willarda.

– Powinam chyba przed tobą wiać, co nie? – pytam z nutą prowokacji, opatulając ramiona trzęsącymi się dłońmi. – Jesteś nieobliczalnym draniem. Mógłbyś mi coś zrobić.

Chłopak unosi zadziornie kącik ust i kręci głową.

– Myślisz, że nie znajdę cię we mgle?

– Przekonajmy się.

Nie dyskutujemy dłużej, bo rzucam się do biegu. Mknę przed siebie, nawet nie wiem, właściwie dokąd – wszędzie, gdzie dosięgam wzrokiem, jest okropnie szaro. Oddycham przez nos. Zaczynam czuć nieprzyjemny posmak i pieczenie w gardle, lecz nie zatrzymuję się, bo we znaki daje mi się *jego* obecność za plecami. Jakkolwiek nienormalnie to nie brzmi, brakowało mi tego poczucia zagrożenia. Chociaż... może paradoksalnie odnajduję w tym swoje bezpieczeństwo?

Nie rozmyślam nad tym. Wyłączam myślenie. Zasuwam do przodu.

Mija kilka minut, zanim nareszcie przystaję w miejscu, potwornie zdyszana i zziajana. Robię to tylko dlatego, że nie czuję za sobą Willarda. Zgubiłam go? Rozglądam się po pustej przestrzeni, ale pośród mgły nie jestem w stanie dojrzeć niczego. Mogę za to usłyszeć złowroźnie brzmiący, niski i tak dobrze mi znany głos, który zwraca się do mnie:

– Odnalazłbym cię wszędzie.

Obracam się w stronę, skąd wydaje mi się, że do mnie dolatuje, ale nie dostrzegam choćby zarysu postawnej sylwetki Willarda. Kręci się gdzieś obok, jednak pozostaje niezauważony.

– Po czym... odnalazłbyś mnie wszędzie? – wydycham, zaglądając w mgłę.

Przez moment odpowiada mi wyłącznie cisza. Wtedy dopadają mnie wątpliwości, czy może przypadkiem nie wymyśliłam sobie tego, co wcześniej usłyszałam. Pozbawia mnie ich jednak poruszenie dobiegające zza moich pleców. Ponownie się odwracam i ponownie widzę jedynie szarość.

– Po głupim wrażeniu, że mam cię na wyciągnięcie ręki – odpowiada mi nareszcie Willard, a ja przykładam dłoń do niespokojnie poruszającej się klatki piersiowej.

– Odnosisz wrażenie, że masz mnie na wyciągnięcie ręki?

– Ciągle.

– Dosłownie czy w przenośni? – dopytuję nieco ciszej.

– Przecież wiesz, że dosłownie. – Chłopak posługuje się swoim typowym, niewzruszonym tonem. – Nie chcę mieć ciebie na wyciągnięcie ręki w kontekście, żeby coś do ciebie czuć i być przekonanym, że kiedyś będziesz jakąś moją pieprzoną dziewczyną, Marigold.

Naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego z mojej piersi wydostaje się to jedno słowo:

– Dlaczego?

– Bo nie jestem w stanie czuć.

– Nie musisz – odpieram odrobinę zbyt szybko i głośno. – Ja też mam z tym problem.

– Masz? – Oczami wyobraźni widzę, jak Willard patrzy na mnie pytająco.

Opuszczam dotychczas trzymaną na dekolcie dłoń wzdłuż tułowia.

– Ale może... nie musimy nic do siebie czuć, żeby się wzajemnie mieć?

Karczę się w duchu za wypaplanie czegoś tak głupiego. Dlaczego to powiedziałam? Dlaczego zasugerowałam, że w mojej opinii, ja mogłabym stać się jego, a on mógłby stać się mój, skoro prawie nie brałam tego pod uwagę i nie zastanawiałam się, *co by było gdyby?*

Odruchowo wbijam podeszwy butów w grząski grunt.

– Nie – protestuje oschle Willard, przez co wiem, że go zirytowałam. – O czymkolwiek teraz mówisz, to nic, w co chcę się pakować. Zresztą nic się nie zmieniło. Wciąż cię nie trawię.

Powinam czuć smutek z powodu tego, co powiedział, ale tak nie jest. Koniec jego wypowiedzi raczej napędza we mnie ochotę, by podroczyć się z nim bardziej.

– W porządku, więc nie idź za mną – odpieram. – Nie idź.

Maszeruję przed siebie, pewna, że mnie nie posłucha. Po krótkiej chwili nieruchomię i unoszę ledwie zauważalnie kącik ust. Mogę go nie widzieć, ale doskonale zdaję sobie sprawę, że on tu jest i gapi się na mnie.

– Nie trawisz mnie, dlatego zatrzymaj się, Willard – żądam w przestrzeń.

– Nie rozkazuj mi.

Bingo. Łazi za mną tak czy siak.

– Nie szukaj mnie – naciskam na niego.

Myślę, że on też na to cierpi. On też nie może się odciąć, chociaż zapewne próbował to zrobić kilka dni temu na przejściu ewakuacyjnym. Jestem przekonana, że nasza relacja ma wiele wspólnego z toksycznym, popieprzonym przywiązaniem, które nie pozwala nam rozejść się w swoje strony. Teraz nie czuję się już w tym osamotniona. Bo on za mną podąża, jakby nie chciał stracić mnie z oczu choćby na chwilę, wśród gęstniejących kłębow.

– Nie zbliżaj się do mnie – dopowiadam. – Zatrzymaj się.

Zimno otacza mnie zewsząd, kiedy ponownie kieruję się do przodu. Robię jednak tylko pół kroku, ponieważ znajdujący się gdzieś za mną Willard, postanawia się nareszcie odezwać.

– Napędzasz to we mnie bardziej! – przyznaje podniesionym głosem i doprowadza nim do tego, że moje zastygłe po wysiłku mięśnie przeszywa fala strachu. – Chcę dorwać cię za każdy rozkaz, który wypowiedzasz w moją stronę. Za każdy jeden, Gold.

Wyteżam słuch, bo coś sobie uświadamiam.

– Naprawdę potrzebujesz byle powodu, by wpaść w szal. Wystarczy, że coś cię rozdrażni, a ty już oddychasz szybciej – zauważam i skupiam się na tym, jak Willard stojący gdzieś pośród nieodchodzącej mgły dyszy w złości. – Zostań tam.

– Nie rozkazuj mi...

Odwracam się tam, skąd dochodzi jego sapanie.

– Stój – wypowiadam kolejną komendę. – Powiedziałam: stój!

Dopinam swego. Willard wyłania się z szarości i rzuca na mnie jak pieprzone zwierzę. Zostaję bez trudu powalona na ziemię i przyparta do niej ciężarem mięśni. Palce chłopaka owijają się wokół moich przegubów i przyciskają je do mokrej słomy zmieszanej z błotem. Wypluwam z ust źdźbło i sama też zaczynam ciężko dyszeć, bo nie wiem, do czego doprowadziłam. Nie wiem, jaką karę wymierzy mi Willard za to, że go rozwścieczyłam.

– Co ty sobie myślałaś? – Prostuje ręce i się na nich podpira, przez co odczuwam ogromny ból, ponieważ w ten sposób miażdży moje nadgarstki. – Że jak mnie sprowokujesz, to ujdzie ci to płazem?

Patrzę mu prosto w przepełnione furją oczy, gdy się nade mną pochyla.

– Trzaśniesz mnie w twarz za prowokowanie cię? – wydycham hardo.

– Żebyś, kurwa, wiedziała, że skończysz gorzej niż ktokolwiek, kto mnie rozdrażnił.

Nie mogę mu odpyskować. W dużej mierze dlatego, że jego prawa dłoń obejmuje mocno moją

szczękę, a usta boleśnie zderzają się z moimi. W pierwszej chwili nawiedza mnie myśl, że się duszę, i zaczynam panicznie wiercić się pod naporem Willarda. W drugiej zaś on rozdziela nasze wargi na ledwie moment, by warknąć mi w twarz coś szczerzego.

– Nienawidzę cię – wyznaje, wyłapując moje spojrzenie.

– Ja ciebie też. – Kiwam głową, przetykając. – Karz mnie dłużej.

Willard czym prędzej dobiera się do moich ust po raz kolejny. W mojej pamięci wyrywa się opis tych jego: koduję, że są szorstkie, chciwe i za nic nie oddają kontroli. Choćbym poprosiła, on i tak by mi jej nie oddał na najkrótszą chwilę. Teraz uwalnia z uścisku mój drugi przegub, zaciska palce na moich policzkach i całuje mnie mocno, żarliwie. Nie mam szans na wyrwanie się spod jego natarcia. Uderza we mnie wstrząs podniecenia.

Boże, to nieprzyzwoicie dobre.

Zaczeplię dłonie na jego piersi. Ściskam między palcami materiał bluzy i rozchylam wargi. Zanim zdążę zastanowić się, czy Willard zrozumie mój ruch, on już wsuwa język tam, gdzie chcę go poczuć. Wyprzedza moje pragnienia, jakby znał mnie na wylot. Odpowiada na moje potrzeby, jakby zamierzał robić to już zawsze. Przyciągam go do siebie z niemalże płaczącym jękiem. Mam ochotę zapłakać nad tym, że wciąż nie umiem się nim nasycić.

Jego usta ocierają się o moje, tak samo jak biodra. Spijamy ze swoich warg jęki, tkwiąc we mgle, w rozmokniętym błocie. Czuję, jak przylepia mi się ono do ubrań i skóry, jak skleja moje włosy, lecz nie ma to dla mnie znaczenia, kiedy Willard rozdziela pierwsze dwa guziki mojej koszuli i zsuwa wielką dłoń na mój dekolt. Nie robi nic, po prostu trzyma ją na nim i odbiera mi zdolność racjonalnego myślenia, czyniąc moje usta swoimi, sprawiając, że one chcą działać tylko pod jego dyktando. Ktoś już kiedyś całował mnie w ten sposób. W ten jedyny, który jest w stanie pobudzić mnie w każdym tego słowa znaczeniu. Byłam pewna, że nikt więcej nie poradzi sobie z rozpaleniem mnie do czerwoności, aż Willard... rzucił się na mnie.

Ma w sobie tę dzikość, z którą ktoś obchodził się ze mną wcześniej. Która mnie przeraża, ale bez której nie potrafię poczuć się wniebowzięta.

Jestem zrujnowana i pragnę też rujnujących pocałunków. Willard ściąga drugą dłoń z mojego policzka i wplątuje ją w moje włosy, by na końcu objąć nią tył mojej głowy i przycisnąć bardziej moje usta do swoich. Dławię się jękiem, duszę od nadmiaru powietrza w płucach, a on nie daje im wytchnienia choćby na sekundę. Do czasu, aż widzi, że zaraz pewnie zejde.

– Kurwa, Gold – sapie głośno i szybko. – Nie umiem.

Styka nasze czoła zmęczony doznaniem.

– Nie umiem ich sobie odpuścić...

– Więc nie odpuszczaj – wyduszam.

– Ja naprawdę nie...

– Więc nie odpuszczaj ich sobie, proszę cię – przerywam mu błagalnie, nie zważając na to, że bije ode mnie desperacja. Nie zważając na to, że wystawiam mu się jak na talerzu.

Willard zagląda mi w oczy. Przejeżdża przy tym palcami po tyle mojej głowy, brudząc je sobie na pewno błotem. Zamiast skupić się na tym, skupia się na widoku, który ma pod sobą. Chłopak siada na mnie okrakiem, a moje ciało wyrywa się ku niemu, jakby był jego panem. Kładę dłonie na jego udach, mknę nimi po ich długości i biorę łapczywe oddechy.

– Coś nie tak? – pytam, nie rozumiejąc jego zwłoki.

Sunę pieszczotliwie opuszkami po jego nogach.

– Chyba to zrobiłaś, Marigold.

Marszczę czoło.

– O co mnie tym razem posądzisz? – szepczę.

Usta Willarda ponownie ocierają się o moje.

– O to, że mnie sobą urzekłaś.

Uśmiecham się. Gest ten zostaje jednak prędko zmasany z mojej twarzy z chwilą, kiedy Willard odnajduje drogę do moich warg. Tym razem zwalnia tempo, całuje je bez pośpiechu, lecz nadal wygłodniałe. Jego język uderza zaczepnie o mój, jego tors napiera na mój biust, a krocze ociera się o moje, doprowadzając mnie do obłędu. Nie mogłabym założyć, ile czasu spędzamy we mgle, całując się i wymieniając pieszczotami, ale zapewne sporo.

Myślę o tym, ponieważ nagle do moich uszu dociera podejrzany odgłos. Próbuję odwrócić głowę, by dać znak Willardowi, że ma przestać, ale nawet to go nie powstrzymuje. Śmieję się, czując, że udaje mu się sięgnąć do moich ust. Prędko jednak poważnieję.

– Słyszysz? – pytam, czym w końcu wytrącam go z letargu.

Patrzy na mnie z podskakującą raz po raz pierśią.

– Co?

– Silnik – zgaduję. – Ktoś przyjechał.

Rysy twarzy Willarda diametralnie się wyostrzają. Czar pryska. Chłopak wstaje ze mnie i otrzepuje się z błota, ale to bezskuteczne, bo oboje jesteśmy nim umazani. Odczuwam lekki niepokój, widząc, jak Covington przeciera prawie czystą dłonią twarz i krąży tam i z powrotem.

– Kurwa mać – klnie siarczyście.

Gdy na mnie spogląda, w jego oczach widzę znajomy gniew, ale też coś więcej. Coś ledwie dostrzegalnego, jakby... załazek paniki, której jeszcze nigdy u niego nie widziałam. Podnoszę się do siadu, a Willard kuca przy mnie i przytrzymuje mój kark, jakby chciał mieć pewność, że uważnie go słucham, gdy zwraca się do mnie z rozkazem:

– Nie ruszaj się stąd pod żadnym pozorem.

Wtem krzyk roznosi się po rozległym polu.

– Hej, młody!

Ogarnia mnie dreszcz.

– To znowu oni – wyduszam i domyślam się, że nie muszę nic więcej dodawać. Will wie, że po głowie chodzą mi typy, które niedawno upominały się pod jego drzwiami o kasę. Zauważam jak się spina, i ja również to robię zupełnie mimowolnie, bo to byli jacyś gangsterzy.

– Marigold, powiedziałem coś – cedzi przez zęby. – Nie ruszasz się stąd.

Przytakuję posłusznie, dotykając ustami jego ręki, bo chłopak nadal obejmuje dłonią tył mojej szyi. Chyba... chyba nie chce, by ci faceci się o mnie dowiedzieli. *Próbuje mnie chronić?*

– Dobrze, ale czego oni chcą? – pytam cicho, okropnie zmartwiona.

– Po prostu się nie wychylaj.

Willard mówi to i wstaje. Obdarza mnie ostatnim spojrzeniem, po czym rusza w stronę, jak mniemam, znajdującego się nieopodal opuszczonego domu, przy którym zostawił samochód. Sama również zwlekam się z ziemi i patrzę z grymasem na swoje ubłocone ciuchy. Dobra, to akurat mój najmniejszy problem w tym momencie. Olewam więc swój wygląd i stoję w miejscu jak kołek, pośrodku mgły, czekając aż wróci po mnie Willard. Na wszelki wypadek uzbrajam się w cierpliwość, bo myślę, że to prędko może nie nastąpić.

Nie myślę się. Czas mija, a jego głos mnie nie przywołuje.

Wtem dobiega mnie chłopot. Oblewa mnie błogie uczucie ulgi. Zaczynam układać sobie w głowie plan na resztę dnia: najpierw wrócę z Willardem na Bronx, potem wezmę długą kąpiel i wyczeszę z włosów cały brud, aż w końcu może wybiorę się do sklepu po coś, co zamierzałam kupić od rana – nowe farby plakatowe dla małego Rhodesa. Powinien być zadowolony.

– Will? – szepczę, nadal stojąc w miejscu. – Will? To ty?

Widok łysego i wydzieranego osiłka sprawia, że mina natychmiast mi rzednie.

– Tak czułem, że to jego bąknięte „jestem tu sam”, to bzdura – rechocze nieznajomy, podchodząc do mnie leniwym krokiem i klaszcząc z zadowoleniem w dłoń. – Witaj, skarbie.

Przez moje żyły przepływa czysta panika, bo nie dość, że nie znam tego faceta ani jego zamiarów, to jeszcze Willard nie chciał, żebym miała z nim do czynienia. Instynktownie robię kilka kroków w tył. Serce kołacze mi w piersi jak przeklęty dzwon, kiedy pytam:

– Gdzie jest Willard?

Mężczyzna uśmiecha się nonszalancko.

– Zapewne za moment zorientuje się, że poszedłem się trochę rozejrzeć... A potem szybko zrozumie, na co mogłem się natknąć. Myślisz, że to go rozzłości? Fakt, że natknąłem się na ciebie? – rozmyśla na głos i nieprzerwanie kroczy w moją stronę.

Stojąc już obok mnie, podsuwa palec pod mój podbródek.

– Kim dla niego jesteś?

Nie mam zbyt wiele czasu na rozstrzygnięcie, co powinnam mu powiedzieć. Dlatego wyrzucam spomiędzy ust wersję, która pierwsza przychodzi mi do głowy i która tylko trochę ma coś wspólnego z faktycznym stanem rzeczy.

– Studiujemy razem aktorstwo – tłumaczę bez emocji, jakby to było oczywiste. Wydaje mi się, że w oczach tego faceta powinnam być dla Willarda *zwyčajna*. – Mamy na jutro przygotować zadanie w parach, więc przyszedliśmy tu uzgodnić szczegóły występu.

Facet przygląda mi się bacznie.

– Studiujecie? – powtarza za mną rozbawiony, głaszcząc palcem mój podbródek. – Covington studiuje? Dobrze sobie. Przecież on ma tam tylko wpychać dzieciakom towar w łapy.

– Słucham? – zgrywam zaskoczona faktem, że jest dilerem.

– Sądzisz, że bandziory tacy jak on mają ambicje, by się uczyć?

– On jest bandziorem?

Targa mną paskudny strach, ale próbuję grać niewinną i nieświadomą. W głębi duszy modłę się, by Willard dotarł tu jak najszybciej. Nie chcę, by ten gość zrobił mi krzywdę, bo to jak wygląda i jak się zachowuje podpowiada mi, że na co dzień nie bawi się w bycie dobrym.

Wsuwam dłonie do kieszeni spodni, by ukryć, że niemiłosiernie się trzęsą. Mężczyzna w tym czasie przesuwając swoją niżej, aż sięga po skrawek mojej koszuli rozerwanej na wysokości drugiego guzika od góry przez Willarda. Supeł zawiązuje się w moim żołądku, ponieważ widzę zaciekawienie w jego oczach. Jest obrzydliwe, bo wynika z tego, że może utkwic wzrok w moim staniku, który delikatnie wystaje spod ubrudzonego błotem materiału.

Oczy zaczynają mnie mocno szczypać. *Zdąż, proszę zdąż.*

– Jake, odstęp – słyszę znajomy głos. – Od niej zachowaj jebany odstęp.

Odwracam się i dostrzegam Willarda idącego do nas z jakimś drugim facetem. Chociaż znajduję się na granicy płaczu, dokładam wszelkich starań, by nie wybuchnąć. Nie chcę przysporzyć problemów chłopakowi, który patrzy na mnie wzrokiem obojętnym jak nigdy.

– Jest zwykłą laską ze studiów – dorzuca.

Zbieram się w sobie przez krótką chwilę, po czym podłapuję jego grę. Tak naprawdę w tej chwili czeka nas prawdziwy sprawdzian, czy dobrzy z nas aktorzy. Musimy sprawić, żeby dwójka tych koleśki łyknęła, że jestem *zwykłą laską ze studiów*. Pozbywam się więc nieprzyjemnego uczucia, jakby coś wyrosło mi w gardle, i podchodzę do Covingtona.

Patrzę na niego potwornie pretensjonalnie.

– O co tutaj biega, Willard? Mieliśmy przygotować się na zajęcia, a ty gdzieś znikasz. W dodatku ten koleś pojawia się znikąd i plecie jakieś bzdury, że jesteś bandziorem – oburzam się i kładę dłonie na biodrach, podczas gdy Willardowi wychodzi bycie niezainteresowanym.

Chociaż... może faktycznie jest niezainteresowany? Sama już się gubię.

– Sorry, ale chyba musimy przełożyć to spotkanie – bąka z niewzruszeniem i zamiast skupić się na mnie, skupia się na przypadkowym tatuażu zdobiącym jego dłoń. – Coś mi wypadło. Powinnaś stąd zmiatać coś.

– Żartujesz sobie? – wypluwam.

Czuję na sobie kilka par spojrzeń, ale brnę w zaparte.

– Myślisz, że mam czas spotykać się z tobą, kiedy skiniesz tym poharatany paluchem? – parskam nieszczerym śmiechem, wymachując rękami. – Wiesz co? Wracam do siebie. A winą za to, że nic nie przygotowaliśmy, obarczę ciebie. Znalazł się pieprzony książę.

Ruszam żwawo do przodu i dla wiarygodności naszego „nieporozumienia” uderzam ramieniem Willarda, co zdaje mi się właściwym posunięciem, choć musi wyglądać komicznie.

– Wrócę podmiejskim autobusem – cedzę na odchodne. – Na razie.

Zmiotam stamtąd jak najprędzej. Dopiero docierając na ścieżkę obok domu, czuję się trochę lżej. Podchodzę do samochodu Willarda, żeby zgarnąć z niego kurtkę i torebkę, w której mam telefon i pieniądze. Bez nich w życiu nie wyostałabym się z tego pustkowia do miasta.

Zamykam cicho drzwi grata. Sztynnieję, bo widzę zbliżających się do domu facetów w towarzystwie Covingtona. Opadam natychmiast na błoto za autem i przyciskam dłoń do ust, by nie wydać z siebie żadnego dźwięku. Na szczęście nikt mnie nie zauważa. Cała trójka wchodzi do rozlatującego się budynku. Wtedy

pędzę do ścieżki prowadzącej do drogi.

Przechodząc pod jednym z wybitych okien, przypadkiem słyszę tego oblecha:

– Więc to tylko lala ze studiów.

Opieram dłoń o zimne cegły i zatrzymuję się na moment.

– Myślisz, że obejrzałbym się za strachem na wróble? – Willard mówi to z kpiącym rozbawieniem, które chociaż może być przez niego odgrywane na pokaz, to i tak wbija mi szpilkę w samo serce. Okrywam się szczelniej kurtką i pociągam bezgłośnie nosem.

– Nie była wcale straszny.

– Jeśli za kimś latam, to nie za nią. Mam inną na oku. Jest zajebista.

Zamykam oczy, powtarzając sobie, że on tylko gra, gra, ciągle gra.

– Pokaż ją. – Jeden z facetów wybucha śmiechem i prawdopodobnie odpala papierosa, bo dobiega do mnie dźwięk przypominający pstryknięcie zapalniczki. – No co? Ciekawy jestem, kogo wyrwał nasz brzydalek.

– Ruda – gwizdże z aprobatą drugi koleś. – Niezła. W łóżku też?

Willard prychnie, jakby odpowiedź była oczywista.

– Głupio pytasz.

Odchodzę stamtąd, zanim usłyszę coś więcej: coś, co tylko bardziej złamie mi serce. Wlokąc się ścieżką do nieuczęszczanej zbytnio ulicy, dużo myślę. Zastanawiam się, czy Willard mówił prawdę. Czy rzeczywiście ponad mną stawia Emmę.

Miałam przekonać się o tym naprawdę niedługo.

Dopiero rano decyduję się zejść na piętro szóste i stanąć przed drzwiami mieszkania Willarda. Wtedy nie powinno być w nim Rhodesa, bo wujek zazwyczaj dosyć wcześnie zawozi go do szkoły, a my musimy porozmawiać... raczej na osobności, bez udziału osób trzecich, choćby dzieci. Chciałabym dowiedzieć się, w co tak właściwie zostałam wczoraj wplątana, czy ci faceci w końcu domyślili się, że próbowaliśmy ich oszukać, i czy ten pocałunek... czy dla niego też okazał się wycieczką do pieprzonego innego wymiaru.

Poprawiam włosy i pukam kilkakrotnie w drewno. Przez dłuższy czas nikt mi nie otwiera, dlatego ponawiam ruch, mając nadzieję, że Willard nie jest na mnie za coś zły. Wolałam gdy byliśmy tacy jak wczoraj. „Źli na siebie”, ale... ale nie do końca na serio.

– Możemy pogadać? – pytam dość głośno.

W zamian otrzymuję głuchą ciszę.

– Chyba dobrze, że się zrozumieliśmy – ciągnę, opierając skroń o drzwi i wbijając wzrok w brudną podłogę oblaną niewyraźnymi promieniami słońca, które tego dnia weszło nad Bronxem i wpełzło do wnętrza bloku oknami znajdującymi się na ścianach półpięter. – Że oni... wzięli mnie za przypadkową dziewczynę, co nie? Will?

Wzdycham smutno.

– Otworzysz mi?

Robi mi się przykro, ale podejrzewam, że Willard może czuć się zły albo przytłoczony. Prawdopodobnie nie chciał, bym zetknęła się z kimś z jego otoczenia. Może jest mu zwyczajnie trudno... ale nawet jeśli, przecież mogłabym z nim pogadać i dodać mu jakoś otuchy.

– Zamierzasz teraz mnie unikać? – zastanawiam się.

Spuszczam wzrok na klamkę, która chyba zadrżała. Tak jakby ktoś chciał za nią pociągnąć, ale w ostatniej chwili się od tego powstrzymał. Dotykam jej opuszkami palców, po czym odsuwam się od drzwi. Mam wrażenie, że słyszę, jak za nimi rozlega się bezradne westchnienie.

A może to tylko złudzenie?

– Jasne – przytakuję niemrawo. – Zamierzasz. Wyjdź na przejście ewakuacyjne, kiedy ochłoniesz po tym, co się wczoraj stało. Będę tam na ciebie czekać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

MARIGOLD

W czwartkowe wieczory Rhodes uczęszcza na kółko artystyczne, więc schodząc powoli po schodach w dół, nie boję się, że to on otworzy mi drzwi mieszkania Covingtonów, jeśli zaraz w nie zapukam. Dzisiaj mijają cztery doby od mojego ostatniego spotkania z Willardem i od mojego zetknięcia się z kimś „z jego świata”. On wciąż wystrzega się mnie jak ognia, jakbym coś mu zrobiła. Nie mam pojęcia, gdzie popełniłam błąd. Za co odgradza się ode mnie jak może.

Nieistotne, jak żałośnie to brzmi, ja naprawdę mocno za nim tęsknię i nie chcę, żeby dłużej tak postępował. Potrzebuję... potrzebuję to z nim wyjaśnić i sprawić, by wszystko wróciło na właściwe tory, chociaż określenie „właściwe tory” w naszym przypadku nie wydaje się trafne.

Na zewnątrz panuje mrok. Blok również pogrążony jest w czerni, dlatego poruszam się ostrożnie po korytarzu. Poczucie beznadziei gromadzi się w moim sercu, kiedy stoję już przy starych drzwiach, i po wzięciu głębokiego oddechu, uderzam zaciśniętą pięścią w drewno.

Willard, o ile w ogóle przebywa u siebie, bo nie mam co do tego pewności, i tym razem nie oferuje mi w zamian najmniejszej reakcji. Na wszelki wypadek naciskam na klamkę, by sprawdzić, czy ustąpi, ale tak się nie dzieje. Mieszkanie pozostaje zamknięte na cztery spusty. Zbliżam twarz do drzwi i stykam z nimi bezradnie czoło. Naprawdę nie mogę pojąć, dlaczego mnie unika. Chyba dobrze odegrałam swoją rolę i nie narobiłam mu większych problemów.

Sfrustrowana niewiedzą walę otwartą dłonią w drewno i podnoszę głos:

– Jesteś tam?!

Szybko zaciskam usta. Tym samym pilnuję, aby nie wypadł spomiędzy nich kolejny krzyk. Nie chcę działać impulsywnie, a jakoś go wesprzeć, lecz irytuje mnie to, że nie daje znaku życia. Zrozumiałabym, nawet gdyby teraz pojawił się przede mną i wydarł, że mam sobie iść. To byłoby lepsze od milczenia, które oferuje mi wieczór w wieczór od początku tygodnia.

Odwracam się przodem do schodów i opieram plecy o lodowate drzwi.

– Przeszło ci już? – pytam łagodniej, posługując się niemalże bezgłośnym szeptem i czując uprzejme ciepło pod powiekami. Być może się myliłam i tylko ja przywiązałam się do niego zdecydowanie zbyt mocno? Być może Willard wcale nie mierzy się z czymś podobnym?

Zamykam oczy. Wykończona ledwo stoję w pionie. Zaczynam osuwać się mimowolnie w dół, aż przysiadam na wilgotnej podłodze. Chcę od niego choćby zwykłego „idź już”. Myślę, że chociaż ono mi się należy, mimo że między nami nigdy nie było kolorowo.

– Will, nie możemy tak w nieskończoność... – ciągnę przez ściśnięte gardło, przywierając do twardego drewna. – Musimy pogadać.

Bezsilność dokucza mi bardziej i bardziej, ale powstrzymuję płacz.

– Nie zajmę ci dużo czasu, jeśli jesteś okropnie zajęty albo zły, bo nie chciałeś, żeby sprawy się tak potoczyły. – Uchylam powieki, obejmując rękami kolana. Głos łamie mi się delikatnie, kiedy powtarzam smutno: – Otwórz, proszę cię.

Opieram policzek na nogach i podskakuję na siedząco, ponieważ gdy przenoszę wzrok na ziemię, zauważam parę schodzonych, męskich butów. Natychmiast unoszę podbródek, myśląc, że stoi przede mną Willard, ale to nie on. Nieznajomy staruszek patrzy na mnie z góry.

– Covington? – zagaja. – Próbuje panienka dobić się do Covingtona?

Dziwi mnie widok jego zatroskanej miny. Ludzie zamieszkujący Bronx przyzwyczaili mnie do tego, że nie obchodzą ich sprawy innych. Przez chwilę wpatruję się więc w osłupieniu w pokrytą zmarszczkami twarz mężczyzny, po czym wstaję na nogi z cichym westchnieniem.

– Tak – potwierdzam zmęczonym tonem. – Widział go pan?

– Mijałem go dwie godziny temu. Śpieszył się gdzieś. Może lepiej niech panienka go nie zaczepia, kiedy jest zdenerwowany. Wydawał się bardzo – podkreśla – zdenerwowany.

Sporą część swojej wypowiedzi wypowiada konspiracyjnym szeptem. Wydaje mi się, że w jego oczach Willard również jest obrzydliwym kryminalistą, ale nie rozmyślam o jego opinii. Rozmyślam o tym, gdzie może się w takim razie podziwiać.

– Dziękuję – odpieram wdzięcznie, bo przynajmniej nie będę dłużej sterceć pod mieszkaniem, w którym tak właściwie nikogo nie ma.

Staruszek uśmiecha się do mnie i otwiera drzwi obok. Ja natomiast idę mozolnym krokiem do schodów, główkując nad miejscem, do którego mógł udać się Willard. Muszę z nim porozmawiać. Choćby po to, by dostać od niego odpowiedź, że wszystko jest w porządku i po prostu... po prostu go przez moment zobaczyć. Brakuje mi go. To niezdrowe i niszczące, ale brakuje mi kogoś, kogo powinnam z całego serca nienawidzić. Pech, że oprócz tej nienawiści w moim sercu jest również miejsce dla czegoś innego.

Wchodzę na pierwszy schodek i myślę, zaciekle myślę.

To banalne i oczywiste, ale przecucie podpowiada mi, że Willard może znowu kręcić się niedaleko opuszczonego domu za miastem. To miejsce chyba stanowi dla niego odskocznię od Bronksu, którego zresztą ja też miewam po dziurki w nosie. Postanawiam sprawdzić tę opcję i żwawszym tempem wpadam do mieszkania po kurtkę. Po kilkunastu minutach jestem już w drodze na pustkowie, do którego pamiętam jak dotrzeć. Nie zamierzam zajmować mu dużo czasu ani się do niego przyklejać na resztę wieczoru. Chcę tylko wiedzieć, czy wszystko okej.

Przy okazji zapytać o błąd, który być może popełniłam.

Sądziłam, że we mgle ta pusta przestrzeń prezentowała się upiornie, ale docierając do niej po niemalże godzinie jazdy podmiejskimi autobusami, stwierdzam, że pod osłoną nocy prezentuje się ona jeszcze mroczniej. Powiew wiatru igra z moimi włosami, gdy idę przed siebie po naznaczonej śladem opon ścieżce z założonymi pod biustem rękami. Rozgwieżdżone niebo przyciąga moje spojrzenie, lecz kiedy tylko w zasięgu mojego wzroku pojawia się zaniedbany budynek, to na nim koncentruję uwagę.

Serce bije mi w piersi przynajmniej kilka razy szybciej. Obok opuszczonego domu zauważam auto. Auto Willarda. Szlag, odnalazłam go. Błogi spokój rozlewa się po moim ciele, a szeroki uśmiech wdziera się na twarz. Opuszczam ręce i truchtam do samochodu, w którym pali się niewyraźne światełko. Im bliżej jestem, tym większa rozpiera mnie radość. Bo przecież teraz sobie wszystko wyjaśnimy i teraz wszystko będzie takie jak dawniej.

Nic nie miało być już takie jak dawniej.

– Nie wierzę. – Parskam głośnym śmiechem, co chwilę zaczesując pasma włosów za uszy, ponieważ pędzę do zaparkowanego nieopodal auta z zawrotną prędkością. – Myślałam, że zapadłeś się pod ziemię, kretynie!

Słyszę ciszę, ale ona mnie nie zniechęca.

– No wychodź, nie udawaj, że się nie stęskniłeś – rzucam prowokująco, szczerząc się szeroko. – Nie widzieliśmy się cztery dni, a przecież jak na nas to zdecydowanie zbyt długo.

Zmęczona biegiem zatrzymuję się obok domu i podpieram ręką o szare, popękane cegły. Dyszę, nie mając kontroli nad oddechem. Chyba za moment wypluję sobie płuca. Mimo tego niezmiennie rozweselona robię kilka chwiejnych kroków w stronę samochodu.

– Will? – przywołuję go przyciszonym tonem.

Nie mam pojęcia, dlaczego teraz też mnie ignoruje. Podchodzę bliżej. Wtedy już nie muszę się zastanawiać, z jakiego powodu traktuje mnie jak powietrze. Zatrzymuję się w pół kroku i gapię na auto, w którym rzeczywiście znajduje się on, lecz... lecz nie sam.

Moje stopy zdają się przytwierdzone do rozmokłego podłoża. Gardło rozepchane przez słowa, które mi w nim grzęzną, a których nie mogę z siebie wydusić, sparaliżowana przez szok. Odruchowo przyciskam do niego dłoń i zamykam je w szczelnym uścisku. Jednocześnie nie spuszczam wzroku z Willarda ściągającego akurat koszulkę.

Słyszę, jak głośno sapie, poruszając się w dziewczynie leżącej pod nim na tylnych siedzeniach samochodu. Słyszę dziewczęce, zdławione westchnienia i odgłos rytmicznych uderzeń bioder o biodra. Dostrzegam pomalowane na lawendowy kolor paznokcie wędrujące po rozbudowanych plecach Willarda i przypominam sobie, że parę dni temu widziałam takie u Emmy. Moja dolna warga niemiłosiernie drży, podczas gdy wyszczególniam w głowie wszystko, co składa się na obraz, który mam przed oczami: chłopaka, do którego mimowolnie się przywiązałam i który – jak myślałam – też przywiązał się do mnie,

posuwającego bezlitośnie dziewczynę z naszej grupy. Ściskam mocniej krtań, bo wyrasta mi w niej pierwszy szloch.

– Ty draniu... – wyduszam sama do siebie słabym i pełnym żalu szeptem.

Moje pole widzenia jest ograniczone przez łzy, ale i tak wpatruję się w pochłoniętą sobą parę. Willard nie zdobywa się na nic, co miałyby coś wspólnego z delikatnością. Zachowuje się jak najgorszy, najbardziej prymitywny potwór, nie zważając na to, że siła jego brutalnych pchnięć wydobywa z Emmy już nie tyle stęki, co krzyk. Pieprzy ją bez opamiętania, warcząc co chwilę ze złością, jakby nawet ostry seks nie zaspokajał jego popędów. Jakby nawet on nie był w stanie zabrać od niego gniewu, który napędza go, żeby sprawiać ból.

Mokry ślad wytycza trasę po moim policzku i ścieka mi po brodzie. Więc kilka dni temu mówił prawdę. To ona jest tą, o którą zabiega, i to ją ma cały czas na oku. Nie ja. Dlaczego ubzdurałam sobie, że Willard mógłby się za mną obejrzeć?

Dławię się łzami, bo bez kontroli nad tym, co robię, przełykam jedną po drugiej. Głupia. Byłam i jestem tak okropnie głupia, skoro w ogóle przeszła mi przez głowę myśl, że durny pocałunek utrwali w nas jakąś popieprzoną więź. Że pewnego dnia on będzie mój, a ja będę jego, mimo że na pewno nic do siebie nie pocujemy. Wyrzucam sobie, że w ciągu ostatnich tygodni powinnam była starać się bardziej go od siebie odsunąć i nie dopuścić do tego, by dać mu się sobą odurzyć. Wyrzucam sobie tak dużo, że szaleje we mnie rwaça nienawiść.

Kucam, wplątuję palce w potargane włosy i krzyczę bezgłośnie, pozwalając łzom spływać po twarzy i skapywać na grząski grunt. Ból rozsadza moje trzęsące się z zimna oraz poczucia niepokodzenia ciało. W pewnym momencie opadam kolanami na błoto, przy czym w ostatniej chwili podpieram się na wyprostowanych rękach, pochlipując rozpaczliwie.

Jego sapnięcia i jej krzyki doprowadzają mnie do gorszej ruiny.

– Boże... – wykrztuszam cicho i nieskładnie, krztuszając się bezradnym jękiem. – Niech to przestanie boleć. Niech przestanie, do cholery, boleć... Coś ty ze mną zrobił?

Nieprzyjemne pieczenie w moim gardle wzbiera na sile. Błądząc rozbieganym spojrzeniem po słomie zmieszanej z ziemią, a potem podrywam się z trudem do pionu. Pierwsza próba ucieczki nie idzie po mojej myśli. Nie mogę nie runąć z powrotem na ścieżkę. Dopiero za drugim razem udaje mi się ustać na nogach i ruszyć niezgrabnie tam, skąd przyszłam. Chciałabym nazwać to, co mnie rozdziera na strzępy, smutkiem, ale to nie jest smutek.

To coś, co łamie nieodwracalnie na kawałki.

Nie pamiętam nic z drogi powrotnej na Bronx. Chyba po opuszczeniu metra pokonałam biegiem całą dzielnicę, bez przerwy ścierając z twarzy ślady po rozmazanym tuszu do rzęs. Teraz wpadam do swojego mieszkania i zamykam za sobą drzwi. Przemykam przez zasnuty mrokiem korytarz i rzucając się na kanapę, cała dygocząc i łkając po cichu. W głowie mam jedynie wspomnienie, które zagnieżdżyło się w niej mocno i boleśnie: wspomnienie jego i jej.

Żaloszna. Jesteś tak samo żaloszna jak kiedyś. Beznadziejnie naiwna. Nic się nie zmieniłaś. Niczego się nie nauczyłaś. Ciągłe popełniasz głupstwa, zamiast podejmować mądre decyzje. Wszystko, co otrzymujesz od losu, otrzymujesz na własne życzenie.

Zaciskam powieki i wypuszczam płaczliwy wydech.

Nie przesypiam choćby sekundy. Jedynie wlepiam pusty wzrok w zakryte ciemnymi zasłonami okno i mierzę się z gniewem, w który w pewnym momencie przerodził się mój żal. Już nie zamierzam się mazać, bo ten skurwiel przeleciał inną dziewczynę. Teraz zamierzam odplacić mu się za moje początkowe załamanie, a później, tak samo jak on postąpił wobec mnie, potraktować go jak powietrze. Zrobię wszystko, by wyrwać się spod jego wpływu, nawet jeśli w tej chwili wydaje mi się to czymś nieosiągalnym.

Wiedziona potrzebą, by wyładować złość, wstaję z kanapy i nie zapalając światła, jakby automatycznie zmierzam do wyjścia. Pokonuję mrok. Wychodzę na klatkę schodową. Schodzę na piętro niżej, a kiedy stoję po raz kolejny tego dnia, a właściwie to po raz pierwszy tej nocy przy drzwiach Willarda, nie hamuję się. Kopię w nie z całej siły. Ponawiam ten ruch. Ponawiam go znowu. Kopię w drewno, jakbym była niepoczytalna, mając wrażenie, że nie mogłabym zmieścić w sobie większych pokładów furii. Drzwi

drżą, moja noga pulsuje, ale kopię, ile wlezie, nie umiając utrzymać w ryzach chęci, by zabić tego skończonego skurwiela.

– Nienawidzę cię – wypluwam z odrazą, po czym nabieram łapczywy wdech, zaciskam pięść i ją również walę w drewno. – Nie wyobrażasz sobie, jak mocno cię nienawidzę.

Przypominam sobie, jaki ucisk w piersi czułam, gdy ich dostrzegłam. Gdy on pchał się w nią głębiej zaledwie parę dni po tym, jak kradł mi dech żarliwym pocałunkiem. Warczę naprawdę głośno. Moje kolejne ciosy taranują drzwi. Ręka mrowi mnie z bólu.

Mimo to wydzieram się do zderzenia gardła:

– NIENAWIDZĘ CIĘ!

Przeklinam fakt, że znajomy żal wraca do mnie nagle jak bumerang.

– Nie cierpię – syczę szeptem, próbując go uśpić. – Nie trawię...

Przykładam pięści do drzwi i dysząc, opieram o nie skroń.

– Jesteś zerem...

Zamykam oczy i trwam tak przez kilka sekund, rozdygotana i rozwścieczona. Właśnie wtedy wyczuwam za sobą czyjąś obecność. Uchylam powieki, biorę wdech nosem i odwracam się. Dostrzegam Willarda. Stoi z kamienną miną na najwyższym stopniu schodów z założonymi rękami i obserwuje mnie z obojętnością czającą się w oczach. Odwdzięczam mu się tym samym i czekam na jego kolejny ruch. Co robi? Przywita się ze mną, jakby nic się nie stało? Pocałuje mnie, skoro już jesteśmy na etapie wymieniania się śliną? Czy przyzna, że brał, jak chciał, Emmę w swoim starym samochodzie za miastem, kiedy sądził, że nikt ich nie widzi?

Napięcie unosi się w powietrzu. Patrzymy na siebie w milczeniu. Odsuwam się na pewną odległość od drewna, na którym się wyżyłam. Okazuje się, że żadna z wersji, które pojawiły się w mojej głowie, nie ma nic wspólnego z prawdą, bo Willard rusza z miejsca i leniwie podchodzi do swoich drzwi, a następnie zaczyna majstrować przy ich zamku.

Nie wierzę. Wyminął mnie. Wyminął i nie obrzucił ani jednym spojrzeniem więcej. Robię krok w jego stronę i zadzierając brodę, przyglądam mu się spod przymrużonych powiek.

– Przeszedłeś obok, jak gdyby nigdy nic?

Wciąż skupia się na otwarciu mieszkania.

– Willard, widziałam cię z nią... – przyznaję z trudem, nie potrafiąc zatrzymać w sobie tych słów. – A ty wiedziałeś, że bardzo nie chciałam, żebyś mnie zranił. Poważnie nic nie powiesz?

Nie odzywa się. Udaje, że wcale nad nim nie stoję i niczego nie oczekuję. Sznuruję usta i chwytam gwałtownie jego przedramię, ciągnąc je za materiał bluzy ku sobie.

– Masz się odezwać, rozumiesz? – żądam zaciekle i spoglądam na niego nagle. Dokucza mi tylko silniejszy gniew. Wybucham i podnoszę głos: – Nie udawaj głuchego!

Willard przechyla głowę, by nareszcie skrzyżować ze mną spojrzenie.

– Wynocha.

Przełykam gorycz, bo wyrywa rękę z mojego uścisku.

– Jeśli snułaś sobie jakieś kliwne wizje ze mną w roli głównej, to przejrzyj na oczy, bo one nie dojdą do skutku, skoro mnie kompletnie nie obchodzisz. Skoro jedyne, czego od ciebie chciałem i nadal chcę, to milczenie w sprawie tego, co robię – mówi spokojnie i wprawia mnie w osłupienie, nawet jeśli wiem, że rzeczywiście od początku chciał ode mnie tylko milczenia.

W ciągu ostatnich czterech, może pięciu tygodni dał mi jednak zbyt dużo sprzecznych sygnałów, żebym zachowała ten tok myślenia. To również jego zasługa, że się do niego przywiązałam. On także miał w tym swój udział i nie ma prawa obrzucać mnie teraz szeregiem pretensji, bo wyszło, jak wyszło. Działał świadomie, chciał, żeby tak się stało, więc nie chcę teraz słuchać kłamstw, że pragnął ode mnie jedynie milczenia, skoro pragnął też zamknąć mnie w pieprzonej garści. Dlaczego? Nie mam pojęcia. Może po prostu miał taki kaprys.

Zamierzam coś powiedzieć, lecz wtem wytrącony z równowagi Willard odwraca się do mnie przodem, chwytając za moje ramiona i potrząsa mną jak laleczką.

– Otrząśnij się, dziewczyno – cedzi gniewnie. – Od początku chciałem tylko, żebyś nie napuściła na mnie policji. Nie byłaś i nie jesteś dla mnie ważna. Zmiataj mi stąd i nie wracaj, zanim doprowadzisz do sytuacji, której nie chcesz przeżyć na własnej skórze.

Zapieram się nogami w miejscu, nie okazując pokory. Płonie we mnie złość, taka sama jak w nim. Jakim cudem on ma czelność kłamać mi w żywe oczy, że chciał tylko żebym go nie wydała? Kłamca. Przecież powtarzał mi tyle razy, że kręci go testowanie na mnie swoich gier. Samo to mówi za tym, że nie oczekiwał ode mnie wyłącznie milczenia.

Oczekiwał, że będę jego rozrywką. Więc kłamie. Łże jak pies. On również to wie, bo szarpie mną raz jeszcze, jakby drażniła go świadomość, że nie może okłamać zarówno mnie, jak i siebie. To wpędza go w szał. W ogromny szał. Widzę to w tych brązowych ślepiach.

Willard nachyla się nad moją twarzą i mknie spojrzeniem do moich warg.

– Żeby było jasne... – Owiewa je ciepłym oddechem. – Zabiję cię, jeśli przez to, że poczułaś się chujowo, bo pieprzyłem inną, puścisz parę z ust. Zabiję cię, Harding. Niech tylko spomiędzy nich wymsknie się coś, co nie powinno, a bez mrugnienia okiem skręcę ci kark.

Wyrzucam z siebie złowrogie prychnięcie.

– Śmieć. – Strącam z siebie jego ręce, a on wtedy koncentruje się na moich oczach, w których na pewno dostrzegalna jest irytacja. – Jesteś wyłącznie pierdolonym śmieciem.

Odwracam się i wykonuję dwa kroki w kierunku schodów na piętro.

– A ty jesteś tylko niestabilnym gównem.

Uśmiecham się zimno i kręcę głową.

– Mieli rację. Ci faceci, którzy tamtego dnia pojawili się przy opuszczonym domu – odpieram beznamiętnym tonem i poważnieję, zastygając nieruchomo na krótką chwilę. – Prędzej czy później skończysz gorzej niż najgorzej.

Nie odwracam się. Pozwalam, by złość przejęła nade mną władzę. Chcę, żeby Willard też poczuł się dotknięty. Choć w niewielkim stopniu za to, na co musiałam dzisiaj patrzeć. Pochłaniam wdech i stojąc w bezruchu, wypowiadam bezmyślnie kolejne słowa:

– Nie masz ambicji.

Kolejna fala złości zdziera ze mnie resztki samokontroli, więc idę na całość.

– Nie masz niczego do zaferowania – stwierdzam nienawistnie. – Nie masz szans, żeby kiedyś żyć normalnie. Jesteś tylko beznadziejnym dilerem, który ciągle będzie czołgał się po dnie. Jesteś wyłącznie pasożytem, który żyje z wciskania ludziom świństwa.

Wycieram potwornie spocone dłonie o sprany materiał spodni.

– Jesteś żalonym odpadem, którego powinno się pozb...

Nagle po pustym korytarzu rozlega się przeraźliwy ryk.

– Zamknij tę wyszczekaną mordę!

Dreszcz przechodzi mnie wzdłuż kręgosłupa. Słyszę za sobą szamotanie, po którym nadchodzi coś, czego się nie spodziewam. Willard obraca mnie do siebie przodem jednym szarpnięciem. Wpadam na niego. Ogarnia mnie dezorientowanie. Nie wiem, co się dzieje. Obraz przed moimi oczami staje się rozmazany, bo chłopak zaciska ręce na moich ramionach i znowu mną potrząsa, ale tym razem najmocniej, jak jest w stanie. Dławię się śliną. Im dłużej poniewiera mną z siłą, która odrzuca moją głowę w przód i w tył, tym bardziej tracę kontakt z rzeczywistością.

Nagle rwący ból rozlewa się po moim ciele, gdy uderzam niewyobraźalnie mocno o brudną podłogę. Świat wiruje, zastanawiam się, dlaczego runęłam na czyjąś wycieraczkę. Po kilku sekundach uzmysławiam sobie, że Willard powalił mnie na oślizgły grunt. Otwieram szeroko oczy, ale nie mogę się ruszyć ani odetchnąć. Mam wrażenie, jakby ktoś odciął mi dopływ powietrza. Boli. Każdy mięsień tak okropnie mnie boli, że chce mi się płakać.

Podnoszę niepewnie załzawione spojrzenie na Willarda. Jego klatka piersiowa unosi się i opada, unosi się i opada. Oczy świdrują mnie na wskroś. Przeraża mnie ich widok. Przeraża mnie cały on. Myślę, że w tej chwili mógłby mnie zabić. Kiedy bije od niego nieokiełznany szał, kiedy stoi nade mną jak kat. Przytykam dłoń do ust i mocno przywieram do drzwi, które znajdują się za moimi plecami. Boże, co ja narobiłam?

Co narobił on?

Oplatam szczerze rękami kolana. Zaczynam kołysać się w panice i modlić, by nie zrobił mi większej krzywdy. Przetykam łyzy. Krztuszę się. Unikam jego spojrzenia. Zaciskam mocno powieki, szukając ucieczki od rzeczywistości, w której nie chcę tkwić. Kłamstwo. Powtarzam swoje kłamstwo, skupiam się tylko na

tym. Rozchylam wilgotne od mokrych śladów wargi.

Mam wciąż przymknięte powieki, gdy szepczę bezgłośnie drżącym głosem:

– Nie skrzywdzi mnie bardziej, nie skrzywdzi mnie bardziej, nie skrzywdzi...

Nie powtarzam swojego kłamstwa choćby trzeci raz, bo zanoszę się głośnym szlochem. Zwłaszcza że czuję, jakby Willard zbliżył się do mnie znowu. Trzęsę się i wiercę na ziemi. Nie mogę na niego nawet spojrzeć, ponieważ boję się, że samo moje spojrzenie go rozwścieczy.

Że tej nocy Willard Covington zatłucze mnie na śmierć.

– Nie zbliżaj się do mnie choćby na cal – mówi na odchodne.

Wybucham raz jeszcze. Jego cichy głos... chyba się łamie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

MARIGOLD

Minęło sześć długich dni, odkąd Willard przekreślił naszą relację grubą kreską. Od tego czasu nie mieliśmy ze sobą żadnej, choćby najmniejszej styczności. Słyszałam go jednak każdego wczesnego poranka, gdy wracał do mieszkania po odstawieniu Rhodesa do szkoły. Siedziałam wtedy na przejściu ewakuacyjnym bloku i przekonywałam się, że było z nim coraz gorzej.

Popadał w swój najgorszy stan. Wrzeszczał i klął przeraźliwie głośno. Dziwiłam się, że ściany budynku były w stanie to jakkolwiek wytrzymać i nie sypały się pod natężeniem odgłosów, które wydawał z siebie Willard. Przypominał dziką bestię. Jego gardłowy ryk utrwał się w mojej głowie, a ja sama bałam się go bardziej. Słyszałam, jak tłukł przedmioty, jak nimi rzucał, jak całkowicie tracił nad sobą panowanie, i modliłam się, by nie zechciał wyładować się również na mnie. Tej, która zapewne to wszystko zapoczątkowała.

Zanim się pokłóciliśmy, nie miewał przecież codziennych napadów szału.

Przytulałam mocniej kolana do piersi. Powinnam zejść stąd już dawno, gdy tylko zaczął swój rytuał, ale nie mogę się do tego zmusić. Zamiast tego siedzę na najwyższym stopniu schodów i liczę na to, że Willard prędko padnie ze zmęczenia. Dopiero kiedy to robi, zwlekam się z metalowych krat, wracam do mieszkania i szykuję do zajęć na uczelni, na których – jak zwykle od sześciu dni – jego nie będzie. Opuszczając Bronx, odczuwam cholerny smutek.

Mam naprawdę wiele za złe Willardowi. Po ostatnim incydencie wciąż się go okropnie boję i wciąż szukam usilnie sposobu, żeby zerwać tę więź, która pomiędzy nami powstała, mimo że żadne z nas tego nie chciało. Nie zamierzam do niego Ignąć ani się przed nim płaszczyć, nie wybaczę mu też tego, co zrobił, ale nie zmienia to faktu, że... brakuje mi go.

W końcu były pomiędzy nami momenty tak miłe, że aż warte wspomnienia.

Do budynku, gdzie kilka kolejnych godzin spędzę na słuchaniu profesorów, docieram niecałe dwie minuty przed rozpoczęciem zajęć. Od razu – zresztą jak zawsze – przemykam do sali teatralnej. Tam muszę wyteńczyć wzrok, by pośród ciemności dostrzec swoje puste miejsce. Na fotelu obok siedzi Alex, z którym po chwili witam się przelotnym buziakiem w policzek.

– Dzisiaj na ostatnią chwilę – rzuca z rozbawieniem chłopak, gdy siadam już na siedzeniu i zaczynam przetrząsać torebkę w poszukiwaniu zeszytu oraz długopisu.

– Zasnęłam. – Rozglądam się wokoło, żeby zorientować się, czy profesor się już zjawił. Moje spojrzenie ląduje jednak mimowolnie na kimś innym. – A tej co?

Alex wzdycha przeciągle. Wie, że mam na myśli zapłakaną Emmę.

– Ubolewa nad tym, że jej księżę na białym koniu zapadł się pod ziemię.

No tak, nie tylko ja nie widziałam Willarda od prawie tygodnia. Robi mi się odrobinę lepiej z wiedzą, że z Emmą również się w tym czasie nie spotykał.

– Och, to rzeczywiście przykre – mamroczę.

Findlay opiera kostkę na kolanie, zaś rękę na oparciu mojego fotela.

– Nie ma go już dłuższy czas. Pewnie w końcu zawińęła go za coś policja, albo dostał taki łomot, że zdycha w którymś szpitalu i nikt o tym nie wie, bo nikogo nie obchodzi.

Natychmiast wracam zaciętym spojrzeniem do spokojnej twarzy chłopaka.

– To, co powiedziałaś, było obrzydliwe.

– Wybacz. – Szatyn krzyżuje ze mną spojrzenie, ale mimo że wypowiada *wybacz*, nie czuję, jakby żałował swoich słów. – Zapomniałem, że stajesz w obronie każdego, Mari.

– Zapomniałeś się, Alex – cedzę i odrzucam torebkę na siedzenie obok, ściskając w dłoniach notes. – A ja nie jestem żadną Mari. Mówiłam ci to już.

– Co cię ugryzło?

– Po prostu nie wygaduj takich rzeczy, dobra?

– Dodaj jeszcze „nie wygaduj takich rzeczy na jego temat”, a pomyślę, że jesteś kolejną, która poleciała na najgorszy sort – prycha, napędzając moją irytację.

Nie wiem, czy bardziej zirytowało mnie to, że pozwolił sobie wcześniej na powiedzenie czegoś tak okropnego, czy to, że wzięłby mnie za *kolejną, która poleciała na najgorszy sort*. Myślałam, że się przyjaźnimy i akceptujemy swoje decyzje, nawet te złe, a nie mówimy o sobie z najgorszą pogardą i się od siebie odwracamy – bo Alex zabrzmiał, jakby miał mnie opluć, w razie gdyby to była prawda.

– Coś ci się chyba ubzdurało – burczę, nie chcąc ciągnąć tematu.

Przyjaciel ściąga rękę z moich pleców.

– No mam nadzieję, że ubzdurało, bo gdybyś straciła głowę dla niego, w moich oczach byłabyś żałosna, nierozsądna i skończylibyśmy naszą znajomość.

Naprawdę frustruje mnie fakt, że słowa Alexa mają wiele wspólnego z prawdą, chociaż on sam nie ma o tym pojęcia. Frustruje mnie także to, że zachowuje się jak rozkapryszony dzieciak, który nie mógłby zdzierżyć, że nie dostanie zabawki, bo otrzyma ją ktoś inny. Obracam się przodem do niego i patrzę na niego bojowo, czując, jak narasta we mnie coraz to większa złość.

– A jeśli powiem ci teraz, że w twoich oczach powinnam być właśnie taka?

Chłopak uśmiecha się kpiąco, jakby mi nie wierzył.

– To pomyślę, że wciskasz mi kit, bo cię nakręciłem – stwierdza święcie przekonany, że tak jest. – Przecież odrzucasz wszystkich chłopaków. W dodatku z nim rozmawiałaś raz czy dwa, więc nie miałaś okazji, żeby za coś go polubić. Dobrze wiem, że skłamałabyś, że na niego lecisz, bo jesteś zirytowana tym, jaki tor obrała nasza beznadziejna dyskusja.

Również sztucznie się uśmiecham.

– A jeśli nie rozmawiałam z nim raz czy dwa?

– To by znaczyło, że spotykałaś się z nim po kryjomu – odpowiada powoli Findlay. – A za to miałbym do ciebie pretensje, bo w tym samym czasie spotykałaś się ze mną. Łatwo bym cię zniechęcił i przestał dobrze traktować.

Poważnieję, ponieważ już nawet nie jest mi do śmiechu z komizmu tej sytuacji. Wkurza mnie to, co wyprawia Alex. Po pierwsze, nie umawiałam się z nim na randki i unikałam flirtu. Nie dawałam mu nadziei. Po drugie, nawet jeśli obwieściłabym wszem wobec, że łączy mnie coś z Willardem, on jako mój przyjaciel nie powinien być na mnie o to zły, oceniać mnie, ani tym bardziej zacząć źle traktować – mógłby co najwyżej mi doradzić. Choćby coś do mnie czuł, nie powinien mieszać mnie z błotem.

Czy właśnie taki jest naprawdę? Jak nie dostaje tego, czego chce, staje się skończonym chamem? Spoglądam na niego i sama nie wiem, czy mam rację.

– Odbiegając już od Willarda, za każdym jednym razem zaznaczałam, że nasze wyjście jest czysto przyjacielskie i nie poprowadzi ono do niczego więcej między naszą dwójką – rzucam beznamiętnym tonem, nie kryjąc tego, że Alex wytrącił mnie z równowagi.

Chłopak chyba w końcu odpuszcza.

– Wiem. – Wypuszcza ze zrezygnowaniem powietrze. – Po prostu wkurzyłoby mnie to, że nie jestem jedynym, który o ciebie zabiega. Przepraszam, Marigold. Zapomnijmy o tym.

Siadam prosto, odkładam zeszyt na sąsiedni fotel i wbijam wzrok w scenę.

– Willard nie jest chłopakiem, który o kogoś zabiega.

– To prawda. To ja się za nim uganiałam jak głupia.

Razem ze skruszonym Alexem odwracamy głowy, bo głos, który przed sekundą się odezwał, należy do kogoś, kto usiadł za nami.

– Emma? – dziwi się chłopak.

Rudowłosa Emma, cóż... raczej, delikatnie rzecz ujmując, nie jest w formie. Nadal płacze, co chwilę wydmuchuje nos w chusteczkę. Ma napuchnięte oczy, przyspieszony oddech i patrzy to na mnie, to na Findlaya, kiedy dzieli się z nami swoimi podejrzeniami.

– Pewnie jest teraz z tą drugą – wydycha, ścierając łzy z policzka.

– Drugą? – powtarza za nią szatyn. – Ma jakąś drugą?

Emma bierze drżący wdech, ledwo mogąc z siebie wykrztusić.

– Podejrzewam, że ma – mówi, popadając w jeszcze gorszy ryk. – Niedawno całowaliśmy się, a ja odruchowo objęłam dłonią jego policzek... wtedy warknął na mnie, że mam nie ważyć się dotykać czegoś,

co może dotykać i całować tylko jedna dziewczyna.

Szywnieję, bo nagle coś sobie przypominam. Moment, kiedy jechaliśmy z Willardem jego starym samochodem przez Nowy Jork, by dotrzeć do opuszczonego domu za miastem. Wtedy zapytałam, czy jakaś dziewczyna całowała kiedyś jego blizny, a on odpowiedział, że nie. Czy to możliwe, żeby w tej sytuacji z Emmą chodziło o to, że Willard nie chciał, by dotykała ona jego blizn, które do tej pory całowałam tylko ja?

Czy to ja mogłabym być tą jedną dziewczyną?

Oblewa mnie fala ciepła. Poprawiam się na fotelu i czuję, że dopada mnie coraz więcej wątpliwości, bo Willard powiedział Emmie, że miejsce, na którym położyła rękę *może*, a nie *mogła* dotykać i całować tylko jedna dziewczyna. W takim razie czy to oznacza, że mnie do końca nie skreślił? Nic już z tego nie rozumiem. Nie wiem, o co mu, do cholery, chodzi.

– Nie martw się – słyszę odpowiedź Alexa, która brzmi bardzo pocieszająco. – Lepiej pogadaj z Nickiem, to porządny gość i poza tym, tak między nami, to lubi cię.

Nie włączam się w dyskusję. Zamiast tego biorę w dłoń zeszyt i torebkę, a potem zerkam jeszcze w stronę sceny, żeby upewnić się, że profesor starszej daty zajęty jest prowadzeniem monologu. Mając tę pewność, wstaję po cichu z zamiarem zmiany miejsca.

Findlay od razu to zauważa.

– Gdzie idziesz?

– Usiądę dzisiaj sama – stwierdzam.

Jego grdyka porusza się, gdy przełyka ślinę.

– Nie chciałem się z tobą sprzeczać.

– Ja z tobą też. Ale chcę pobyć teraz sama.

Jego mina wyraża głęboki smutek. *Żałuje.*

– W porządku – mówi jednak. – Pogadamy potem?

– Potem – przytakuję i idę do tylnych rzędów.

Siedząc na szarym końcu sali, przez resztę zajęć wpatruję się w niechlujne bazgroły Willarda zdobiące jedną ze stron mojego notesu i zastanawiam się, dlaczego nie pozwolił Emmie na to, na co pozwolił mnie. Byłam pewna, że to ją ma na oku, że to jej tak naprawdę pragnie, że to ją stawia ponad mną... ale może nic nie było takie, jakie się wydawało, że jest.

W sklepie z winylami zjawiam się punktualnie. Mimo to Leah, moja koleżanka z pracy, nadal porządkuje płyty na witrynie, mamrocząc coś pod nosem o tym, że za moment zostawi mnie samą, tylko dokończy to, co zaczęła. Siadam więc na krześle za ladą i czekam, aż wyrobi się z czym tam chce. Popadam wtedy w chwilowe ośpienie, wpatrując się w martwy punkt na ścianie.

– Zły dzień?

Natychmiast potrząsam głową i zerkam na koleżankę. Leah trzyma przy piersi jeszcze dwa winyle, główkując, jak ułożyć je na wystawie. Początkowo milczę, a ona co jakiś czas zerka na mnie w nienaturalny, raczej troskliwy sposób, zaczesując blond kosmyki za uszy.

Po dłuższej chwili przecieram dłonią twarz i odpowiadam jej zdawkowo.

– Do najlepszych to on nie należy.

– Chcesz pogadać?

Opieram bezsilnie przedramiona na ladzie i biję się z myślami. Znam Leah już miesiąc. Może nie wybitnie dobrze, ale w jakimś stopniu zdołała mnie do siebie przekonać. Nie ma szans, że opowiem swoją historię ze szczegółami, ale czuję, że wybuchnę, jeśli nie wyrzucę z siebie chociażby jej strzępka, dlatego krzyżuję spojrzenie ze zmartwioną dziewczyną.

– Wpadłam w głębokie bagno – mówię cicho. – Chodzi o chłopaka.

Blondynka unosi pytająco brew.

– Syna właścicieli? Alexa?

– Nie, nie o niego.

– Już myślałam. – Kładzie kolejną płytę na wystawie. – Przecież on coś do ciebie ma.

Naciągam rękawy swetra na dłonie. Potrzebuję kilkunastu sekund, aby zebrać się w sobie oraz

wydusić z siebie kolejne zdanie, którego odbioru przez Leah naprawdę się boję. Boję się, że dziewczyna trzaśnie drzwiami i nazwie mnie wariatką. Mimo to wzdycham i zdradzam:

– Chodzi o chłopaka, który wyrządził mi zbyt dużo złego, bym go nie znienawidziła i który z jakiegoś powodu wżarł się we mnie zbyt mocno, bym go sobie odpuściła.

Moja rozmówczyni nie reaguje tak, jak obawiałam się, że to zrobi.

– Brzmi na trochę pokręcone – kwituje.

– Bo takie jest.

– Ale w takim razie nie boisz się, że jeśli Alex się dowie, będzie tak zły, że szepnie coś rodzicom na ucho, by wywalili cię z pracy? – podsuwa mi taką opcję, a ja marszczę brwi.

– Chyba nie byłby do tego zdolny.

– Męska duma bywa krucha.

Przez moment zastanawiam się, czy Findlay mógłby wyrządzić mi takie świństwo. Po tym, jak zachował się dzisiaj, gdy insynuowałam, że mogłabym chcieć czegoś od Willarda... nie wiem. Nie wiem, czy byłby zdolny doprowadzić do tego, że stracę pracę, ale nie muszę zawracać sobie tym głowy, bo Alex o nas nie wie i się nie dowie.

Cokolwiek jest pomiędzy mną a Willardem, chyli się przecież ku końcowi.

– Nie mam pojęcia, co zrobić z tym – odpowiadam szczerze i bezradnie. – Nie odzywamy się do siebie szósty dzień, bo zrobił mi coś okropnego. Z jednej strony chciałabym, żeby tak było już ciągle, ale z drugiej mi go brakuje, choć nie powinno... wpadłam po uszy.

Leah odkłada drugą płytę i rozpuszcza spięte w koński ogon włosy.

– Przynajmniej nie ma czelności po tym czegoś od ciebie chcieć. Albo też... tak naprawdę puszcza cię wolno, bo uważa, że w ten sposób powinniście skończyć. Wolni od siebie.

– Więc zranił mnie umyślnie, żebyśmy skończyli osobno?

– Nie wzięłaś tego pod uwagę? – dziwi się dziewczyna.

– Nie wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą, prostując się na krześle. – Raczej pomyślałam, że nie zrezygnował z nawyków, które miał, zanim mnie poznał, i dlatego to zrobił.

Nie przeszła mi przez głowę myśl, że Willard mógł unikać mnie i pieprzyć Emmę celowo. Przecież chcąc się ode mnie odciąć, mógł po prostu urwać nasz kontakt do zera, zamiast traktować mnie tak paskudnie. Chyba że wiedział, jak niewiele da mu to posunięcie, skoro już raz próbował traktować mnie jak powietrze i nic z tego nie wyszło. Ja też tego próbowałam i mnie to również nie wyszło. Zupełnie tak, jakby pomiędzy nami istniało coś nierozzerwalnego.

Może to był jego drastyczny krok? Może wierzył, że tylko tak mnie od siebie odtrąci? Ale dlaczego chciał mnie od siebie odtrącić? Czy to mogłoby mieć związek z tymi facetami, którzy się do nas przyczepili? Cholera, nie pojmuję tego. Nie pojmuję niczego.

W każdym razie nie wybaczę mu tego, co mi zrobił.

– Jak dla mnie, tak czy siak powinnaś skorzystać z okoliczności i się odciąć, jeśli robi ci tyle złego – rada Leah przywołuje mnie do rzeczywistości, a ja myślę, że wezmę ją do serca i znowu spróbuję odsunąć się od *niego*. Będę próbować do skutku, choćby ten miał nie nadejść.

Mrugam parokrotnie, by wyostrzyć wzrok, i widzę, że dziewczyna wygląda za szklaną witrynę z szerokim uśmiechem. Przenoszę spojrzenie tam, gdzie patrzy, i także się uśmiecham, bo czeka na nią jej chłopak. To jakiś wysoki brunet, oparty swobodnie o karoserię samochodu.

– Nie mówiłaś, że ktoś po ciebie przyjechał – mówię z lekkim wyrzutem.

Gdybym zorientowała się wcześniej, że czeka na nią facet, nie zajmowałabym jej ani minuty dłużej. Leah wzrusza ramionami.

– Bo zrobił to przed chwilą, a my rozmawialiśmy.

– Błagam cię, zmiataj już. – Patrzę na nią błagalnie i zsuwam tyłek z krzesła, by sięgnąć po plakietkę ze swoim imieniem leżącą pod ladą. – Aż mi głupio, że cię zatrzymuję.

Kąciki ust blondynki unoszą się ku górze na moje szczerze zmieszanie.

– Daj spokój. Musimy w końcu się umówić na ten babski wieczór.

– Musimy.

Kiwam głową w geście zgody i po tym, jak podchodzi do mnie, podaję jej torebkę, którą zostawiła na podłodze. Leah praktycznie od razu zawiesza ją sobie na ramieniu i posyła mi jeszcze jeden wesoły uśmiech,

po czym rusza w pośpiechu do wyjścia ze sklepu.

Ja natomiast pogrążam się w obowiązkach. Przez kolejne godziny oprócz o nich, myślę też o radzie, której udzieliła mi koleżanka: powinnam skorzystać z okoliczności i spróbować odciąć się od Willarda. Nieco dołuje mnie pamięć o tym, że żadna z prób, które dotychczas podjęłam w tym kierunku nie przyniosła najmniejszego skutku, ale nie mogę się poddać.

Będę starać się zostawić za sobą wszystko, co z nim związane, do upadłego.

Powtarzam to sobie przez całą drogę powrotną do domu. Na szczęście mija mi ona bez niechcianych przygód i wieczorem mogę zakopać się w pościeli z niewiedzą, że akurat dzisiaj nawiedzi mnie najgorsze wspomnienie, które zburzy mnie tak, jak robiło to za każdym razem.

Które bez trudu zburzy moje postanowienie, by trzymać się od niego z daleka i które popchnie mnie w jego szerokie ramiona. Bo bez nich i bez kojącego szeptu ich właściciela myślę, że okazałabym się kolejną osobą, która zleciałaby tej nocy z siódmego piętra na sam dół.

Okazałabym się kolejną osobą, której krew zdołałaby beton na Bronksie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

MARIGOLD

KIEDYŚ

Mimo że po pracy byłam piekielnie zmęczona i tak przyrządziłam dość wymagające danie na kolację. Mam nadzieję, że posmakuje ono Maverickowi. Powinien zaraz wrócić z sierocińca. Posprzątałam też całe mieszkanie i ubrałam ładną sukienkę, którą kiedyś dostałam od Millie. Chciałam być dla niego idealną dziewczyną. Chciałam, żeby mój mężczyzna nie żałował, że wybrał właśnie mnie, kiedy miał pod ręką wiele ładniejszych i lepszych opcji. Dlatego ciągle robiłam wszystko, by był zadowolony, w zamian otrzymując jego miłość oraz troskę.

Słyszę kroki w korytarzu, więc wyłaniam się z kuchni. Od razu zauważam zmęczonego Mavericka. Zawsze, gdy widzę go pozbawionego energii, przypominam sobie, jak wiele poświęca dla dobra swoich podopiecznych. Ma naprawdę wspaniałe serce.

– Cześć, kochanie – mówi czule i zaraz potem trzyma już dłonie na moich biodrach oraz przyciąga mnie za nie do siebie, by zabrać mi równe trzy całusy. – Boże, tak strasznie za tobą dzisiaj tęskniłem...

Patrzę na niego rozczulona.

– Ja za tobą też.

– Czuję, że coś ugotowałaś. Coś dobrego? – Unosi brew, sunąc powoli palcami po moich bokach i serwując mi cudowny, szczery uśmiech.

– Zaraz się przekonasz. – Kładę mu palec na ustach, również szczerząc się bez powodu. – Ale najpierw się przebierz. Nawet jeśli uwielbiam cię w czarnych koszulach, domyślam się, że chcesz zmienić ją na coś wygodniejszego.

– Chcę. Zaczekaj na mnie w kuchni.

Po tych słowach całuje mnie raz jeszcze.

– Zaczekam – potwierdzam i przepełniona radością wracam do pomieszczenia. Tam przekładam kolację na talerze, licząc, że zapiekanka okaże się smaczna. Naprawdę długo ją przygotowywałam, mimo że ledwo żyłam po całym dniu spędzonym w księgarni.

Maverick dołącza do mnie kilka minut później. Na szczęście nie może wyjść z zachwytu nad przyrządzonym przeze mnie daniem. Teraz, po tym, jak już skończyliśmy jeść, podsadza mnie bez trudu na kuchenny blat i staje pomiędzy moimi nogami, zmęczony, ale w świetnym nastroju. Zaczyna obsypywać moją szyję pocałunkami, a ja uwalniam cichy pomruk.

– Maverick?

– Mhm.

Uśmieśliwiona przymykam powieki, czując jego palce wędrujące po moich biodrach. Mężczyzna dotyka mnie delikatnie, bez pośpiechu. Dbą o to, bym czuła się możliwie jak najbardziej komfortowo. Wiem, że nie posunie się dalej bez mojej zgody, tak jak robił to przez ostatnie pół roku i wciąż będzie cierpliwie czekał, aż poczuję się gotowa, by zacząć z nim sypiać. Myślę, że to może nastąpić w przeciągu kilku kolejnych miesięcy. I tak długo zwlekam.

– Chciałam o coś zapytać... – chichoczę, bo mam łaskotki w miejscu, w którym jego język uderzył właśnie w zagłębienie mojej szyi.

– Śmiało, Mari.

– Dostarczyłeś już pozew rozwodowy Camille?

Maverick odsuwa się na niewielką odległość. Chyba jest trochę spięty. Myślę, że to przez rozpoczęty przeze mnie temat rozwodu z żoną. Spędził z nią w końcu wiele lat. Ma prawo czuć się zdenerwowany zmianami zachodzącymi w jego życiu.

Mój ukochany patrzy na mnie z zaciśniętą szczęką.

– Dostarczę go jutro.

– Mówiłeś to trzy razy w ciągu ostatniego tygodnia.

Jest mi trochę przykro, że ciągle to odwleka. Przecież jeśli zostawi za sobą relację z Camille, to nareszcie będziemy mogli przestać się ukrywać. Bo musimy to robić, dopóki drogi Mavericka i jego żony nie rozejdą się na dobre. Źle by to wyglądało, gdyby wyszedł na zdrajcę.

Nikt nie wie, że to ta pracoholiczka kompletnie wykreśliła go ze swojej codzienności.

– Nie jest mi łatwo, Marigold – odpowiada po namyśle.

Przeszywa mnie lodowaty prąd, bo Maverick dawno nie zwrócił się do mnie pełnym imieniem. Dlaczego tym razem to zrobił? Chyba zirytowałałam go ciągłym upominaniem się o to, by zostawił żonę, do której nic nie czuje... cholera, nie chcę być w jego oczach nachalna. Powinnam okazać mu trochę więcej zrozumienia. Tak, zdecydowanie powinnam tak postąpić.

– Ja... głupio mi teraz – przyznaję odrobinę smętnie. – Nie chcę, żebyś czuł presję.

– Ale w tym momencie ją czuję.

– Widzę. – Zaglądam mu w oczy. – Jesteś jakiś inny, kiedy ją czujesz.

Mężczyzna nadal sprawia wrażenie wkurzonego naszą wymianą zdań.

– Jestem, bo nie cierpię, gdy ktoś stawia mnie w sytuacji, w której czuję się, jakbym stał pod ścianą.

Wytrąciłaś mnie z równowagi. Bardzo wytrąciłaś mnie z równowagi.

Zaciskam palce dłoni na krawędzi blatu. *Co ja najlepszego narobiłam?*

– Nie miałam takiego zamiaru – zarzekam się zdołowana.

– Wierzę. Lecz jednak tego dokonałaś.

Mina Mavericka jest nieczytelna.

– Na kolana – żąda twardo.

Początkowo nie ruszam się choćby o cal. Tkwię w bezruchu i patrzę na niego, próbując zrozumieć, dlaczego kazał mi znaleźć się na kolanach. Dopiero kiedy w jego oczach błyska zniecierpliwienie, którego lekko się obawiam, zsuwam tyłek z blatu, po czym klękam na ziemi.

Z tej perspektywy Maverick wydaje się jeszcze bardziej władczy i potężny. Czuję, jak serce boleśnie dudni mi w klatce piersiowej, kiedy mężczyzna obchodzi mnie dookoła niespiesznym krokiem. Mierzy mnie wtedy bacznym spojrzeniem, a ja czekam, aż powie, dlaczego zwrócił się do mnie tą krótką komendą. W końcu zatrzymuje się tuż za mną.

Czas zdaje się płynąć odrobinę wolniej. Mój ukochany wypuszcza pomruk aprobaty. Nie odzywa się słowem, jedynie lustruje mnie wzrokiem. Drzę, nie domyślając się nawet, czego ode mnie oczekuje. Bo wiem, że akurat tym razem czegoś ode mnie oczekuje.

Jego duża, masywna dłoń odnajduje moją krtań. Maverick trzyma ją w uścisku, natomiast ja patrzę przed siebie. Ufam mu w stu procentach. W końcu jest moim aniołem stróżem. W końcu jest moim partnerem. Bardzo mu na mnie zależy. Odkąd pamiętam, zależało.

– To moment, w którym powinnaś coś dla mnie zrobić – mówi spokojnie.

Odchyła moją głowę tak, że jej tył spotyka się z jego twardym podbrzuszem.

– Co takiego? – Patrzę w jego błyszczące oczy. – Zaczekaj, jesteś na mnie zły, że poruszyłam temat Camille? – dociekam zmartwiona.

Maverick potrząsa głową.

– Nie. Po prostu musisz w końcu zadowolić swojego dużego mężczyznę, Mari – wypowiada te słowa tonem pozbawionym emocji.

– Zadowolisz się?

– Oczekuję ładnego: „uratowałaś mnie i jestem ci za to wdzięczna”. Rozumiesz mnie?

Palce masują moją krtań i przyciągają mnie bliżej męskiego ciała. Przez chwilę waham się, czy powinnam podążać za jego wskazówkami, ale szybko dociera do mnie, że on... on mnie ocalił. On dał mi więcej niż ktokolwiek inny: wsparcie, poczucie bezpieczeństwa, dach nad głową, a nawet miłość, której jak dotąd nigdy nie otrzymałam. Poza tym jest moim partnerem, a ludzie w związkach sprawiają sobie przyjemność i nie ma w tym nic złego.

Jemu na mnie zależy. Obchodzę jego i tylko jego, dlatego powoli odwracam się do niego przodem i wyciągam dłonie do sprzączki pasa spodni, mimo że trzęsę się, okropnie boję i odwlekałabym to w czasie, bo nie czuję się gotowa, by właśnie tak wyrazić wdzięczność.

Mężczyzna wplątuje palce w moje włosy i zbliża moją twarz do własnego krocza.

– Jesteś śliczna – mamrocze udobruchany, zamykając w stanowczym chwycie dłoni cały tył mojej głowy. – Śliczna i niesamowicie pojętna. Rób, czego wymagam, i wytrzymaj cokolwiek dla ciebie przygotuję, a co mi się od ciebie należy, Mari.

Zaciskam powieki, lecz prędko je uchylam.

– Potwierdź, że zamierzasz to wytrzymać.

Mówi to i przysuwa się maksymalnie, jakby nagłaco. Z pierwszymi, ledwie widocznymi łzami strachu w oczach oraz twarzą przy jego kroczu rozpinam niezgrabnie rozporek jego spodni i kiwam pospiesznie głową na potwierdzenie, że właśnie to zamierzam zrobić.

Przez chwilę wpatruję się w niego z dołu.

On nie czeka, aż wykonam pierwszy ruch.

Sam go wykonuje, zaciskając pięść w moich włosach i wsuwając się w moje usta tak głęboko, że moje czoło zderza się z jego brzuchem. Dławię się, otwieram szeroko oczy, nie wiedząc, co się dzieje, a on wycofuje biodra, pomrukując nisko. Zacerpuję panicznie wdech, korzystając z ułamka sekundy, w trakcie której nie czuję go w gardle. Po nim Maverick ponownie wpycha w nie całą długość swojego członka, ignorując to, że nie mogę się pozbierać.

Zaciskam palce na rozporoku jego spodni.

Rób, czego wymagam. To mi się należy, Mari.

Nie dostaję szansy, żeby przywyknąć do tego, jak wypełnia moje usta, bo mężczyzna znowu wysuwa się z nich, ale tylko na kilka cali, razem ze śladem mojej śliny na sobie. Potem naciera bardziej zdecydowanie. Owładnięty rozkoszą pieprzy moje gardło do upadłego, głośno przy tym sapiąc. Moje ciche pochlipywanie nie ma szans przebić się przez charakterystyczny odgłos, który wyrzucam z siebie, gdy wszystko we mnie stawia wyraźny opór jego okazałemu rozmiarowi. Choćbym chciała, nie dam rady wpuścić go do ust całego. Zbiera mi się na wymioty, kiedy czuję na języku, jaki jest twardy, pokryty żyłami i wilgotny od śliny.

– No dalej. Daj mi się posunąć jeszcze głębiej, Mari – słyszę zadowolone jęki.

Jesteś mu coś winna. Przecież ci pomógł. Teraz musisz go słuchać. Pozwolić, żeby zrobił, co mu się żywnie spodoba. Nie możesz mieć czelności odsunąć się, gdy on czegoś chce.

– Jesteś tam taka spięta, ślicznotko – sapie, nacierając mocniej. – Cudownie spięta...

Strużka śliny ucieka mi kącikiem rozchylnych szeroko warg. Miesza się ze słonymi łzami, a Maverick przytrzymuje mnie, wypycha śmieiej biodra i wypuszcza powietrze nosem.

– Podejrzałem, że będziesz. Kurwa, jak mnie to jara, że posuwam cię tam pierwszy.

Czuję, jak agresywniej rozpycha moje gardło.

Ledwo klęczę, mam wrażenie, że zaraz opadnę bez sił na panele, bo z każdą chwilą czuję się bliższa omdlenia. Maverick po raz kolejny napiera na mnie gwałtownie i porywczo. Zaczynam widzieć przed oczami kolorowe plamy. Jest cholernie zawzięty, ilekroć desperacko próbuję odsunąć się chociaż na niewielką odległość, czuję, jak wdziera się dalej i dalej. Gdybym przytknęła dłoń do krtani, pewnie poczułabym go nawet tam.

Wydaje mi się, że oprócz łez, z brody zaraz pociekną mi też wymiociny. Maverick ściera palcami z mojej skroni pot i wciąż wbijając się, wydycha:

– Tylko, cholera, tym udobruchałabyś chłopca w swoim wieku, ślicznotko. Dla mnie musisz dać z siebie więcej. Musisz dać z siebie najwięcej i mnie musisz dać wszystko... W końcu jesteś mi coś winna, tak? W końcu chcesz, żebym został przy tobie.

Bezlitosnym szarpnięciem przyciąga mnie bliżej. Próbuję nabrać powietrza, co mężczyzna uznaje za łapczywą chęć, by zgarnąć go w siebie głębiej. Ból przepala mi gardło i płuca. Potok łez sływa po twarzy. Ruchy bioder Mavericka nie są skoordynowane. Są nieokiełznane i szaleńcze. Mężczyzna nakierowuje jedną z moich dłoni na coś miękkiego.

Słyszę, jak syczy, a ja nie wiem, co się dzieje.

– Chcesz, żebym zamiast niej wybrał ciebie, to rób to lepiej niż, kurwa, ona.

Jego wręcz zwierzęce warknięcie brzmi ostrzegawczo, ale nie jestem w stanie dać z siebie więcej. Dusi mnie szloch, dusi mnie tempo, w jakim wbija się i wysuwa, wbija i wysuwa. Włosy opadają mi na twarz, przylepiają się do mokrych policzków, a on łapie moją brodę.

– Jeszcze nikt ci w tym nie dorówna. Przrzekam, że o to zadbam.

Przestaję powoli rejestrować rzeczywistość. A wtedy... nareszcie nastaje koniec. Dławię się tym, co Maverick pozostawia w moich ustach, gdy szczytuje.

Tej nocy, gdy zasypiamy, odsuwam się na sam skraj łóżka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

MARIGOLD

Budzę się z przeraźliwie głośnym wrzaskiem. Ze łzami wypływającymi spod powiek, jedna za drugą. Z bólem ściśniętego do granic możliwości gardła i wrażeniem, że zwymiotuję. Czym prędzej zwlekam się ze starej kanapy i ledwo trzymając na nogach, mknę do łazienki. Tam opadam kolanami na brudne płytki, opieram dłonie na desce toalety i opróżniam zawartość żołądka. W pewnym momencie niemalże się nią dławię, bo krztusi mnie następny szloch.

Trzęsę się, coś lepkiego ucieka mi kącikiem ust. Sięgam po pierwszy lepszy ręcznik i wycieram nim twarz, a następnie z wysiłkiem podnoszę się na nogi. Zapalam światło. W łazience nie ma nikogo. Wracam do salonu. Tam także nie ma nikogo, ale mimo to zanoszę się coraz większym płaczem, bo wspomnienie pierwszej krzywdy, którą mi zrobiono i która pociągnęła za sobą kolejne, gorsze i bardziej brutalne, wciąż sprawia, że chce mi się wyć.

Przyciskam dłoń do szyi i ściskam ją naprawdę mocno. Łzy nie przestają przysłaniać mi pola widzenia. Pośród rozmytej plamy odnajduję widok, który wrył mi się w pamięć: widok napiętych mięśni przystojnej twarzy, rozchylnych z przyjemności ust, delikatnie posklejanych przez pot włosów na końcach. Zamykam w bardziej zaciekłym chwycie gardło, bo chyba nawet słyszę echo męskich pojękiwań i sapnięć. Mam ochotę uciec. Albo zniknąć. Nagle zniknąć.

Po chwili odsłaniam ciężkie zasłony i wychodzę przez okno na przejście ewakuacyjne. Zbliżam się chwiejnym krokiem do metalowej bariery. Obrzucam zapłakany spojrzaniem nocne niebo i wielgachne blokowiska. Aż w pewnym momencie mój wzrok jakby mimowolnie pada w dół, wprost na beton znajdujący się pode mną.

Ten, z którym zderzają się samobójcy.

Pociągam nosem i wplatom palce we włosy. Nie chcę go słyszeć. Nie chcę go widzieć. Nie chcę pamiętać, jak paskudnie mnie traktował. Opuszczam bezsilnie ręce i stoję w miejscu, roztrzęsiona i załamana. Właśnie wtedy dobiega mnie cudzy głos.

– Marigold?

Odwracam głowę w bok i dostrzegam stojącego kilka stopni niżej Willarda. Ubrany na czarno wtapia się w mrok, przez co im dłużej się w niego wpatruję, tym bardziej posądzam go o bycie tylko marną iluzją mojego umysłu. Ale on wcale nią nie jest.

Mówi za tym fakt, że zaczyna iść w moim kierunku. Natychmiast odskakuję w bok, a on zatrzymuje się w tej samej chwili w miejscu, jakby moja reakcja wryła jego stopy w kraty.

– Nie podchodź do mnie – wyduszam łamiącym się głosem, kręcąc głową. – Nie popychaj, nie znowu... – Przerazona patrzę na niego oczami pełnymi łez.

Willard nabiera wdech nosem, jakby nie chciał mnie posłuchać. Jakby chciał znaleźć się tuż przy mnie i sama nie wiem, co zrobić. Jest przecież nieprzewidywalny, a ja nie chcę przekonywać się, czy by mnie mocno uderzył, czy równie mocno przytulił.

Teraz waży słowa, bo długo się nad nimi zastanawia.

– Nie ruszę się z miejsca, ale cofnij się – poleca mi spokojnym, zadziwiająco łagodnym tonem. – Jesteś cała roztrzęsiona, możesz stracić równowagę i spaść.

Oplatam drżące ramiona dłońmi i uwalniam płaczliwy wydech. Mimo wszystko zbliżam się do ściany bloku, jak zechciał Willard, i opieram się o nią skronią, zamykając oczy.

– Miałaś koszmar, prawda?

Wykrzywiam bezsilnie usta i czuję, że są okropnie mokre.

– Myślę, że go miałaś, ale on dobiegł końca. Cokolwiek cię nawiedziło, nie ma tego tutaj. Jesteśmy sami. Cokolwiek cię nawiedziło, nie dam mu cię schwytać, tak? – słyszę go wciąż i odwracam się twarzą do ściany, by zetknąć z nią czoło. Boli. To wspomnienie boli.

Infekuje moje zmysły i przekonuje mnie do podjęcia decyzji, której nie można by cofnąć. Mam

wrażenie, że spaceruję po cienkiej linie. Z jednej strony pragnę z niej zlecieć. Skoczyć z przejścia ewakuacyjnego na beton i nie pamiętać już nigdy o tym, co się stało. Z drugiej pragnę po niej iść i nie targać się na swoje życie, bo nie czuję, że to właściwy moment.

Wypuszczam kolejny żałosny szloch wprost w elewację budynku. Wydaje mi się, jakbym była bez przerwy rozrywana na marne strzępy.

– Cokolwiek to było, daję słowo, nie dostanie cię w swoje łapy – dociera do mnie kolejne zapewnienie Willarda, dlatego zmuszam się do przekręcenia głowy i uchylenia powiek.

Tak jak zapowiedział, nie ruszył się o krok. Gapię się na niego bez słów, aż w końcu przypominam sobie, co zrobił tydzień temu, i nie mogę uwierzyć, że teraz ma czelność stać tutaj i podawać się za cholernego rycerza w srebrnej zbroi.

– Nie mów mi takich rzeczy, kiedy sam bez przerwy doprowadzasz mnie do podobnego stanu – odpieram przez łzy, które w pośpiechu przełykam. – Co ty sobie wyobrażasz, Will? Że po tylu dniach unikania mnie i po tym, co mi zrobiłeś, masz prawo zgrywać bohatera? – dociekam, pozwalając rękom opaść. – Nie masz. Nie masz najmniejszego prawa tego robić.

Jego mina nie zdradza choćby jednej emocji, ale ja jeszcze nie skończyłam.

– Nie chcę twojego pocieszenia. Nie chcę, żebyś teraz przypadkiem całował mnie w czoło i mówił, że popełniłeś błędy, pieprząc inną dziewczynę albo wrzeszcząc na mnie lub powalając na ziemię. Nie chcę tego. Nie chcę od ciebie niczego. Pierdol się, rozumiesz?

Zaciskam pięści i patrzę na niego z pretensją. Z urazą, którą wobec niego odczuwam. W pewnym momencie cała moja rozpacz zamienia się w złość. Nie dowierzam, że Willard naprawdę po tylu dniach wspaniałomyślnie się pojawił i nagle zgrywa nieskazitelnego.

Niewiele myśląc, odbijam się od ściany i idąc koślawo do przodu, wybucham:

– Po prostu pierdol się i daj mi święty spokój!

Chcę przejść do mieszkania, ale on najwyraźniej myśli, że zrywam się z miejsca, żeby ruszyć w drugą stronę, do barierki. W przeciągu sekundy przeskakuje trzy stopnie schodów i zjawia się tuż przy mnie, zamykając mnie mocno w silnych ramionach. Jego uścisk jest tak zaborczy, że początkowo nie mogę nabrać powietrza. Ale właśnie takiego mi teraz potrzeba. Willard o tym doskonale wie. Rozbita płaczę w męską bluzę i zaciskam dłonie na otaczających mnie rękach chłopaka, podczas gdy on schyla głowę i opiera policzek na czubku mojej.

Przez jakiś czas nie odzywamy się do siebie. Trwamy w uścisku, wystawieni na chłód nocy i lekki wiatr. Aż w końcu mamrocze mi w pierś kilka wymownie brzmiących słów:

– Kazałam ci nie podchodzić.

– Wiem. – Przełyka ślinę. – Wiem, Marigold.

– Więc odsuń się i nie podchodź do mnie więcej.

– Nie chcę ani nie mogę tego zrobić.

– Nienawidzę cię – mówię cicho, wbijając paznokcie w jego ręce. – Nie wiesz, jak to bolało i nadal boli. Jak zmęczona czuję się przez twoje przyciąganie i odpychanie mnie. Dlaczego mi to robisz? Dlaczego nie określisz, czego tak właściwie ode mnie chcesz?

Myślę, że Willard sznuruje usta w linię, nim udziela mi odpowiedzi.

– Ostatnio nie chciałem cię odepchnąć.

– Więc dlaczego to zrobiłeś?

– Bo musiałem i nadal muszę – wyznaje pełnym niepogodzenia tonem. – Muszę przestać czuć się do ciebie przywiązany. Muszę wyrzucić cię z głowy. Muszę przekonać każdego, że jesteś dla mnie nikim, a już zwłaszcza facetów, którzy tamtego dnia przyszli na polanę.

Odsuwa się po to, by zamknąć moje policzki w uścisku szorstkich dłoni. Willard trzyma stanowczo moją twarz i wystawia ją ku swojej, goniąc zaciekle za moimi oczami, w których ciągle kumulują się łzy.

– Muszę chronić wszystko to, co znaczy dla mnie więcej, niż powinno. Naprawdę tego nie rozumiesz? Wolę wykluczyć cię ze swojego życia, niż kiedyś usłyszeć, że ktoś cię skrzywdził, bo trzymałem cię przy sobie.

Mrugam parokrotnie, wpatrzona wprost w niego, zupełnie bezsilnego.

– Kurwa, Gold, dostaję szału – przyznaje załamany, a we mnie chyba właśnie coś pęka. – Dzień w dzień, tkwiąc w tej gównianej sytuacji, gdzie nie mogę wrócić do tego, jak było między nami dobrze.

A chciałbym do tego wrócić. Do czasu, kiedy byliśmy na wzgórzu. Do czasu, kiedy byliśmy sami w sali na uczelni, a potem igraliśmy ze sobą na pustkowiu za miastem. Nie mów, że ty nie. Też to czułaś... Czułaś się dobrze.

Jestem okropnie zagubiona, ale wytrzymuję jego zaciekle spojrzenie i nie odsuwam się od niego. Pozwalam, by dyszał w moją twarz i nie cierpię tego, że chociaż tydzień temu zrobił mi tyle złego, pewien kawałek mnie nadal potrafi czuć się przy nim bezpiecznie.

Kładę dłonie na jego brzuchu i po raz kolejny pociągam nosem.

– Nic z tego nie rozumiem, ale nawet jeśli robiłeś wszystko po to, by nic mi się nie stało, nie zamierzam ci tego wybaczać. Nie zamierzam wybaczyć ci ani jednej krzywdy, którą mi zrobiłeś, nieistotne, z jakiego powodu.

Will głaszcze czule kciukami moje mokre od łez policzki.

– Nie musisz – szepcze kojąco. – Nie oczekuję tego od ciebie.

– Ale ja czegoś od ciebie już tak. – Zadzieram delikatnie brodę, dając mu sygnał, że nie odpuszczę. –

Chcę usłyszeć, o co w tym wszystkim chodzi.

Jego westchnienie zdaje się pełne zrezygnowania.

– Jak miałbym ci to wyjaśnić?

– Po prostu zostań tu i powiedz prawdę.

Chłopak ściera palcami moje łzy. Sposób, w jaki to robi, pozwala mi się wyciszyć. Jego obecność pozwala mi za to pozbyć się każdego złego zamiaru, który nasunął mi się na myśl w chwili załamania. Ściskam w dłoniach materiał jego czarnej bluzy i przyciągam go do swojego ciała, pragnąc poczuć, że jest tak blisko mnie, jak tylko mógłby się znaleźć.

– Wiesz, jakie to niemiłosiernie frustrujące? – pyta dyskretnie.

– Mój upór?

– Nie. – Will mocniej obejmuje moją twarz. – Fakt, że jesteś w stanie przywołać mnie do siebie najcichszym *zostań*, a ja zrobię to bez mrugnięcia okiem. Spójrz na mnie i nie mów, że nie jesteś w stanie tego dostrzec. Tego, jaki wpływ na mnie wywierasz.

Moje serce uderza o żebra z dwa razy większą siłą. Mam na niego wpływ. Mam nad nim pewną władzę. Świadomość tego naprawdę dodaje mi otuchy. Mimo to sięgam po dłonie chłopaka i ostrożnie je z siebie ściągam, nie przerywając naszego kontaktu wzrokowego.

– Wy tłumacz mi, o co chodzi. Kim byli ci faceci? Dlaczego boisz się, że się o mnie dowiedzą? Dlaczego pieprzyłeś Emmę i dlaczego od początku się tak na mnie uwziąłeś?

Willard przeczesuje palcami rozwiane wiatrem, ciemne włosy.

– Chodź – mówi. – To długa historia.

Zaczyna ciągnąć mnie w stronę schodów. Chociaż czuję się nieswojo z myślą, że gdzieś z nim idę po tym, co nawywił ostatnio, podążam z chłopakiem do jego mieszkania. Będąc już w zaciemnionym salonie, siadam na zaniedbanej sofie i czekam, aż Will wróci. Poszedł chyba zamknąć drzwi do pokoju, w którym śpi Rhodes. Po kilkunastu sekundach siada na miejscu obok mnie delikatnie zgarbiony i wypuszcza westchnienie.

– Zacznę od początku.

Odwraca się w moją stronę, a ja nieśmiało przytakuję.

– Mnie i mojego starszego brata od zawsze wychowywała matka. – Will drapie się odrobinę nerwowo po tyle głowy, po czym splata przed sobą dłonie. – Ojców nie znaleźliśmy. Byli pewnie jakimiś jej przypadkowymi klientami, bo prostytutkowała się na Bronksie. Kasę, którą zarobiła w ten sposób, przewalała na wódkę. Przez piętnaście lat patrzyłem, jak wraca nocami cała potargana z odciskami cudzych rąk na ledwo zakrytym ciele, aż w końcu słuch o niej zaginął. Pewnie któryś z facetów przesadził, gdy ją pieprzył, albo zachlała się na śmierć. Obie opcje wydają mi się w równym stopniu prawdopodobne.

Rozchyłam usta, bo sam początek historii wprawia mnie w osłupienie. Nie chcę nawet wyobrazić sobie, jak trudne dzieciństwo musiał mieć Willard. Ja w tej dzielnicy przebywam zaledwie miesiąc i już wyrwałabym się stąd jak najprędzej i dokądkolwiek, a on mieszka tu od urodzenia. W dodatku jego mama... współczuję mu, że tak to wyglądało.

Chłopak spuszcza głowę, uśmiecha się niewesoło, a potem na powrót ją podrywa i patrzy pustym wzrokiem w dal, w ciemność.

– Zostałem pod opieką przyrodniego brata. Był ode mnie osiem lat starszy. Jakoś udało mu się wkręcić wszystkim, że jesteśmy rodzeństwem z krwi i kości. Był świetnym kłamcą, manipulantem i krętaczem. Lubił chodzić nocami po pubach. Wykorzystywał to, że nastolatki lecą na jego ładną buźkę. Miał słabość do tych naprawdę młodych. Nie zdziwiło mnie to, jak szybko jednej z bloku obok, której obiecywał nie wiadomo co, przypadkowo spłodził dziecko.

Słucham go uważnie. Chłonę każde wypowiedziane przez niego słowo. W międzyczasie siadam na kanapie ze skrzyżowanymi nogami i kładę rękę na męskim ramieniu. Willard nakrywa ją swoją, a ja chociaż chcę unieść słabo kącik ust, nie jestem w stanie się przemóc.

– W moje siedemnaste urodziny przyszedł na świat Rhodes – kontynuuje odrobinę wolniej, jakby potrzebował chwili, by sobie to wszystko poukładać. – Jego matka w ten sam dzień rzuciła się z tego przejścia ewakuacyjnego na beton. Nie mogła poradzić sobie z tym, że urodziła syna już jako szesnastolatka i tym samym podobno straciła szansę na osiągnięcie czegoś w życiu. Zwłaszcza że jej ojciec i matka wyrzucili ją na bruk, a mój brat kompletnie olał i od razu stwierdził, że nie będą bawić się w rodzinę.

Przymykam ciężkie powieki. Wydaje mi się, jakby w całym mieszkaniu unosiła się przygnębiająca aura. Jest tu tak pusto, ciemno, cicho i dołująco, że coś kłuje mnie w piersi, a zwłaszcza gdy Will ściska mocniej moją dłoń zwisającą z jego ramienia. Robi to jakby z potrzebą. Jakby chciał się upewnić, że nadal z nim siedzę.

– Przez pierwszy rok opiekował się Rhodesem. Później to na mnie spadł ten obowiązek, ponieważ pewnego dnia on... on po prostu zniknął. Zapadł się pod ziemię. Nie wiedziałem, o co w tym wszystkim chodzi. Dlaczego porzucił własnego syna. Dlaczego uciekł z Bronksu. Gdzie się podział. Czy jeszcze kiedyś wróci albo się odezwie – robi przerwę, a potem dorzuca nieco ciszej: – Prawda szybko dała mi w mordę.

Otwieram powoli oczy. Ciarki grozy przechodzą mnie wzdłuż kręgosłupa. Z każdym kolejnym zdaniem, które wypada spomiędzy ust Willarda, boję się bardziej kolejnych etapów opowiedanej przez niego historii.

– Zawsze zastanawiało mnie to, skąd miał tyle pieniędzy na te swoje imprezy i wyjścia – wspomina, zabierając dłoń z mojej i przecierając nią strudzoną twarz. Gdy kończy, dodaje: – Którejś nocy, niedługo po jego zniknięciu, do mieszkania wpadło dwóch typów. Twierdzili, że mój brat wisi im ponad siedemdziesiąt tysięcy dolarów i że to mnie wskazał jako kogoś, kto to wszystko spłaci. Rozumiesz to? – Zerka na mnie brązowymi oczami, w których wyłapuję poczucie niesprawiedliwości. – Miałem osiemnaście lat i opiekowałem się rocznym dzieckiem, kiedy gangsterzy wbili mi do domu, przystawili lufę do skroni i stwierdzili, że od teraz będę ich dłużnikiem. Będę dilerem i będę spłacać dług brata, dopóki nie spłacę go co do centa.

Moje oczy ponownie tej nocy zaczynają się szklić. Więc nie chciał tego. Willard nigdy tak naprawdę nie chciał handlować tym gównem. Po prostu musiał. Ucisk w moim dołku daje o sobie znać. Mimo oporu, który odczuwam, przysuwam się bliżej niego i opieram policzek o jego biceps schowany pod materiałem bluzy. Nie kłamie. Czuję, że nie.

Teraz kładzie rękę na moim kolanie i zaczyna je gładzić palcami.

– Miało się to wydarzyć dopiero za pięć lat. Pięć pieprzonych lat. Moim pierwszym odruchem była próba ucieczki z miasta. Jeszcze nad ranem spakowałem siebie i Rhodesa. Nie zdołaliśmy jednak opuścić granicy stanu, bo okazało się, że ci faceci ciągle mieli nas na oku. Byli wkurwieni, gdy nas złapali. Postanowili dać mi nauczkę. – Głos grzęźnie mu na moment w gardle. – Zabrali młodego na bok, bo tylko o to ich poprosiłem. Nawet nie o to, żeby mi odpuścili, a o to, żeby on nie pamiętał mojego krzyku, kiedy... cieli mi twarz tępym nożem.

Przyciskam dłoń do ust i kręcę rozpaczliwie głową. Tak zdobył te blizny. Tak został oszpecony. Jest mi wstyd, że na samym początku naszej znajomości posądzałam go o bycie jakimś chłopaczkiem zakochanym w ustawkach. A prawda jest taka, że Will... on chciał wyłącznie uciec od długów, które nie były jego. Z dzieckiem, które również nie było jego.

Wciąż patrzy beznamiętnie w mrok.

– Poharatali mi ją całą, a potem wyrzucili z auta do rowu przy wjeździe na Bronx razem z rzeczami i młodym. Od tego czasu wiedziałem, że ucieczka nie wchodzi w grę. Powiadomienie policji też nie. Jake i Ross, ci faceci, mieli w niej wtyki. Wybrnęliby z tego, a mnie najpewniej zajebali przy pierwszej lepszej okazji. Zacząłem więc zabawę w dilerkę. Zacząłem spłacać długi brata i odliczać dni do czasu, aż będę

wolny. Zaczęłam też odkładać pieniądze na tę okoliczność. Robię to do dzisiaj, zwłaszcza że zostało mi już jedynie siedem tygodni odpracowywania długu. Za ponad miesiąc będę mógł wyjechać stąd razem z Rhodesem.

Pięć lat, uświadamiam sobie. To trwa już prawie pięć lat. Podziwiam Willarda. Podziwiam to, że wychowuje dziecko swojego tchórzliwego brata. Podziwiam to, że do tej pory się nie załamał, zwłaszcza po tym, jak ci faceci ozdobili jego twarz wieloma bliznami. Ból, który mu wtedy towarzyszył, musiał być nie do opisania. Ale ten, który towarzyszy mu nadal?

Paskudna rzeczywistość, jaką zgotował mu brat, musi przecież boleć bardziej i bez przerwy. Myślę o tym, ale nie długo, bo Will siada przodem do mnie i wciąga mnie na swoje skrzyżowane nogi. Zdezorientowana usadawiam się na nim i obejmuję dłońmi jego kark.

Patrzemy sobie w oczy chwilowo bez żadnych słów.

– Do tego czasu nie mogę mieć zatargu z policją – mówi po czasie. – Miałem ich już kilka, za kolejny najpewniej mieliby mnie już za co wsadzić do więzienia. Między innymi dlatego zmywam krew z betonu pod blokiem. Mam do odbębnięcia godziny prac społecznych.

Na słowo *więzienie* użyte przez niego mimowolnie się spinam.

– Dlatego też zależało mi na tym, byś nie dowiedziała się, że rozprawdzam to gównu – wyjawia zmęczony, a ja opieram przedramiona na jego barkach. – Gdybyś się wygadała policji, mój plan wyjechania daleko stąd ległby w gruzach, a Rhodes zostałby bez nikogo. Ma tylko mnie. Nie mogłem do tego dopuścić, więc zastraszałem cię, jak mogłem. Bawiłem się tobą, ale nie będę wciskał ci teraz kitu, że mi się to nie podobało. Jestem popierdolony. Gnębiłem cię i czułem się przy tym zajarany. Właściwie cokolwiek dotyczy ciebie sprawia, że taki się czuję.

Z chwilą, gdy to mówi, na moją twarz wpelza na pewno wyraźny grymas. Prawda jest taka, że nigdy nie zapomnę ani nie wybaczę mu tego, że traktował mnie jak swoją zabawkę. Że robił mi tak ogromne świństwa. Że mnie dręczył, nękał i poniewierał mną, jak chciał. Choćby kiedyś miało być jeszcze między nami dobrze, nie będę udawać, że to się nie wydarzyło.

Willard kładzie dłonie na mojej talii i patrzy na mnie z dołu.

– Z czasem dotarło do mnie, że to zmierza w złym kierunku. Zaczęłam miewać ochotę, by zająć Findlayowi za to, że się do ciebie przystawia. Miewać ochotę, by łązić za tobą i pilnować, czy nic ci nie zagraża. Za każdym razem, gdy wracałaś przez Bronx późnym wieczorem po pracy, podążałem za tobą, żeby mieć pewność, że nikt cię nie zaczepi.

Sledzę wzrokiem mimikę jego twarzy. Więc to on za mną chodził.

– Mieliśmy ze sobą jedynie niewinną styczność, a ja już czułem się niezdrowo nakręcony. Wszystko w tobie mnie nakręcało. Uwierz lub nie, ale będąc dilerem, nigdy niczego nie wzięłem... lecz kiedy się pojawiłaś, czułem się za to, jakbym ciągle był czymś nafaszerowany – wzdycha. – Nie pojmuję, jakim cudem nadal sprawiasz, że tak się czuję, Marigold.

To, co mówi Willard, jest na pewno szczerze, ale budzi we mnie pewien żal, bo bycie dla niego czymś w rodzaju opisywanego przez niego narkotyku było jednym z najgorszych doświadczeń w moim życiu. A przynajmniej do momentu, kiedy do tego wbrew woli nie przywykłam. Kiedy to robiłam, sama zaczęłam podświadomie pragnąć, by się mną faszerał.

Zrujnował mnie. Zrujnował mnie do samego końca.

– Pamiętasz, gdy wylądowaliśmy w wannie? – pyta. – Wtedy powiedziałaś mi, że dopiąłem swego. Przywykłaś do tego, co ci robię. Przywiązałaś się do mnie. Poczułem, jakbyś dała mi w pysk. Chociaż na początku chciałem, żebyś to właśnie zrobiła i żebyś cierpiała, bo sądziłem, że to cię powstrzyma, by kablować na mnie policji, nie miałem pojęcia, że wiedza o tym przyprawi mnie o coś, czego nie czułem nigdy: o jakieś niewielkie wyrzuty sumienia.

Poprawiam się na jego nogach, a on przyciąga mnie bliżej z pomocą rąk ułożonych teraz na moich udach. Tym samym sprawia, że moje usta niemalże zderzają się z jego. Oddycham powoli przez rozchylone wargi i czuję na nich intensywne spojrzenie jego oczu.

– Było mi dziwnie źle z tym, co ci zrobiłem – stwierdza. – Nie potrafiłem tego z początku nazwać. Dopiero z czasem zrozumiałem, że naprawdę czuję się winny.

Jego wyznanie przyprawia mnie o gęsią skórę. *On... poczuł się winny?*

– Zwłaszcza że tamtego dnia przyszedli do mnie Jake i Ross. Kiedy otworzyłem im drzwi, oblał mnie

zimny pot. Nie chciałem, żeby znaleźli cię w łazience. Wizja tego, że się o tobie dowiadują, była dla mnie z jakiegoś powodu wkurwiająca. Dlatego kazałem ci spadać do Findlaya. Dlatego wziąłem Emmę w obroty. Dlatego chciałem się od ciebie odizolować. Ponieważ nikt nie miał się dowiedzieć o dziewczynie, która okazała się moim ulubionym dragiem. Wiedziałem, że jeśli ktoś cię znajdzie, skończysz jako argument, bym starał się opchnąć więcej towaru. Twoje bezpieczeństwo w zamian za moją mobilizację.

Przesuwam powoli palcami po karku Willarda i trawię w duchu to, co powiedział. Nie chciał, żeby groziło mi niebezpieczeństwo, które czyhało na niego od pięciu lat. Dlatego starał się wtedy ode mnie odsunąć. Doceniam, że chciał mnie chronić, lecz nie cierpię decyzji, jakich w tym celu podejmował. Wpychał mnie w ramiona Alexa. Sam oglądał się za Emmą. Unikał mnie. Rozegrał to w sposób, który dostarczał mi bólu. A mógł przecież zrobić to inaczej.

Zaczesuje zblakany kosmyk moich włosów za ucho, patrząc mi w oczy.

– Później i tak przysłaś do mnie z pytaniem, czy pożyczę ci samochód. Powinienem był ci odmówić, jednak dotarło do mnie, że... ja nie umiem ci już odmawiać, Gold – wydusza.

Jego grdyka podskakuje delikatnie pod skórą.

– Po tym incydencie było jedynie gorzej. Nie mogłem sobie ciebie odpuścić. Za żadne skarby. A gdy cię pocałowałem, po raz pierwszy pomyślałem, że mógłbym wyrwać się z Bronksu nie tylko z Rhodesem, ale też z tobą. Nie zakochałem się w tobie. Nie pokochałem cię. Ale zaczęłaś coś dla mnie znaczyć, a to równie niebezpieczne, co tamte opcje, wiesz?

Wiem. Wiem, bo ja czuję dokładnie to samo.

Willard układa mnie na sobie tak, że teraz siedzę na nim okrakiem.

– Jake i Ross przyszedli wtedy na polanę. – Kładzie ponownie dłonie na moich udach i zaczyna sunąć nimi czule po całej ich długości. – Chcieli dać mi towar. Znowu się wkurwiłem, bo o mały włos, a dowiedzieliby się o tym, że nie jesteś dla mnie zwykłą lalą ze studiów, której los mi zwisa. Przestałem sobie radzić z ryzykiem, które istniało, bo spędzałem z tobą czas.

Jego oczy ciemnieją. Odzywa się we mnie nieznaczny lęk.

– Wtedy znowu postanowiłem, że się od ciebie odsunę. Unikałem cię. Spotykałem się z inną. Robiłem cokolwiek, byle nie mieć z tobą do czynienia już nigdy więcej i nie musieć zastanawiać się, czy nie skończysz z pociętą twarzą jak ja, jeśli być może w jakiejś kwestii powinie mi się noga. Ale to mnie wykańczało – przyznaje, a ja odwracam wzrok gdzieś w bok.

Mógł przecież znaleźć inne wyjście, nie... nie robić mi czegoś takiego. Willard wygina szyję i próbuje odnaleźć moje spojrzenie, ale nadal na niego nie patrzę. W tej chwili naprawdę trudno mi na niego spojrzeć, bo jest mi przykro. Jest mi przykro, że podjął taką decyzję.

– Uzależniłem się od ciebie, Marigold – mówi.

Żal zalewa moją krtani. Choćbym chciała, nie umiałabym mu teraz odpowiedzieć.

– Codziennie uświadamiałem i uświadamiam to sobie bardziej. Teraz nie wiem, jak mam postąpić. Nie chcę znowu próbować wymazać cię ze swojej codzienności, bo to nie ma najmniejszego sensu, skoro nigdy nie przyniosło rezultatu. Ale nie chcę też, żebyś była w polu rażenia niebezpieczeństwa, które ciągle mi grozi. – Willard brzmi na rozdarte.

Dopiero po paru minutach odwracam się w jego stronę i widzę, że szuka na mojej twarzy odpowiedzi na pytanie, które zadał mi między wierszami: czy powinien nadal próbować mnie od siebie odsuwać, czy może nareszcie przyciągnąć mnie do siebie mocniej niż kiedykolwiek wcześniej. Nie zamierzam mu jej udzielać. Zamierzam tylko powiedzieć mu coś, o czym powinien pamiętać już zawsze, niezależnie od tego, czy mnie odtrąci, czy zatrzyma.

– Przykro mi, że twoje życie wyglądało właśnie tak – zaczynam cicho. – Jednak jeśli chodzi o mnie i ciebie, cokolwiek tobą kierowało: czy na początku chora chęć zabawy mną, czy później chęć ochrony mnie, nie wybaczę ci niczego, co zrobiłeś, Willard.

Przymyka powieki, kiedy powtarzam szeptem:

– Niczego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

MARIGOLD

KIEDYŚ

Tej nocy po raz pierwszy dopadły mnie wątpliwości, czy postąpiłam dobrze, wchodząc w relację z dojrzałym mężczyzną. Z na pozór idealnym Maverickiem, który zaledwie kilka godzin temu nie potraktował mnie tak, jak mój idealny Maverick traktował mnie zawsze. Mimo że z własnej woli znalazłam się przed nim na kolanach z zamiarem wyrażenia swojej wdzięczności, nie spodziewałam się... nie spodziewałam się tego, że będzie tak agresywny i wulgarny.

Sponiewierał mnie. Nie patrzył na to, co czuję. Jedynie szarpał mocno za włosy i brał, co chciał, chociaż patrzyłam na niego oczami pełnymi łez oraz niemego błagania. Chociaż dawałam mu sygnały, że nie chcę tego dłużej ciągnąć, próbując się odsuwać.

Mam ochotę wybuchnąć płaczem, bo ból wciąż przepala moje gardło.

Słyszę, że osoba leżąca po drugiej stronie łóżka właśnie się przeciąga, dlatego zamykam oczy, mając nadzieję, że Maverick nie dostrzeże, że wcale nie śpię. Nie chcę z nim rozmawiać. Nie teraz. Muszę zastanowić się, czy podejrzewam go o to, że jeszcze kiedyś zrobi coś podobnego. Bo jeśli zrobi, niezależnie od tego, jak mocno go kocham, nie mam pojęcia, czy dam radę wytrzymać zaspokojenie każdej potrzeby swojego mężczyzny i od niego nie odejdę.

Nagle świst jego oddechu dociera do mojego ucha. Mój ukochany najpewniej nachyla się nad częścią mojej twarzy, którą ma na widoku, ponieważ leżę bokiem, odwrócona do niego plecami. Przez moment nic nie mówi, tylko przekłada dłoń przez mój brzuch. Spinam się.

– Mari? Wszystko gra?

Nie, nic nie gra.

– Widzę, że już się obudziłaś – mówi zachrypniętym głosem. – Ślicznotko...

Nabieram drżący wdech i nie patrzę na niego choćby przez sekundę. Czuję przed tym niewyjaśniony opór. Ale powinnam mu odpowiedzieć, skoro wie, że dociera do mnie to, co mówi. Odchrząkuję. Mną w dłoni skrawek jasnej pościeli i wyduszam z siebie kilka słów:

– Jest okej. Jestem troszeczkę zmęczona... źle spałam.

Chce mi się wyć, bo moje gardło uporczywie piecze. Maverick wzdycha i przysuwa się bliżej tak, że czuję na plecach jego nagi tors. Jednocześnie ciągle głaska palcami mój brzuch.

– Skoczę do sklepu po składniki na śniadanie i przyrządzę nam coś dobrego, dobrze?

– Jasne – szepczę.

– Przepraszam, kochanie.

Spoglądam na jasną ścianę.

– Za co?

– Za to, że się zapędziłem – odpiera i milknie na chwilę, jakby potrzebował zebrać myśli. – Nie chciałem być taki porywczy, ale... szlag. Klęczałaś przede mną taka piękna. Nie wiedziałem, jak zdusić w sobie zachwyt tym, jaka jesteś piękna.

W końcu odwracam się powoli ku niemu. Myślę, że to jego pełen skruchy głos nakazuje mi to zrobić. Wciąż ściskam między palcami białą kołdrę, skanując wzrokiem przystojną twarz swojego ukochanego. Widzę na niej żal, zaś w jego spojrzeniu migocze szczerzy smutek. Nie mogę jednak od razu puścić tego, co zrobił wczoraj w niepamięć. Chyba nawet nie chcę.

Maverick obejmuje dłonią mój policzek.

– Musiałem poczuć jak najwięcej z tego, że moja piękna Mari po tylu miesiącach sprawia mi przyjemność. Byłem zniecierpliwiony, bo szaleję za tobą. Nie przestaję. Nie mogę przestać. – Kręci głową i patrzy mi prosto w oczy, jakby chciał mieć pewność, że go słucham.

Zerkam w stronę niezastłoniętego okna. Może dlatego, że chcę zorientować się, jaka jest dzisiaj

pogoda, a może dlatego, że na moment muszę utkwić wzrok gdzie indziej, bo czuję się kompletnie rozdarta. Chciałabym o tym zapomnieć, ale z drugiej strony chcę mieć to na uwadze, jeśli postąpi tak ponownie, i wtedy odejść bez najkrótszego zawahania.

To, co zrobił Maverick, lekko zakłóciło mój obraz naszej idealnej bajki.

– Przepraszam – powtarza. – Kolejnym razem będę się hamował.

Jest dzisiaj ponuro i prawdopodobnie zimno. Adekwatnie do mojego nastroju. Wracam spojrzeniem do mężczyzny. Chciałabym się do niego przytulić, ale nie wiem, czy dam radę.

– Zaufaj mi – dodaje miękko. – Będę to robił, tak? Hamował się. A papiery rozwodowe wręczone Camille jeszcze dzisiaj. Potem zabiorę cię do kina, co ty na to?

Fakt, że widzi swój błąd, mnie pociesza. Fakt, że stara się wynagrodzić mi to, jeszcze bardziej mnie pociesza. Sęk w tym, że nie potrafię tak łatwo schować głęboko w sobie złych wspomnień. Trzęsę się delikatnie, ponieważ w sypialni jest naprawdę chłodno. Maverick patrzy na to, aż w końcu decyduje się nieśmiało przygarnąć mnie pomiędzy swoje ramiona. Otoczona ciężarem ciepłych mięśni cieszę się, że to on mnie przyciągnął. Sama nie dałabym rady z łatwością się w niego wtulić. Ale zapewne ten opór prędko minie.

Unoszę brodę i krzyżuję spojrzenie z mężczyzną.

– Co jeśli ktoś nas zobaczy? W tym kinie?

Nadal powinniśmy się pilnować, przynajmniej dopóki Maverick rzeczywiście nie przekaże żonie papierów rozwodowych. Mam nadzieję, że zdobędzie się na to jak najszybciej. Teraz całuje mnie w czubek głowy i zaciąga się zapachem moich włosów.

– Nie zobaczy, będziemy dyskretni – zapewnia mnie.

Przytakuję niepewnym skinieniem.

– Nie bądź smutna – prosi łagodnym tonem mój ukochany. – Zrobię wszystko, żeby wynagrodzić ci, jakim wczoraj okazałem cię zawziętym palantem. Naprawdę, Mari.

Posyłam mu słaby uśmiech. Jedynie na tyle mnie stać.

– Jedź już do sklepu. Ja się ogarnę.

Maverick kradnie mi czułego buziaka.

– Ubóstwiam cię – mówi z nieznacznie uniesionym kącikiem ust, a potem wstaje i ubrany tylko w spodnie dresowe rusza w stronę korytarza. Odprowadzam go wzrokiem.

Dopiero słysząc po jakimś czasie trzask zamykanych drzwi, sama również zwlekam się z łóżka i kieruję do łazienki. Tam biorę naprawdę długą kąpiel w wannie. Odrobinę się rozluźniam, chyba zrzucam z ramion ciężki balast wczorajszych wydarzeń. Jest mi na pewno w jakimś stopniu lepiej, gdy po kilkunastu minutach wchodzę znowu do sypialni, przebieram się w świeże ciuchy i suszę mokre po kąpielu włosy. Sprawdzam jeszcze powiadomienia na telefonie i odpisuję na kilka wiadomości od Millie. Podobno też sobie kogoś znalazła w tej Europie. Jestem szczęśliwa, że sobie radzi, nawet jeśli mocno za nią tęsknię.

W kuchni czeka na mnie mała niespodzianka. Maverick stoi przy kuchennym blacie i skupiony na zadaniu przygotowuje śniadanie. Nie mam pojęcia, kiedy zdążył wrócić do domu. Pewnie jak brałam kąpiel, bo odleciałam wtedy myślami zupełnie gdzie indziej. Przez kilka sekund zbieram się w sobie, po czym podchodzę do niego i obejmuję go od tyłu. Policzek zaś opieram na jego plecach schowanych pod materiałem ciemnej bluzy.

Przecucie podpowiada mi, że mężczyzna się uśmiecha.

– A to co? – pytam, dostrzegając na blacie różowe tulipany. Wyglądają prześlicznie, ich łodygi obwiązane są wstążką podobnego koloru.

Maverick przewraca naleśniki na patelni, więc odsuwam się na niewielką odległość i sięgam po bukiet, który zwrócił moją uwagę.

– Kwiaty – mówi. – Na przeprosiny.

Wtykam nos pomiędzy paki.

– To miłe.

– Siadaj, wszystko gotowe.

Posłusznie siadam przy stole znajdującym się w małej jadalni. Po chwili mężczyzna stawia przede mną porcję naleśników z owocami. Dziękuję mu i czekam, aż sam usiądzie naprzeciwko mnie. Dopiero gdy to robi, bierzemy się za jedzenie tego, co przygotował.

– Szybko się uwinąłeś – stwierdzam, przelękając pierwszy kęs dania.

Maverick wypuszcza powietrze z płuc i odkłada na chwilę sztućce.

– Nie będę kłamał, czuję wyrzuty sumienia – wyznaje, patrząc na mnie ze skruchą. – Znacysz dla mnie za dużo. Nie mogę cię stracić. Chyba bym zwariował, gdybym stracił, i to przez to, że nie umiem nad sobą panować. Naprawdę przepraszam, Mari.

Również odkładam widelec i nóż, by sięgnąć po jego dłoń leżącą na stole. Przebiegam kciukiem po jej wierzchu i czuję ukłucie w klatce piersiowej, bo trudno mi oglądać tyle smutku w moich ulubionych oczach, chociaż wiem, że Maverick wczoraj stanowczo przesadził.

Przyglądam mu się z ustami wygiętymi w słabym uśmiechu.

– Nie tracisz mnie – szepczę. – Po prostu nadal mi trochę przykro.

– Nie zrobię ci już niczego podobnego – odpiera, a potem wstaje i podchodzi do mnie ostrożnym krokiem. – Będę dla ciebie najlepszy. Wiesz, że potrafię taki być.

– Wiem – potwierdzam. – Byłeś dla mnie najlepszy od samego początku.

Mężczyzna podnosi mnie z krzesła bez trudu, by usiąść na nim ze mną na swoich kolanach. Opieram skroń o jego pierś i mimo że Maverick coś do mnie mówi, zaczynam powtarzać w myślach pewną formułkę: *będzie dla mnie najlepszy, będzie dla mnie najlepszy, będzie dla mnie najlepszy, będzie dla mnie najlepszy, będzie dla mnie najlepszy*. Muszę doliczyć do tysiąca. Zamienić kłamstwo w prawdę. Chcę z nim być. Z tym Maverickiem, który podczas mojego pobytu w sierocińcu był dla mnie jak zbawienie. Właśnie z nim chcę być.

– To jak? – pyta, a ja wracam do rzeczywistości i nie do końca wiem, o co mu chodzi. Podrywam głowę i zaglądam mu pytająco w oczy.

– Mógłbyś powtórzyć? – W moim głosie pobrzmiwają przeprosiny.

Mężczyzna poprawia mnie na swoich kolanach i śmieje się cicho.

– Pytałem, na jaki film chciałabyś się wybrać, ślicznotko. Co powiesz na komedię? Pośmiejemy się trochę, a potem zabiorę cię na spacer po plaży.

Przystaję na to niemalże od razu.

– Pewnie. Możemy się tak umówić.

– Świetnie – rzuca z aprobatą Maverick. – W takim razie wsuwaj, a ja pójde po telefon i ustalimy, co obejrzymy.

Wstaję z niego i wracam do jedzenia śniadania. On w tym czasie, tak jak zapowiedział, rusza do kuchni, gdzie zostawił komórkę. Gdy ponownie pojawia się w jadalni, kończymy posiłek, wspólnie wybieramy film, na który pójdziemy, i śmiejemy się z byle powodu. Wciąż jednak za szerokim uśmiechem maskuję przygnębienie, które dokucza mi od wczoraj.

– Idę do sypialni po kurtkę. Zgarnąć ci coś po drodze? – pyta po chwili brunet.

Jednocześnie wstaje, zabiera nasze talerze i zanoszą je do zlewu.

– Możesz zabrać mi torebkę. Leży na szafie.

Maverick puszcza mi oczko.

– W takim razie zaraz wracam.

Znika w korytarzu, więc czekając na niego, zerkam w stronę okna. Niebo wciąż jest szare, ale przynajmniej nie pada deszcz. Wtem przytomnieję, ponieważ dobiega mnie dźwięk przychodzącej wiadomości. Spoglądam na telefon Mavericka leżący na stole i marszczę brwi, ponieważ dostrzegam na jego ekranie imię kogoś, kto nie powinien do niego pisać. Kogoś, kogo podobno wcale nie obchodzi.

– Camille... – odczytuję szeptem. *Pyta, kiedy wróci, bo nie może się doczekać.*

Odwracam głowę. Maverick raczej jest za daleko, by usłyszeć swoją komórkę. Ta przestaje dawać o sobie znać, ale ja jeszcze przez kolejne minuty zastanawiam się, dlaczego jego żona nie może doczekać się jego powrotu, skoro żyją tak, jakby dla siebie nie istnieli.

Odpowiedzi na moje pytania miały mnie zranić. Jednak bardziej zranić mnie miała świadomość, jak ogromny błąd popełniłam, ufając, że Maverick już więcej się wobec mnie nie zapędzi. Ponieważ on tak naprawdę nie chciał się powstrzymać. Od początku szukał kogoś, kogo wytresuje sobie tak, by nie musiał się powstrzymać.

Jego wybór padł na mnie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

MARIGOLD

– W porządku.

Willard wyrzuca z siebie te dwa słowa po dłuższym czasie. Zastanawiał się nad nimi, a ja zdążyłam z niego wstać i podejść do otwartego okna, za którym roztacza się widok na nocny Bronx. Teraz opieram przedramiona na parapecie i zaciągam się świeżym powietrzem, starając się w tym wszystkim jakoś odnaleźć, ponieważ jestem cholernie pogubiona. Nie powinnam mówić tego, co mam zamiar powiedzieć. Jednak nieistotne, jak złe i niewłaściwe to jest, tak wygląda prawda. Prawda o tym, czego potrzebuję. A potrzebuję właśnie jego: Willarda.

Przechyliłam odrobinę głowę, spoglądając na chłopaka zmęczonym wzrokiem.

– Ale to że ci nie wybaczę, nie znaczy, że chcę, byś się ode mnie odsuwał.

Zbity z tropu marszczy czoło.

– Nie?

Wydaje mi się, jakby jego oczy delikatnie odżyły.

– Nie – potwierdzam smutnym tonem. – Potrzebuję cię. Potwornie mocno. Chociaż nie zamierzam ci wybaczać, nie zamierzam też po raz kolejny tracić sił na odtrącanie cię, skoro tak jak ty próbowałam tego ciągle i ciągle nie przynosiło to żadnych efektów.

Willard wstaje i rusza w moją stronę powolnym krokiem, przemierzając ciemność. Mniej więcej gdy jest w połowie drogi, zadaje mi cicho pytanie.

– Więc jeśli powiem, że nie chcę już dłużej cię odtrącać, zechcesz być przy mnie?

Odwracam się ku niemu, rozkładając bezsilnie ręce.

– Nie dam rady inaczej – odpowiadam szczerze, gdy staje tuż przede mną. – Wiem, że nie powinnam trzymać się blisko ciebie, ale nie dam rady tego nie robić. Myślę, że nawet wyrwałabym się z tobą i Rhodesem za siedem tygodni z tego paskudnego Bronksu, jeśli nadal uważasz to za właściwe. Wyjechałabym stąd z wami, a potem dałabym ci trudny wybór, Will.

Nie przerywamy kontaktu wzrokowego choćby na sekundę. Jesteśmy tak blisko siebie, że czubki naszych butów stykają się ze sobą, a gdybym ja zadarła nos odrobinę bardziej, dotknęłabym nim jego brody. Przez chwilę wsłuchujemy się w szum dochodzący z zewnątrz.

– Jaki to wybór, Marigold? – pyta w końcu.

Wciągam nieduży wdech do płuc.

– Albo tam, gdzie wyjedziemy, przepracujesz, co masz do przepracowania, albo odetnę się od ciebie na dobre. Znajdę sposób – podkreślam to wyraźnie. – Może zajmie mi to dużo czasu, ale naprawdę to zrobię. Nie będę trwać przy tobie, jeśli nie zrobisz nic w kierunku, by odzyskać nad sobą panowanie. Jeśli nie zrobisz niczego z problemami, które masz. Powinieneś udać się na terapię. Ja zresztą... – Spuszczam wzrok na podłogę. – Ja także powinnam.

Widzę, że Will unosi dłoń. Założę się, że masuje nią skroń. Robi to, kiedy nie jest pewny, co powinien powiedzieć, czyli w zasadzie bardzo rzadko, ale kiedyś to wyłapałam.

– Nie mam pojęcia, czy terapia coś mi da. Jestem po prostu zrujnowanym chujem.

Na powrót podrywam niepewnie głowę.

– Spróbujesz się jej podjąć?

– Tak – wzdycha bez zbędnego namysłu. – Ale, Gold, ja naprawdę nigdy nie będę dla ciebie idealny. Sama wiesz, że mam w sobie jakieś chore zapędy, których nie zdusi we mnie do końca żadna gadka ze specjalistą. Dominowanie nad tobą po prostu kurewsko mnie nakręca. No i... no i nie ma we mnie tej łagodnej strony, której dziewczyny z reguły przecież chcą.

Patrzy na mnie z niesmakiem, ale odczuwanym wobec siebie.

– Nie chcę twojej łagodnej strony.

Prawda jest taka, że nie pragnę dostawać od niego niczego, co wiem, że nie jest w jego stylu. Pragnę,

by traktował, całował i dotykał mnie tak zawzięcie, jak robił to zawsze, lecz przy tym nie sprawiał, że dokucza mi ból, dlatego mówię mu o tym otwarciu:

– Chcę, żebyś obchodził się ze mną jak do tej pory, ale przy tym mnie nie krzywdził. Wiem, że będziesz tak potrafił. Wiem też, że przez kolejnych siedem tygodni, dopóki ktoś nie powie ci, jak się do tego zabrać, będziesz starał się mnie nie krzywdzić.

Will wplata dłoń w moje włosy i obejmuje nią tył mojej głowy.

– Będę się starał – przytakuje posłusznie, zaglądając prosto w moje oczy. – Ale nic więcej nie mogę ci dać, niż to nędzne *będę się starał*.

– Przyjmę nawet twoje nędzne *będę się starał*.

Jego lekko wilgotne usta opadają na moje czoło. Przemykam powieki i chociaż na początku zastanawiam się, jakim cudem dotarliśmy do momentu, kiedy jesteśmy od siebie tak uzależnieni, że planujemy wyrwać się z okropnego Bronksu razem, to szybko wyrzucam te myśli z głowy, bo one przecież do niczego nie prowadzą. Otwieram oczy i patrzę na Willarda.

– Masz skończyć z Emmą. Jeśli mam przy tobie zostać, musisz to zrobić.

Na pewno na to pójdzie, bo za bardzo chce mnie przy sobie zatrzymać.

– Skończę – zgadza się bez mrugnięcia okiem. – Ale ty i Findlay...

– To skończy się samo, gdy on zobaczy, że siedzę na zajęciach obok ciebie – przerywam mu i chociaż rodzi się we mnie delikatny żal, to wiem, że nie mogę jednocześnie tkwić z Willem w naszej pokręconej relacji i przyjaźnić się z Alexem. Muszę wybrać któregoś z nich.

Więc wybieram Willarda, nawet jeśli nie powinnam.

– Właściwie wywalili mnie już ze studiów – wyznaje chłopak. – Zapisalem się na nie, by mieć szersze pole do rozprowadzania dragów... Ale w takim razie jakoś się tam wcisnę, żeby zrobić z tobą show – mówi i unosi zadziornie kącik ust, jakby tylko na to czekał.

Przewracam oczami, ale uśmiecham się też pod nosem, bo to cały on.

– Kretyn – komentuję krótko tę jego chęć dokopania Findlayowi i dodaję: – Ja pochodzę na wykłady do końca tygodnia. Potem zrezygnuję, skoro i tak mam zamiar wyjechać.

Willard dość szybko poważnieje i nie przestaje głaskać tyłu mojej głowy.

– Zależało ci na tych studiach. Tak łatwo odpuszczasz?

Odwracam głowę, by omieść spojrzeniem dzielnicę widoczną za oknem.

– Nowy Jork nigdy nie będzie moim domem – odpieram. – Jest piękny, ale nie jest dla mnie. Potrzebuję spokoju. Tu go nie odnalazłam i w ostatnich dniach uświadomiłam sobie, że choćbym została tu dłużej, i tak go nie znajdę. Odkąd tutaj przyjechałam, nie przespałam ani jednej nocy, wiesz? Odkąd tutaj przyjechałam, ani razu nie poczułam, że to jest moje miejsce na ziemi. Może gdzie indziej bardziej mi się poszczęści i nareszcie to pocuję?

Zaledwie ponad miesiąc wystarczył, bym poczuła, że to miasto nie jest tym, czego szukam. Może gdybym nie spędziła tego czasu na Bronksie, moje zdanie na ten temat byłoby inne, ale to nie ma znaczenia, bo w tym momencie całą sobą czuję, że muszę się stąd wyrwać. Odnaleźć bardziej zaciszne i bezpieczne miejsce, gdzie nareszcie pocuję się spokojna i szczęśliwa.

– Może tak – wzdycha Willard. – Mam nadzieję, Gold.

Nieco odbiegam od tematu, kiedy upewniam się:

– Rhodes nadal śpi, prawda?

– Tak. Niech śpi, on też rzadko przesypia całe noce.

Chłopak zabiera rękę z tyłu mojej głowy, żeby sięgnąć po skrawek bluzy i ściągnąć ją bez pośpiechu przez głowę. Sama najchętniej też bym się jakoś ochłodziła. Dzisiejsza noc jest ciepła jak na jesień. Will odrzuca ubranie na bok, a ja orientuję się, że stoi przede mną w samych spodniach dresowych. Mimowolnie zawieszam wzrok na jego odkrytym torsie, który pokrywa ogromna ilość zadrapań oraz blizn. Skupiona na tym widoku, wstrzymuję oddech.

– Chciałbym, żeby za prawie dwa miesiące jego życie stało się lepsze – kontynuuje odrobinę zdołowany Covington. – Chciałbym zapewnić mu więcej. Chciałbym, by... miał szczęśliwą resztę dzieciństwa. Przynajmniej ją, skoro pewna jego część upłynęła mu tutaj.

– Uratowałeś go.

Nadal wpatrzona w jego ciało, wyciągam ostrożnie dłoń w kierunku rozbudowanej piersi. Sune

delikatnie po niej paznokciem, śledząc nim ślad podłużnej szramy. Chociaż jest ciemno, doskonale widzę, jaka jest długa i nieestetyczna.

Po chwili unoszę wzrok na jego twarz i widzę, że mi się przypatruje.

– Od pięciu lat ratowałeś siebie i jego – kontynuuję mimo ściśniętego gardła. – Poświęciłeś wszystko, co mogłeś, żeby dobrać do momentu, który nastanie za siedem tygodni. Kiedy będziecie wolni. Podziwiam cię, Will. W tej jednej kwestii cię podziwiam.

Zaczynają szczytać mnie oczy, dlatego ruszam się z miejsca i obchodzę dookoła stojącego nieruchomo chłopaka. Nie chcę, żeby widział, jak się rozklejam, lecz gdy dostrzegam na jego umięśnionych plecach jeszcze więcej paskudnych niedoskonałości, nie umiem powstrzymać łez wypływających mi spod powiek. Mokre ślady spływają po moich policzkach, kiedy kładę odrobinę rozdygotane dłonie na rozluźnionych męskich barkach.

– Udźwignąłeś na nich wiele – wydecham drżącym głosem.

Willard sięga po moje dłonie i gładzi je palcami.

– Nie maź się, kłamczucho – mówi spokojnie.

Przytulam policzek do jego pleców.

– Dlaczego kłamczucho?

– Masz za dużą obsesję na punkcie powtarzania kłamstw.

Pamięta. Pamięta o moim małym dziwactwie, orientuję się.

– Więc ciebie powinnam nazywać kłamcą – szepczę.

Chociaż tego nie widzę, domyślam się, że ściąga właśnie brwi.

– Ja nie mam podobnej obsesji – odpiera zbity z tropu.

– Ale ciągle kłamałeś, że byłem dla ciebie nikim.

Zsuwam mozolnie ręce po jego plecach w dół. Staram się być delikatna, bo nawet jeśli blizny Willarda wyglądają na stare i raczej nie boli go, gdy je dotykam, to czuję, że powinnam obchodzić się z nimi troskliwie oraz czule. Postępuję z nimi dokładnie w ten sposób, po czym przesuwam dłonie na jego boki, by na końcu spleść je na twardym brzuchu.

Tym razem przytulam się do męskiego ciała całą sobą. Najmocniej jak mogę. Chłopak przez dłuższą chwilę niczego nie mówi, aż w pewnym momencie przyznaje mi cicho rację:

– Nazywaj mnie kłamcą, bo naprawdę nie byłeś dla mnie nikim.

Patrzę w otaczający nas zewsząd mrok.

– Czym więc byłem?

– Wszystkim, co od początku chciałem przy sobie zatrzymać. – Willard odwraca się do mnie, obejmuje dłońmi moje biodra i przyciąga do siebie niezgrabnie z pytaniem tłącym się w zmęczonych oczach. Wydaje mi się, że potrzebuje pewności, że go teraz słucham. – Gold?

Patrzę na niego z całą uwagą, jaką mogłabym mu zaoferować.

– Tak?

Mija chwila, zanim zdobywa się na szczere wyznanie.

– Akurat tobie chętnie spróbuję nauczyć się ufać – mówi, posyłając mi ledwie zauważalny uśmiech. – W końcu nie potrzebujemy niczego więcej, prawda? Wystarczy nam zaufanie.

Odwzajemniam gest w równie niemrawym stylu i kiwam głową.

– Wystarczy nam właśnie ono.

Trzy godziny później i po tym, jak z Willardem odwozimy Rhodesa do szkoły, zjawiamy się na uczelni. Pierwszym, co robię po przekroczeniu progu budynku, jest złożenie rezygnacji ze studiów w odpowiednim gabinecie. Tam dostaję informację, że zostanie ona rozpatrzona w przeciągu paru dni, dlatego zamierzam skorzystać z ostatnich zajęć i z nielegalnie przebywającym w gmachu Willem kierujemy się w stronę sali teatralnej.

Z pewnością natkniemy się tam na Emmę, a ja strasznie chcę, by ich „relacja” dobiegła oficjalnie końca. Jestem typem zazdrośnicy, cholera, naprawdę nim jestem. Ale typem, o którym wspomina idący przy mnie chłopak, nigdy nie chciałam się stać:

– Marigold Harding, łamaczka męskich serc. – Brunet śmiało obejmuje mnie ręką w talii, lecz nikt

tego nie widzi, ponieważ jest już po ósmej i korytarze są zupełnie puste.

– Przestań – mamroczę, bo dopadają mnie coraz większe wyrzuty sumienia z powodu Alexa. – Nie czuję się z tym dobrze. On nic złego mi nie zrobił i chciałabym się z nim nadal przyjaźnić, ale za moment on raczej nie będzie chciał już przyjaźnić się ze mną.

Will zerka na mnie kątem oka.

– Powiniennem chyba powiedzieć, że mi przykro.

– Ale tego nie powiesz, bo jesteś terytorialnym skurwielem, który nie toleruje, że ktoś kręci się przy jego Gold – rzucam ironicznie i nie spodziewam się odpowiedzi, którą dostaję.

– W punkt, moja Gold.

Uwalniam oddech i coś sobie przypominam.

– Pamiętaj, gdy tylko wyjdziemy z uczelni, musimy...

– Trzymać się od siebie z daleka i tak przez kolejne siedem tygodni – dokańcza za mnie czujny Willard. – Dobrze o tym wiem. Nie dowiedzą się o tobie. Przyrzekam, że nie.

– W porządku – przytakuję i naprawdę mam nadzieję, że kolejne tygodnie upłyną nam spokojnie: że jeśli będziemy dyskretni i nie będziemy pokazywać się razem na mieście, nikt nie dowie się o tym, że Willard ma czuły punkt, którym oprócz małego Rhodesa jestem ja.

Przystajemy przed drzwiami do znajomej sali, bo ktoś akurat z niej wychodzi. Ciarki zdenerwowania natychmiast przechodzą mnie po plecach. Tym kimś jest bowiem... Emma, której szukaliśmy, żeby Will mógł „coś” z nią załatwić. Odsuwam się nieznacznie od chłopaka, lecz on w odpowiedzi jedynie przyciąga mnie o wiele bliżej swojego rosnącego ciała.

Oniemiała dziewczyna stojąca przed nami chyba nawet tego nie widzi. Jest wpatrzona w niewzruszonego Covingtona jak w obrazek.

– Willard? – wydusza. – Wróciłeś.

– No.

Jego „no” brzmi naprawdę obojętnie. W tym momencie trochę żałuję, że tak naciskałam na Willa, żeby jak najprędzej i jak najskuteczniej odciął się od Emmy. Robi mi się jej szkoda i odczuwam zmieszanie, patrząc na to wszystko ze swojej perspektywy.

– Mogłabym, no wiesz... – Dziewczyna zwraca się tym razem do mnie, bo prawdopodobnie dostrzegła rękę Covingtona otaczającą mnie w pasie. – Przywitać się z nim?

Odpowiadam jej skinieniem i po raz kolejny chcę się ulotnić, lecz również zostaję tylko szczerzej zatrzaśnięta w uścisku chłopaka, który znudzony głośno wzdycha.

– Nie musimy się witać, Emma.

– Jak to nie? – pyta niepewnie nasza *koleżanka z zajęć*, brzmiąc na rozczarowaną. – Nie widzieliśmy się ponad tydzień, stęskniłam się za tobą.

– Z chęcią przeżyję każdy następny bez widzenia się z kimś, kto był dla mnie marnym pocieszeniem po Harding.

Moja szczęka dosięga podłogi. Czy on naprawdę to powiedział? Spoglądam na jego pokerową minę i próbuję upewnić się, że mój umysł nie płata mi figli. Postawa Willarda nie pomaga mi rozstrzygnąć dylematu, ale łyzy w oczach Emmy już zdecydowanie tak.

Naprawdę to powiedział. Nawet się nie zawahał. Pieprzony dupek. Mógł załatwić to nieco łagodniej. Prędko wzbiera we mnie większe zmieszanie.

– Słucham? – wypluwa rozżalona Emma, żywo gestykulując przy tym ręką, w której trzyma telefon. Chyba wyszła zadzwonić, a skończyło się na tym, że dostała paskudnego kosza od paskudnie zachowującego się chłopaka. – To wy się lubiliście od samego początku?

Willard przebiega dłonią po moim biodrze i unosi pytająco brew.

– A nie było tego widać?

Nie czeka na odpowiedź Emmy. Zamiast tego popycha mnie delikatnie w stronę drzwi. Wchodzimy do zaciemnionej sali, ale nikt nie zwraca na nas uwagi, bo wszyscy zajęci są rozmowami. Nie dziwi mnie to, ponieważ po scenie nie krząta się jeszcze profesorka. Chyba się spóźnia. Schodzimy po schodach i zajmujemy miejsca prawie na samych tyłach sali.

Rozsiadam się na fotelu i spoglądam wymownie na Willa.

– Nie mogłeś załatwić tego łagodniej? – szeptam do niego.

– Chciałaś, bym uciał to jak najszybciej – przypomina mi, wzruszając niedbale ramionami, jakby nic złego nie zrobił. – Uciałem to więc jak najszybciej i jak najskuteczniej.

Kręcę karcąco głową, a on opiera rękę na oparciu mojego fotela i rozgląda się po pograżonej w mroku przestrzeni. Kąciki jego ust unoszą się nagle w górę. Chłopak dostrzega kogoś, kogo najwyraźniej chciał zobaczyć. Serce dudni mi w piersi, bo jego spojrzenie utkwione jest w Alexie, który siedzi trzy rzędy niżej i akurat... odwraca się w naszą stronę.

Jego źrenice rozszerzają się w szoku. Widzę to, nawet będąc z dala od niego.

– Marigold? – pyta zaskoczony. – Co ty z nim robisz?

Zwieszam głowę, nie wiedząc, jak mu to wyjaśnić.

– Dlaczego on cię dotyka?

Czuję na sobie spojrzenie zarówno jego, jak i Willarda. Obaj wpatrują się we mnie i czekają na to, co powiem. W tej chwili zazdroścę drugiemu chłopakowi, że z taką łatwością przyszło mu przegonienie ze swojego życia Emmy, bo ja... trudno jest mi postąpić tak z Alexem. W końcu był dla mnie wspaniały i tyle razy wyciągał w moją stronę pomocną dłoń.

Chciałabym równocześnie przyjaźnić się z nim i być przy Willardzie, ale to niemożliwe. Muszę zdecydować, na którym z nich zależy mi bardziej. Gdybym była normalna, wybrałabym dobrego Alexa. Ale jestem żaloszna i uzależniona, więc mój wybór pada na złego Covingtona.

Unoszę wzrok znad swoich spodni i spoglądam na Findlaya.

– Właściwie usiądę dzisiaj z nim, Alex.

– Znali się już wcześniej, a teraz panoszą się po uczelni jak jakaś para – słysząc rozgoryczony głos dobiegający gdzieś z boku, zerkam w bok, na schody, po których kroczy Emma. Jest zalana łzami. Widok jej, załamanej, szczerze mnie rusza.

Jednak to, jak określa mnie i Willarda, nie brzmi dobrze.

– Nie jesteśmy parą – odpowiadam.

– Nie jesteśmy parą – zaznacza w tym samym czasie chłopak.

– Cokolwiek – bąka z obrzydzeniem Alex, obok którego siada zapłakana dziewczyna. – Nie sądziłem, że taka jesteś, Marigold. Taka głupia i nierozsądna, żeby zadawać się... z nim.

Czuję ukłucie w okolicach mostka, mimo że ktoś przychodzi mi z odsieczą:

– Jeszcze raz powiesz o niej coś podobnego, a znajdą cię jutro niedaleko Bronksu z odciętą i wepchniętą w gębę łapą, Findlay.

Alex prycha pogardliwie, wpatrzony wciąż we mnie.

– Naprawdę trzymasz się z takim prostakiem?

– On nie jest prostakiem – protestuję bez chwili namysłu.

– A ty nie jesteś już dla mnie niczym więcej jak jebanym błędem. – Szatyn obrzuca mnie ostatnim pretensjonalnym spojrzeniem i wypluwa z odrazą: – Nie wierzę, że mogła podobać mi się idiotka twojego pokroju.

Nagle słyszę poruszenie. Zanim zdążę zarejestrować, co właściwie się dzieje, rozwścieczony Willard zrywa się ze swojego miejsca, przeskakuje nad siedzeniami przez kilka rzędów i doskakuje do zaskoczonego Alexa. Już pierwsze przeraźliwie mocne uderzenie, które wyprowadza, powala Findlaya na ziemię i doprowadza do tego, że krew tryska na fotele.

– Nie wierzę, że mogłem powstrzymywać się tak długo przed przyjebaniem kutasowi twojego pokroju – wypluwa nienawistnie Covington, przymierzając się do kolejnego ciosu.

– Will! – wrzeszczę w panice.

Błyskawicznie wstaję i próbuję przedostać się przez rząd siedzeń do bijących się chłopaków. A właściwie do zaślepionego furiją Willarda, który okłada pięściami leżącego na podłodze przeciwnika. W sali rozlega się wrzawa. Jest ciemno, więc wszyscy starają się dostrzec, skąd dobiegają zdławione jęki Alexa i głośnie sapnięcia jego napastnika.

Dobiegam do nich, najszybciej jak mogę. Nie potrzebuję więcej niż kilku sekund, żeby nabrać pewności, że *ten* stan znowu przysłonił Willardowi oczy. Stan niepohamowanego, silnego, pierwotnego gniewu. Teraz brunet obala swoją ofiarę za każdym razem, kiedy ta próbuje się podnieść. Nie ma w sobie litości. Jest bezwzględny i uderza, uderza, uderza, a krwi jest coraz więcej. Widzę to i nie wiem, czy mam ochotę płakać czy wymiotować.

On go zabije. A jeśli nie zabije, to połamię mu każdą kość.

Sporo ryzykuję, ale szarpnię Willa za bluzę, próbując go jakoś odciągnąć od Findlaya. Początkowo nic to nie daje, ale im głośniejsze wykrzykuję jego imię, tym mniej wydaje się owładnięty swoim szaleństwem. W którymś momencie odwraca się do mnie przodem z ciężkim oddechem i strasznie szeroko otwartymi, przepelnionymi czystą nienawiścią oczami.

– Zaraz ktoś tutaj przyjdzie, a ty przecież nie możesz tu przebywać – przypominam mu drżącym głosem, próbując nie uciec spojrzeniem do najpewniej na wprost przytomnego Alexa. Słyszę, jak pluje krwią. Chyba mogłabym się rozplakać, gdybym zobaczyła go ledwie żywego.

Przesadził. Willard znowu tak okropnie przesadził. Przecieram dłonią piekące oczy.

– Ochłonę – słyszę jego urywany szept. – Ochłonę, Gold. Dopiero wtedy przyjdź.

Gdy opuszczam bezradnie rękę i rozglądam się wokoło zapłakany spojrzeniem, Willarda już nie ma w sali. Przez resztę dnia nie pukam do drzwi jego mieszkania, mając w głowie ostrzeżenie, które do mnie skierował.

Dopiero kolejnego ranka, stojąc na przejściu ewakuacyjnym, decyduję się zapukać ostrożnie w okno Willarda. Przez pierwszych kilkanaście sekund nikt nie reaguje na moje sygnały. Zaczynam myśleć, że w mieszkaniu po prostu nikogo nie ma, lecz nagle ktoś odsuwa zasłony i otwiera okno. Zaraz zostaję wciągnięta przez silne ręce do środka i przyparta ciężkim ciałem do najbliższej ściany. Uśmiecham się szeroko, czując usta mocno nakrywające moje wargi.

Willard błądzi dłońmi po mojej talii i całuje mnie, jakby był cholernie spragniony. Najprawdopodobniej taki jest, bo sama jestem straszliwie spragniona: jego, jego pocałunków, jego dotyku i bliskości. Jestem też zrujnowana, że nie brzydzę się jego unieruchamiających mnie rąk. Tych samych, które wczoraj zadały komuś przeogromny ból. Teraz wplątam dłoń w gęste włosy chłopaka i przyciągam go za nie bliżej siebie, wyrывая z jego ust niski pomruk.

– Dobrze, że nie przyszedł do mnie wczoraj... Potrzebowałem zostać sam.

– Żeby ochłonąć – dorzucam konkretniej, a on liże moją dolną wargę.

– Mhm – mamrocze i chce coś wydyszeć: – Gold...

Kręcę głową i zwinnie na niego wskakuję. Willard, nawet jeśli jest zaskoczony moim posunięciem, bez najmniejszego problemu układa wielkie łapska na moim tyłku i przykleja swój tors do mojego biustu tak, że pomiędzy nami nie ma praktycznie żadnej przestrzeni.

– Nie paplaj tyle – karce go. – Stęskniłam się, więc całuj mnie.

Rzuca się chciwie na moje usta i kąsa je, aż puchną.

– Jak długo mam je całować? – docieka zasapany.

– Do woli.

Takiej odpowiedzi oczekiwał. Zaciska palce na moich pośladkach i ze mną na rękach rusza w tylko sobie znanym kierunku. Jednocześnie nie przestaje gonić za moimi wargami, obchodząc się z nimi jak z dziczą zwierzę. Ból, który odczuwam, ilekroć zaczepia o nie zębami, jest nikczemnie przyjemny i sprawia, że w dole mojego brzucha gromadzi się napięcie.

Zaraz zostaję zrzucona z wysokości na starą kanapę i przytrzaśnięta do niej ciężarem mięśni. Willard siada na mnie okrakiem, po czym wsuwa szorstką dłoń pod moją bluzkę i zamyka w niej odkrytą pierś. Wyrzucam z siebie jęk wprost w jego usta nacierające na moje.

– Cholera, nareszcie, kłamczucho... – szepta nakręcony. – Nareszcie cię mam.

Wszystko w nim jest prymitywne, ale chcę, żeby właśnie tak mnie traktował: prymitywnie i niedelikatnie. Podniecona opieram dłonie na jego brzuchu, a on, napędzony potrzebą, chwyta mnie za kark i wpycha mi język do ust. Przyjmuję go bez mrugnienia okiem, pragnąc, żeby dał mi jeszcze więcej, nawet jeśli skrycie boję się tego, że rozlecę się pod wpływem jego upodobań. Widziałam przecież, jak bezlitośnie posuwał Emmę w swoim samochodzie. Aż krzyczała.

Wiercę się pod nim. Nawiedzają mnie pierwsze obawy, ale wyrzucam je z głowy i skupiam na języku igrającym z moim. Willard unosi biodra tylko po to, żeby szybko je opuścić i otrzeć się o moje krocze twardniejącym wzrodem. Uwalniam następny jęk, dobrze go czując. Znowu zaczynam odczuwać lęk, bo akurat on nie może narzekać na rozmiar tego, co trzyma w spodniach. Spodziewam się, że kiedy już się we

mnie znajdzie, sprawi mi to ból. *Ale przecież rzadko kiedy pieprzenie nie sprawia bólu*, przypominam sobie. *Więc zaciśnij zęby i po sprawie.*

Postanawiam tak postąpić.

Potężne ciało przygważdża mnie do kanapy, Willard mocniej na mnie napiera i ściska w dłoni moją drugą pierś. Zjeżdża mokrymi pocałunkami na szyję. Zasysa moją skórę, stale rozgrzewając mnie do czerwoności śmiałymi ruchami bioder. Mam wrażenie, że mogłabym dojść nawet od nich, silnych i szybkich. Zdenerwowana wbijam paznokcie w jego brzuch.

Dosyć. Muszę to przyśpieszyć. Im szybciej go zaspokoję, tym lepiej.

Wyciągam dłonie w kierunku sprzączki od paska jego spodni, czym chyba go zaskakuję, bo na chwilę przestaje obdarowywać moją szyję pocałunkami. Zamiast tego zastyga z twarzą nad moją, ciężko dysząc mi w usta, kiedy wysuwam pas ze szlufek, odrzucam go na bok i patrząc mu zaciekle w oczy z przyspieszonym oddechem, rozpinam dłońmi jego rozporek.

Ponownie dobiera się do moich ust, a ja ściskam go przez bokserki i boję się bardziej, bo chociaż Willard jeszcze we mnie nie wszedł, już czuję, jak brutalnie mnie rozpycha. Oczy zaczynają mnie piec, a plecy oblewa mi zimny pot. Mimo tego oddaję pocałunek i powtarzam sobie w myślach: *zaciśnij zęby, zaciśnij zęby, zaciśnij zęby.*

– Nie przeciągaj tego – wydycham nagle błagalnie.

Chłopak przebiega nosem po moim policzku.

– Hm? – pomrukuje.

– Po prostu od razu weź sobie, co chcesz – odpowiadam na granicy świadomości, bo przytłacza mnie coraz większa świadomość tego, co nadchodzi. – Wiem, że tak trzeba.

Właśnie wtedy czas staje gwałtownie w miejscu. Willard nieruchomieje. Przełykam powoli ślinę, bo jego oczy ciemnieją i skanują bardzo uważnie moje, z pewnością śmiertelnie przestraszone jego reakcją. Zrobiłam coś nie tak? Nie chciałam... naprawdę nie chciałam nie dać mu tego, czego ode mnie oczekiwał.

– Gold? – Chłopak nabiera potężny wdech nosem i nie spuszcza ze mnie wzroku. – Jakie, kurwa, weź sobie, co chcesz? Jakie tak trzeba?

Nie odzywam się. Patrzę na niego i drżę.

– Ktoś wmówił ci, że tak to wygląda.

Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam. Taka odpowiedź, a właściwie jej brak, w zupełności mu wystarcza. Willard wstaje ze mnie jak oparzony i stojąc już na nogach, zaczyna zapinać pospiesznie rozporek spodni. Jego usta wykrzywiają się w grymasie, gdy kończy i wpatrując się we mnie, leżącą nieruchomo na sofie i milcząco, wypuszcza pełne bólu zdanie:

– Ja pierdołę, Marigold...

Serce mi się kraje, bo wczepia dłoń we włosy i ciągnie za nie, jakby chciał wyrwać je sobie wszystkie z głowy. Zmartwiona podnoszę się do klęczek, a on opuszcza bezradnie ręce i po tym, jak przeciera przegubem jedną usta, opuszcza salon.

– Gdzie idziesz? – pytam szeptem, nadal delikatnie się trzęsąc.

Ma posklejane potem końce włosów, zasnutę mgłą spojrzenie i zamiary, o których myśl sprawia, że wybucha we mnie niepokój. Z trudem podnoszę się z kanapy i na wiotkich nogach zbliżam do kuchni, gdzie teraz przebywa Willard. Przetrzęsa szuflady, zamykając je jedna za drugą z bardzo głośnym trzaskiem. Przytykam dłoń do ust, widząc go w jakimś amoku.

Po raz pierwszy nie boję się, że zrobi krzywdę mnie. Po raz pierwszy boję się, że zrobi krzywdę sobie. Obraz przed moimi oczami jest cholernie rozmyty. Ledwo widzę, co Willard chwytą w dłoń. To chyba zapalniczka. Ale do czego potrzebna mu zapalniczka?

Zaciska gniewnie usta, pstrykając nią kilka razy, by wydobyć płomień.

– Ktoś wyrządził ci coś złego, a ja od samego początku wykorzystywałem to, jaką miałem nad tobą fizyczną przewagę – wydycha wściekłym tonem. – Osaczałem cię, dociskałem, ocierałem się o ciebie jak jebany szczeniak. A ty nie mogłaś nic z tym zrobić. Nic.

Podchodzę do niego i ściągam dłoń z ust. Próbuję dosięgnąć nią dłoni chłopaka.

– Co robisz? – wykrztuszam płacząco. – Will, po co ci ta zapalniczka?

Ponownie wydobywa płomień i nadstawia nad niego jedną dłoń.

– One za tym stoją – cedzi przez zęby i patrzy z nienawiścią na własną rękę ułożoną tuż nad ogniem.

– One cię niszczyły. Niech teraz coś niszczy je.

Próbuję wytrącić mu nieduży przedmiot. Bez skutku.

– Proszę cię, odłóż to... – przekonuję go błagalnie.

Zaciskam palce na jego ramieniu, potrząsając nim. Nie chcę, by w ten sposób wymierzał sobie karę. Nie chcę, by wymierzał sobie jakąkolwiek karę. Wybucham płaczem i patrzę to na jego poczerwieniałą dłoń, to na jego wykrzywioną w bólu twarz, kiedy mówi bezsilnie:

– Gdybym tylko wiedział... Nie robiłbym ci tego.

– Wiem. – Kiwam szybko głową, przełykając łzy. – Wiem, odłóż zapalniczkę.

Znowu staram się mu ją zabrać, lecz jemu się to bardzo nie podoba. Trans pochłania go bardziej, w jego brązowych oczach tli się większa nienawiść do samego siebie. Nie cierpię jej widoku. Tak bardzo nie cierpię jej widoku, bo łamię mnie on na kawałki.

Willard zwraca się do mnie z rozkazem:

– Odsuń się ode mnie.

Ledwo oddycham, nie mogąc złapać tchu. Mimo to obejmuję dłońmi jego policzki i robię wszystko, by skupił się na mojej twarzy. Musi się opamiętać. Muszę pomóc mu to zrobić, bo znowu nie potrafi kontrolować tej nieobliczalnej wersji siebie.

– Cichutko – szepczę kojąco przez łzy. – Jesteś w stanie nad tym panować, tak? Jesteś w stanie to usnąć, prawda? Oczywiście, że jesteś. Weź głęboki oddech i...

– Marigold, odsuń się ode mnie!

Jego wściekły i przerażająco głośny ryk odbija się echem po całym mieszkaniu. Kulę się pod jego wpływem oraz odsuwam pod najbliższą ścianę. Willard odrzuca zapalniczkę na blat, po czym uderza w niego zranioną dłonią. Osuwam się w dół i zanoszę płaczem, bo to, co robi potem... chcę wymazać to z pamięci.

Chcę wymazać z pamięci moment, kiedy mój Will sięgnął po talerze i zaczął nimi rzucać o ściany. Kiedy jeden z nich, rzucony przez niego przypadkowo w moim kierunku, rozbił się tuż obok mojej głowy. Kiedy wydobywał z siebie kolejne zwierzęce odgłosy i kiedy wpadł do salonu, burząc wszystko, co spotkał na swojej drodze. Kiedy strącał, co popadnie, a nawet ściągnął lustro ze ściany i rozbił je o podłogę na milion maleńkich odłamków.

Dopiero po kilkunastu minutach wycieńczony opadł na podłogę. A ja znalazłam się tuż przy nim. Uklękłam, oparłam jego głowę na swoich udach i powtarzałam szeptem, przez łzy, że będzie dobrze. Że wszystko będzie dobrze. Że za siedem tygodni ktoś mu pomoże.

Teraz patrzy na mnie skruszony i doszczętnie wykończony.

– Przepraszam – mówi szczerze, przymykając powieki.

– Zaśnij – odpieram ledwie słyszalnie. – Opadłeś z sił.

Głaszczę czule jego policzek, unosząc smutno kącik ust. Nie tak wyobrażałam sobie ten poranek. Nie miałam trzymać jego głowy na kolanach w pustym, zdemolowanym mieszkaniu. Nie miałam prosić go, żeby zasnął i się zregenerował. Ale później miałam za to przekonać się, że każde moje wyobrażenie nas było z góry skazane na niewypełnienie.

Will chwytą powoli moją dłoń w powietrzu i przykłada ją do ust.

– Miałem się starać i naprawdę staram się cię nie krzywdzić, Gold. – Wszystkie te słowa wypowiada bardzo słabym głosem. – Nie idź sobie. Nie idź stąd ani ode mnie.

Mam ochotę znowu się rozpłakać, widząc go takiego.

– Nie pójdę – zapewniam prawie bezgłośnie.

– Będę starał się mocniej – dodaje. – Z całych sił.

Odpowiadam mu skinieniem i cichutkim:

– Wierzę ci.

– Wiem, że jest ci ze mną trudno. – Otwiera z wysiłkiem oczy, żeby zajrzeć głęboko w moje, i znowu całuje moją dłoń. Robi to równe cztery razy, po czym przełyka ślinę. – Przykro mi. Naprawdę mi przykro, kłamczucho.

Potrząsam głową, aby już nic więcej nie dodawał. To boli. Bardzo boli.

– Zaśnij, mój kłamco – szepczę. – Zaśnij...

EPILOG

MARIGOLD

– Ale przyjedziecie po mnie po lekcjach? Nie zapomnicie?

Odwracam się i uśmiecham do Willarda, który na pewno także wyczuł w głosie Rhodesa całkiem dużą obawę. Teraz unosi leniwie kącik ust, poprawia czarną czapkę z daszkiem założoną na głowę i zerka przez ramię na siedzącego na tylnych siedzeniach auta malucha.

– Jak moglibyśmy? – pyta, a jego brew w dramatycznym stylu szybuje do góry.

– Goldie powtarza, że wiecznie widzisz tylko czubek własnego nosa.

Z trudem udaje mi się zdusić parsknięcie.

– Rhodes, powtarzam to tak, wiesz, w żartach. – Również uciekam spojrzeniem do dzieciaka, a potem przenoszę je na spokojną twarz kierowcy i kładę dłoń na jego udzie. – Will zdecydowanie nie widzi tylko czubka własnego nosa.

Sam zainteresowany przygląda mi się uważnie i jak zwykle robi to w sposób, który sprawia, że oblewa mnie ciepło. Odwdzięczam się mu. Patrzę na jego pokrytą pierwszymi, wpuszczonymi do samochodu wszystkimi szybami promieniami jesiennego słońca twarz oraz przyłapuję się na chęci, by przebiec palcami po zdobiących ją, białych w takim oświetleniu, bliznach. Choćbym chciała, jest mi trudno przestać się szczyrzyć.

Bo wszystko powoli się układa.

Zostało nam siedem tygodni. Za ten czas uciekniemy z Bronksu we trójkę i poszukamy szczęścia zupełnie gdzie indziej. Nie mogę się tego doczekać. Z rozmyślań wytrąca mnie szmer. To Rhodes wierci się na tyłach starego grata, próbując domknąć tornister.

– No w sumie to tak – wydycha w pocie czoła i mam wrażenie, że uśmiecha się diabolicznie. – Will nie widzi czubka własnego nosa, ponieważ wpatrzony jest tylko w ciebie.

Zagryzam wargę, chcąc powstrzymać śmiech, bo mina Willa... wygląda zabawnie.

– Bzdura – prychna poważnie chłopak, strącając z uda moją rękę, po czym grozi wymownie palcem bratankowi. – A teraz wysiadaj i zasuwasz do klasy, mały bajkopisarzu.

– Do później, Goldie – rzuca do mnie malec.

Posyłam mu buziaka w powietrzu.

– Do później, kochany.

Rhodes wysiada z samochodu i trzaska drzwiami. Spoglądam w kierunku szyby. Widzę, że biegnie w podskokach w stronę szkoły. W pewnej chwili odwraca się do nas i macha nam na pożegnanie, dlatego natychmiast mu odmachuję. Uwielbiam go. Jest przeuroczy.

– Okręciłaś sobie wokół palca sześciolatka – stwierdza Willard.

Krzyżuję z nim spojrzenie, a następnie puszczam mu oczko.

– Żeby tylko jego – odpowiadam cwanie, na co chłopak kręci głowę z pobłażaniem. Wciąż niezmiennie szczęśliwa z tego, jak rozpoczął się ten dzień, zauważam, że zaczyna padać. – Spójrz, pada deszcz i świeci słońce... Pewnie zaraz pojawi się tęcza.

Bez namysłu sięgam po klamkę drzwi pasażera.

– Gdzie idziesz?

– Poszukać jej. – Wysiadam z auta i dziwię się, że Will podąża moim śladem. – A ty?

– Upewnić się, że się nie zgubisz – wzdycha.

Stojąc już na trawniku nieopodal szkoły, robię z dłoni daszek nad oczami, żeby ochronić je przed słońcem, i wlepiam wzrok w spokojną twarz Covingtona.

– To miłe.

Nucę pod nosem piosenkę wciąż wybrzmiewającą z radia i ruszam do pobliskiej ławki, ale zanim zdążę zrobić chociażby drugi krok, w miejscu zatrzymuje mnie uścisk dłoni na talii. Piszczę, bo Willard z jej pomocą zwinnie przyciąga moje ciało do swojego i popycha na maskę samochodu. Wpadam na nią

z impetem, a on podsadza mnie tak, że ląduję na niej tyłkiem.

– Tak wygląda twoje pilnowanie, czy się nie zgubię? – pytam rozbawiona.

On jedynie rozsuwa moje nogi i staje bezczelnie pomiędzy nimi. Ignorujemy rzadkie krople deszczu padające ze słonecznego dzisiaj nieba.

– Na tym to polega – stwierdza głupio. – Powiniennem trzymać się blisko ciebie.

– Możesz też trzymać mnie za rękę – sugeruję, zerkając na swoje dłonie położone na karoserii samochodu. Willard również wbija w nie wzrok, po czym wraca nim do moich oczu.

– Chcesz, żebym trzymał cię za rękę? – upewnia się.

– I nie przestawał, dopóki nie powiem, że mam dość.

Po moim potwierdzeniu poharatana dłoń odnajduje moją. Will nakrywa ją swoją i gładzi kciukiem jej wierzch, a ja znowu nucę piosenkę, która ciągle wypełnia niedużą przestrzeń samochodu.

– Co z twoimi ustami? – Chłopak obejmuje wolną ręką moją brodę i sam przekrzywia zawadiacko głowę. – Mogę je całować, dopóki nie powiesz, że masz dość?

Nie czeka na odpowiedź. Wzmacnia uścisk palców na moim podbródku i wmusza mi w usta mocnego buziaka. Śmieję się, bo uderza mnie daszkiem czapki w czoło. Lubię chwile, kiedy Will jest moim Willem. Kiedy nic go nie rozwściecza. Kiedy jest spokojny. Kiedy mogę się z nim droczyć do woli, bo w tym momencie jest bardzo daleki od utraty nad sobą kontroli.

Wiem, że to nie potrwa w nieskończoność.

Że być może za godzinę, dwie, za dobę lub jeszcze jedną znowu wpadnie w szal z powodu, który nie jest tego wart. Wtedy będziemy musieli jakoś się z tym uporać, jednak poradzimy sobie. Dopóki Will nie zasięgnie pomocy dobrego terapeuty, poradzimy sobie z każdym jego atakiem furii. Jeszcze przez kilka tygodni będziemy sobie radzić z tym sami.

Rozdzielam nasze usta i wyszczerzona wydycham pomiędzy nie:

– Mam dość.

Chłopak obserwuje mnie spod przymrużonych powiek.

– Masz dość?

– Skłamałam. – Śmieję się cicho i tym razem to ja wyciągam dłoń spod jego, a następnie obejmuję nią jego kark, przyciągam go do siebie oraz odnajduję drogę do jego ust.

Nie obchodzi mnie to, że ktoś może zobaczyć nas na uboczu ani że komuś możemy się nie spodobać. Że ktoś może spojrzeć krzywo na blizny Willa albo na mnie, ponieważ wyszłam z mieszkania w dwóch różnych butach przez to, że zaspaliśmy. Mam to kompletnie gdzieś.

Po prostu siedzę na masce grata i całuję jego właściciela, czując się spokojna. Nagle on odsuwa się na pewną odległość, ale robi to wyłącznie po to, by objąć spojrzeniem moją twarz.

– Skłamałaś, bo jesteś kłamczuchą. – Dyszy, a ja wraz z nim. – Ale ja też skłamałem.

– Kiedy? – dociekam.

– Przed paroma minutami.

Marszczę w zastanowieniu brwi.

– Jestem ostatnio wpatrzony tylko w ciebie. – Willard mówi to, unosi szelmowsko kącik ust i całuje moje jeszcze dokładnie trzy krótkie razy. Potem siada obok uśmiechniętej mnie i obrzuca spojrzeniem wysokie drapacze chmur wznoszące się nad koronami pobliskich drzew.

Wystawiam twarz do słońca oraz deszczu, oddychając pełną piersią.

Czy żałuję tego, że przywiązałam się do Willarda, najmocniej jak mogłam? Nie. Nie mogę przecież mieć do siebie pretensji o coś, nad czym nie mogłam zapanować ani przez marną sekundę. Mogę jedynie usilnie wierzyć, że gdy znajdziemy się daleko od Bronksu, jakoś się naprawimy. Może wzajemnie. Może z pomocą kogoś innego, ale zrobimy to. A wtedy może zostaniemy ze sobą albo też... każde z nas jakimś cudem pójdzie w swoją stronę.

– O czym myślisz?

Pytanie Willa przywołuje mnie do rzeczywistości.

– O tym, że nareszcie wszystko zaczyna się układać – opowiadam szeptem część prawdy i spoglądam na chłopaka ukradkiem, pozwalając, by kolejny uśmiech stopniowo wykwitał na mojej twarzy zwróconej ku niebu. – O tym, że za kilka tygodni wyrwiemy się z paskudnego Bronksu. O tym, że czeka nas inne, lepsze życie gdzie indziej.

Opieram skroń o ramię Willarda i przyciągam jego dłoń do ust. Składam na niej muśnięcie i przez chwilę trzymam ją tuż przy wargach, myśląc i myśląc.

– Nawet jeśli wciąż czeka nas długa przeprawa, żeby sobie zaufać, dobrze jest czuć, że mamy po co to robić. Że pewnego dnia właśnie tyle nam wystarczy, Will. – Podrywam odrobinę głowę, by móc zajrzeć w jego brązowe oczy i odnaleźć w nich niemą zgodę.

– Nie będziemy potrzebowali niczego więcej, co? – Uśmiecha się.

– Jasne, że nie.

Nie będziemy potrzebowali od siebie miłości, której i tak sobie nie damy. Gorących uczuć, których również sobie nie zaoferujemy. Czułych słówek ani niczego, co do nas nie pasuje. Myślę, że akurat nas zadowoli jedynie wzajemne zaufanie. Na nim możemy zbudować coś, co chociaż nie zostanie nazwane wprost, w zupełności nam wystarczy.

– Więc na czym stanęło? – Will otacza mnie ramieniem. – Denver?

– Marzy mi się Kolorado – potwierdzam z rozmarzeniem, przypominając sobie, jak mama opowiadała mi o tym stanie. – Ale jeśli ty i Rhodes myśleliście o innym miejscu...

Chłopak przerywa mi w pół zdania.

– Postanowione. Za prawie dwa miesiące wyjeżdżamy do Denver.

Po raz kolejny śmieję się pod nosem. Jest mi trochę przykro, że to nie może trwać w nieskończoność: dobry nastrój Willarda. Ale niech będzie. Przetrywamy ten czas, kiedy jeszcze nie wie, jak radzić sobie z nieuzasadnionymi napadami wściekłości. A potem pójdzie na terapię, zresztą ja też, i postaramy się uporać z naszymi demonami. Wyjdziemy na prostą. Nareszcie.

Wtulam się w niego bardziej.

– Nie mogę się doczekać.

– Powiem ci coś, ale będziemy udawać, że do niczego takiego się nie przyznałem, dobra? – Will przenosi spojrzenie z moich ust na oczy i patrzy w nie przez chwilę wyczekująco.

Ściągam brwi.

– Oby nic sproszonego, bo zarobisz w twarz.

Chłopak kręci głową i wstaje z maski samochodu, żeby stanąć przede mną.

– Wydaje mi się, że przez dwadzieścia trzy lata nie mogłem doczekać się właśnie ciebie, Gold. – Przelyka z trudem, po czym zakłada tym razem czapkę daszkiem do tyłu, obejmuje mocno ciepłymi dłońmi moje policzki i przyciska zawzięcie usta do moich.

Motyle w moim brzuchu budzą się do życia. Rety, to wciąż tak samo dobre. Krzyżuję kostki w powietrzu za jego plecami i ani mi się śni klócić z tym, że Willard panuje nad tym pocałunkiem. Że traktuje moje usta, jak mu się podoba, z tą dziwą zaciętością. Poddaję się mu i słyszę kolejne słowa piosenki, które sprawiają, że budzi się we mnie nieznaczny niepokój.

Confess to me

all the lies between us

*all the lies between you and me.*⁴

Wyrzucam je z głowy, zwłaszcza że Will wycofuje się delikatnie i z płytkim oddechem styka nasze czoła, szepcząc mi w twarz.

– Dziękuję.

Połykam tchnienie.

– Za co? – pytam zdezorientowana, wyłapując spojrzenie jego oczu.

– Za to, że mimo wszystko jesteś. – Trąca w intymny sposób swoim nosem mój, zachowując powagę.

– Za to, że mimo wszystko jesteś i nie przeraża cię moja brzydota. Za to, że zaraz mogę znowu stać się kimś innym, a ty jesteś i nigdzie się nie ruszasz.

Unoszę smutno kąciki ust.

– Nie zostawię cię. – Przykrywam ostrożnie jego dłonie ułożone na moich policzkach swoimi. – Nie potrafiłabym. Ty mnie przecież też nie.

– Zostawić swoją kłamczuchę? – Marszczy czoło. – W życiu.

Deszcz wzbiera na sile. Jego krople spływają po naszych twarzach oblanych promieniami słońca. Patrzymy na siebie z bliska, oboje doskonale wiedząc, że ugrzęźliśmy w tym zbyt głęboko, żeby na tę chwilę umieć się od siebie odsunąć. Oboje wiedząc, że wszystko, co kiedykolwiek powstało między nami, było złe,

niezdrowe i powinniśmy dać sobie ze sobą spokój. On by nie uzależnić się bardziej, a ja by nie zrujnował mnie mocniej.

Odzyskuję rezon i kładę dłonie po bokach Willarda, przyciągając go bliżej.

– Siedem tygodni – wzdycham ledwie słyszalnie. – Damy radę, prawda?

Chłopak zbliża twarz do mojej i znowu zderza nasze nosy.

– Damy. Damy sobie radę ze wszystkim.

Potwierdzenie Willa dodaje mi otuchy przez całą drogę powrotną na Bronx. Już w jego mieszkaniu rzucam się na starą kanapę, bo odczuwam zmęczenie tym, jak cholernie zakręcony był ten poranek. Nie obudził nas budzik, dlatego wstaliśmy na ostatnią chwilę i od razu zaczęliśmy się zbierać, żeby Rhodes przypadkiem nie spóźnił się na ważny sprawdzian.

Nakrywam przymknięte powieki dłonią i postanawiam przez chwilę odpocząć. Nawet jeśli słyszę kroki i wyczuwam, że Willard zatrzymuje się tuż nade mną, nie zaszczytam go spojrzeniem. On natomiast zaszczyca mnie swoim bez najkrótszej chwili przerwy. Nie muszę na niego patrzeć, by to wiedzieć. Uśmiecham się i zwracam do niego z pytaniem:

– Będiesz się tak patrzył?

– Zastanawiam się.

– Nad czym?

– Nad powodem, dla którego nigdy nie mogłem ci się oprzeć. – Po wypowiedzeniu tych słów nagle rusza się z miejsca, bo słyszę szmer. Nie spodziewam się jednak, że Will w szybkim tempie zawiśnie tuż nad moim ciałem.

Zabieram dłoń z oczu i otwieram je bardzo powoli, ponieważ zdążyły przyzwyczać się do ciemności. Natrafiam spojrzeniem na pokrytą bliznami twarz znajdującą się nad moją. Mina Willarda nie wyraża zbyt dużo, zresztą jak zwykle, ale jego oczy... widzę w nich coraz więcej.

Skupiona na nich dopiero po chwili się otrząsam.

– Och, to akurat proste – stwierdzam wtedy i wydymam dolną wargę.

– To coś więcej niż twoje usta. – Chłopak kręci głową z kpiącym uśmiechem i ciągnie szorstkim palcem tę samą wargę w dół. – Jestem pewny, że coś więcej, kłamczucho.

Po paru sekundach puszcza ją i milknie, jakby pogrążył się we własnych myślach. Wykorzystuję okazję. Wspieram się na przedramionach na tyle, na ile mogę, bo chłopak nadal przypiera mnie do sofy, i składam kilkanaście muśnięć na jego twarzy. Staram się obcałować każdą jedną bliznę, która ją zdobi. Czuję ucisk w piersi, ponieważ jest ich tak wiele.

Gdy kończę, opadam znowu plecami na kanapę i zaplatam dłonie za jego karkiem.

– Siedem tygodni, Will. – Patrzę mu w oczy. – Tylko siedem i będziemy gdzie indziej.

– Boję się – zdradza zachrypniętym szeptem.

Obserwuję go z troską.

– Wydostania się stąd?

– Że w ciągu tych siedmiu tygodni nie raz cię zawiodę. Wiesz, że bycie blisko mnie przypomina spacer po cienkim lodzie. Może pęknąć. A kiedy pękne, ja...

– Wybuchasz – dokończam za niego dyskretnie. – Wpadasz w szał. Nie jesteś sobą. Ja też się tego boję, ale wtedy będę od ciebie uciekać. Jedynie na moment, dobrze?

Chyba nadal nosi w sobie wiele obaw, lecz powoli przytakuje.

– Dobrze.

– Potem, w Kolorado, stanimy na nogi – przekonuję go, przebiegając palcami po jego skroni, z której odgarniam kilka przydługich pasm włosów. – Oboje poszukamy pomocy.

– Dobrze, Gold – powtarza, całując przelotnie mój nadgarstek.

Na ten niewinny gest moje ciało zaczyna delikatnie drżeć.

– A ja opowiem ci coś, czego do tej pory nie mogłam – dodaję z zawahaniem, bo tak naprawdę nie jestem pewna, czy uda mi się przemóc do tego, żeby to z siebie wydusić.

Przeraża mnie możliwa reakcja Willa. Skoro niedawno wpadł w swój szał, gdy zaledwie dotknęliśmy mojej przeszłości, nie mam pojęcia, co zrobi, gdy pozna ją całą. Mam też nadzieję, że pewne podejrzenia, które we mnie urosły, okażą się wyłącznie kolejnym wytworem mojego popapranego umysłu. Ponieważ jeśliby się nim nie okazały... wszystko ległoby w gruzach.

Ale to przecież niemożliwe. To niemożliwe, niemożliwe, niemożliwe.

– Będę na to czekał – zapowiada chłopak.

Potem podnosi się ze mnie leniwie tylko po to, by ściągnąć czarną bluzę przez głowę. Podziwiam go z dołu. Wygląda diabelnie męsko z tej perspektywy. Sunę spojrzeniem po jego nagim torsie pokrytym wieloma bliznami i zadrapaniami. Zaczynam badać jego rozbudowaną pierś opuszkami palców. Will odrzuca niedbale bluzę na bok, po czym chyba skupia się na mojej twarzy. Sama skupiam się na jego, kiedy sięga po moją dłoń i nakierowuje ją na twarde mięśnie. Na pewno widzi jak palę buraka, bo dotykanie jego ciała... trochę mnie peszy.

Jest bardzo silny, oszepecony prawdopodobnie milionem skaz i cholernie poważny.

Nagle jednak wychyla się i przenosi wzrok za okno znajdujące się za nami, bo rozlega się głośny dziecięcy pisk. Potem jego usta nieznacznie zaciskają się w kreskę, co daje mi do myślenia. Zabieram dłoń z jego ciała i znowu niezgrabnie podpieram się na przedramionach.

– Will? – pytam zaniepokojona. – Co zobaczyłeś za szybą?

Chłopak zamyka oczy na ledwie sekundę. Po tym, jak je otwiera, sięga po bluzę, którą przed momentem ściągnął, i w pośpiechu ją na siebie zakłada. Dopiero gdy ma ją już na sobie, schodzi ze mnie, staje przy kanapie oraz chowa w dłoniach usta i nos. Jest mocno zdenerwowany, ale nie chce dać tego po sobie poznać pod żadnym pozorem.

Podnoszę się do siadu, czując, że moje serce bije coraz prędeej. Will kuca wtedy przede mną i kładzie duże dłonie na moich rozdygotanych ze strachu ramionach.

– Musisz się skupić, Gold, dobrze?

Patrzy mi głęboko w oczy. Rewanżuję się mu i mam wrażenie, że coś we mnie roztrzaskuje się w drobny mak, ponieważ widzę, że w brązowych tęczęwkach chłopaka maluje się silny strach pomieszany z przygnębieniem, a nigdy w nich tego nie widziałam.

– Co się dzieje? – dociekam zagubiona. – Dlaczego posmutniałeś?

Will nabiera wdech i ściska nieco mocniej moje ramiona.

– Musisz się skupić, tak? Skup się, choćby dla mnie...

– Przepuść mnie w tej chwili – żądam twardo, a następie strącam z siebie jego ręce i gwałtownie podnoszę się do pionu.

Zanim zdąży mnie zatrzymać, doskakuję do okna, za którym dostrzegam dzieci uciekające przed pewnym samochodem. Przypatruję się mu, a moje oczy szklą się w ułamku sekundy. Usta za to rozchylają w największym szoku i wykrzywiają w ogromnym bólu.

Odwracam się do wyraźnie zdołowanego Willa i mija dłuższy moment, nim wypowiadam przez ściśnięte gardło krótkie pytanie:

– Czego... czego szuka tutaj policja, Will?

On jedynie zwiesza bezsilnie głowę.

– Nie – protestuję przez łzy, znajdując się na granicy wybuchu. – Nie, proszę cię, nie.

Dławię się własnym przyspieszonym oddechem i zbliżam do niego w kilku krokach. Potem chwytam w trzęsące się dłonie sznurki jego bluzy. Trzymam go przy sobie wręcz desperacko, czując, jak myśl o tym, że mogę go... mogę go stracić, rozrywa mnie na strzępy.

– Powiedz, że oni nie idą po ciebie – wykrztuszam załamana, pociągając płaczliwie nosem. – Powiedz, że oni nie chcą mi cię zabrać. Nie teraz. Za moment mamy stąd zniknąć, mamy wyjść na prostą, mamy... nareszcie sobie zaufać, wszystko przepracować i być szczęśliwi – ostatnie słowa z jakiegoś powodu wypowiadam prawie bezgłośnie.

Chłopak odwraca wzrok, jakby nie mógł teraz nawet na mnie patrzeć. Teraz, kiedy wie, że nie może dać mi słowa, że policja, która podjechała pod nasz blok, nie zjawiła się po niego.

– Ktoś musiał mnie wsypać, ale nie mamy czasu, żeby zastanawiać się kto – mówi na pozór spokojnym tonem, obejmując dłońmi moje nadgarstki i zamykając oczy.

– Twój głos...

Will uchyla powieki i posyła mi potwornie słaby uśmiech.

– Załamał się – potwierdza, że się nie przesłyszałam. – Ale to nic.

– Jakie nic? – jęczę rozpaczliwie. – On nigdy wcześniej się nie załamał.

Niewiele myślę, kiedy wyrywam ręce z jego uścisku i zalewając się łzami, rzucam mu się w ramiona.

Uwięziona pomiędzy nimi płacze jak dziecko, potrzebując zostać w nich o wiele dłużej, niż jeszcze kilka krótkich minut, które dzielą nas od tego, by skończyć bez siebie. Niczego nie jestem pewna tak jak tego, że nie dam sobie bez niego rady. Przecież nie umiem już bez niego funkcjonować. Przecież ja również uzależniłam się od niego, mocniej niż powinnam.

– Boże, Will – wydecham, cała napuchnięta. – Tak strasznie mi przykro.

– Cicho. – Głaszczę palcami tył mojej głowy. – Cicho, Gold. Jeszcze przy tobie jestem.

Wypowiedziane przez niego *jeszcze* sprawia, że zanoszę się głośniejszym płaczem. Nie mogę nad nim zapanować. Nie mogę zrozumieć, dlaczego gdy została nam ostatnia prosta do tego, żeby się stąd razem wyrwać, wszystko nagle zaczyna się walić.

Pochłaniam łapczywe wdechy, wciskając twarz w jego twardą pierś.

– Dlaczego cokolwiek nas dotyczy, prędzej czy później się sypie? – łkam, niemalże wyjąc z bólu, który odczuwam. – Co robimy nie tak? Will, co my robimy nie tak?

Chłopak nie odpowiada mi przez chwilę. Po jej upływie wiem dlaczego.

– Nic. – Jego niewyraźny głos ponownie się łamie, a dłoń nie przestaje głaskać moich włosów. – Naprawdę nic. Najpewniej... tak musiało być.

Rozbita odsuwam twarz od jego torsu, żeby zajrzeć mu w oczy. Są smutne i zmęczone. Patrzą w nie swoimi, niemiłosiernie piekącymi i zapłakanymi. Kolejne napady szlochów odcinają mi dopływ powietrza, ale mimo że się krztuszę, wypowiadam żałośnie brzmiące pytanie:

– Tak łatwo przyjmujesz do wiadomości, że cię skują i gdzieś wywiozą? Przecież też cię to przeraża, to że nas rozdziela... Rozdziela ciebie i mnie.

– Też mnie to przeraża, jasne że tak – Will przyznaje mi rację i chwyta pomiędzy palce kosmyki moich włosów przy twarzy. – Ale trzymam się i chcę, żebyś ty też się trzymała.

Zbiera się w sobie, nim zaczyna mówić dalej.

– Posłuchaj mnie – zaznacza miękkim tonem, nachylając się nade mną. – Jesteś najdzielniejsza, tak? Mogę wierzyć, że Rhodes będzie z tobą bezpieczny?

Milczę. Po prostu stoję w miejscu i płaczę, więc Will obejmuje dłonią mój policzek, dając mi czuły sygnał, bym skoncentrowała się na jego słowach. Jednocześnie ściera kciukiem łzy, które nie przestają spływać mi po policzkach i brodzie oraz skapywać na podłogę.

– Jesteś jego opiekunem, oni zabiorą mi go, tak jak ciebie – odpowiadam w końcu, ledwo widząc cokolwiek na oczy.

– Nie – zaprzecza chłopak. – Miałem lewe dokumenty na swojego brata. Posługiwałem się nimi, gdy była taka konieczność, a zdarzało się to bardzo rzadko. To on jest opiekunem Rhodesa i oficjalnie to z nim mieszka i przebywa młody. Ze mną nie ma żadnych powiązań.

Resztkami sił stoję na nogach, kiedy w cholernie małą przestrzeń między naszymi zwróconymi ku sobie twarzami trafia jego łagodny szept.

– Musicie to przeczekać, Gold. Oni mnie wyciągną. Ci faceci. Zrobią wszystko, żebyś siedział tam jak najkrócej, bo jeśli trafię do aresztu, stracą dobre źródło kasy.

– Nie chcę niczego przeczekać – protestuję, przełykając wdech. – Chcę, żebyś został. Powiedziałeś mi, że przywołam cię do siebie nawet najcichszym *zostań*, więc zrób to... Zostań.

Spojrzenie Willa staje się jeszcze bardziej smutne.

– Kłamałem – wypowiada te słowa z bólem, ale uśmiecha się słabo. – Więc zamień moje kłamstwo w prawdę. Powtórz je tysiąc razy, a wrócę i zostanę już na zawsze.

Wybucham silniejszym szlochem. A on wciąż trzyma w dłoni mój policzek i przygląda mi się bardzo uważnie, jakby chciał zapamiętać każdy szczegół mojej twarzy. Jakby wiedział, że nie zobaczy jej przez naprawdę długi czas.

– Może i nie jesteś ani nigdy nie będziesz moją miłością, ale jestem przekonany, że jesteś i byłaś moją bratnią duszą, kłamczucho. A do kogoś takiego chyba warto wrócić, no nie?

Nie mam już serca. Jestem przekonana, że ono właśnie teraz pękło na pół. Dławię się niekończącymi się łzami i wydaje mi się, że słyszę odgłos ciężkich kroków dobiegających z korytarza i dochodzących do mieszkania przez niemalże papierowe drzwi.

– Boję się, Will – wyznaję beznadziejnie.

– Wróć. – Chłopak raz jeszcze się uśmiecha i raz jeszcze robi to w niemrawy sposób, który mnie nie

przekonuje. – Wtedy wyjedziemy. Będziemy razem szczęśliwi za lata, kiedy byliśmy rujnowani. Akurat w to naprawdę możesz mi uwierzyć.

Echo słów, które wypowiedział na końcu, doprowadza mnie jedynie do gorszego stanu. Przytykam dłoń do rozchylnych ust, spomiędzy których wypada udręczony oddech. Patrząc na niego, nie mogę się uspokoić, bo to przecież nasze tragiczne pożegnanie.

Potrząsam głową z niepokojeniem. Tak bardzo chce mi się wyc.

– Jeszcze stąd nie wyszedłeś, a już chcę cię z powrotem...

Jabłko Adama Willarda delikatnie drży.

– To najlepsze, co mogłaś mi dać. Dziękuję ci za to, Goldie.

– Za co? – Jestem bliska kolejnego wybuchu.

– Za to, że ciągle chcesz mnie z powrotem – mówi to, po czym, jakby nie umiał się temu oprzeć, zamyka mnie znowu szczelnie w silnych ramionach i opiera brodę na czubku mojej głowy. Ja natomiast obejmuję go w pasie i przyciągam do siebie najmocniej, łkając po cichu.

Pierwsze uderzenie pięści w drzwi wyrywa mi z falującej piersi gorzki ryk. Przywieram całą sobą do Willa i zaczynam nieskładnie mówić.

– Cokolwiek się nie wydarzy, będę chciała cię z powrotem – zapowiadam płaczliwie. – Będę chciała swojego Willa. Boję się tylko, że ty, po tym, co tam cię czeka, nie będziesz chciał mnie. Że po czasie wrócisz jako ktoś zupełnie inny... – Tym razem to mój głos się łamie, ale nie umiem tego powstrzymać. – Że nie będziesz o mnie pamiętał. Że wrócimy do punktu wyjścia i będziemy dla siebie nikim. Nie chcę być dla ciebie nikim. Tak bardzo tego nie chcę...

Czuję pocałunek złożony w moich włosach. Potem jeszcze jeden.

– Przecież wiesz, że nie staniesz się dla mnie nikim, choćby minęły wieki – słyszę go. – Marigold, odnalazłem cię. Moją jedyną zagubioną część. A może po prostu *moją jedyną*.

Próbuje się ode mnie delikatnie odsunąć, ale nie umiem mu na to pozwolić.

– Muszę otworzyć – wzdycha zrezygnowany.

– Nie otwieraj.

– Gold... Pomyślą, że coś kombinuję.

– Mam cię puścić? – pytam, chcąc, by zaprzeczył.

Lecz nie może tego zrobić. Oboje dobrze o tym wiemy.

– Ja też nie chcę, żebyś to robiła – wyznaje szczerze zdołowany Will. Wtedy rozlega się następny głośny odgłos uderzenia pięści o drzwi, przez który aż podskakuję w miejscu. – Ale lepiej niech nie posądzają mnie o nic więcej niż to, co mam za uszami.

Posłusznie robię powolny krok w tył. Uderzenie zimna nachodzi mnie niemalże w tej samej chwili, bo nie czuję już ciała chłopaka, które przed chwilą otaczało ciepłem moje, okropnie roztrzęsione. Przyglądamy się sobie z pewnej odległości, oboje w równym stopniu przegrani i złamani.

Oczy szczypią mnie przeraźliwie mocno. Dławi mnie następna fala płaczu, ale mimo tego nie jestem w stanie odpuścić sobie dodania czegoś jeszcze.

– To nie była twoja wina.

Z ust wyrywa mi się pełen cierpienia wydech.

– To nigdy nie była twoja wina, Will.

– Wiem.

Droga, którą obrał, nie była jego wyborem. Była przymusem, którego nie mógł się wyrzec. To okropnie niesprawiedliwe. To, że płacił za cudze grzechy, a teraz być może będzie płacił za nie w więzieniu. Obserwuję przez łyzy, jak wzdycha, odwraca się na pięcie, po czym zmierza powolnym krokiem w kierunku drzwi przyjmujących coraz więcej ciosów.

Milczymy. Obskurne mieszkanie wypełnia tylko odgłos podeszw butów ścierających się z przykrytą promieniami słońca, starą podłogą i uderzeń policjantów w drewno. W pewnym momencie nie jestem w stanie zdusić w sobie jeszcze kilku słów.

Robię krok w stronę odwróconego chłopaka.

– Will? – zaczynam ledwie słyszalnie.

A on zatrzymuje się w miejscu.

– Będę tutaj. – Opuszczam bezradnie ręce. – Do ostatniego dnia.

Przez moment nic się nie dzieje. Chociaż słyszymy donośne krzyki służb, mam wrażenie, jakby czas zwolnił i jakby zapadła głucha cisza. Wtem Willard obraca się. Czym prędzej wraca do mnie i zamyka w uścisku dłoni moją twarz, wmuszając mi w usta pocałunek. Miażdży mi nim wargi i na pewno czuje na swoich niekończący się potok moich łez.

– Kurwa, Gold – wydycha rozpedzony, całując w potwornym pośpiechu moją brodę, usta, nos i czoło. – Choćbym miał zabić każdego, kto mi się tam napatoczy gołymi rękami, pewnego ranka i tak stanę pod twoimi drzwiami i powiem ci, że tęskniłem.

Patrzy na mnie zaciekle. Ja także patrzę w ten sposób na niego.

– A jeśli przez ten czas przestaniesz?

– Nie przestanę – daje mi słowo, zabierając jedną dłoń z mojej twarzy i przegubem ręki przecierając... delikatnie zasnuwane łzami oczy? *Boże, on...* – A teraz proszę, nie patrz, jak zakładają mi to żelastwo na ręce. Proszę, nie patrz i nie bierz mnie za tak złego, jak jestem.

Ból rozsadza mi klatkę piersiową. Will pęka. Pomału pęka.

– Nie wezmę – zaprzeczam, dodając do tego zdecydowany ruch głowy. – Nigdy nie brałam. W tym momencie biorę cię już tylko za *wszystko*, które tracę. Pamiętaj, będę tutaj.

Tym razem to ja wspieram się na palcach stóp i całuję go w usta z szeptem:

– Do ostatniego dnia i poczekam na *wszystko*, które odzyskam.

Chłopak odpowiada mi skinieniem, przenosząc ostatni raz ręce na moją talię.

– A ja wrócę po *wszystko*, które ma najpiękniejszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widziałem – zapewnia i przyglądając mi się, dodaje: – Zabiorę je dokądkolwiek zapagnie i gdziekolwiek już nigdy nas nie rozdzieli. Tylko bądź na to gotowa, Gold.

– Będę. Będę gotowa, Will.

Przytula mnie do siebie. Składa muśnięcie na mojej skroni. Na tym kończy się moje wspomnienie jego odejścia. Nie przypominam sobie kajdanek zakładanych mu na dłonie. Pogardliwych spojrzeń policjantów ani tego, co do niego mówili. Zupełnie tak, jakby to się wcale nie wydarzyło. Lecz przez kolejne godziny we wszystkim znajduję potwierdzenie, że go straciłam. Straciłam Willarda, który zostawił po sobie wyłącznie rozbite lustro w salonie.

Mimo upływu czasu wciąż płaczę, kiedy klękam nad porozrzuconymi odłamkami szkła. Zbieram je. Muszę wyrzucić je do kosza, żeby Rhodes, który pewnie niedługo wróci na Bronx się nimi nie zranił. W pewnym momencie widzę swoje zmarnowane odbicie w dużym kawałku i dostrzegam za swoimi plecami Willa. Odwracam błyskawicznie głowę.

Ale jego za mną nie ma.

Wyrzucam z siebie przeraźliwie głośny krzyk. Mam wrażenie, że trzęsie on budynkiem. Bezradna odrzucam odłamek i opadam kolanami na brudną podłogę. Pochylam się do przodu. Przeżywam tortury. A wszystko przez to... przez to, że znaleźliśmy się pod znakiem zapytania.

On w scenariuszu przeznaczonym dla czarnego charakteru, którym podobno był. A ja pomiędzy ścianami pustego mieszkania z roztrzaskanym sercem, zdartym od rozpaczliwego wołania za nim gardłem i dwiema niewiadomymi: *czy jeszcze kiedyś do mnie wróci* oraz *czy jeśli to zrobi, będzie o mnie pamiętał?*

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

PODZIĘKOWANIA

W pierwszej kolejności chciałabym podziękować każdemu, kto miał swój udział w pracy nad tym tytułem. Doceniam każdy wkład w to, by tekst wypadł jak najlepiej w odbiorze. Szczególnie dziękuję Ani za opiekę nad książką. Jesteś dla mnie niezastąpiona.

Dziękuję również wszystkim dwunastu patronkom za przygarnięcie *Colliding Lies* pod swoje skrzydła oraz cały trud włożony w promocję książki. Mam nadzieję, że będziemy miały jeszcze okazję razem współpracować, bo ta współpraca była przyjemnością.

Dziękuję także moim cudownym czytelnikom. Po raz kolejny i nie ostatni. Za to, że jesteście i za to, że nigdzie się nie ruszacie. Jesteście moją największą motywacją i powodem, dla którego w chwilach zwątpienia potrafię odnaleźć w sobie siłę, by iść do przodu.

Dziękuję Idze. Za to, że jesteś tak naprawdę obok mnie dłużej, niż Cię nie było.

I M. Za to, że dzięki Tobie miałam coś do opowiedzenia w tej książce.

¹ Wiek, w którym w Stanach Zjednoczonych opuszcza się sierociniec, zależy od danego stanu. Na potrzeby książki autorka przyjęła, iż w Karolinie Południowej jest to osiemnaście lat (przyp. red.).

² Gold – (z ang.) złoto (przyp. aut.).

³ *Oh, I love it and I hate it at the same time. Hidin' all of our sins from the daylight* – (z ang.) *Och, kocham to i jednocześnie nienawidzę. Ukrywamy wszystkie nasze grzechy przed światłem dziennym.* Cytat pochodzi z piosenki *Daylight* Davida Kushnera (przyp. aut.).

⁴ *Confess to me all the lies between us, all the lies between you and me* – (z ang.) *Wyznaj mi wszystkie kłamstwa, które są między nami, wszystkie kłamstwa, które są między tobą i mną.* Cytat pochodzi z piosenki *Pictures of You* zespołu The Last Goodnight (przyp. aut.).